JUDITH LENNOX

Wszystko, czego o sobie nie wiemy

Prószyński i S-ka

JUDITH LENNOX

Wszystko, czego o sobie nie wiemy

Przełożyła
Magdalena Rychlik

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE SECRETS BETWEEN US

Copyright © 2020 Judith Lennox
All rights reserved

Zdjęcie na okładce
© CollaborationJS/Trevillion Images

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Redaktor inicjująca
Magdalena Gołdanowska

Redakcja
Aneta Konabrodzka

Korekta
Katarzyna Kusjoć
Bożena Hukewicz

ISBN 978-83-8234-599-5

Warszawa 2021

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Macsena
Jamesa Bethencourta-Smitha

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZAŁAMANIE POGODY
1937–1939

Rozdział pierwszy

Grudzień 1937

Patrick odmówił udziału w przyjęciu wydawanym przez Manninghamów. Przepełniona urazą Rowan Scott przypisała zachowanie męża wcześniejszej kłótni, do której doszło między nimi podczas śniadania złożonego z tostów i gotowanych jajek. On zaproponował, by już w Wigilię wyjechali do Guildford, gdzie mieszkał jego ojciec, podczas gdy ona wolała wyruszyć jak najpóźniej, najlepiej w świąteczny poranek. A skoro Patrick nie chciał jej towarzyszyć na przyjęciu, to Rowan wybrała sprawdzone towarzystwo Charlburych, Wiltonów i Vaughanów – oraz Nicky'ego Oliviera, dziś w wyjątkowo dobrej formie: żartował z gospodarzy, zasiadając na fotelu w otoczeniu pół tuzina akolitów.

Służący Daveya Manninghama pod wytapetowaną na purpurowo ścianą ogromnej bawialni energicznie miksował alkoholowe koktajle, dla podkreślenia świątecznej atmosfery udekorowane kłującymi gałązkami ostrokrzewu. Od strony fortepianu dobiegały delikatne dźwięki kolęd, powietrze pachniało goździkami i skórką pomarańczową. W kominku płonęło drewno. Suknie kobiet mieniły się pięknie odcieniami szmaragdu, eau de nil, turkusu, oranżu i pudrowego różu.

– Pani Scott, jakże się cieszę – rozległ się czyjś głos. Siedząca na jednej z miękkich sof Manninghamów Rowan podniosła wzrok i ujrzała Simona Pembertona. Simon był kuzynem jej dobrej przyjaciółki, Artemis Wilton. Trafiała na niego od czasu do czasu na wieczorkach tanecznych i koncertach. Wymruczała powitalną formułkę.

– Wypadłem na czas jakiś z obiegu towarzyskiego – oznajmił, opierając się o sofę. – Krewniak zaniemógł i potrzebował mego towarzystwa. Spędziłem trzy tygodnie na wsi. Cóż to za ulga móc wreszcie powrócić na łono cywilizacji. – Otrząsnął się teatralnie.

Była rada, że wyraźnie próbuje zwrócić na siebie jej uwagę. Wyczytała w jego oczach gotowość pocieszenia i propozycję przygody, co przyprawiło ją o szybsze bicie serca. Simon Pemberton był wysoki, miał krótko przystrzyżone kasztanowe włosy i granatowe oczy. Z profilu przypominał przystojnego rzymskiego senatora z orlim nosem i ustami o nieco okrutnym grymasie.

– Nie lubi pan wsi? – zapytała.

Skrzywił się.

– Cóż tam jest do roboty poza uprawianiem wiejskich sportów, których nienawidzę? W Suffolk, gdzie mieszka wuj, trudno natknąć się na przyzwoitą galerię sztuki lub posłuchać muzyki na dobrym poziomie, wokół króluje amatorszczyzna. Jeżeli zaś chodzi o towarzystwo… Co takiego jest w polach i lasach, że zabijają w ludziach umiejętność konwersacji? A może ci, którzy jej nie posiedli, dobrowolnie zaszywają się na wsi.

– Ja z kolei zaczynam tęsknić za wsią – rzekła Rowan. – Duszę się, kiedy zbyt długo przebywam w mieście.

– A jednak mieszka pani tutaj.

– Z konieczności. Patrick pracuje w Londynie. – Mąż Rowan był adwokatem.

Simon zajął miejsce obok niej i oświadczył:

– Nigdy mnie nie pociągała instytucja małżeństwa. Cóż w niej takiego kuszącego? Zawęża tylko horyzonty i możliwości.

Chociaż małżeństwo Rowan w istocie okazało się okrutnym rozczarowaniem i od jakiegoś czasu odnosiła się do Patricka głównie z obojętnością, to krytyka Simona ją ubodła.

– Przede wszystkim daje poczucie bezpieczeństwa – rzekła, po czym zadała sobie w duchu pytanie, czy przypadkiem nie pomyliła owego poczucia bezpieczeństwa z miłością i nie popełniła błędu, wychodząc za mąż za Patricka.

– Mam ten przywilej, że nigdy nie będę musiał martwić się brakiem bezpieczeństwa finansowego – odpowiedział Simon. – Z kobietami

jest inaczej, jesteście w tej kwestii zależne od nas. Miłość zaś… Można ją mieć i bez ślubu. Po prawdzie to czy poza pierwszymi upojnymi miesiącami ktokolwiek zaznał miłości w małżeństwie?

– Przemawia przez pana modny w dzisiejszych czasach cynizm.

– Proszę o wybaczenie. Cynizm to śliska i nieatrakcyjna przypadłość. Ma pani rację, optymizm wymaga większego wysiłku, szczególnie w obecnych okolicznościach.

Rowan uznała, że nawiązuje do sytuacji na świecie: koszmaru hiszpańskiej wojny domowej oraz złowróżbnej fali faszyzmu w Niemczech i we Włoszech.

– Aż strach otwierać gazety – przyznała.

Zgrabnie zmienił temat i przeszli do wymiany poglądów o sztuce współczesnej. Simon podziwiał prace Bena Nicholsona i Stanleya Spencera, nie cierpiał natomiast Henry'ego Moore'a, jak dowiedziała się Rowan.

Następnie, w akompaniamencie wygrywanej przez pianistę melodii *The Holy and the Ivy*, jęli rozmawiać o teatrze. Simon oświadczył, że widział już wszystkie warte uwagi sztuki wystawiane w Londynie.

– Nie żeby było ich tak znowu wiele – dodał. – Teatr jest wypalonym cieniem tego, co reprezentował sobą w czasach edwardiańskich. Na West Endzie roi się od koszmarnych rewii i wulgarnych musicali.

– Nie lubi pan przedstawień muzycznych?

– Czy ktokolwiek je lubi? Poza ćwierćinteligentami?

– Ja wręcz pasjami. Podobnie jak kino. Chadza pan do kina?

– Nigdy. Poszedłem raz i byłem zniesmaczony.

Uśmiechnęła się.

– Być może wybrał pan zły film.

– Nie sądzę. W pamięci została mi głównie duszna sala przesycona zapachem tanich perfum i papierosów, a także tłuszcza zajadająca się popcornem i lodami. Historyjka na ekranie była dość banalna. Całe doświadczenie koszmarne.

– Lubię chodzić do kina sama, na popołudniowe seanse – rzekła Rowan, nie mogąc się oprzeć wystawieniu na próbę pewności siebie Simona. – To takie zachwycająco dekadenckie.

– Dekadencja robi na pani wrażenie? Osobiście gardzę ludźmi, którzy poszukują dekadencji dla niej samej; którzy udają zachwyt obskurnymi klubami nocnymi albo jazzowymi kakofoniami, żeby uchodzić za bardziej interesujących.

– Ojej. – Posłała mu kpiące spojrzenie. – Czyżby nocne kluby i jazzowa muzyka były kolejnymi pozycjami w rejestrze tego, co godne pogardy?

– Jak można stawiać rozrywki tak niskich lotów w tym samym rzędzie, co aria z *Czarodziejskiego fletu* albo płótna Velázqueza? Czy też scenę z *Giselle*, w której bohaterka przemyka w tańcu niczym duch?

Rowan wstrzymuje oddech z zachwytu, kiedy sama obcuje z prawdziwą sztuką, o jakiej mówił Simon. Ona też podziwia piękno i artystyczną pasję, gardzi zaś pustotą i półśrodkami. Jeszcze więcej sympatii wzbudziło w niej zaangażowanie, z jakim wypowiadał swoje opinie.

– Mówi pan o doskonałości, która jest rzadka i ulotna. A przecież na co dzień musimy się jakoś podtrzymywać na duchu.

– Chyba pani nie zaprzeczy, że tanie i płytkie rozrywki są dla człowieka szkodliwe. Przytępiają wrażliwość na piękno, a czymże jesteśmy bez owej wrażliwości? – W ciemnoniebieskich oczach Simona zamigotały figlarne iskierki. – Muszę przyznać, że ja sam nie potrafię się nigdy oprzeć pięknu. Jak pani myśli, droga pani Scott, co tu robię, rozmawiając z panią, mimo że zdajemy się mieć tak niewiele ze sobą wspólnego?

Przyspieszone bicie serca.

– Bardzo mi pan schlebia.

Potrząsnął głową w zaprzeczeniu.

– Nigdy nikomu nie schlebiam. Zawsze mówię prawdę. Na przykład nie powinna pani nosić ubrań w tym kolorze. Ten odcień błękitu gasi ogień pani włosów. Czerwień byłaby znacznie lepsza. Rudowłose kobiety często się wzbraniają przed czerwienią z obawy, że im nie pasuje. Nie mają racji. Pięknie by pani wyglądała w odpowiednim odcieniu czerwieni. Niczym płomień; wysoki rozedrgany płomień. Ach, widzę, że zostałem uznany za zuchwalca. – Jego ton nie zdradzał ani cienia skruchy.

– Skądże znowu – zaprzeczyła, po czym dodała nonszalancko: – Fachowa porada na temat stroju zawsze jest w cenie.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę, nim zaprosił ją na kolację. Rowan wiedziała, że wkracza na grząski grunt. Była tego świadoma, opuszczając rezydencję Manninghamów, w której pozostawiała przyjaciół, ale mimo wszystko zdecydowała się na ten krok.

Zamówili steki U Simpsona na Strandzie, restauracji o ścianach wyłożonych ciemną boazerią, ze sztukateriami na otynkowanym suficie. Rowan zagadnęła Simona o jego plany na święta.

– Zostanę w domu – odparł. – Nigdy nie wyjeżdżam na Boże Narodzenie. Jeśli chodzi o wizję rodzinnych świąt, uznaję ją za odpychającą ze względu na rozwrzeszczane niemowlęta i piskliwe kilkulatki. Zaprosiłem na obiad kilkoro bliskich przyjaciół, równie niezainteresowanych rodzinną sielanką. Wieczór natomiast spędzę w towarzystwie esejów Samuela Johnsona i zacnego porto. Nie mogę się wprost doczekać. A ty, Rowan? – W pewnym momencie niezauważalnie i naturalnie zaczęli sobie mówić po imieniu.

– Zawsze spędzamy pierwszy dzień świąt w Guildford, z ojcem i siostrą Patricka. – Już drżała na myśl o spotkaniu z chorym, kłótliwym starcem i niezamężną Elaine, która się nim opiekuje – kobietą zgorzkniałą i pełną złości. Ciężkostrawne jedzenie, duszne pokoje i nuda – z tym kojarzyła nadchodzące dni. – Dołączy do nas moja młodsza siostra, Thea – dodała. Szesnastoletnia Thea zawsze spędza święta z nią i Patrickiem. Ich ojciec jest wdowcem. Nie lubi Bożego Narodzenia, woli je spędzać na łowieniu ryb albo wędrówkach ze starym dobrym przyjacielem, Malcolmem Reidem, który wiedzie pustelnicze życie gdzieś na wzgórzach Szkocji. Ani Rowan, ani Thea nigdy go nie poznały. – Później wybieramy się we troje do Glasgow, na Hogmanay.

– Słyszałem, że Szkoci celebrują Nowy Rok huczniej niż Boże Narodzenie.

– To prawda. Masz rodzinę, Simonie? Ach tak, wuja w Suffolk.

– Denzil też woli spędzać święta sam w swoim domu. Ashleigh Place to bodaj najpiękniejsza rezydencja dworska w całej Anglii.

– Ach, znowu powracamy do tematu piękna.

– Jestem jego niewolnikiem – rzekł, spoglądając na nią przenikliwie. Mniej obyty mężczyzna mógłby w tej chwili dodać jakiś zbędny komplement, nie pozostawiając miejsca na napięcie i niedosyt.

Zapytała go, czy Ashleigh Place od dawna należy do jego rodziny.

– Nie, zupełnie nie. Denzil kupił ten dom, kiedy miał dwadzieścia pięć lat. Uprzednio należał do jakiegoś szaleńca ekshibicjonisty rozmiłowanego w sztuce artystycznego performance'u. Jeszcze wcześniej mieszkała w nim rodzina Gardinerów, która pozwoliła domowi popaść w ruinę. Denzil odrestaurował rezydencję. To było nie lada przedsięwzięcie, jego życiowe dzieło. Patrząc na wuja teraz, kiedy jest schorowany, nie domyśliłabyś się, ile miał kiedyś werwy i wigoru.

– Jest ci bardzo bliski, prawda?

Uśmiechnął się.

– To prawda. Niewielu mam poza nim krewnych, z którymi spędzam czas z wyboru. Moja siostra, Anne, poślubiła nudziarza imieniem Edwin. Mają dwoje dzieci. Henry to zuch chłopak; zamierzam posłać mu słodycze na święta. Jego siostra natomiast, Zorah, ma trociny zamiast mózgu. Brak mi pomysłu na świąteczny podarek dla niej. Może coś mi doradzisz?

– Ile ma lat?

– Nie pamiętam. Pięć albo sześć.

– Może pudełko farbek? – odparła po chwili zastanowienia. – Ja w jej wieku uwielbiałam malować.

– Nadal malujesz?

– Ostatnio prawie wcale. Nasz dom jest tak mały, że nie ma w nim miejsca na przybory. Ojej, chyba szukam wymówek. – Westchnęła. – Nie wiem już, co miałabym malować, taka jest prawda. Może to normalne, że z wiekiem wyczerpują się pomysły?

– Mówisz, jakbyś była staruszką.

– Mam dwadzieścia trzy lata. Czasem czuję się stara. – Dwadzieścia trzy lata jawiły się jej jako mocno podeszły wiek. Kiedy przyjechała z Glasgow do Londynu, miała niecałe dziewiętnaście, a to było przecież wieki temu. Czuła wtedy taką ekscytację, taki entuzjazm

wobec czekających ją nowych możliwości, uwielbiała odkrywać stolicę.

– Ja mam trzydzieści sześć – oznajmił Simon. – I nie czuję się ani trochę starszy niż w dniu, kiedy skończyłem szkołę.

Rowan zamieniła wcześniej kilka zdań z Artemis przy okazji odbierania płaszcza. Przyjaciółka potwierdziła, że Simon jest dobrze sytuowanym kawalerem, który nie musi pracować zarobkowo.

– Masz szczęście, że możesz się tylko bawić – rzekła.

– Uważasz to za godne nagany czy zazdrości?

– Ani jedno, ani drugie. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Parsknął śmiechem.

– Co to było? Autocenzura szkockiej prezbiterianki?

– Czy nie czujesz się… zdezorientowany, żyjąc bez żadnego celu, poza dogadzaniem sobie?

– Nie, czuję się wspaniale. Czemu sama nie spróbujesz?

Otworzyła usta, ale uciszył ją, dotykając opuszką palca jej nadgarstka.

– Chyba nie będziesz mnie zanudzać opowieściami, że musisz prowadzić dom i zajmować się mężem, prawda? Byłbym tym ogromnie rozczarowany. – Cofnął dłoń.

Rowan miała wrażenie, że jego dotyk pozostawił ślad na skórze jak wgłębienie w glinie. Powinnam już iść, pomyślała, powiedzieć, że mam spotkanie albo że Patrick na mnie czeka, cokolwiek.

Nie ruszyła się z miejsca.

– Wszyscy mamy jakieś obowiązki – odrzekła. – Nawet ty z pewnością jakieś masz.

– Wszyscy udajemy, że mamy obowiązki, ale większość ludzi jest podobna do mnie: robi tylko to, co chce. Naturalnie mam na myśli przedstawicieli swojej klasy społecznej. Życiem niżej urodzonych rządzi konieczność. Oczywiście czasami coś tam się poświęca dla przyszłych korzyści. Mam swoje powody, aby znosić ograniczenia wiejskiego życia w Suffolk.

– Piękno.

– Tak. – Popatrzył na nią badawczo. – A ty, Rowan, jak przypuszczam, tolerujesz obowiązki domowe i towarzyską rutynę, ponieważ… Ponieważ są dla ciebie satysfakcjonujące.

Wychodząc za mąż przed trzema laty, była przekonana, że na prowadzenie domu składa się mnóstwo bezsensownych i monotonnych, ale łatwych czynności. Owszem, były bezsensowne i monotonne, ale przy tym czasochłonne i wyczerpujące. Nauczyła się zamawiać jedzenie ze sklepu spożywczego, warzywnego, rybnego i od rzeźnika, zlecać pranie oraz organizować pracę gosposi. Umiała też sama coś ugotować, jeśli musiała. Kucharka, Gwen, pokazała jej, jak przyrządzić kilka dań na kolację w dni, kiedy sama miała wychodne. Przyjaciele uważali ją za zabawną i oryginalną panią domu. Coraz częściej jednak łapała się na myśli: No dobrze i co teraz? Jakie miała znaleźć ujście dla buzującej w środku energii, czym ukoić niepokój, który nie pozwalał się cieszyć spokojnymi domowymi wieczorami z książką lub robótką? Czy czekało ją kolejne dwadzieścia, trzydzieści lat sporządzania list zakupów i wydawania bankietów?

– Nie powiedziałabym – rzekła, śmiejąc się cicho.

Zapalił dwa papierosy, podał jej jeden i powiedział przyciszonym głosem:

– Czyli znosisz to z miłości do męża.

– On mi nie okazuje żadnej miłości – odparła, po czym natychmiast skarciła się w duchu za nadmierną szczerość. Simon mógł stracić zainteresowanie, skoro już się dowiedział, że jest nieatrakcyjna dla własnego męża.

Lecz on uniósł brwi i oświadczył:

– W takim razie jest głupcem.

– Nie – zaprzeczyła gorzko. – To ostatnie, co można o nim powiedzieć.

– W takim razie jak to wyjaśnić?

Pokręciła lekko głową. Nie wiedziała, dlaczego Patrick jej nie chciał. Ich rozmowy krążyły wokół tego tematu, ale nigdy nie poruszyła go wprost z obawy, że to jej wina. Jest zbyt oziębła. Za stara. Ma zbyt mało seksapilu. Wszak uroda i seksapil niekoniecznie muszą iść ze sobą w parze. Coraz częściej zadawała sobie pytanie, czy ktokolwiek byłby ją w stanie pokochać.

Rozmowę przerwało im zamieszanie w rogu sali wywołane przez pijanego gościa, który przewrócił kieliszki z winem. Kelnerzy

pospieszyli w tamtą stronę ze ścierkami i miotłami. Rowan przyjęła z ulgą chwilę na zaczerpnięcie oddechu.

– Posmutniałaś – zauważył łagodnie Simon. – Porozmawiaj ze mną.

Kelner zabrał puste talerze. Po jego odejściu Rowan zaczęła mówić:

– Kiedy poznałam Patricka, mieszkałam sama w Londynie. Byłam dość przybita po nieudanym romansie. Dał mi oparcie, którego potrzebowałam. Czy kiedykolwiek czułeś, jakbyś dryfował, nie mając pojęcia, jaki obrać kierunek?

– Nie, nigdy.

Dobroć Patricka i jego spokojne usposobienie początkowo pociągały Rowan – dla niej samej spokój był trudny do osiągnięcia, nie uważała się też za szczególnie dobrego człowieka – po trzech latach małżeństwa, kiedy ich życie intymne, które nigdy nie było zbyt intensywne, prawie całkiem wygasło, milczenie męża doprowadzało ją jednak do furii i było źródłem udręki.

Na twarzy Simona pojawił się delikatny uśmiech.

– Ale to pewnie dlatego, że choć pozuję na miejskiego estetę, wystarczy cofnąć się parę pokoleń wstecz, by odkryć, iż w rzeczywistości pochodzę z długiej linii flegmatycznych wieśniaków z Hertfordshire. Prawdopodobnie powinienem właśnie oporządzać świnie.

Roześmiała się.

– Ależ, Simonie, zniszczyłbyś sobie ubranie. – Jego wieczorowy garnitur był perfekcyjnie skrojony.

– Racja. – Kiedy poklepał ją pokrzepiająco po ręce, musiała powstrzymać się z całych sił, by nie chwycić jego dłoni, jakby to była lina ratunkowa. Przesunął kciukiem po jej skórze. Zadrżała. – Kochana Rowan – powiedział niskim głosem. – Od dawna podziwiam twój wewnętrzny ogień i splendor. Trzymałem dystans wyłącznie z lęku przed oparzeniem.

Co kobieta mogłaby rzec po takiej deklaracji? Odetchnęła z ulgą na widok kelnera z kartą deserów, który rozładował napięcie między nimi. Zrezygnowali z deseru: Rowan straciła apetyt, Simon zaś powiedział, że nigdy ich nie jada. Gawędzili niezobowiązująco przy kawie i ptifurkach, ale ona nie miała wątpliwości: przekroczyli pewną

granicę, za którą czyhało niebezpieczeństwo – dla niej, on bowiem, mężczyzna i do tego kawaler, nie ryzykował niczego.

Strach walczył z intensywną tęsknotą. Czas, kiedy pożądała jakiegokolwiek mężczyzny, wydawał się tak odległy, od dawna nikt nie pobudził jej zmysłów i uczuć, nie wprawił w stan, w którym pragnienie i obawa stają ze sobą w szranki. Rozbłysło w niej jakieś światło i rozproszyło półmrok. Odnalazła zagubioną część siebie, strząsnęła popiół małżeństwa, spod szarości wyzierały kolory. Znowu poczuła, że żyje: ktoś jej pragnął i jasno to okazywał.

Dopili kawę, po czym wyszli z restauracji. Blade, mgliste aureole otaczały płomienie gazowych lamp ulicznych. Uniosła do góry dłoń, żeby zatrzymać taksówkę, ale samochód pojechał dalej, nie zwalniając. Takie zbiegi okoliczności zmieniają niekiedy bieg całego życia, pomyślała później – gdyby wsiadła wtedy do auta, Simon nie miałby okazji jej pocałować. Pocałunek był namiętny i szokujący; odwzajemniła go, omdlewając z rozkoszy i pożądania.

Wyjrzała przez okno taksówki na londyńskie ulice w ten zimowy wczesny poranek. Billboardy reklamowe wyglądały we mgle jak żółta rozmyta wstęga. Twarze przechodniów sprawiały wrażenie zastygłych na mrozie: blade, zniekształcone, z pootwieranymi ustami, poprzecinane pasmami cienia. Po włóczędze, który sypiał w bramie, pozostał tylko stos szmat i starych koców. Czarne witryny sklepów i biur zdawały się zionąć pustką.

Rowan przesunęła językiem po górnej wardze, która pulsowała jak po uderzeniu. Cała wcześniejsza euforia zdążyła się ulotnić, ale jeszcze nie miała wyrzutów sumienia, wypełniała ją melancholia. Drżała na myśl o powrocie do domu przy Mallord Street. Wybrała go pod wpływem kaprysu, zwabiona łobuzerskim urokiem artystycznej dzielnicy Chelsea, a z czasem znienawidziła za klaustrofobiczną ciasnotę i niepraktyczność. Niegdyś służył za studio malarskie, pokoje były małe i wąskie. Na dole mieściły się kuchnia ze zmywalnią, bawialnia oraz jadalnia, na górze trzy sypialnie. Spadzisty, niewygodny strych przydawał się do przechowywania

mebli i ozdób odziedziczonych po babce Patricka. Pokój gościnny, w którym sypiała Thea, ilekroć przyjeżdżała z wizytą, znajdował się na tyłach domu, nad piwnicą. Pokój Rowan i Patricka wychodził na główną ulicę. Okno wykuszowe, wstawione podczas remontu, przeciekało w czasie ulewnych deszczy.

Patrick będzie udawał, że śpi, kiedy ona wejdzie ukradkiem do sypialni. Nie miał zamiaru pytać, gdzie była, Rowan zaś nie zamierzała mu o tym opowiadać. Żadna ze stron nie zdecyduje się łamać cichego, niepisanego paktu, który coraz dotkliwiej ograniczał jej wolność. Chodzili wokół siebie na palcach, unikając konfrontacji, zupełnie tak, jak to zrobi za chwilę, kiedy się rozbierze i zmyje makijaż w kompletnej ciszy, udając, że nie chce zbudzić śpiącego męża.

Patrick należał do osób, z którymi trudno jest się pokłócić. Na jej krzyki lub płacz reagował biernością i jeszcze większym wycofaniem. Ich spory dotyczyły drobiazgów: tego, że zapomniała o zaplanowanym wcześniej spotkaniu z jego kolegami prawnikami, albo tego, że jeszcze nie znalazł hydraulika do naprawy cieknącego kranu. Przepaść między nimi – otchłań wzajemnych uraz i niechęci – stała się zbyt wielka, by o niej rozmawiać.

Był jasnowłosym mężczyzną o małych niebieskich oczach i regularnych rysach, raczej drobnej budowy, ale przystojny w ascetycznym brytyjskim stylu. Doskonale się sprawdzał jako żywiciel rodziny, przyjaciel, gospodarz. Wyrzuty z powodu braku namiętności wobec żony zraniłyby go do żywego, Rowan doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Niekiedy dostrzegała w jego oczach poczucie winy, wstydu i upokorzenia, zanim zdążył odwrócić się do niej plecami. Nie tylko litość powstrzymywała ją przed otwartą rozmową z mężem o braku intymności między nimi. Poruszanie kwestii tego rodzaju wymusiłoby przekroczenie pewnych granic. Mogłyby wypłynąć rozmaite emocje i oskarżenia.

Nie możemy tego ciągnąć w nieskończoność – takie słowa rozbrzmiewały w jej głowie, kiedy siedziała w taksówce sunącej po ulicach Chelsea. Oboje balansowali nad przepaścią. Tej nocy poczuła, że spada w piekielną czeluść. Simon przypomniał jej o potędze pożądania, w starciu z nim przegrywały rozsądek i poczucie

obowiązku. Gorzko pożałowała straconego czasu, tych jałowych lat małżeństwa.

Samochód zatrzymał się na Mallord Street. Rowan skurczyła się, wchodząc do domu, jak gdyby podświadomie próbowała się dopasować do ciasnych przestrzeni i ograniczeń małżeńskiego życia. Spojrzała w lustro na korytarzu, żeby sprawdzić, czy nie zdradza jej rozmazana szminka. Na stole w jadalni leżały porozrzucane papiery Patricka. Duża choinka, którą ona wybrała, nie pasowała do ciasnej bawialni. Rowan zdjęła buty i poszła na górę.

Spała kilka godzin. Patrick obudził ją o siódmej rano i powiedział, że siostra chce z nią rozmawiać przez telefon.

Thea przekazała jej wiadomość o ciężkiej chorobie ojca. Dziewczyna przyjechała do Glasgow siedemnastego grudnia, po zakończeniu semestru w szkole z internatem w Yorkshire. Ojciec powrócił następnego dnia z podróży służbowej na południe kraju w kiepskiej formie. Miał kaszel i gorączkę, ale nie pozwolił córce wezwać lekarza. Dopiero nazajutrz, kiedy jego stan się pogorszył, Thea zatelefonowała po doktora Waringa, który zdiagnozował zapalenie płuc. Chory nie odpowiadał na leczenie. Od dawna miał słabe płuca, była to pozostałość po wojnie i kontakcie z gazem musztardowym.

Patrick zamówił dla Rowan kurs taksówką na Euston Station, skąd odjeżdżał pociąg do Glasgow, podczas gdy ona pakowała się cała roztrzęsiona ze strachu. Nie mogła się pozbyć dręczącego podejrzenia, iż była w jakiś sposób odpowiedzialna za chorobę ojca, że to swoista kara za grzechy. Za namiętną schadzkę z Simonem.

Wyjrzała przez okno, usłyszawszy sygnał klaksonu; taksówka podjechała pod dom. Zatrzasnęła walizkę i zbiegła na dół.

Rozdział drugi

Grudzień 1937

Hugh Craxton nie po raz pierwszy spędzał Boże Narodzenie z dala od rodziny. Przed kilkoma laty obowiązki służbowe wezwały go tuż przed świętami do Glasgow (biedny Hugh, tak ciężko pracował) i uniemożliwiły powrót do domu na czas. Ponadto kilka razy, kiedy odwiedzał w okresie przedświątecznym swego przyjaciela Malcolma Reida, wiodącego pustelnicze życie w górach Szkocji, został odcięty od świata przez złe warunki pogodowe i śnieżyce uniemożliwiające podróżowanie. Początek grudnia był w tym roku wyjątkowo mroźny, z dużymi opadami śniegu na południu Anglii, ale na tydzień przed świętami znacznie się ociepliło. Żona Hugh, Sophie, uważnie słuchała wiadomości o pogodzie, prezenter nic jednak nie wspominał o zamieciach śnieżnych w Szkocji ani innych tym podobnych trudnościach.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby Hugh nie dawał znaku życia. Zawsze telefonował lub telegrafował z informacją, że jest zdrów i cały. Bardzo tego przestrzegał. Ilekroć musiał gdziekolwiek wyjechać, utrzymywał regularny kontakt telefoniczny z rodziną. Jego tegoroczne milczenie zepsuło domową atmosferę w pierwszy dzień świąt. Siedzieli przy stole spięci i ponurzy. Sophie próbowała pocieszać synów, mimo że sama była zaniepokojona. Tata niedługo wróci, zapewniała, coś musiało mu nagle wypaść, niemniej jednak piętnastoletni Stuart nie krył przygnębienia, starszy zaś, Duncan, dawał upust złości i urazie.

W tym roku kłótnie między Hugh a starszym synem wybuchały wyjątkowo często. Duncan miał już osiemnaście lat, to trudny wiek,

tłumaczyła sobie Sophie – już nie dziecko, a jeszcze nie mężczyzna. We wrześniu rozpoczynał studia inżynierskie. Hugh nalegał, aby do tego czasu pozostał w szkole, co powodowało spięcia. Sophie popierała męża z obawy przed wywołaniem kolejnej awantury, później jednak zarzucała sobie, że powinna zadać sobie więcej trudu, aby go przekonać, by pozwolił Duncanowi zrobić to, co chciał, czyli rzucić szkołę i znaleźć pracę. Hugh mógłby mu poszukać jakiegoś tymczasowego zajęcia w swojej fabryce lub biurze na te kilka miesięcy przed rozpoczęciem roku akademickiego. Możliwe, że Duncan właśnie tego potrzebował: wprowadzenia do dorosłego świata i zapoznania z rynkiem pracy. Zasugerowała to mężowi, ale on miał odmienne zdanie.

Tuż po świętach Stuart i Duncan wyszli na spotkanie z Michaelem i Thomasem Fosterami. Pod ich nieobecność dom przy ślepej uliczce w dzielnicy South Kensington wydawał się nienaturalnie cichy. Słychać było tylko odległy szmer ruchu drogowego i świst wiatru w szparach nieszczelnego okna w kuchni. W garnku na kuchence bulgotał bulion na kościach kurczaka, którego zjedli w święta.

Sophie umyła i wytarła puszkę po cieście. Wiecznie głodny Stuart zmiótł wieczorem prawie cały keks świąteczny, dla Hugh nie został nawet kawałek. „Kochana, robisz najlepszy keks na świecie", przypomniała sobie jego słowa. Natychmiast obezwładniły ją tłumione dotąd uczucia. Coś się musiało stać, coś strasznego.

Chodziła po domu, sprzątając mechanicznie i odkładając rzeczy na miejsca, gdy nagle uświadomiła sobie panującą wokół martwotę. Zadrżała i skarciła się w myślach za makabryczne skojarzenie. Plany Hugh pokrzyżowała pogoda. Albo praca.

Powtarzane w myślach pocieszające frazesy nie przynosiły już upragnionej ulgi. Przestań się oszukiwać, Sophie, i staw czoło rzeczywistości. Hugh opuścił Londyn tydzień przed Bożym Narodzeniem. Od początku grudnia nie czuł się najlepiej, dokuczał mu męczący kaszel, ale jakiś problem w fabryce w Glasgow wymagał jego natychmiastowej uwagi, czym prędzej udał się więc na północ, by ratować sytuację. Całując ją na pożegnanie, obiecywał, że wróci najpóźniej w Wigilię.

Następnego wieczoru odbyli krótką rozmowę przez telefon. Powiedział, że dotarł do Glasgow, kaszel jednak przybrał na sile i chyba mąż zaczął też gorączkować. Dał słowo, że położy się do łóżka i zadba o siebie. Od tamtego czasu nie dostała od niego żadnej wiadomości i jej skrywany lęk wzrastał z godziny na godzinę.

Złożyła papier prezentowy wyciągnięty zza kanapy, wygładziła i odłożyła do ponownego wykorzystania za rok. Hugh wyglądał tak blado i niezdrowo, zanim wyjechał; prosiła go, żeby przełożył wszystkie zobowiązania i został w domu, lecz odmówił. Podobnie jak wielu innych mężczyzn nie cierpiał okazywać słabości, unikał lekarzy. Czy złożyło go zapalenie oskrzeli albo wirus grypy? Czy leżał chory w pokoju hotelowym, zupełnie sam, bez żadnej opieki? A może trafił do szpitala w stanie zagrażającym życiu, półprzytomny?

Żaden z tych potwornych scenariuszy nie miał sensu. Mógł przecież zatelefonować z pokoju hotelowego. Nawet gdyby trafił do szpitala i majaczył, to ktoś z pewnością by ją powiadomił – telefonicznie lub telegraficznie. Albo wystosowałby jedną z tych wiadomości, które się czasem słyszy: Rodzina pana Hugh Craxtona jest proszona o pilny kontakt z takim i takim szpitalem w związku z bardzo złym stanem zdrowia pana Craxtona.

Tymczasem – nic.

Mąż miał swoje demony. Nadużywał alkoholu. Rytm jego dnia wyznaczały kieliszeczki, szklaneczki, popitki i „ostatni na dobranoc, skarbie". Alkohol był jego wałem obronnym przeciwko światu, przy czym rytuał przyrządzania drinków niemal dorównywał ważnością samemu piciu. Miksowanie eleganckich koktajli pomagało mu zapomnieć o kłopotach w pracy; otwarcie butelki szampana odpędzało ponury nastrój. Czyżby wypił o jeden kieliszek za dużo, zanim usiadł za kierownicą? A może wpadł w kolejny z jego nieczęstych, ale spektakularnych ciągów i leżał teraz nieprzytomny w jakimś obskurnym pokoju w gospodzie przy Great North Road?

Nigdy nie udzielali się towarzysko w okresie świątecznym. Najwięcej ludzi widywali na mszy w pierwszy dzień świąt. Zresztą Hugh zawsze, niezależnie od okazji, wolał, gdy spędzali czas tylko we czwórkę. „Po co mam tracić czas na innych ludzi, skoro mam przy sobie tych najważniejszych?". Te słowa, wypowiadane, kiedy chłopcy

byli jeszcze mali, kładły się balsamem na serce Sophie. Kochała go za nie jeszcze mocniej niż wcześniej. Teraz zdała sobie sprawę, że choć brak kontaktów towarzyskich wpędził ją w izolację, to tym razem przynosiła jej ona błogosławioną ulgę, nie musiała bowiem wymyślać żenujących usprawiedliwień nieobecności męża przy świątecznym stole.

Brązowe igły opadły z choinki w bawialni i utkwiły w szparach między deskami podłogi. Świeczki na stroikach doszczętnie się wypaliły. Sophie wyjrzała przez okno, za którym padał śnieg; maleńkie białe płatki topniały przy pierwszym zetknięciu z ziemią. Samochody zwalniały i włączały reflektory, wokół których migotała upiorna zielonkawa poświata. Wybiła dopiero trzecia po południu, ale o tej ponurej porze roku szybko zapada noc. Na Londyn spadała ponura płachta zmierzchu, dzień dobiegał końca.

Sygnał aparatu telefonicznego rozbrzmiał przeraźliwie głośno, Sophie pobiegła odebrać połączenie. To na pewno Hugh! Pochwyciła słuchawkę przepełniona nadzieją.

– Halo? – odezwała się z lekką zadyszką.

– Sophie? To ja, Viola. – Viola Foster była dobrą koleżanką i sąsiadką Sophie, a także mamą kolegów jej synów, Michaela i Thomasa. – Nie masz nic przeciwko temu, żeby Duncan i Stuart zostali na podwieczorek?

– Skądże znowu – zdołała wydusić, tłumiąc rozczarowanie. Wymieniły jeszcze kilka uprzejmości, po czym Sophie odłożyła słuchawkę. Powróciła cisza, bezlitosna i uporczywa.

Otworzyła drzwi niewielkiego gabinetu męża. Rzadko do niego zaglądała, nikt poza Hugh go nie używał, a porządkami raz w tygodniu zajmowała się gosposia, pani Leonard. „Moje prywatne królestwo", mawiał o nim żartobliwie. Serce Sophie biło niespokojnie, kiedy otwierała górną szufladę biurka.

Papeteria, koperty, bibuły do osuszania, pióra, ołówki i mały notatnik, który uważnie przekartkowała i nie znalazła niczego poza domowymi rachunkami. Teczka ze świadectwami chłopców i jeszcze jedna z rachunkami. Jedyne zaskoczenie stanowiła mała butelka szkockiej w najniższej szufladzie, prawie całkiem opróżniona. Żadnej szklanki. Sophie oczyma wyobraźni ujrzała męża podliczającego

tygodniowe domowe wydatki z tureckim cygarem między palcami lewej dłoni i pociągającego whisky wprost z butelki.

Fotografia całej ich czwórki, oprawiona w ramkę, stała na eksponowanym miejscu. Zrobił ją zawodowy fotograf na plaży w Ramsgate parę lat temu. Wysoki i przystojny Duncan sprawiał wrażenie skrępowanego. Już przed dwoma laty uważał się za zbyt dorosłego na rodzinne wypady nad morze; Sophie przypomniała sobie, że był tamtego dnia wyjątkowo krnąbrny, w odróżnieniu od brata – Stuart uśmiechał się z zawadiackim zadowoleniem.

Popatrzyła na Hugh. Stał w niewielkim oddaleniu od rodziny. Wysoki, dobrze zbudowany, przystojny, imponujący mężczyzna o wyprostowanej, żołnierskiej postawie. Pociągła twarz, wysokie czoło i orzechowe oczy pod opadającymi powiekami nadawały mu czasem nieco surowy wyraz, który przełamywał ciepłym, czarującym uśmiechem.

Przeszukała kieszenie starej tweedowej marynarki zawieszonej na krześle – Hugh nazywał ją swoim „strojem do pisania". Nie znalazła niczego poza chusteczką do nosa, grzebieniem, biletem na metro w Glasgow. Hugh nigdy nie zabierał ani jej, ani chłopców do siedziby firmy papierniczej Craxton & Sons, której był właścicielem.

– Olaboga, a cóż to za atrakcja? Jechać setki mil, żeby zobaczyć jakieś hałaśliwe maszyny? – mawiał. – Nie spodobałoby ci się, Sophie. Sam nienawidzę tam jeździć. Jedyną zaletą tego wszystkiego są pieniądze.

Determinacja i bunt, który w niej wzbierał od czasu wyjazdu Hugh, przybrały na sile. Przeszła do sypialni. Otworzyła komodę. Nawyk utrzymywania idealnego porządku pozostał mu z czasów spędzonych w wojsku. Sam składał swoje czyste ubrania. Ona lub gosposia, pani Leonard, zostawiały mu je tylko na łóżku po dostarczeniu z pralni. Jeżeli jakiś guzik czy podszewka wymagały przyszycia, odkładał koszulę lub marynarkę w jej kąciku krawieckim. Hugh lubił mieć wszystko zrobione po swojemu; czasami układał rzeczy od nowa, jeśli nie zadowalał go początkowy efekt. Przeglądała szuflady z bielizną, świadoma, że narusza jego prywatność. W drugiej znalazła skarpetki, rękawiczki i kalesony. Najniższa mieściła bluzki

i sweter, który dla niego wydziergała. Twierdził, że go uwielbia, ale rzadko go wkładał. Pewnie jest za ciepły i za ciężki, myślała.

W ostatniej szufladzie znalazła pół tuzina paczuszek owiniętych brązowym papierem i czerwoną satynową wstążką. Odczytała karteczki z imionami. *Dla ukochanej Sophie. Dla Duncana od Taty z wyrazami miłości… Dla Stuarta, kocham Cię, Tata.*

Usiadła na piętach, tuląc ze łzami w oczach swój prezent. Och, Hugh, co ci się stało? Wracaj do domu, potrzebuję cię! Błagam, błagam, wróć do mnie!

Weszła chwiejnym krokiem do kuchni i nastawiła czajnik, a następnie wsypała herbatę do imbryka. Miała chaos w głowie. Czy powinna zatelefonować na policję? Zgłosić, że jej mąż zaginął i być może spotkało go coś strasznego? W tej chwili nie czuła się na siłach, by podjąć jakąkolwiek decyzję. Nie potrafiła nawet postanowić, czy przekazać synom prezenty gwiazdkowe od ojca. Może Hugh by sobie tego nie życzył? Nie wiedziała.

Mogła się jednak domyślić pytań, jakie zadaliby policjanci, i odpowiedzi, jakich musiałaby na nie udzielić. Gdzie zatrzymywał się mąż podczas pobytów w Glasgow, pani Craxton. Nie wiem. Nigdy go o to nie pytałam. Z pewnością jednak pisywała pani do niego? Nie, zawsze do mnie telefonował. Proszę podać adres firmy męża. Nie znam go. Nigdy nie był mi do niczego potrzebny.

Napełniła dzbanek wrzątkiem i zamieszała napar. Wypiła kilka łyków herbaty, po czym wróciła do sypialni, gdzie ponownie przyklękła obok dolnej szuflady komody. Pośród zbieraniny przedmiotów znajdowały się pudełka z odznaczeniami wojskowymi Hugh, latarka, kilka starych fajek, srebrny kubek – pamiątka chrztu, a także zwoje drutu w papierowej torbie.

Pod torbą leżał nieduży notes kieszonkowy. Skórzana niebieska okładka miała przetarcia na rogach. Sophie przekartkowała stronice z numerami telefonów opatrzonymi inicjałami. Zmarszczyła brwi, usiłując je rozszyfrować. Żaden nic jej nie mówił. Dopóki nie przewróciła kolejnej kartki. Zobaczyła na niej numer opisany przez Hugh jako C & Sons.

Zawahała się. Był tylko jeden sposób, by zyskać pewność.

Nawiązała połączenie z centralą i poprosiła o wybranie numeru w Glasgow. Po kilku minutach na linii zatrzeszczało.

– Biuro Craxton and Sons, słucham? – rozbrzmiał w słuchawce kobiecy głos.

W Sophie wezbrała nadzieja.

– Czy mogłabym porozmawiać z panem Hugh Craxtonem? – zapytała.

– Bardzo mi przykro, proszę pani. Pan Craxton nie żyje.

Recepcjonistka musiała się przesłyszeć. Albo to ona źle ją zrozumiała z powodu silnego szkockiego akcentu.

– Pan Hugh Craxton – powtórzyła Sophie głośno i ze zniecierpliwieniem. – Proszę o rozmowę z panem Hugh Craxtonem.

– Bliscy pana Craxtona powiadomili nas, że zmarł na zapalenie płuc drugiego dnia świąt – odrzekła znudzonym tonem dziewczyna. – Jego sprawy przejęli panowie Ross i Paterson. Czy połączyć panią z którymś z nich?

– Nie, dziękuję – wydobyła z siebie zdławione słowa.

– Przepraszam, czy jest pani klientką pana Craxtona?

Jestem żoną Hugh – słowa te uwięzły jej w gardle z przerażenia na myśl, że to może być prawda, że nie doszło do żadnego nieporozumienia ani pomyłki.

– Córki pana Craxtona zajmują się organizacją pogrzebu – dodała sekretarka, nieco bardziej współczującym tonem. – Czy życzy sobie pani numer telefonu rezydencji państwa Craxtonów?

Córki? Jakie znowu córki? – chciała krzyknąć Sophie. Impuls wezbrał w niej, po czym opadł jak nieudany suflet i przerwała połączenie. Nogi się pod nią ugięły, usiadła na podłodze, drżała na całym ciele, miała mdłości i zawroty głowy. Zakryła usta pięścią.

„Bliscy pana Craxtona powiadomili nas, że zmarł na zapalenie płuc drugiego dnia świąt. Córki pana Craxtona zajmują się organizacją pogrzebu” – raz po raz rozbrzmiewały jej w głowie słowa pozbawione sensu.

Po długiej chwili zdołała wreszcie wstać i przejść do bawialni, gdzie nalała sobie trzęsącymi rękami brandy do szklanki, zachlapując blat alkoholem. Opadła na fotel i powoli sączyła trunek kojący nerwy.

Skupiła wzrok na widoku za oknem: na ulicznych lampach, jasnych śniegowych otoczkach na szczytach budynków i skrzynkach pocztowych. Wszystko było nienaturalnie wyraźne. Odgłosy dźwięczały i wibrowały, drażniąc nerwy.

„Córki pana Craxtona zajmują się organizacją pogrzebu”. Jeżeli Hugh naprawdę nie żyje –co jest przecież zupełnie niemożliwe, ale jeśli, niech Bóg ma ich wszystkich w swojej opiece, okazałoby się to jednak prawdą – to on przecież nie ma żadnych córek. Nie, to musi być jakaś makabryczna pomyłka. Sekretarka miała zapewne na myśli jakiegoś innego mężczyznę o tym samym nazwisku.

A jednak znalazła ten numer w notesie Hugh i rzeczywiście dodzwoniła się do firmy papierniczej. Poza tym nazwisko Craxton nie występuje aż tak często.

„Bliscy pana Craxtona powiadomili nas, że zmarł na zapalenie płuc w drugi dzień świąt”. Sophie ujrzała dwie znajome sylwetki na tle szarości za oknem. Duncan i Stuart wracali do domu. Schowała do barku butelkę i szklankę po brandy, wytarła zachlapaną szafkę. Opuszczając pokój, pochwyciła swoje odbicie w lustrze nad kominkiem; dostrzegła we własnych oczach szaleństwo. Przetarła twarz dłonią, jakby chciała je zetrzeć, zanim wyszła powitać synów.

Weszli do środka, przepychając się po przyjacielsku i kłócąc się donośnie, choć żartobliwie, z policzkami zaróżowionymi od mrozu. Znaczyli podłogę śladami błota.

– Czy tata wrócił już do domu? – zapytał Stuart.

Sophie pokręciła przecząco głową.

– Zamknij się, głupku – zdenerwował się Duncan.

– Myślałem, że może przyjechał.

– Przecież widzisz, że go nie ma, więc zamilcz.

Duncan poszedł na górę. Stuart porzucił buty na środku korytarza i ruszył do kuchni.

– Umieram z głodu – oznajmił.

– Przecież jedliście u Fosterów. – Zdziwiła się, jak spokojnie zabrzmiał jej głos, chociaż balansowała na skraju przepaści.

– Jakieś tam resztki. – Syn zajrzał do spiżarni i wziął sobie puszkę krakersów z najwyższej półki. Duncan odziedziczył po ojcu kasztanowe włosy i brązowe oczy, drugi z synów miał jasne włosy,

niebieskie oczy i łagodny charakter Sophie. Przepoczwarzał się właśnie z dziecka w mężczyznę, co obserwowała z ogromną czułością. Był wysoki, niezdarny i pryszczaty, ale wciąż po dziecięcemu czuły i spragniony aprobaty.

– Mamy jakiś ser? – spytał.

– Tylko do pułapek na myszy. Dostawca dziś nie przyjechał. – Nie mogła sobie przypomnieć, jaki jest dzień tygodnia. Poniedziałek, tak, poniedziałek, ustaliła wreszcie. Chłopak ze sklepu dowoził zakupy w poniedziałki. Wszystko było nie tak.

Stuart wysypał kilka krakersów na talerz, a potem rozpakował ser. Opowiadał o meczu piłki nożnej, który rozegrali z Duncanem i młodymi Fosterami w parku, na śniegu.

– Może jutro napada tyle, że będzie można ulepić bałwana? – Choć przewyższał matkę wzrostem o głowę, to nadal ekscytowała go perspektywa zabawy na śniegu.

Sophie krzyknęła w stronę schodów, czy Duncan chce herbaty. „Nie, dziękuję", odkrzyknął. Usiadła przy stole ze Stuartem, który przystąpił do układania świątecznych puzzli z obrazkiem pociągu przejeżdżającego przez most. Po chwili dołączył do nich Duncan, zajął się niebem, podczas gdy Sophie pomagała Stuartowi przy lokomotywie i wagonach. Właściwie niewiele mu pomogła. Była tak rozdygotana wewnętrznie i chora ze zmartwienia, że nawet nie próbowała.

– Martwisz się o tatę, mamo? – odezwał się znienacka Stuart.

– Jasne, że się martwi, patafianie – zrugał go Duncan. – Zaginął już tydzień temu.

„Zaginął", powtórzyła w myślach Sophie. Nie „wyjechał".

– Ale przecież niedługo chyba wróci? – rzekł Stuart.

Ścisnęła młodszego syna za rękę.

– Może napijesz się kakao?

– Ja zrobię – zaproponował Duncan i poszedł do kuchni.

Poczuła ulgę, kiedy godzinę później młodszy syn zaanonsował, ziewając, że idzie spać, po czym poszedł na górę. Sophie też wstała od stołu i powiedziała dobranoc Duncanowi, który lubił siedzieć do późna. Położyła się spać w ubraniu. Miała coraz bardziej dojmujące wrażenie, że to łóżko, dzielone do niedawna z Hugh, należy już tylko

do niej. Wgłębienie na jego poduszce zniknęło, wygładzone ręką pani Leonard, przewietrzony pokój przestał pachnieć cygarami.

Poznali się podczas wojny, na początku tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat i pracowała w szpitalu wojskowym założonym przez przyjaciela rodziny w jednym z domów w dzielnicy Knightsbridge. Do jej obowiązków należało ścielenie łóżek, zamiatanie podłóg, mycie basenów i tym podobne czynności. Hugh zaś odwiedzał kolegę rannego w bitwie pod Passchendaele. Po zakończeniu godzin odwiedzin odprowadziła kiedyś gościa do drzwi, a ten zaprosił ją na kolację. Zgodziła się od razu, bez wahania. Podczas jego dwutygodniowej przepustki chodzili do kina, teatru, spacerowali, trzymając się za ręce nad brzegiem Tamizy, i oglądali wystawy sklepowe na placu Piccadilly. Całowali się namiętnie na mroźnym powietrzu pod lampami gazowymi w parkowych alejkach.

Dzień przed zaplanowanym powrotem Hugh na linię frontu obejmowali się w cieniu mostu, w miejscu, gdzie szara rzeka uderzała o błotnisty brzeg. Rozpiął jeden guzik jej bluzki, potem drugi.

– Hugh – zaoponowała. – Nie wolno. – On jednak przystąpił do rozpinania trzeciego guzika. – Nie, Hugh – powtórzyła, odsuwając się od niego.

– Przepraszam, bardzo przepraszam – wymamrotał, po czym się uśmiechnął i dodał żałośnie: – Wszystko przez to, że jesteś tak cholernie piękna, Sophie. Pragnę cię straszliwie.

Ona pragnęła Hugh równie mocno, niemniej, jak każdą dziewczynę, przerażała ją perspektywa zajścia w nieślubną ciążę i związanego z tym wstydu. Wpajano jej od najmłodszych lat, że gdyby kiedykolwiek doszło do podobnego nieszczęścia, życie Sophie ległoby w gruzach. Niemoralne prowadzenie się oznaczało nieuchronną ruinę, degradację i wykluczenie ze społeczności.

Mimo to później, żegnając Hugh przed budynkiem szpitala, przywarła do niego z całych sił, żałując, że nie może cofnąć czasu. Nie chciała, żeby się na nią obraził albo uznał ją za podpuszczalską pannicę. Mogła go stracić, nigdy nie zaznawszy jego miłości. Ależ była pruderyjna i głupia.

Hugh powrócił na ogarnięty rzezią zachodni front. Pisywał do Sophie dwa razy w tygodniu; żyła jego listami i cierpiała katusze z niepokoju, kiedy się spóźniały. W kwietniu został odesłany z powrotem do Anglii, po tym, jak odniósł obrażenia w bitwie pod Picardy. Oświadczył się jej, pozostając jeszcze pod wpływem środków znieczulających. Wciąż miał grubo zabandażowaną rękę na temblaku, kiedy brali ślub dwa tygodnie później. Nigdy nie odzyskał pełnej sprawności, pisał jak leniwy uczeń szkoły podstawowej.

Kimże, na Boga żywego, były owe wspomniane przez sekretarkę córki? Czyżby mąż zdradzał Sophie? Poczuła pieczenie pod powiekami, a po policzkach spłynęły łzy. Uświadomiła sobie bowiem, że gdyby ktokolwiek chciał prowadzić podwójne życie, to zbudowałby je podobnie jak Hugh. Firma w Glasgow była doskonałym wytłumaczeniem częstych podróży i długich nieobecności w domu. Może znalazł sobie przed kilkoma laty kochankę w Szkocji, z którą spłodził nieślubne potomstwo? Ale to też nie pasowało. „Córki pana Craxtona zajmują się organizacją pogrzebu”. Aby zająć się organizacją pogrzebu, nieślubne córki musiałyby mieć przynajmniej szesnaście lat – czyli tyle samo, co Stuart. Sophie nie wyobrażała sobie, żeby mąż był w stanie zachować romans w tajemnicy przez tak długi czas. Ponadto kimkolwiek byłaby owa zdradziecka kochanka i jakkolwiek zdemoralizowany miałaby charakter, to z pewnością nie posunęłaby się do ukrywania przed zrozpaczoną wdową wiadomości o śmierci jej męża. Musiała nastąpić jakaś pomyłka. Jutro wszystko trzeba wyjaśnić.

Tymczasem wątpliwości wciąż się piętrzyły. Ile tak naprawdę wiedziała o mężu? Niewiele. Miał nieszczęśliwe dzieciństwo. Dorastał na ponurej, wilgotnej plebanii w hrabstwie Devon, skąd uciekł w wieku lat osiemnastu, by nigdy tam nie powrócić. Jego rodzice zmarli, zanim poznał Sophie, nie miał nikogo bliskiego. Jej matka jakoś nigdy nie pałała do niego sympatią.

– Takim przystojniaczkom nie należy ufać – oświadczyła pani Torrance, pociągając nosem po pierwszym spotkaniu z przyszłym zięciem.

Co jeszcze? Nie lubił tłoku, omijali więc kina i teatry, wakacje zaś spędzali w odludnych nadmorskich miejscowościach lub na wsi.

Rzadko jadali poza domem, a kiedy już gdzieś wychodzili, to zazwyczaj do kameralnych lokalnych przybytków. Hugh uwielbiał jej kuchnię i wolał domowe posiłki. Nade wszystko przedkładał towarzystwo swojej rodziny. Wieczory w męskim gronie czy w klubowym otoczeniu nie stanowiły dla niego atrakcji. Oprócz Malcolma Reida nie miał żadnych innych przyjaciół, o których by cokolwiek wiedziała. Koleżanki Sophie oraz ich sąsiedzi nudzili go, zazwyczaj więc sama chodziła do nich w odwiedziny. Nie było wzajemnych zaproszeń na kolacje. Hugh nigdy nie przedstawił jej żadnego kolegi z pracy.

– Męcząca zgraja – powiedział. – Nie będę cię narażał na kontakty z nimi, moja kochana. Może to samolubne, ale wolę cię mieć tylko dla siebie.

Był inteligentny, zabawny, pomysłowy i wspaniałomyślny. Potrafił zamienić zwykły szary dzień w pasjonującą przygodę. Cechowały go stoicyzm i odwaga, czego dowodziły trzy medale za trzy i pół roku służby wojskowej. Ale też łatwo się nudził, nie potrafił zbyt długo usiedzieć w miejscu. Prawie każdego wieczoru, niezależnie od pogody, wychodził na samotny spacer. Nie należał do żadnego Kościoła ani partii politycznej. Wyznał kiedyś Sophie, że przestał wierzyć w Boga podczas wojny. Miał mnóstwo uroku, był przyjaźnie nastawiony do świata, aczkolwiek czasami popadał w milczenie i zadumę. Niekiedy zamykał się w sobie.

Hugh był kochającym i namiętnym mężczyzną, który jednak oglądał się za innymi kobietami. Przyłapywała go niekiedy na ukradkowych spojrzeniach, gdy szli razem. Zawsze ją to bolało. Czy byłby zdolny do tak strasznego czynu? Czy to możliwe, że spłodził dwie córki, siostry przyrodnie Duncana i Stuarta, które ukrywał przez wiele lat? Absolutnie nie, podsumowała w myślach, wstając, by wyjąć szpilki z włosów. Taka zdrada była niewyobrażalna.

W końcu zasnęła. Obudziła się nazajutrz o szóstej rano w plątaninie pościeli i koców. W nocy nastąpiło ocieplenie; śnieg za oknem stopniał. Zmiana pogody podsyciła panującą w domu atmosferę napięcia i niezgody. Chłopcy wstali w kiepskich nastrojach, skorzy do kłótni, a Sophie bolała głowa. Niemniej jednak opracowała pewien plan. Po wyjściu Duncana i Stuarta skontaktowała się

z centralą telefoniczną i wyjaśniła, że potrzebuje numeru telefonu domu pogrzebowego w Glasgow. Poczuła nerwowy ucisk w dołku, kiedy siedziała na korytarzu ze słuchawką przy uchu. Zmarł jej bliski przyjaciel, powiedziała operatorce. Otrzymała wiadomość z informacją o jego śmierci, depesza nie zawierała jednak żadnych szczegółów i nie wiedziała, z kim się kontaktować w sprawie pogrzebu. Owszem, to bardzo przykra sytuacja. Jeżeli centrala byłaby tak uprzejma, by łączyć ją po kolei ze wszystkimi domami pogrzebowymi działającymi na terenie Glasgow, może w końcu trafiłaby na ten właściwy. Nie, niestety nie wiedziała, od jakiej dzielnicy należałoby zacząć. Z pewnością nie od tych najbiedniejszych, jeśli to stanowi jakąkolwiek wskazówkę.

Zabawne, rozmyślała po czasie, że koszt rozmowy zamiejscowej zawsze wzbudza lekki niepokój, nawet kiedy człowiek właśnie usiłuje ustalić, czy nie owdowiał. Ósmy zakład, do którego się dodzwoniła, reprezentowany przez niejakiego pana Peasgooda z firmy Peasgood i Price, potwierdził wieści przekazane poprzedniego dnia przez sekretarkę z Craxton Stationery. Sophie powtórzyła swoją zmyśloną historyjkę, przedstawiając się panieńskim nazwiskiem Torrance, by uniknąć ewentualnych niewygodnych pytań. Właściciel domu pogrzebowego potwierdził współczującym głosem, że owszem, Peasgood i Price asystuje córkom pana Hugh Craxtona, który zmarł drugiego dnia świąt, w zorganizowaniu jego pogrzebu. Tak, pan Hugh Craxton kierował firmą papierniczą Craxton i Synowie.

Nie mogła w to uwierzyć. Ogarnięta paniką musiała wziąć głęboki oddech, aby uspokoić rozedrgane nerwy, nim zadała panu Peasgoodowi kolejne pytanie: Czy mógłby podać pełne nazwisko pana Craxtona?

Szelest przerzucanych kartek, a po nim:

– Hugh James Dashwood Craxton, pani Torrance – wypowiedziane tym samym ciepłym, współczującym tonem.

Sophie wydusiła z siebie podziękowanie i odłożyła słuchawkę. Choć spodziewać by się mogła rozpaczy, to po tym, jak jej najgorsze obawy zostały potwierdzone ponad wszelką wątpliwość, zamiast niej poczuła niebywałą wściekłość. Przeszła do bawialni, wspięła się na krzesło i zerwała świąteczne łańcuchy podwieszone u sufitu,

a następnie zrzuciła jednym zamaszystym gestem wszystkie kartki świąteczne z kominkowego gzymsu.

Stała na środku pokoju, ciężko oddychając, otoczona oceanem kolorowego papieru, ptaszków i bałwanków.

Rozdział trzeci

Styczeń 1938

Karakułowy kołnierz czarnego płaszcza gryzł Theę w szyję; poprawiając go, musnęła szalik z bordowego kaszmiru, który należał do jej ojca; uwolnił się zapach jego wody po goleniu i tureckich cygar. Zaszlochała. Siedząca obok Rowan położyła jej rękę na ramieniu. Thea nie widziała wyraźnie pocieszającego uśmiechu ukrytego za czarną woalką, ale wiedziała, że tam był. Siostra miała na sobie pięknie skrojony czarny płaszcz, czarny kapelusz, czarne pończochy i buty. Jedyny jaskrawy akcent stanowiły włosy upięte w węzeł na karku.

Patrick też siedział obok Thei, po drugiej stronie. Jako najbliższa rodzina zajmowali pierwszą ławkę. Wolałaby zająć miejsce gdzieś na końcu, ale nie pozwolili jej na to. W kościele panował straszliwy ziąb. Z ławek za ich plecami dobiegał przytłumiony szmer rozmów. Widok trumny z ciałem ojca przed ołtarzem przywoływał myśli tak okropne, że dziewczyna mocno zagryzła dolną wargę. Nie chciała się tutaj rozpłakać. Było to, musiała przyznać, nieco pozbawione logiki, nie ma przecież lepszej okazji do płaczu niż pogrzeb własnego ojca, szczególnie jeśli już wcześniej straciło się matkę. Ale tutaj, wśród tylu obcych ludzi, czuła się jak na wystawie. Nienawidziła być w centrum uwagi. Podczas szkolnych ceremonii przyznawania nagród zawsze drżała ze strachu przed wejściem na podium po swój egzemplarz książki. Gdyby kiedykolwiek miała wyjść za mąż, wolałaby cichą ceremonię w Gretna Green, żeby nikt się na nią nie gapił.

Thea próbowała myśleć o czymkolwiek innym: o starożytnych zwyczajach pogrzebowych, Egipcie, metodach mumifikacji zwłok, przedmiotach zakopywanych wraz ze zmarłymi, magicznych zaklęciach kapłanów – czy porównywanie modłów pastora do zaklęć to bluźnierstwo? – albo o grobach królewskich w Ur, złożonych w nich ofiarach z ludzi, z niewolników i żon, wysłanych w ostatnią podróż wraz ze szlachetnie urodzonymi denatami. W monotonnym akompaniamencie organowej muzyki żałobnej rozmyślała dalej o grobowcach neolitycznych, kurhanach z Wiltshire i kopcach w Szkocji, gdzie złożono ciała zmarłych wraz z przedmiotami, które sobie cenili za życia: wypolerowanymi kamiennymi grotami strzał, sprzączkami z kości słoniowej, sznurami korali. Co położyłaby przy ojcu? Jego buty do pieszych wędrówek, pomyślała, lornetkę, paczkę tureckich cygar i butelkę whisky. Na pewno nie kaszmirowy szalik, z którym już nigdy nie zamierzała się rozstawać.

Szmer nieco przycichł, za chwilę rozpocznie się msza. Thea, która prawie nie spała poprzedniej nocy – w ogóle niewiele sypiała od dwóch i pół tygodnia, od choroby ojca, jego śmierci i wszystkiego tego, co nastąpiło potem – a poza tym obawiała się publicznego wybuchu żalu, przeszła w swych rozmyślaniach do mitologicznych psychopompów. Przeczytała o nich po raz pierwszy w wieku trzynastu lat. Przez długi czas było to jej ulubione słowo. Zadaniem psychopompa jest przeprowadzenie duszy zmarłego do pozagrobowego świata. Może nim być bóstwo, anioł, a nawet zwierzę. Kto wskaże tacie drogę do nieba? On nawet nie wierzył w jego istnienie – czy to znaczy, że nie może liczyć na niczyją pomoc? Łzy po raz kolejny zamgliły jej wzrok. Jaka istota powiedzie tatę przez Krainę Umarłych? Magiczny jeleń, pomyślała, przypominając sobie z bólem tamten piękny, rześki jesienny dzień, kiedy wędrowali razem po szkockich wyżynach. Przystanęli na jednym ze wzgórz, obserwując potyczkę dwóch jeleni. Stukot uderzających o siebie rogów niósł się w chłodnym powietrzu. Ojciec chłonął jak zaczarowany widok tych stworzeń. Dumnych, pięknych, silnych i odległych jak on sam.

W myśli Thei wdarł się głośny ryk organów, donośna kakofonia przeszła w melodię psalmu. Otarła łzy i wstała, by dołączyć do chóru

śpiewających.

Wkrótce było po wszystkim: skończyła się msza żałobna, pochówek na cmentarzu też dobiegł końca, a Thea odkryła, że rację mieli ci, którzy mówili jej wcześniej, że poczuje ulgę. Odeszli od grobowca w zacinającym wietrze, śnieg skrzypiał pod trzewikami.

Rowan dotknęła rękawa siostry.

– W porządku, skarbie?

Skinęła głową.

– A u ciebie?

– Chciałabym, żeby dzisiejszy dzień już się skończył. A na razie trzeba działać. Dasz radę podziękować sekretarkom i stenotypistkom? Ja wezmę na siebie kierowników.

Zespół Craxton i Synowie stawił się licznie na pogrzebie właściciela firmy, pracownicy stali w małych grupkach wokół nagrobka, rozmawiając między sobą przyciszonym głosem. Fabryka i biura były dziś nieczynne na znak szacunku dla zmarłego. Thea ściskała dłonie żeńskiej części zespołu odzianego w żałobną czerń i dziękowała wszystkim za przybycie. Mimo onieśmielenia posłusznie mamrotała uprzejme pytania, które Rowan kazała jej przećwiczyć dziś rano przy śniadaniu, ale czuła, że nie radzi sobie najlepiej.

Zauważyła kobietę stojącą samotnie nieopodal kruchty, obok nagrobka pokrytego szarymi i pomarańczowymi porostami; sprawiała wrażenie równie przytłoczonej jak Thea tym całym zamieszaniem. Podeszła do nieznajomej z dłonią wyciągniętą na powitanie.

– Dzień dobry, nazywam się Thea Craxton.

Kobieta utkwiła w niej badawcze spojrzenie szafirowych oczu, po czym podała rękę.

– Pani Torrance.

Pytanie numer jeden:

– Czy blisko współpracowała pani z moim tatą?

Przeczący gest.

– Nie byłam jego pracownicą, tylko… przyjaciółką.

Pani Torrance była mniej więcej tego samego wzrostu co Thea. Spod ronda kapelusza wymykały jej się kręcone kosmyki jasnych włosów. Thea, która sama miała włosy ciemne i proste, zawsze okropnie zazdrościła posiadaczkom naturalnych loków, że nie muszą się męczyć z wałkami i papilotami.

Przeszła do pytania numer dwa:

– Czy przyjechała pani z daleka?

– Z Londynu.

– Moja siostra mieszka w Londynie. W dzielnicy Chelsea. Pani także z tej części miasta?

– Nie, z South Kensington.

Pani Torrance wyglądała na zrozpaczoną. Dziewczynę ogarnęło współczucie dla niej.

– Nienawidzę pogrzebów, a pani?

Kobieta popatrzyła badawczo, wywołując w dziewczynie obawę, że powiedziała coś niewłaściwego. Thea zastanawiała się właśnie, jak ratować sytuację, kiedy pani Torrance zadała pytanie:

– Czy on… cierpiał?

– Nie, nie za bardzo – bąknęła. Skłamała, ponieważ nie mogła znieść wspomnień z ostatniego tygodnia życia ojca, a także dlatego, że tak nakazała jej mówić Rowan. „Wiem, że to nieprawda, Theo, ale wiele z tych osób pracowało z tatą od lat i nie ma powodu, aby dokładać im bólu”. Chociaż pani Torrance nie pracowała w firmie Craxton, to z pewnością należało zastosować wobec niej tę samą zasadę.

Kobieta skierowała wzrok na Rowan, która właśnie rozmawiała z panem Patersonem po drugiej stronie kościelnego dziedzińca.

– Czy to pani siostra? Ta z rudymi włosami?

– Tak, to Rowan. A jasnowłosy mężczyzna obok to jej mąż, Patrick.

Udręczone spojrzenie niebieskich oczu przeniosło się ponownie na Theę.

– Pani siostra jest mężatką?

– Tak.

– Ile ma lat?

– Prawie dwadzieścia cztery.

– Dwadzieścia cztery… – Pani Torrance wpatrywała się w swoją młodą rozmówczynię, wyraźnie czymś wstrząśnięta. – A pani?

– Szesnaście.

Nastąpiła chwila ciszy, po której starsza kobieta odezwała się niespodziewanie szorstko:

– A gdzie wasza matka?

– Nie żyje. Umarła, kiedy byłam mała.

– Przykro mi – mruknęła pani Torrance, spuszczając wreszcie oczy i potrząsając jasnymi lokami. – Proszę wybaczyć.

Uwagę Thei odwrócili państwo Macdonaldowie, ponadsześćdziesięcioletni sąsiedzi, którzy pragnęli ją przeprosić, że nie będą mogli uczestniczyć w stypie. Kiedy skończyła z nimi rozmawiać, pani Torrance, ku jej zdziwieniu, już nie było. Kątem oka dostrzegła drobną, szybko oddalającą się sylwetkę w czerni.

Musiałam palnąć jakąś gafę, pomyślała z rezygnacją, aczkolwiek kiedy przeanalizowała niedawną wymianę zdań, uznała swoje uwagi za niezręczne i niemądre, lecz raczej niesprawiające przykrości. Miała dość rozmów z nieznajomymi, ponadto jej uwagę przykuły rośliny na pobliskim nagrobku, złota skorupa porostów: *Caloplaca flavescens*, rozpoznała, zmrużywszy oczy.

Rowan zakończyła grzecznie rozmowę z panem Patersonem, który piastował stanowisko dyrektora w fabryce ojca. Na pobocze podjechały czarne limuzyny; ona, Patrick i osoby w podeszłym wieku mieli się nimi udać na miejsce stypy. Jako że hotel był oddalony od cmentarza tylko o niecały kilometr, pozostali żałobnicy szli pieszo.

Patrick nadal konwersował z sekretarką ojca, panną Naylor. Rowan musiała mu oddać sprawiedliwość, doskonale spisywał się w trudnych sytuacjach. Wszystkiego dopilnował, bardzo jej pomógł przy całej upiornej organizacji pogrzebu, a przy tym zapewniał ciepło i wsparcie. Pod pewnymi względami jest chodzącym ideałem, pomyślała z ukłuciem żalu i poczuła się okropnie, że go zdradza.

Nie mogła się doczekać, aż ten dzień dobiegnie końca, by mogła powrócić do Londynu. Myślenie o Simonie w dniu pogrzebu ojca było

niedopuszczalną wręcz niegodziwością, za którą potępiała się z całego serca. Nie miała żadnej wiadomości od Pembertona, odkąd pożegnali się w jego mieszkaniu po przyjęciu u Manninghamów. Obawiała się, że potraktuje jej nieobecność w miejscach, w których zazwyczaj bywała, jako znak, że go unika.

Czyjś głos wypowiadający jej imię wyrwał Rowan z zamyślenia. Odwróciwszy się, ujrzała dystyngowanego mężczyznę po pięćdziesiątce.

– Pan Ross – pozdrowiła głównego księgowego firmy Craxton i Synowie. – Bardzo panu dziękuję za przybycie.

Pan Ross zdjął kapelusz i uścisnął rękę Rowan.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, pani Scott, ale czy moglibyśmy zamienić parę słów na osobności w dogodnej dla pani chwili?

– Jutro? – zaproponowała. – Może po południu?

– To niestety pilne. Chodzi o firmę. Naprawdę muszę z panią porozmawiać jeszcze dzisiaj.

– Och. – Miała przed sobą nieznośnie długi i pełen przykrych obowiązków dzień, mimo to zdobyła się na uśmiech i odparła: – Wobec tego dziś po południu. Czy piąta panu odpowiada?

– Dziękuję, pani Scott.

Rowan rozejrzała się w poszukiwaniu siostry. O czymże, na Boga, ten człowiek chciał z nią rozmawiać i dlaczego tak na to nalegał? Nie miała przecież pojęcia o prowadzeniu interesów. Tata nie opowiadał zbyt wiele o swojej pracy, a poza tym, uczciwie mówiąc, nigdy nie była w stanie wykrzesać z siebie najmniejszego zainteresowania kopertami i kartami wizytowymi. Dostrzegła Theę, która przykucnęła w śniegu, studiując jakiś nagrobek, i podeszła do niej.

Sophie wracała pociągiem do Londynu. Kiedy ta dziewczyna zapytała ją, czy mieszka w Chelsea, przez chwilę miała ochotę odpowiedzieć: Nie, mieszkamy z Hugh w South Kensington. Może powinnam była, pomyślała mściwie. Mogła też, kiedy opuszczali

trumnę z ciałem Hugh, przepchnąć się przez tłum żałobników, krzycząc: To był mój mąż!

Nie uczyniła żadnej z tych rzeczy po części z wrodzonej delikatności i niechęci do teatralnych gestów, po części zaś dlatego, że uświadomiła sobie, iż nigdy nie była żoną Hugh. Oderwała i włożyła do ust kawałek ciasta, które kupiła na dworcu w Glasgow. Od kilku dni prawie nic nie jadła i nagle opanował ją wilczy głód.

Obserwowała przez okno pociągu rzędy fabryk i kamienic czynszowych z dachami polukrowanymi śniegiem, po raz kolejny robiąc obliczenia w pamięci. Miała trudności z dodawaniem i odejmowaniem, gdy umysł odmawiał posłuszeństwa pod wpływem szoku, wyczerpania i rozpaczy, niemniej musiała sobie to wszystko jakoś poukładać. Pan Paterson, który wygłosił mowę pogrzebową, rozpoczął ją od wymienienia najistotniejszych wydarzeń z życia Hugh. Ożenił się z Sigrid w roku tysiąc dziewięćset dwunastym, czyli sześć lat przed poznaniem Sophie. Sześć lat! Pierwsza córka, Rowan, przyszła na świat dwa lata później – w tym miejscu zatroskane spojrzenia zgromadzonych spoczęły na pierwszej ławce. Następnie pan Paterson wspomniał o bohaterskich zasługach Hugh Craxtona dla kraju podczas wielkiej wojny, a potem przeszedł do narodzin młodszej córki, Thei, w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku. Wynikało z tego, że pomiędzy narodzinami dwóch synów, których miał z Sophie, spłodził jeszcze jedno dziecko, dziewczynkę. Thea miała dziś szesnaście lat.

W tym momencie pożegnała się z resztkami złudnej nadziei, że był rozwodnikiem lub wdowcem, kiedy pobierali się w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, lecz po prostu z jakiegoś powodu jej o tym nie powiedział. Nieubłagana, chłodna matematyka potwierdzała to, co Sophie w głębi serca podejrzewała od rozmowy z Theą Craxton: to *z nią* Hugh popełnił bigamię, to jej dzieci były nieślubne.

Wszystko to było zbyt przytłaczające i okropne, wprost nie do ogarnięcia umysłem. Hugh miał dwie dorosłe córki. Oświadczając się Sophie, był już żonaty z inną kobietą. Ich związek nigdy nie był legalny, okłamał ją, okłamywał przez dwadzieścia lat. Nie wiedziała, jakim cudem zdołała wsiąść do właściwego pociągu.

Pan Paterson kontynuował swą monotonną przemowę, wbijając kolejne gwoździe w serce Sophie. Mówił o tragicznej śmierci ukochanej żony Sigrid, po której pogrążony w żalu Hugh dzielnie stawił czoło wyzwaniom samotnego rodzicielstwa. Hugh Craxton był człowiekiem o wielkiej pogodzie ducha, mówił dalej pan Paterson i podsumował wystąpienie frazesami o tym, jak to zmarły bohatersko pokonywał zmienne koleje losu. Kochał szkocką wieś oraz inne szkockie dobro narodowe: szlachetną whisky. Cóż, chociaż to jedno się zgadza, pomyślała ze złością Sophie, podczas gdy zebrani parsknęli śmiechem. Coraz bardziej się bała, że zwymiotuje. Podrażniony żołądek przynajmniej przejściowo odwracał uwagę od przerażającego odkrycia, że mężczyzna, którego uważała za najbliższą osobę, okazał się zupełnie obcym człowiekiem.

Zjadła resztę ciasta, wsparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. Dzień wcześniej przyjechała z Londynu do Glasgow, powiedziawszy synom, że wyjeżdża do Kornwalii w odwiedziny do chorej przyjaciółki z dawnych lat. Duncan nie uwierzył w tę historyjkę, ale nic nie powiedział.

Po długiej podróży zameldowała się w małym pensjonacie nieopodal kościoła, w którym zaplanowano uroczystości pogrzebowe. Noc spędziła bezsennie w lodowatej sypialni bez kominka, trawiona strachem. Rano poszła do okazałego gmachu kościoła z czerwonego piaskowca. Czekała na przystanku po przeciwnej stronie ulicy, obserwując gromadzących się żałobników. Niektórzy przyjechali automobilami, inni autokarami, jeszcze inni przyszli pieszo. Do ostatniej chwili stała na dworze, niepewna, czy chce wziąć udział w mszy żałobnej, lecz decyzję pomógł jej podjąć siarczysty mróz (prawie straciła czucie w nogach). Zajęła miejsce w jednej z ostatnich ławek. Jakimś cudem udawało jej się wstawać i klękać we właściwych momentach.

Teraz jednak była doszczętnie wyzuta z sił, zmęczona, obolała i stęskniona za domem. Znajdowała w tym wszystkim tylko jedno gorzkie pocieszenie: brzytwa, której się rozpaczliwie chwytała przez minione dwa i pół tygodnia, wreszcie zniknęła bezpowrotnie. Chociaż zdrada Hugh była trudna do pojęcia, to przynajmniej mogła sobie oszczędzić wysiłku szukania jakichkolwiek usprawiedliwień.

Kiedy myślała o tym, co uczynił, ilekroć upiorna rzeczywistość powracała do niej po jakiejś krótkiej przerwie, na nowo czuła cały ból i rozpacz. Hugh okłamywał ją bezwzględnie i metodycznie przez ostatnie dwadzieścia lat. Oszukiwał również ich wspólne dzieci i za to nienawidziła go bodaj najbardziej.

Te dziewczyny i ich matka przypuszczalnie także nie znały prawdy, lecz Sophie nie uważała tego za swoje zmartwienie. Ponownie zamknęła oczy i powrócił do niej obraz córek Hugh. Młodsza z nich, Thea, była drobna, ciemnowłosa i ciemnooka, starsza natomiast, rudowłosa Rowan, wysoka, pełna gracji i uderzająco piękna. Obie nosiły się bardzo elegancko. Sophie, która interesowała się modą, zwróciła uwagę, że kreacje panien Craxton były nowsze i lepszej jakości od jej ubrań. Być może pierwsza rodzina Hugh żyła na wyższym poziomie.

Za to także go nienawidziła, nie ze względu na siebie (wpojono jej oszczędność), lecz na synów. Mogłabym zburzyć twoje wygodne życie, Rowan Craxton czy jak się teraz nazywasz, pomyślała z mściwą satysfakcją. Wystarczyłoby kilka moich słów, żeby zetrzeć ten uprzejmy uśmieszek z twojej łagodnej twarzy. Po chwili zapomniała o złości, gdyż ogarnął ją lęk. Przypomniała sobie bowiem słowa Thei, że Rowan mieszka z mężem w Chelsea, czyli w bliskim sąsiedztwie South Kensington. Jej chłopcy i córki Hugh są niemal sąsiadami. W każdej chwili mogą wpaść na siebie na ulicy. Ta myśl ją przeraziła.

Tymczasem krajobraz za oknem przesłoniła chmura białego dymu, zza którego po jakimś czasie wyłoniły się strome wzgórza i cieniste doliny połyskujące bielą śniegu w nadchodzącym zmierzchu. Nie wiedziała, jaką odpowiedź pragnęłaby usłyszeć, kiedy zadawała Thei pytanie, czy Hugh cierpiał przed śmiercią. Powinien się smażyć w piekle za swoje kłamstwa i zdradę, po której ona już chyba nigdy nie dojdzie do siebie. Ogarnęło ją poczucie daremności tego wszystkiego. Nie ma takiej rzeczy, która wynagrodziłaby jej krzywdę.

Musiała wydać z siebie głośny jęk, ponieważ siedzący naprzeciw dystyngowany czterdziestolatek w szarym wełnianym płaszczu odezwał się do niej:

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale właśnie wybieram się do wagonu restauracyjnego. Czy przynieść coś dla pani? Może brandy?

Wybąkała uprzejmą odmowę. Mężczyzna opuścił przedział. Kobieta w brzydkim zielonym kapeluszu, zajmująca miejsce obok Sophie, wpatrywała się w nią uporczywie. Spuściła wzrok dopiero pod jej pytającym spojrzeniem. Czyżbym wyglądała na kogoś, kto przyjmuje alkohol od obcych mężczyzn w pociągu, zastanowiła się. Wcale by się nie zdziwiła. Ostatecznie z dnia na dzień została kimś tego pokroju. Była kochanką. Ladacznicą. Istniały jeszcze gorsze określenia na to, kim była, czyli na kobietę mieszkającą blisko dwadzieścia lat z mężczyzną bez ślubu.

Jakim cudem Hugh zdołał utrzymać wszystko w tajemnicy? Jak to możliwe, że podwójne życie nie doprowadziło go na skraj rozpaczy i wyczerpania? Być może tak właśnie się czuł. Albo wręcz przeciwnie, dobrze się bawił, pomyślała ze złością. Czy wstydził się skrywanych sekretów, czy też sprawiały mu potajemną radość? To nawet całkiem do niego podobne: czerpać satysfakcję z poczucia kontroli i pokonania systemu. Nienawidził wszelkich autorytetów i gardził społecznymi konwenansami. Niewykluczone, że podwójne życie dawało mu poczucie bycia bardziej interesującym od innych mężczyzn. Zawsze się szczycił swoją inteligencją. Być może Sophie była dla niego jedynie lekarstwem na nudę i dręczący niepokój.

Potępiała w myślach samą siebie. Jak mogła niczego nie zauważyć? Czy wybrał ją właśnie dlatego, że była taka głupia i ślepo w niego zapatrzona? Teraz, patrząc wstecz, przypomniała sobie pewne sygnały ostrzegawcze: dyktowane kaprysem nagłe zmiany planów, do których miał skłonność i które niekiedy wyprowadzały ją z równowagi. Pewnego razu zarezerwował stolik w restauracji z okazji jej urodzin, ale kiedy weszli do środka, rzucił tylko okiem na salę, po czym stwierdził, że miejsce mu nie odpowiada, i wyszli bez słowa wyjaśnienia. Zdarzyło się też, że pociągnął ją bez ostrzeżenia w innym kierunku podczas przechadzki po bulwarze w Torquay, gdzie spędzali letnie wakacje, a później nalegał na niezwłoczny powrót do Londynu.

Wspominała ważne wydarzenia, na których Hugh po prostu się nie pojawił: szkolne dni sportu, rozdania nagród i Dni Założyciela.

Przyszedł spóźniony na pogrzeb jej matki. Wówczas uznała to za celowe zaniechanie; Hugh nigdy nie lubił teściowej. Sophie mieszkała z nim jakby na wyspie, odcięta od reszty świata. To on nalegał na taki styl życia, ale ona mu go umożliwiła.

Obezwładniła ją nowa fala gniewu: dlaczego rozmyśla o Hugh, dlaczego myśli o tym nic niewartym łajdaku? Nie powinna tracić na niego ani sekundy więcej. Liczyli się tylko synowie. Musi znaleźć jakiś sposób, aby ich ochronić. Mają teraz tylko ją. Drżała przed wyjawieniem Duncanowi i Stuartowi prawdy o ich ojcu, każdy obrót kół pociągu przybliżający ją do Londynu wzmagał niepokój. Hugh zrobił coś potwornego, co sprawiłoby chłopcom nieznośny ból. Lepiej, by wierzyli, że ją zostawił albo zapadł się pod ziemię. Lepiej niech wierzą w cokolwiek, byle tylko nie poznali prawdy.

Jeśli jednak nie powie im o jego śmierci, mogą go poszukiwać do końca swoich dni. Przynajmniej Stuart. Duncan, tak czy inaczej, żywił do ojca pretensje. Co będzie mniej okrutne, rozważała: powiedzieć im, że ojciec okłamywał ich przez całe życie, a teraz nigdy go już nie zobaczą, czy pozostawić im całkowicie złudną nadzieję? Czy nie byłaby wówczas równie przewrotna jak Hugh?

Dojedzie do domu dopiero około dziewiątej wieczorem. Uznała, że zmęczenie po podróży będzie o tej porze zrozumiałe i prawdziwe. Postanowiła zatem pójść prosto do łóżka i przełożyć wszelkie rozmowy na następny dzień.

Nie. Zanim pociąg zwolnił na stacji w Carlisle, podjęła ostateczną decyzję: cokolwiek się stanie, zawsze będzie szczera ze swoimi dziećmi. Dość już tych kłamstw. Prawda będzie bolesna niezależnie od tego, kiedy wyjdzie na jaw.

Rozległ się przeciągły gwizd i trzaskanie drzwi. Powie im o wszystkim, nie bacząc na własny ból, delikatnie i z wyczuciem. Od tej chwili jej synowie będą słyszeć wyłącznie prawdę.

Nawet dom wygląda obco, pomyślała Thea, wchodząc do bawialni. Wszystko było nie takie, jakie powinno. W powietrzu na parterze unosił się mdlący zapach lilii, a pokojówka Jessie, rozpalając ogień,

chodziła na palcach od kominka do kominka, zamiast jak zwykle robić przy tym mnóstwo hałasu. Przezroczyste rolety na trzech dużych oknach były spuszczone w ciągu dnia, a zielone zasłony częściowo zasłonięte. Jessie uznała za stosowne zapalić tylko kilka lamp, przypuszczalnie ponure oświetlenie wydało jej się adekwatne do okoliczności. Cienie zasnuwały fortepian, kremowy sekretarzyk, jasnozielone fotele z podwiniętymi podłokietnikami i zaokrąglonymi oparciami, sprowadzone ze Szwecji, z domu rodzinnego mamy.

Późnym popołudniem zawitał do nich pan Ross, główny księgowy z firmy ojca. Przyjęły go właśnie tutaj, w bawialni. Nim krótka rozmowa dobiegła końca, Thea wiedziała, że nic już nigdy nie będzie takie samo.

Pan Ross powiadomił je o braku wystarczających funduszy na koncie Craxton i Synowie, aby wypłacić pensje pracownikom. Firma od lat zmagała się z problemami finansowymi, była bliska bankructwa już na początku dekady, w dobie wielkiego kryzysu. Od tego czasu coraz bardziej się pogrążała, wyjaśniał księgowy. Otrzymywali cios za ciosem z zawrotną szybkością. Hugh Craxton podtrzymał firmę kredytem, którego zabezpieczenie stanowił dom – ten dom. Pan Ross ostrzegał go przed tym posunięciem. Tłumaczył, że ratowanie podupadającej firmy zaciąganiem kolejnej hipoteki na rodzinny dom nie jest rozsądne, jednak pan Craxton się uparł.

– Kolejnej hipoteki? – zdziwił się Patrick.

– Owszem – odparł księgowy. Z tego, co wiedział, dom był już wcześniej obciążony kredytem.

Po jego wyjściu Rowan zatelefonowała do rodzinnego prawnika, pana Macready'ego, który potwierdził słowa pana Rossa z obojętną uprzejmością. Co więcej, poinformował je ze swej strony, że osobiste konto pana Craxtona również zostało opróżnione. Raty obu kredytów nie były spłacane od jakiegoś czasu. Rodzina będzie zmuszona wystawić dom na sprzedaż, aczkolwiek pieniądze uzyskane w ten sposób najprawdopodobniej nie pokryją całości zadłużenia.

Thea nie miała o niczym pojęcia. Ta firma, ten dom były tak nierozerwalnie związane z jej życiem, że do tej pory, choć minęło już kilka godzin, zadawała sobie pytanie, czy przypadkiem nie zaszła jakaś pomyłka. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, że od lat żyli

w niepewności jutra, że ich pozornie stabilna egzystencja została zbudowana na piasku.

Do pokoju weszła Rowan. Przebrała się z ubrań, które miała na sobie podczas pogrzebu, w szarą spódnicę i bluzkę w szkocki wzór żakardowy. Rzuciła się na sofę obok siostry.

– Boże, co za dzień – powiedziała Thea.

– Tak.

– Więc jesteśmy zrujnowane.

– Trochę melodramatyczne stwierdzenie, ale owszem, na to wygląda.

– Czy tata kiedykolwiek o tym wspominał?

– Ani słowem.

– Pewnie nie chciał nas martwić. Biedny tata.

Thea odwiedziła kiedyś fabrykę, bardzo dawno temu, jako mała dziewczynka. Zapamiętała zapach papieru, naoliwioną maszynerię i wizytówki, które zrobił dla niej jeden z pracowników, z pozłacanymi karbowanymi brzegami. Ojciec nawet nie próbował oszczędzać. Musiał wiedzieć o złej sytuacji finansowej, a jednak niezmiennie prowadzili wystawne życie.

Zapytała Rowan, gdzie jest Patrick.

– Musi pojechać jutro do Londynu w związku z pracą. Pojawiła się nowa sprawa: jakaś kobieta zabiła męża żelazkiem i wrzuciła ciało do komórki na węgiel. – Siostra ziewnęła. – Przejrzał szybko biurko taty i znalazł rachunki za twoje czesne na kolejny semestr. Dzięki Bogu masz przynajmniej opłaconą szkołę.

Pożyczonymi pieniędzmi, pomyślała Thea. Nie potrafiła wyobrazić sobie powrotu do szkoły w północnym Yorkshire; czuła, że z niej wyrosła, że zbyt wiele się wydarzyło, by mogła jak gdyby nigdy nic powrócić do lekcji i zabaw na boisku.

– Po zakończeniu roku szkolnego zamieszkasz z nami. Nasz dom jest twoim domem i będzie tak, jak długo zechcesz. Wiesz o tym, prawda? – Rowan uciszyła jej podziękowania. – To nigdy nie podlegało żadnej dyskusji, Theo.

Wspaniałomyślność siostry sprawiła, że dziewczyna znów była bliska łez, lecz miała już dość płaczu.

– Czy tata wspominał ci kiedykolwiek o niejakiej pani Torrance?

– Nie przypominam sobie. Dlaczego pytasz?

– Była na pogrzebie. Rozmawiałam z nią na dziedzińcu przed kościołem. Jest drobnej budowy, mniej więcej mojego wzrostu, ma jasne kręcone włosy i niebieskie oczy. Bardzo ładna kobieta.

Rowan pokręciła głową.

– Chyba jej nie znam. Pracowała u taty?

– Nie. Przedstawiła się jako jego przyjaciółka. – Thea powróciła pamięcią do krótkiej wymiany zdań pomiędzy nimi; niektóre z pytań tej kobiety wydały jej się nieco osobliwe. Po cóż jej była informacja, ile mają lat, ona i Rowan? Dlaczego wypytywała o ich matkę? Skoro znała tatę na tyle dobrze, by jechać na jego pogrzeb aż z Londynu, to powinna chyba od niego wiedzieć o utonięciu mamy?

– Wyglądała na bardzo poruszoną. A potem szybko się oddaliła. Mam nadzieję, że jej czymś nie uraziłam. Zastanawiam się…

Jessie zapukała do drzwi, po czym zajrzała do nich i zaproponowała herbatę i kanapki.

– Ja dziękuję – odpowiedziała Rowan. – A ty, Theo?

– Też dziękuję.

– Chyba zacznę krzyczeć, jeśli ktoś poda mi kolejną kanapkę z mielonką i kubek letniej herbaty – mruknęła Rowan po wyjściu pokojówki. – Nad czym się zastanawiasz?

– Czy pani Torrance nie była przypadkiem kochanką taty. – Thea odważnie wyraziła swe podejrzenie. – Może poznali się w Londynie i umawiali się na schadzki albo coś w tym rodzaju.

– A nawet jeśli, to co z tego? Zasłużył na odrobinę szczęścia.

Obronny ton Rowan zniechęcił Theę do drążenia tematu. Popatrzyła na portret mamy, który wisiał nad kominkiem. Sigrid Craxton dorastała w chłodnym, ascetycznym krajobrazie Szwecji, nieopodal lasu i jeziora. Na obrazie została przedstawiona w białej koszulowej bluzce i kremowej spódnicy. Platynowe włosy opadają swobodnie do pasa, w niebieskich oczach można dostrzec cień buntu. Promienie słońca prześwitujące przez korony wysokich drzew utworzyły światłocienie, przez które postać matki wygląda, jakby wtapiała się w krajobraz, jak gdyby już wtedy zaczynała powoli znikać.

Sigrid zginęła w wyniku wypadku na żaglówce, kiedy Thea miała sześć lat. Ona też była wtedy o włos od utonięcia. Uratowała ją trzynastoletnia Rowan; holowała siostrę blisko kilometr od miejsca katastrofy u skalistych wybrzeży wyspy Corran na brzeg. Fakt, że Thea dosłownie zawdzięczała siostrze życie, stworzył między nimi nierozerwalną więź na zawsze. Były sobie jeszcze bliższe niż większość kochającego się rodzeństwa. Mimo wszystko Thea wiedziała, że pewnych tematów nie należy poruszać, rozmawiając z Rowan. Na przykład nigdy nie wspominała ciepło ich matki. W ogóle rzadko o niej mówiła. Milczała głucho, gdy młodsza siostra usiłowała porozmawiać z nią o Sigrid. Dziewczyna zastanawiała się, czy te dwie silne osobowości nie miały ze sobą jakiegoś konfliktu.

Chociaż Thea kochała ojca równie mocno jak Rowan, to jednocześnie zdawała sobie sprawę z jego słabości. Lubił flirtować z ładnymi kobietami. Jedne z wakacji na południu Francji zdominowała pewna ciemnowłosa nadąsana istota, która pochłonęła dużą część jego uwagi. Pozostawiona sama sobie Thea wędrowała po piaszczystych iglastych lasach, wypatrując białorzytek i drozdów paszkotów. Przypomniała sobie także pobyt w hotelu w Balmoral, podczas którego Hugh spędzał miło czas w towarzystwie niejakiej pani Vale. Zajęta zwiedzaniem historycznych ruin wśród pobliskich wzgórz, Thea nie miała nic przeciwko temu, chociaż nieco martwiła ją myśl, że tata może zechcieć poślubić tę kobietę, która stanowczo zbyt mocno malowała usta. Na szczęście do tego nie doszło.

Postanowiła zmienić temat.

– Nie udało mi się też znaleźć adresu Malcolma Reida.

– Czyjego adresu?

– No wiesz, tego przyjaciela taty. – Rowan wciąż patrzyła na nią z niezrozumieniem, więc dodała: – Miał z nim spędzić święta, pamiętasz? Często razem polowali i łowili ryby w górach. – A ponieważ nie mogła znaleźć adresu pana Reida wśród rzeczy ojca, nie miała możliwości zawiadomienia go o śmierci przyjaciela. Będzie musiała poszukać raz jeszcze. Na pewno została jakaś korespondencja, numer telefonu, cokolwiek. Przypomniała sobie, jak bardzo się cieszył na ten wyjazd, i zagryzła dolną wargę.

– Miałaś upiorne święta, skarbie – zauważyła łagodnie Rowan.

– Ty także.

– Cóż, przynajmniej uniknęłam wizyty u teściów – odparła z wisielczym humorem. – Zawsze to jakieś pocieszenie. – Rozejrzała się po pokoju. – O rety, chyba czeka nas pakowanie.

Wszystkie ukochane przedmioty miały pójść pod młotek. Dom Rowan i Patricka był zbyt mały, by pomieścić meble i pamiątki Craxtonów. Serce dziewczyny po raz kolejny ścisnęło się z żalu. To będzie jak rozstanie ze starymi przyjaciółmi.

Weź się w garść, nakazała sobie surowo w duchu. Głupio płakać za meblami.

– Uporządkuję papiery ojca – zaproponowała.

– Na pewno chcesz?

– Wiem, jak bardzo ty tego nie znosisz, a ja i tak część już przejrzałam, szukając adresów.

– To prawda, ale musisz mi zostawić coś do roboty – zakomunikowała stanowczo Rowan. – Nie zostawię cię samej z tą okropną korespondencją.

Thea zaczęła się zastanawiać, skąd pani Torrance wiedziała o śmierci Hugh Craxtona. Być może od kogoś z londyńskiego biura firmy. Czy na pogrzebie był ktoś z filii w Londynie? Nie wiedziała.

Do bawialni zajrzał Patrick.

– Przynieść wam coś, dziewczęta? Sherry, herbatę… cokolwiek?

Podziękowały.

– Rowan, zostawię ci trochę pieniędzy przed jutrzejszym wyjazdem, żebyś mogła zapłacić Jessie i pani Williams.

Pani Williams przychodziła codziennie, żeby umyć podłogi i wyczyścić kominki.

– Niestety chyba najlepiej będzie od razu dać wypowiedzenie pani Williams, ale warto by było zatrzymać Jessie do czasu sfinalizowania sprzedaży. Obie wyglądacie na wykończone. Może pójdziecie się położyć? – Dotknął ramienia żony, która wzdrygnęła się lekko i nieznacznie odsunęła.

Thea wstała, pocałowała oboje na dobranoc, po czym poszła na górę, do swojej sypialni. Po chwili leżała po ciemku i sumiennie liczyła owce, ale sen nie nadchodził. Powstrzymywał go natłok myśli. Po południu runęło jej wieloletnie marzenie o studiowaniu historii,

rozwiało się niczym popiół na wietrze. Mogła zapomnieć o uniwersytecie.

Nie wypadało jej się jednak użalać nad sobą. Patrick wypłaci pensje Jessie i pani Williams, ale nie zdoła zapewnić odprawy każdemu z pracowników firmy. Cały personel Craxton i Synowie zostanie wkrótce bez pracy i wynagrodzenia za ostatni tydzień.

Dwa kredyty hipoteczne, konto osobiste świecące pustkami i rodzinna firma na skraju upadłości. Co jeszcze ukrywał Hugh Craxton?

Powróciła myślami do ostatniego spaceru z ojcem w Yorkshire Dales w połowie semestru zimowego. Wspominała szum deszczu i brązowych liści spadających z drzew na wietrze. Chlupotanie błota, kiedy schodzili w kaloszach ścieżką w dół zbocza ku wiejskiej zagrodzie, na herbatę. Gdy się bardzo, bardzo mocno skoncentrowała, poczuła nawet ciężar jego ramienia na swoich barkach. Na pewno już wtedy wiedział, że firma nie przetrwa i straci wszystko. Czy zachowanie pozorów optymizmu w obliczu katastrofy można nazwać swoistym bohaterstwem, czy też należy je uznać za przejaw głupoty? – zastanawiała się. Czy ojciec oszukiwał także samego siebie?

Rowan siedziała przed toaletką w swojej dziecięcej sypialni, nakładając zimny krem na twarz i zastanawiając się, czy Thea miała rację. Czy ojciec rzeczywiście miał w Londynie kochankę?

Odepchnęła tę myśl. To nie była ich sprawa. Z dołu dobiegł odgłos zamykanych drzwi, a po chwili zaszurały kroki na schodach. Pospiesznie rozsmarowała krem. Położyła się do łóżka, zgasiła nocną lampkę i zamknęła oczy, zanim do pokoju wszedł Patrick.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Sophie.

– Na dwór – odparł Duncan, nim trzasnął drzwiami.

Odszukała Stuarta, pałaszującego w kuchni zimny bekon.

– Czy Duncan powiedział ci, dokąd idzie?

Chłopiec pokręcił głową. Sophie wyjrzała przez okno na szary mokry poranek. Jeszcze się na dobre nie rozwidniło. Zrobiło jej się przykro na myśl o biednym Duncanie błądzącym bez celu po zimnych londyńskich ulicach.

– Złości się z powodu taty – rzekł Stuart.

– Wiem, kochany.

Duncan wyszedł z domu bez śniadania. Wściekły na Hugh, ale także na matkę. Sophie nie powiedziała o tym Stuartowi, który mógłby nie zrozumieć uczuć brata. Zdawała sobie sprawę, że musi bardzo uważać, aby nie poróżnić jeszcze bardziej ich małej rodziny. Poza tym ona sama doskonale rozumiała, dlaczego Duncan obwinia i ją, dlaczego ma jej za złe, że bezmyślnie zaufała mężowi i tak długo pozwalała mu ich okłamywać.

– A co, jeśli już nie wróci? – wyrwało jej się z płaczem.

Stuart popatrzył na matkę.

– Wróci. Jak zgłodnieje.

– Może przecież uciec! Nie wiem, zaokrętować się na jakimś statku…

– Nie zrobi tego. Duncan nie lubi statków. Woli samoloty. Mam pozmywać naczynia?

– Dziękuję, synku. Nie trzeba.

– Ale ja chcę. – Wrzucił do zlewu sztućce, szklanki i miski. – Mamo – odezwał się po chwili – a czy ty jesteś pewna tego wszystkiego, co powiedziałaś o tacie? To nie jest jakaś pomyłka?

– Tak, jestem pewna. – Położyła mu dłoń na ramieniu w geście pocieszenia. – Chciałabym, żeby to było jakieś nieporozumienie, ale niestety to prawda.

Nie odpowiedział. Z kranu leciała woda. Chłopcy zareagowali tak, jak można się było tego spodziewać, kiedy po powrocie z Glasgow wczorajszego wieczoru przekazała im wiadomość o śmierci ojca. Stuart płakał, Duncan zaś był nieufny. Dlaczego nie uczestniczyli w pogrzebie? Dlaczego tata został pochowany w Glasgow, a nie w Londynie? Czemu dowiadują się dopiero teraz, skoro umarł w drugi dzień świąt? Czy Sophie wiedziała wcześniej, tylko nic im nie powiedziała?

Odpowiedzi na te pytania obnażyły całą prawdę. O drugiej rodzinie Hugh, jego dwóch córkach – przyrodnich siostrach Duncana i Stuarta – a wreszcie, na litość boską, o nieważności ich małżeństwa. Wszystko wyszło na jaw. O Jezu, szepnął Duncan, kiedy skończyła mówić. A potem poszedł na górę, do swojego pokoju, i zatrzasnął za sobą drzwi. Sophie zapukała do niego później, ale nie odpowiedział.

Stuart zmywał jak typowy nastoletni chłopiec, ochlapując naczynia wodą i przecierając je parę razy zmywakiem. Sophie usuwała zaschnięte plamy podczas wycierania.

– Mamo, czy to mogło się zdarzyć niechcący? – zapytał nagle Stuart.

– Masz na myśli nasz ślub?

– Tak.

– Trudno w to uwierzyć – stwierdziła, po czym dodała łagodniej, widząc, że chłopiec po raz kolejny wstrzymuje płacz: – Chyba rozumiem, co masz na myśli. Mógł działać pod wpływem chwili, bez zastanowienia, dać się ponieść emocjom. Tak, to jest możliwe. Pobraliśmy się podczas wojny, kiedy mnóstwo ludzi brało ślub w pośpiechu. Być może myślał, że nie dożyje końca wojny. Albo nie był szczęśliwy w pierwszym małżeństwie i uznał, że zasługuje na więcej po tym wszystkim, przez co przeszedł na froncie. Owszem, jestem sobie w stanie wyobrazić, że mógł tak rozumować.

– Tęsknisz za nim, mamo? – Popatrzył na nią błagalnie.

Sophie wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekiwał. Chciał, żeby przebaczyła ojcu.

Obiecała sobie jednak, że nie będzie okłamywać synów.

– W tej chwili… nie. Za bardzo jestem na niego zła.

I za bardzo zraniona. Chwilami, bardzo często, nienawidziła go wręcz i cieszyła się, że nie żyje. Mało tego, miała nadzieję, że wbrew zapewnieniom Thei Craxton cierpiał przed śmiercią.

– Mnie go brakuje, mamo.

– Oczywiście. – Objęła go. – Był twoim tatą.

Kiedy została sama w domu, spaliła w kuchni listy od Hugh. Miłosne wyznania, które przesyłał z wojska na cienkim urzędowym papierze, i te z podróży służbowych napisane na niebieskiej papeterii. Pocztówki i kartki urodzinowe przechowywane z czułością przez lata, urocze karteczki, które dostawała od niego codziennie w czasach, gdy pracowała w szpitalu. Wrzucała wszystko do pieca, patrząc na jego słowa czerniejące i kurczące się w płomieniach. Ani jedno nie było prawdziwe.

Rozdział czwarty

Kwiecień–czerwiec 1938

Thea leżała na brzuchu na swoim łóżku w gościnnej sypialni Scottów i czytała *Podróż na okręcie „Beagle”*, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Rowan zajrzała do środka.

Dziewczyna powróciła myślami z wysp Galapagos i popatrzyła na siostrę.

– Śliczna sukienka – pochwaliła. Spódnica wieczorowej sukni miękko układała się na biodrach i spływała ku ziemi w czerwonych fałdach. – Nowa?

– Dosyć – odparła nieco wymijająco Rowan. – Strasznie cię przepraszam, ale czy nie wyświadczyłabyś mi pewnej przysługi?

– Każdą.

– Mogłabyś zanieść list jednemu z moich przyjaciół?

– Teraz?

– Obawiam się, że to dość pilna sprawa.

Thea zerknęła na kopertę, którą podała jej Rowan. *Szanowny Pan S. Pemberton… Charles Street.*

– Simon to stary przyjaciel – wyjaśniła pospiesznie starsza siostra. – Rozmiłowany w antykach. Pomyślałam, że mógłby go zainteresować karciany stolik papy, który wzięłam za francuski, ale, jak się okazało, popełniłam błąd. Miałam zamiar z nim pomówić dziś wieczorem u Charlburych, zapomniałam jednak, że jesteśmy już umówieni na kolację ze Stanleyami, nie będę więc miała okazji go spotkać.

– Przecież możesz zatelefonować.

– Simon nie ma telefonu – odparła Rowan z przelotną irytacją. – Mówi, że są męczące i denerwująco nowoczesne.

– Ale za to jakże użyteczne. Oczywiście, że mu przekażę. Spacer zresztą dobrze mi zrobi. – Thea nałożyła butelkowozielony szkolny płaszczyk i schowała kopertę do kieszeni.

– Dziękuję, jesteś kochana. – Rowan uściskała młodszą siostrę i wręczyła jej dziesięcioszylingowy banknot. – Koniecznie weź taksówkę.

– Nie trzeba. Przejdę się.

– Nie o tej porze, po ciemku, w deszczu i samotnie. Nalegam. – Rowan zmarszczyła czoło i dodała: – Nie wspominaj o tym Patrickowi, dobrze? Będzie ze mnie niezadowolony, bo zapomniałam o tej przeklętej kolacji.

– Nic mu nie powiem.

– Theo, kapelusz.

Dziewczyna rozejrzała się po pokoju, szukając czarnego filcowego nakrycia głowy, ale nigdzie go nie było. Nałożyła kaptur płaszcza przeciwdeszczowego, uśmiechnęła się do siostry i wyszła.

Nie miała najmniejszego zamiaru zatrzymywać taksówki. Siąpiła tylko lekka mżawka, a ona potrzebowała rozprostować nogi. W ogrodach, które mijała, kwitły jabłonie i grusze, bujnie ukwiecone gałęzie wystawały ponad ceglane mury i drewniane płoty. Thea przystanęła przed magnolią, podziwiając jej ostentacyjne biało-różowe lśniące kwiaty. Schowała ręce do kieszeni i poszła dalej, w kierunku Sloane Square, wdychając upajający zapach krzewu, którego nazwy nie znała – sprawdzi to później.

Mieszkała na Mallord Street u Rowan i Patricka od dwóch tygodni. Nie każdy szwagier przyjąłby pod swój dach ubogą przybłędę, dlatego kochała Patricka za jego dobre serce i wspaniałomyślność. Londyn był ogromnym, trudnym i onieśmielającym miastem, pełną zgiełku rozległą przestrzenią zabudowaną poczerniałymi od smogu gmachami, pałacami, teatrami, kinami, fabrykami, hangarami i biurami. Thea z przyjemnością się go uczyła i oswajała się z jego ogromem. Chciałaby kiedyś poruszać się po nim z taką samą instynktowną łatwością jak te dziewczyny w jej wieku, ubrane w szykowne płaszcze, w małych, przechylonych na bok kapelusikach

z piórkami, ładnie umalowane, idealnie zsynchronizowane z nieprzerwanym rytmem gwarnego miasta.

Przebiegła między samochodami na drugą stronę Sloane Square. Asfalt i betonowe chodniki połyskiwały srebrzyście od deszczu, nowy budynek domu towarowego Petera Jonesa majaczył we mgle kropel i sieci rusztowań. Ulice przecinały mokre samochody z twarzami w oknach – kobieta o włosach w takim samym wyblakłym odcieniu jak kołnierz płaszcza Thei, mężczyzna o zaciętym spojrzeniu z papierosem w ustach, w białym szaliku. Mokra podwójna strona gazety porzucona na chodniku trzepotała najnowszymi doniesieniami z Sudetów i Czechosłowacji.

Thea mijała wysokie, okazałe gmachy, zeszła z drogi kilku hałaśliwym dżentelmenom we frakach, po czym prawie wpadła na przycupniętą w bramie staruszkę o owrzodzonej twarzy i dłoniach. Poszukała drobnych w kieszeniach i wrzuciła kilka pensów do blaszanego kubka. Z naprzeciwka nadchodziła, trzymając się pod ręce, para w podeszłym wieku, dzieląca się parasolem.

Na Piccadilly panował tłok i zacinał deszcz. Plac był kłębowiskiem kolorowych świateł i zapachów: mokrych chodników, wody toaletowej Shalimar i stęchłych ubrań jednonogiego weterana wojennego żebrzącego o jałmużnę. Thea podziwiała sukienki i kapelusze na wystawach sklepowych, zaglądała do salonów z samochodami, w których lśniły bentleye i wolseleye. Z taksówek wysiadały pary i biegły w deszczu do teatrów i restauracji; z kina wyszła grupka roześmianych, rozgadanych dziewcząt. Poprawiały szaliki i skakały przez kałuże.

Thea skręciła w Half Moon Street, muskając schowaną w kieszeni kopertę. Okna okazałych budynków rozświetlały lampy. Obszczekał ją pies siedzący na schodach, ale kiedy cmoknęła na niego przyjaźnie, ucichł.

Dotarła do czteropiętrowego gmachu zamieszkiwanego przez pana Pembertona. Na widok staroświeckiego przepychu przez chwilę żałowała, że nie znalazła kapelusza. Bez przekonania przeczesała dłonią mokre włosy, nim zadzwoniła do drzwi. Otworzył jej portier. Thea wyjaśniła cel wizyty, została wpuszczona do środka i pokierowana na górę pięknymi schodami.

Drzwi mieszkania pana Pembertona otworzył niski żylasty mężczyzna w ciemnej marynarce i pasiastych spodniach.

– Pan Pemberton? – zapytała.

– Jestem sługą pana Pembertona, droga pani. W czym mogę pomóc?

Thea podała mu list.

– To do pana Pembertona.

– Czy to ty, Rowan? – Z głębi mieszkania dobiegł zniecierpliwiony męski głos. – Spóźniłaś się całe pół godziny.

– Nie, proszę pana – zawołała w odpowiedzi. – Jestem siostrą Rowan. Nazywam się Thea Craxton.

Pan Pemberton okazał się wysokim i niezwykle przystojnym mężczyzną.

– A więc jesteście siostrami. – Obrzucił ją taksującym spojrzeniem. – Nie jest pani do niej podobna.

– Wszyscy tak mówią. – Podała mu list. – Rowan poprosiła mnie, żebym go panu przekazała.

Podziękował i uderzył kopertą o dłoń, ale jej nie otworzył.

– Zapewne jakieś wymówki.

– Powiedziała, że stolik do gier karcianych jednak nie pochodzi z Francji. Miała zamiar o tym z panem pomówić podczas bankietu, ale przypomniała sobie w ostatniej chwili o innym zobowiązaniu. Przypuszczam, że szczegóły zawarła w liście.

– Czyżby? Rowan raczej rzadko odczuwa potrzebę tłumaczenia się z czegokolwiek. – Pan Pemberton zmarszczył czoło. – Stolik? Ach tak. Ten stolik. Dość mocno pani zmokła. Zapraszam do środka.

– Bardzo to uprzejme z pana strony, lecz…

Pan Pemberton przerwał grzeczną odmowę Thei w połowie zdania:

– Proszę oddać płaszcz Leachowi. Wysuszy go dla pani.

Dziewczyna posłusznie podała okrycie służącemu.

– Musi pani wypić ze mną koktajl. – Rzucił jej kolejne badawcze spojrzenie. – Zakładam, że jest pani w wieku, w którym można już pić alkohol?

– Tak, mam dziewiętnaście lat.

Miała siedemnaście, ale była w Londynie i wreszcie mogła naprawdę zacząć żyć.

Hol z obrazami olejnymi, posągami i marmurowymi stolikami sugerował przepych wewnątrz innych pomieszczeń. Ogromna bawialnia z wysokim sufitem, do której ją poprowadził, nie rozczarowywała. Ceglastozłote zasłony spływały obfitymi kaskadami po obu stronach trzech wysokich okien z widokiem na ulicę. Trzy duże sofy o kremowozłotych obiciach otaczały marmurowy kominek. Pod ścianami pokoju rozstawiono smukłe eleganckie fotele, kanapy, stoliki oraz nieduże dekoracyjne kredensy. Całą tę wspaniałość i bogactwo łagodziły nieco książki i żurnale rozrzucone na ławie na środku pomieszczenia.

– Cóż za śliczne wnętrze – zakrzyknęła z zachwytem.

– Cieszy mnie pani aprobata. Rowan twierdzi, że jest za bardzo zagracone i staromodne. Proszę usiąść.

Thea zajęła miejsce na sofie, ostrożnie odsuwając ubłocone buty od kremowego obicia.

– Rowan preferuje nowoczesność – stwierdziła.

– Ach, oto i Leach z naszymi drinkami. Przyrządza najlepszy różowy dżin w mieście – rzekł, po czym dodał: – Wystrój wnętrz to jeden z wielu tematów, w których nie możemy się z Rowan zgodzić.

Dziewczyna właśnie usiłowała dojść do siebie po wypiciu zbyt dużego łyka gorzkiego trunku. Była spragniona po przechadzce.

– Rowan bardzo pana przeprasza – zapewniła. Wprawdzie nic takiego nie powiedziała, niemniej jednak Thea uznała, że dobre wychowanie nakazuje przeprosić.

– Hm. Jesteście sobie bliskie?

– Bardzo.

– Ja też mam siostrę, ale niespecjalnie się lubimy. Czy wybaczyłaby pani siostrze każde przewinienie?

– Tak, chyba tak – odrzekła zdumiona tym pytaniem.

– Widocznie ma pani wyrozumiałą naturę. To przydatne, kiedy się ma taką siostrę jak Rowan.

– Co pan ma na myśli?

– Trudno ją uznać za osobę, na której można polegać, nieprawdaż?

– Owszem, zawsze mogę na nią liczyć w ważnych sprawach – odparła pełna urazy. – Uratowała mi życie, kiedy byłam dzieckiem. Ocaliła mnie przed utonięciem.

– Naprawdę? To godne podziwu. Jestem w stanie wyobrazić sobie Rowan pokonującą fale z dzieckiem w ramionach. Ma ten rodzaj fizycznej odwagi, zauważyłem. – Uczynił przepraszający gest. – Proszę wybaczyć, jeśli panią uraziłem. Obawiam się, że mam dziś paskudny nastrój. – Otworzył złotą cygarnicę i wyciągnął w kierunku gościa. Thea wzięła papierosa, Simon podał jej ogień, po czym przypalił własnego i zatrzasnął wieko. – Jak się pani podoba w Londynie?

– Bardzo mi się podoba, dziękuję. Jest niezwykle ekscytujący. – Papieros smakował okropnie, choć inaczej niż dżin. – Szukam pracy – dodała.

– Cóż za fascynujący pomysł. Ma pani sprecyzowane oczekiwania?

– Najlepsza byłaby biurowa. Daje szansę na lepsze zarobki niż praca ekspedientki czy kelnerki. – Zaniepokoiła się, że uzna ją za wulgarną. Nie powinna wspominać o pieniądzach. Simon Pemberton nie musiał się nimi przejmować.

– To jest szczyt pani ambicji – praca w biurze?

– Nie, chciałam studiować historię na uniwersytecie, ale po śmierci taty okazało się, że nie mogę.

– A więc jest pani molem książkowym? – Określenie zabrzmiało w jego ustach pogardliwie.

– Można tak powiedzieć.

Machnął ręką.

– Ja sam jestem kompletnie pozbawiony jakichkolwiek ambicji.

Nie była pewna, czy oczekuje gratulacji, czy może współczucia, postanowiła się zatem ratować zdawkowym pytaniem.

– Od dawna przyjaźni się pan z moją siostrą, panie Pemberton?

– Simon. Proszę mi mówić po imieniu. Od dość niedawna. Choć znałem ją wcześniej z widzenia. Trudno nie zwrócić na nią uwagi. – Popatrzył na Theę i znów zmarszczył czoło.

Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zostawiła śladów błota na dywanie. A może ma brudną twarz? Ale on powiedział:

– Masz przepiękne oczy, dużo ładniejsze niż Rowan. – Parsknął śmiechem, widząc, że się zaczerwieniła. – Biedna Thea. Zawstydziłem cię. Usłyszysz to jeszcze od niejednego mężczyzny. Powiedz, który okres historyczny najbardziej cię zajmuje?

Rozmawiali o starożytnym Egipcie. Simon pokazał jej kolekcję talizmanów w kształcie skarabeuszy. Wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana. Po jakimś czasie wyczuła jego znudzenie, wstała więc, mówiąc, że na nią już pora. Kamerdyner Leach podał jej magicznie osuszony, rozkosznie ciepły płaszcz – wyprasowany, zauważyła.

Z ulgą pożegnała Simona Pembertona oraz jego luksusowe mieszkanie. Kiedy wracała przez Piccadilly, deszcz powoli ustawał. Uwaga o pięknych oczach Thei była głupia i nieprawdziwa. Prawdopodobnie obliczona na wytrącenie jej z równowagi. Drażnienie innych zapewne poprawiało mu humor. Pomijając rozmowę o historii Egiptu, nie powiedział nic, co sprawiałoby wrażenie szczerego. Każde słowo było albo kpiną, albo prowokacją. Najbardziej rozzłościła ją krytyka Rowan. Trudno ją nazwać osobą, na której można polegać? Cóż za bezczelność!

Z zażenowaniem łączyła fakty. Dom przy Mallord Street miał cienkie ściany; wieczorami słyszała podniesione głosy dobiegające z sypialni Rowan i Patricka, głównie głos siostry i niezadowolone pomruki jej męża. Obserwowanie ich związku z bliska było krępujące. Zdawali się drażnić siebie nawzajem, żadne nie spełniało oczekiwań drugiego.

Przez większość czasu żyli obok siebie. Rowan wychodziła wieczorami, otulona jak chmurą etolą z białych lisów, które zarzucała na odkryte ramiona. Zabierała ze sobą małą haftowaną torebkę zawierającą portmonetkę, chustkę do nosa, szminkę i puder. Patrick po powrocie z kancelarii zjadał samotnie kolację pozostawioną w piekarniku przez kucharkę Gwen, następnie pracował przy stole w jadalni. Nie miał domowego gabinetu, a w sypialni brakowało miejsca na wstawienie biurka. Rowan wracała do domu późno, z przekrzywioną etolą i grupką hałaśliwych znajomych, którzy zostawali do wczesnych godzin porannych. Zdarzało się, że ktoś zasypiał na kanapie i zostawał otulony kocami, na wpół przytomny, co z pewnością przeszkadzało Patrickowi, gdy rano szykował się do pracy.

W weekendy dom w Chelsea zawsze był otwarty dla gości. Rowan zapraszała przyjaciół na kolacje lub po prostu wpadali tuzinami,

a Patrick przyrządzał dla nich koktajle. Oboje byli doskonałymi gospodarzami: ona błyszczała i zabawiała towarzystwo, podczas gdy jej mąż roztaczał swój skromny urok i pilnował, by nikt nie czuł się pominięty. Goście zawsze mogli liczyć na dobry trunek i ciekawą rozmowę.

Simon Pemberton nie tylko nadmiernie krytykował Rowan; sprawiał też wrażenie zaborczego. Historyjka o karcianym stoliku była ewidentnie zmyślona. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby udawać co innego. Thea nabrała okropnych podejrzeń, że jej siostra zakochała się w tym człowieku. Najprawdopodobniej zaimponował jej obyciem i atrakcyjną powierzchownością.

Weszła do domu na Mallord Street, który był pogrążony w ciemności. Przyrządziła sobie kakao i zabrała kubek do sypialni. Jedną ze ścian zajmował regał zawierający dokumenty ojca: jego korespondencję, notatniki z adresami i dzienniki zabrane z domu w Glasgow, który został sprzedany na spłatę długów. Firma również została rozwiązana, najpierw jednak wyszło na jaw jeszcze kilka nieprzyjemnych niespodzianek. Otóż nigdy nie istniało żadne biuro w Londynie. Kiedy Thea spytała o nie pana Rossa, otrzymała odpowiedź, że wszystkie transakcje przeprowadzano na terenie Glasgow lub za pośrednictwem przedstawicieli handlowych podróżujących po całym kraju.

– Ależ przecież papa tak często bywał w londyńskim biurze – powiedziała wtedy zdumiona.

– Owszem, Hugh często podróżował do Londynu. – Uciekające spojrzenie księgowego wyrażało współczucie, a może nawet litość. – Najprawdopodobniej nie miało to jednakże nic wspólnego z interesami firmy. Obawiam się, że pani ojciec nigdy nie miał do niej serca. Odziedziczył rodzinny biznes tylko dlatego, że jego starszy brat, Ralph, zginął na wojnie. Nie sądzę, aby jego zajęcia w Londynie miały jakikolwiek związek z pracą.

A więc to tak. W okresie szkolnych wakacji, kiedy Thea z nim mieszkała, ojciec co najmniej dwa razy w miesiącu odwiedzał biuro w Londynie, które – jak się okazuje – było całkowicie fikcyjne. Patrick podsunął im kilka możliwych wyjaśnień: „Mógł wynajmować sobie tam gabinet, korzystać z biurka w klubie albo z biblioteki”.

Thea jednak nie znalazła żadnych dowodów na płatności za wynajem ani członkostwo w klubie. Za bibliotekami zaś nigdy nie przepadał.

Przysiadła na łóżku, wpatrzona w brązowe teczki z dokumentami. Przez kilka miesięcy od śmierci Hugh zdążyła już przejrzeć każdy skrawek papieru. Mimo to nie natrafiła na żaden ślad Malcolma Reida, towarzysza górskich wypraw ojca. Żadnego adresu, numeru telefonu czy wpisu w dzienniku. Nikt się z nimi nie kontaktował, żeby zapytać, czemu Hugh Craxton nie zjawił się w umówionym miejscu. Wieloletni przyjaciel ojca nie napisał, by zapytać o jego zdrowie. Thea zadbała, aby cała korespondencja przychodząca pod stary adres w Glasgow była przekierowywana do Londynu, a jednak – cisza. Narastało w niej podejrzenie, cichy wewnętrzny głos podpowiadał, że Malcolm Reid nie istniał tak samo jak londyńskie biuro.

Dlaczego? Po co to robił? Po co mu było nieistniejące biuro i wymyślony przyjaciel? Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to to, że wyjazdy służbowe do Londynu i górskie eskapady stanowiły wygodne wymówki, aby ukryć… Aby coś ukryć. Powróciło wspomnienie pani Torrance, stojącej niczym drobny czarny posąg obok ośnieżonego nagrobka. Wybrała się na pocztę w South Kensington, żeby przejrzeć rejestr telefoniczny, ale nie znalazła żadnej pani ani pana Torrance. Nazwisko nie należało do najpopularniejszych. Oczywiście istniało pewne prawdopodobieństwo, że kobieta nie miała telefonu.

Przerzucając stronice *Podróży na okręcie „Beagle”* w poszukiwaniu miejsca, w którym przerwała czytanie, uświadomiła sobie nagle, że nic nie wie o tygodniach, miesiącach, latach życia własnego ojca. Jakby dopiero przeczytawszy książkę, odkryła brakujące rozdziały.

Thea znalazła pierwszą pracę jako asystentka wróżbity i jasnowidza o pseudonimie Monsieur Pierre. Do zakresu jej obowiązków należało odbieranie telefonu oraz odpowiadanie na listy. Pensja była skromna: dwadzieścia jeden szylingów na tydzień.

– Asystentki Monsieur Pierre'a nie zagrzewają długo miejsca na tym stanowisku – ostrzegła ją panna Forrester z biura zatrudnienia, spoglądając sceptycznie. – Moja ostatnia klientka wytrzymała miesiąc. Proszę rozważyć pracę w sklepie. Trudno o dobre posady dla dziewcząt bez kwalifikacji. – Panna Forrester nawiązywała do faktu, że Thea nie przeszła rekomendowanego kursu stenografii i szybkiego pisania na maszynie u Pitmana.

Oparła się zaleceniom panny Forrester, ponieważ zależało jej na jak najszybszym podjęciu pracy. Potrzebowała własnych pieniędzy, aby wydostać się z obecnego położenia. Została bowiem posłanniczką Rowan, pośredniczką pomiędzy nią a Simonem Pembertonem. Przy czym oboje nadal utrzymywali, że są wyłącznie przyjaciółmi. Prostolinijność Thei ułatwiała im, jak sądziła, podtrzymywanie pozorów. Jednocześnie była głęboko nieszczęśliwa z powodu wstydu, jaki odczuwała, oszukując Patricka, który otworzył przed nią swój dom, a także z racji wyrzutów sumienia, że pomaga Rowan kontynuować związek, którego prawdopodobnie kiedyś pożałuje. Niemniej nie potrafiła niczego odmówić starszej siostrze. Zawsze pomagały sobie nawzajem.

Thea pielęgnowała nadzieję, że jeśli będzie milczeć, Rowan prędzej czy później odzyska zdrowy rozsądek albo relacja z Simonem wygaśnie samoistnie. Jednakże żaden z tych scenariuszy jeszcze się nie spełnił i jedyną szansą, jaką dla siebie widziała na wyplątanie się z udziału w niszczeniu związku Rowan i Patricka, była wyprowadzka. Musiała znaleźć własne mieszkanie. Nie mogła zostać u nich na zawsze; od początku miała zamiar się usamodzielnić, a żeby to było możliwe, potrzebowała oszczędności.

Niestety Monsieur Pierre i jego żona lubowali się w głośnych awanturach; Thea zrezygnowała z pracy po tym, jak wróżbita został uderzony w głowę maselniczką, którą wściekle cisnęła w małżonka jego druga połowa. Powróciła do agencji.

Panna Forrester znalazła dla niej posadę kelnerki w herbaciarni Pod Rudym Kotem w Earl's Court. Lokal mieścił się w ponurej ciasnej suterenie, za to pensja wynosiła aż dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo plus napiwki. W te dni, kiedy pracowała tylko parę godzin, jeździła koleją podziemną na Russell Square i zwiedzała

British Museum. Spędzała mnóstwo czasu pośród zbiorów z Ur, oglądała przeszklone gabloty zawierające niezgrabne terakotowe sito o drobnych oczkach, Królewską Grę i srebrną lirę. Czytała, że Leonard Woolley wydobył grę po tym, jak przykrył planszę i pionki nawoskowanym płótnem, a także skonstruował woskową pieczęć dla scalenia tego, co pozostało z liry. Eksponaty miały dla niej magiczne znaczenie, ponieważ były pamiątkami po dawno zapomnianych ludziach i miejscach, do których niegdyś przynależeli. Niekiedy odnosiła wrażenie, że gdyby tylko wystarczająco mocno się skoncentrowała, zdołałaby uchylić mglistej kurtyny oddzielającej ją od prehistorycznego świata i odbyć podróż w czasie.

Właścicielka Rudego Kota, pani Woolfit, sześćdziesięciokilkuletnia wdowa, własnoręcznie piekła przygnębiające babeczki i twarde jak kamień ciasta serwowane w kawiarni. Klientela była głównie żeńska – przeważały kobiety w średnim wieku w znoszonych trzewikach ze skóry, kardiganach z pocerowanymi mankietami i grubych pomarszczonych pończochach w brunatnym kolorze. Przesiadywały godzinami przy dzbanku herbaty i skamieniałym cieście. Thea otrzymała polecenie egzekwowania zakazu czytania powieści i pisania kartek z pozdrowieniami.

– Inaczej spędzałyby tu cały dzień, kochaniutka – tłumaczyła z westchnieniem pani Woolfit. – I jak byśmy na tym wyszły?

W tej właśnie kawiarni Thea poznała Peggy Garland. Peggy studiowała historię sztuki w Slade i regularnie przychodziła na śniadania, na które zamawiała kawę oraz jajko na twardo. Była wysoka, szczupła, gadatliwa i nosiła tuniki w zieloną kratę ze spodniami z granatowej bawełny, które sama szyła. Brązowe oczy spoglądały przyjaźnie spod prostej grzywki w kolorze ciemny blond. Mieszkała w suterenie pensjonatu w Bloomsbury, jak powiedziała Thei, i miała chłopaka imieniem Gerald, który był podróżnikiem.

Szybko zostały przyjaciółkami i Peggy zaprosiła ją na organizowane przez siebie przyjęcie. Przystojny ciemnowłosy Hiszpan, któremu odstrzelono stopę w bitwie pod Guadalajarą, przygrywał na gitarze. Wszyscy tańczyli i popijali piwo. Donośny śmiech Peggy od czasu do czasu zagłuszał muzykę.

Pewnego dnia Thea przyszła rano do pracy i zastała na drzwiach kartkę z odręcznym napisem: „Zamknięte do odwołania”. Panna Forrester wszczęła poszukiwania, lecz pani Woolfit jakby zapadła się pod ziemię, nie wypłaciwszy Thei tygodniówki. Była też winna pieniądze agencji pośrednictwa pracy.

– To niełądnie z jej strony. Bardzo, bardzo niełądnie – biadoliła panna Forrester, pociągając nosem, ponieważ była przeziębiona. – A już myślałam, że znaleźliśmy dla pani stałe zatrudnienie, panno Craxton. Obawiam się, że w tej chwili nie mamy zbyt wielu ofert. – Przesunęła palcem w dół listy. – Pomoc dentystyczna, opiekunka starszej pani, staż w gazecie – to niestety nie dla pani, trzeba umieć stenografować. Dostawca żywności, na pewno wolą chłopaka. Agent ubezpieczeniowy.

– Dlaczego wolą chłopaka?

Panna Forrester poprawiła okulary w rogowej oprawie, spoglądając na Theę.

– Jazda na rowerze. W każdą pogodę. Noszenie ciężkich worków mąki i pudeł z zakupami.

– Mogłabym to robić. – Na zewnątrz świeciło słońce. Perspektywa pedałowania po ulicach miasta wydawała się wręcz zachwycająca. – Jestem doskonałą cyklistką.

– Jeśli pani naprawdę chce… – Kobieta próbowała zachęcająco się uśmiechnąć, choć jej oczy wciąż wyrażały powątpiewanie. – Czemu by nie spróbować, prawda?

Sophie nie rozpoznawała już mężczyzny, którego pokochała i poślubiła, ojca swoich synów, towarzysza życia przez blisko dwadzieścia lat. Bóg raczył wiedzieć, w czym jeszcze ją okłamywał. Może miał więcej niż dwie żony; cały batalion żon rozproszony po całym kraju.

Życie w ciągłej gotowości na kolejny cios pozbawiało ją sił. Równie wyczerpujące było nieustanne powracanie myślami do córek Hugh. Torturowała się wyobrażeniami męża z tą drugą rodziną w Glasgow i nie potrafiła przestać. Zastanawiała się obsesyjnie, czy wolał życie

w Szkocji od życia w Londynie; czy bardziej kochał córki niż synów – jeżeli w ogóle kogokolwiek kochał. Godzinami snuła domysły, w jaki sposób radził sobie z praktycznymi trudnościami podwójnego życia. Czym tłumaczył częste nieobecności? Jak usprawiedliwiał nieobecność w Glasgow w czasie Bożego Narodzenia? Jak to możliwe, że nie mylił urodzin, szkolnych wydarzeń sportowych i żonglował wszystkimi nagłymi wypadkami, których przysparzają dzieci? Jakim cudem nigdy się niczym nie zdradził?

Domyślała się. Wymyślał spotkania służbowe, kolegów, z którymi trzeba natychmiast porozmawiać. Pękała mu opona na Great North Road. Śnieżyca nie pozwalała wyjechać z Shap. Pewnego dnia, podczas robienia ciasta, uświadomiła sobie, że wieczorne spacery wcale nie wynikały z wewnętrznej potrzeby pozostawania w ruchu, jak to sobie do tej pory tłumaczyła. Wychodził, żeby zatelefonować do córek z budki telefonicznej. Okazywał niezadowolenie, kiedy wchodziła do jego gabinetu, ponieważ to właśnie tam pisywał listy do Rowan i Thei.

Pakowała do pudeł książki Hugh, które zamierzała sprzedać w antykwariacie, kiedy przyszła jej do głowy myśl, że musiał posłać córki do szkoły z internatem. To dało mu wolność podróżowania do Londynu podczas roku szkolnego. Klęczała na podłodze, wrzucając ze złością do kartonów kolekcję dreszczowców, i zastanawiała się, czy Hugh preferował ten gatunek powieści, ponieważ postrzegał własne życie w podobnych kategoriach. Może zapożyczał pomysły od tych wszystkich Erskine'ów Childersów i Johnów Buchanów.

Chyba powinna cieszyć się z tego, że Hugh nalegał, aby założyła osobne konto w banku. Zrobił to celowo, teraz rozumiała. Najwyraźniej brał pod uwagę możliwość komplikacji w swoim podwójnym życiu, ponieważ przepisał na nią dom, podając jakieś niejasne wytłumaczenie związane z podatkami, którego wysłuchała jednym uchem. Była okropnie łatwowierna. Już wtedy powinna była nabrać podejrzeń.

Jako że Hugh często bywał poza domem, osobiście sprawowała pieczę nad domową buchalterią; nie należała do kobiet, które wpadają w panikę na widok rachunków. Mimo skromnego życia jej oszczędności topniały. Duncan skończył szkołę średnią, odmówił

rozpoczęcia studiów w Cambridge i podjął pracę w biurze ubezpieczeniowym na Lime Street. Co tydzień wręczał jej część wypłaty, którą ona przyjmowała z goryczą. Nienawidziła faktu, że stała się zależna finansowo od własnego dziecka. Proszę bardzo, właśnie z trudem wysupłała gotówkę, żeby zapłacić za mycie okien, a tymczasem panny z Glasgow pławią się w luksusach. Craxtonówny nosiły pięknie skrojone stroje, podczas gdy synowie Sophie chodzili w pocerowanych koszulach. To wszystko było szalenie niesprawiedliwe. Poczuła, że należy jej się jakieś zadośćuczynienie.

Pewnego dnia zawędrowała do Chelsea. Chodziła w strugach deszczu, wypatrując rudowłosej starszej córki Hugh. Czy ta wysoka kobieta w długim czarnym płaszczu to właśnie ona? Czy mieszka w tym uroczym domku z niebieskimi drzwiami i doniczkami w oknach?

Woda spływała po rondzie kapelusza Sophie i krawędziach parasolki. Trzęsła się z zimna. Przez chwilę zobaczyła samą siebie jakby z boku: przemoczoną, zziębniętą kobietę stojącą na chodniku. Co, na Boga, zamierzała zrobić? Powiedzieć tej dziewczynie prawdę? Zażądać części spadku? Czyżby już do końca postradała zmysły?

Rozdział piąty

Czerwiec 1938

Thea oparła rower o barierkę za domem i spostrzegła Patricka, który stanął w drzwiach pomywalni. Trzymał ręce w kieszeniach beżowych lnianych spodni, rozpięty kołnierzyk koszuli odsłaniał trójkąt opalonej skóry.

Popatrzył w jej stronę, osłaniając oczy przed słońcem.

– Pracujesz do późna, Theo – zauważył. Minęła ósma, ale niebo wciąż zachwycało szafirowym błękitem w ten ciepły czerwcowy wieczór. – A może zawiozłaś list od Rowan?

Poczuła szarpnięcie za mostkiem. Nie mogła go okłamywać, nawet dla siostry. Pokiwała głową i zeszła po schodach do piwnicy.

– Czy to była wiadomość dla Simona Pembertona?

– Tak. – Oblała się rumieńcem.

– Ta świnia. Ten leniwy pasożyt. – Odwrócił twarz, ale Thea zdążyła jeszcze zobaczyć uczucia, które wyrażała: mieszaninę gniewu, poczucia winy i żalu.

– Nie wiesz, gdzie teraz jest Rowan? – zapytał tylko.

Pokręciła głową.

– Nie, Patricku, naprawdę nie wiem.

Zmarszczył czoło i zamilkł.

– Jadłaś kolację? – odezwał się po chwili.

– Jeszcze nie.

– Zjedzmy coś na mieście, dobrze? Gwen zostawiła w piekarniku jakąś nieapetyczną potrawkę.

Skrzywiła się, słysząc wymuszoną wesołość w jego głosie. Razem weszli do domu.

– Parszywy kran – mruknął Patrick, dokręcając z całej siły cieknącą armaturę w pomywalni.

Thea poszła na górę, żeby się umyć i przebrać w czystą sukienkę. Drżała przed czekającym ją wieczorem. Nawet widok motyli na budlejach na Mallord Street nie był dla niej pocieszeniem, kiedy szła u boku szwagra. On tymczasem, wbrew jej obawom, nie powrócił już do rozmowy o Rowan. Widocznie, skonstatowała niewesoło w myślach, dowiedział się już wszystkiego, czego potrzebował. Zamiast tego zapytał ją o pracę, która polegała na dostarczaniu zakupów wytwornemu towarzystwu z okolic Knightsbridge i Mayfair. Starała się podtrzymywać konwersację, choć to nie takie proste, gdy człowiek nagle ma grudkę lodu tam, gdzie wcześniej było serce.

– Chciałbym znów mieć siedemnaście lat, tak jak ty, Theo – zagaił, kiedy usiedli przy restauracyjnym stoliku. – Wszystko wydawało mi się w tym wieku o wiele prostsze. Przepraszam cię za ten ponury ton. Wybacz, że cię zanudzam. Rowan i ja… Cóż, nie jest między nami najlepiej, jak z pewnością zdążyłaś sama zauważyć. – Wyglądał, jakby dał sobie wewnętrznego kuksańca, po czym powtórzył: – Przepraszam, nie chciałem znowu przynudzać. Dowiedziałem się dziś, że jeden z moich dobrych kolegów, Colin Slater, wyjeżdża do Singapuru. Będzie mi go brakowało. Chodziliśmy razem do szkoły. Obaj byliśmy nowi. Nie wiem, jak dałbym sobie radę, gdyby nie on. To dusza towarzystwa, a przy tym bardzo porządny człowiek.

Podano jedzenie na wielkich porcelanowych talerzach, które zajęły niemal całą powierzchnię niedużego stolika. Patrick dolał im wina do kieliszków, nie przestając opowiadać o przyjacielu.

– Slater był świadkiem na naszym ślubie. Potem kilka razy przyszedł na kolację, ale nie zapałali do siebie sympatią z Rowan. Zabawne, spodziewałem się, że dwoje ludzi, których kocham najbardziej na świecie, od razu się polubi. – Wyglądał na głęboko nieszczęśliwego. – Trudno mi się pogodzić z tym, że zamieszka na drugim końcu świata. Trudno mi się pogodzić z tym, że czas tak pędzi i w efekcie zaniedbujemy tych, na których najbardziej nam zależy.

– Strasznie mi przykro, Patricku. – Współczuła mu z powodu rozstania z przyjacielem, ale oprócz tego okropnie się wstydziła, że przyłożyła rękę do romansu Rowan z Simonem Pembertonem.

Szwagier zdawał się to rozumieć, gdyż pospieszył z zapewnieniem:

– To nie twoja wina, Theo. Nie masz najmniejszego powodu, żeby się obwiniać. – Uśmiechnął się krzywo, ze smutkiem. – Sam jestem sobie winien. Nie potrafiłem jej uszczęśliwić. Narobiłem przeklętego bałaganu.

Po kolacji wrócili do domu. Patrick poszedł po młotek i klucz francuski, a po chwili z pomywalni zaczęły dobiegać hałasy świadczące o tym, że próbował naprawić cieknący kran. Wyglądało na to, że uderzał w niego młotkiem. Po jego wysiłkach kran nadal przeciekał.

W następnym tygodniu Rowan i Patrick wyprawili przyjęcie. Około północy ostatni goście się rozeszli, pożegnawszy z ożywieniem gospodarzy. Wkrótce potem Patrick poszedł do łóżka, a Thea i Rowan zdjęły szpilki i przystąpiły do sprzątania porzuconych kieliszków i filiżanek po kawie, żeby uniknąć porannego narzekania Gwen.

Pozmywały w kuchni, po czym Thea wstawiła wodę. Rowan, ubrana w pomarańczową suknię z odkrytymi plecami, weszła na stołek, by odstawić czyste kieliszki na najwyższą półkę kredensu.

Tego popołudnia Peggy Garland zaproponowała Thei wspólne wynajmowanie pokoju. Nie było łatwego sposobu na rozpoczęcie tej koniecznej rozmowy, toteż Thea powiedziała prosto z mostu:

– Współlokatorka koleżanki przeprowadza się do Brighton. Peggy poprosiła mnie, żebym przyszła na jej miejsce.

Rowan zachwiała się, spoglądając w dół.

– Chyba się nie zgodziłaś?

– Owszem, zgodziłam się.

Siostra zeskoczyła ze stołka.

– Theo, nie możesz się wyprowadzić. Po prostu nie możesz.

Dziewczyna bała się tej rozmowy, ale skoro już ją zaczęła, nie było odwrotu. Postanowiła spróbować wyjaśnić siostrze swoją decyzję.

– Odłożyłam dość pieniędzy. Byliście z Patrickiem cudowni, otrzymałam od was ogromną pomoc. Proszę, nie myśl, że nie doceniam wszystkiego, co dla mnie zrobiliście – bardzo doceniam. I błagam, nie miej mi tego za złe. Okropnie bym się z tym czuła. Po prostu potrzebuję własnego miejsca. Nie mogę zostać tutaj z wami na zawsze.

– Ale ja będę bez ciebie taka samotna!

– Odzyskasz pokój gościnny. Poza tym będę cię bez przerwy odwiedzać. Serio, zdążysz mieć mnie dosyć. – Zdjęła imbryk z ognia. Postawiła kubki z kakao na tacy, którą zaniosła do salonu. Rowan podreptała za nią.

– Wydasz majątek na wynajem. Przecież to bez sensu, skoro mamy wolny pokój. Na pewno nie zmienisz zdania? Bardzo proszę!

Dziewczyna uznała teraz swoją początkową chęć pominięcia drugiego powodu wyprowadzki za tchórzostwo. Odstawiła tacę na stół.

– Rzecz w tym – zaczęła cicho. – Że trudno mi znieść całą tę sytuację. Czuję się, jakbym utknęła między młotem a kowadłem.

– Theo…

– Simon – wypowiedziała jego imię szeptem ze względu na Patricka.

– Simon i ja… – Rowan się zacięła.

– Tylko błagam, nie rób ze mnie idiotki i nie wmawiaj mi, że jesteście tylko przyjaciółmi.

Siostra usiadła.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie powinnam cię była w to mieszać. Byłam zdesperowana i źle postąpiłam. Proszę, wybacz mi.

Thea zanurzyła ciastko w gorącym kakao.

– Patrick wie o Simonie – zakomunikowała.

Rowan zmarszczyła brwi.

– Mylisz się, Theo.

– Powiedział mi.

– O Boże. Jesteś pewna?

Dziewczyna pokiwała głową. Przez twarz Rowan przemknęły kolejno wstyd, strach, bunt. Teraz, kiedy siostra wiedziała już, że jej mąż jest świadomy zdrady, Thea nie musiała w tym wszystkim uczestniczyć. Powinna poczuć ulgę, tymczasem czuła jedynie wyrzuty sumienia, że jest zła i nieczuła.

– Patrick powiedział mi, że jesteś jedną z dwóch osób, które kocha najbardziej na świecie.

Rowan gwałtownie uniosła głowę. W jej oczach zaszkliły się łzy.

– Nie, nie mógł tak powiedzieć. To nie w porządku!

– On cię kocha.

Wszyscy myśleli, że piękna, zdolna i urocza Rowan jest szalenie pewna siebie, tylko Thea znała prawdę. Gdyby jednak uwierzyła w szczere oddanie Patricka, myślała z nadzieją, mogłoby im się udać uratować ten związek.

Rowan sięgnęła do kasetki po papierosa.

– Patrick już mnie nie chce – rzekła bez ogródek. – Chyba nigdy mnie nie pragnął. Wydawało mi się, że jest inaczej, kiedy za niego wychodziłam, ale popełniłam błąd.

Thea znalazła się nagle na zupełnie nieznanym jej gruncie. Nie miała pojęcia o namiętności i małżeńskim pożyciu. Nigdy nawet z nikim się nie całowała.

– Nie zniosę dłużej takiego życia. – Rowan błysnęła zapalniczką. – Umarłabym, gdyby nie Simon, dosłownie. Ja go kocham, Theo. Nie miałam zamiaru go pokochać, ale stało się i nic tego nie zmieni.

Czy w ogóle można zaplanować zakochanie się w kimś? – zadała sobie pytanie Thea. Romantyczne uniesienia wydawały jej się z natury rzeczy dość przypadkowym, mimowolnym zjawiskiem.

Nie była pewna, czy powinna o to pytać, ale zapytała:

– Simon odwzajemnia twoje uczucia, tak?

– Na pewno. – Rowan nerwowo mięła pomarańczowy jedwab sukienki i zaciągała się dymem z papierosa. – Z pewnością mnie potępiasz za to, że zdradzam Patricka. To straszne draństwo z mojej strony, wiem o tym. Chciałam być szczęśliwa w małżeństwie. Nie spodziewałam się takiego obrotu spraw. Zależało mi, żeby nie być taka jak matka, a teraz… Spójrz na mnie.

Thea przykryła dłoń siostry swoją.

– Podrzesz sobie suknię – upomniała łagodnie. – Rodzice byli ze sobą szczęśliwi, prawda?

– On był szczęśliwy, a raczej mógłby być, gdyby… To wszystko była jej wina! – wyrzuciła z siebie. – Nigdy nie chciałam być taka jak ona!

Dziewczyna od dawna rozumiała, że jej siostra obwinia matkę o rejs podczas sztormu. Gdyby nie była taka wybuchowa i nierozważna, nie utonęłaby, nie osierociłaby córek, nie pozostawiłaby męża w głębokiej żałobie. Rowan żyła z obawą, że odziedziczyła matczyną lekkomyślność.

Pomasowała pocieszająco stopę z pomalowanymi na fioletowo paznokciami. Rowan próbowała się uśmiechnąć.

– Przepraszam. Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu mnie ignoruj. Jestem rozżalona. – Szpilki powypadały jej z włosów i te opadły na twarz falującą miedzianą kurtyną. – Strasznie to wszystko popaprane, prawda? – powiedziała cicho. – Wiesz co, Theo? Latami zadręczałam się myślą, że coś musi być ze mną nie tak. Że Patrick nie kocha mnie tak, jak powinien, z powodu jakichś moich braków. Ale Simon mnie kocha, więc to nie może być prawda.

Rowan miała umówioną wizytę u krawcowej na ulicy Blandford, skąd zamierzała odebrać zamówione wcześniej spódniczki i sukienkę tenisową. Z powodu bólu głowy i fatalnego nastroju przez chwilę rozważała, czyby jej nie odwołać, jednakże szara krepa na korty w mieście, cienka wełna i tweed na wieś oraz połyskliwa bawełna w pastelowe paski nad morze wymagały przymierzenia w brzoskwiniowej przymierzalni Edwiny, a poza tym Rowan potrzebowała podziwu Artemis Wilton, przyjaciółki, z którą dzieliła tę samą krawcową.

– Ty w ogóle nie tyjesz, Rowan! – zawołała Artemis, która sama miała słabość do dobrego jedzenia, przez co zaczynała tracić talię. – Zazdroszczę ci!

Szara krepa była najbardziej twarzowa. Rowan nieco się rozpogodziła, studiując swoje odbicie w lustrze.

Edwina rozwijała na stole bele materiału.

– Wczorajsza dostawa. Prawda, że piękne? Znalazłam pierwszorzędnego dostawcę, który sprowadza towar prosto z Paryża!

Rowan i Artemis podziwiały jedwabie i satyny lśniące tak, jakby tliło się w nich życie.

– Irene Waterford zamówiła suknię z zielonej mory wykończoną liliową taftą – powiedziała im w zaufaniu Edwina, pieszcząc tkaninę. – Niech to pozostanie wyłącznie *entre nous*, Rowan, ale ten odcień bardziej pasowałby do ciebie. Pani Waterford nie wygląda zbyt korzystnie w zdecydowanych barwach. Cóż, skoro nie chce słuchać dobrych rad… Czyż ta jedwabna satyna w kolorze chartreuse nie jest po prostu boska? W sam raz na lato.

Rowan przywołała na myśl swój obraz, jak spowita w zielone jedwabie sunie po parkiecie w ramionach Simona. Albo odcień chartreuse kontrastujący z rudością jej włosów i ich dwoje trzymających się pod ręce w drodze na garden party. Odpowiednie ubrania mogą zmienić bieg życia.

Edwina uniosła palec do góry.

– Odłożyłam dla ciebie przepiękne wdzianko, Rowan. Elsie, przynieś ten aksamitny biały żakiet wieczorowy, który zamawiała pani de la Haye. – Pomocnica pospieszyła spełnić polecenie, Edwina zaś wyjaśniła przyciszonym głosem: – Biedna Louise ostatecznie go nie odebrała. Niestety wpadła w kłopoty finansowe. Mogę ci dać dwudziestoprocentową zniżkę. Jest w sam raz dla ciebie i taki praktyczny, pasuje do wszystkiego. Będzie ci w nim ślicznie.

W efekcie Rowan zamówiła dwie suknie wieczorowe, jedną z zielonego jedwabiu i drugą z satyny w odcieniu chartreuse. Białe wieczorowe wdzianko też kupiła w przypływie ekscytacji i przekory. Podczas gdy Elsie zdejmowała miarę i owijała bibułą biały aksamit, Edwina relacjonowała kolejny rozdział perypetii z żonatym kochankiem imieniem Reynaud, który mieszkał na południu Francji.

Wreszcie Rowan i Artemis opuściły zakład Edwiny z pakunkami owiniętymi brązowym papierem, ucałowawszy krawcową na pożegnanie ze słowami, że nie mogą się doczekać powrotu.

– Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że ów boski Reynaud to zwykła świnia – zagadnęła Artemis, kiedy tylko odeszły na bezpieczną

odległość od zakładu krawieckiego. – Ciekawe, ile ma kochanek rozsianych po całej Europie?

Rozochocone udanymi zakupami, postanowiły zjeść lunch u Selfridge'a. Artemis zatrzymała taksówkę. W oczekiwaniu na jedzenie rozmawiały o jej córeczce. Kiedy kelner odszedł, zostawiwszy pełne talerze, a temat męczącej przylepności małej Elizabeth zdawał się być wyczerpany, Artemis posłała przyjaciółce współczujące spojrzenie i zapytała z troską:

– O co chodzi, skarbie? Wyglądasz na wytrąconą z równowagi. Czy coś się stało?

– Patrick dowiedział się o Simonie.

Artemis otworzyła szeroko oczy.

– O nie.

– Powiedział mi dziś rano, nim wyszedł do pracy – wyznała ze łzami w oczach, wspominając z koszmarnymi wyrzutami sumienia oczywiste cierpienie męża.

– Moje biedactwo. W jaki sposób się dowiedział?

– Przypuszczam, że domyślił się, kiedy widział nas razem na bankietach i w tym podobnych sytuacjach – odparła wymijająco. – Musiał zauważyć, jak dobrze się rozumiemy, jak jesteśmy sobie bliscy. – Pominęła udział Thei w tej historii, ponieważ było jej wstyd, że wmieszała w swoje sprawy siostrę; to było niegodziwe.

– Co teraz zrobisz?

– Co zrobię? – Popatrzyła z osłupieniem na koleżankę. – Nic nie mogę zrobić. Sytuacja jest beznadziejna.

Zapadło milczenie, które przerwała w końcu Artemis:

– Mogłabyś obiecać Patrickowi, że przestaniesz się spotykać z Simonem. Pewnie by ci wybaczył.

Rowan dźgnęła widelcem talerz z carską sałatką.

– Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, po której Artemis zaczęła ostrożnie:

– Kochanie, miłość, jak niemal wszystko w życiu, jest w pewnym sensie sztuką wyboru. Zerwanie z Simonem może ci przysporzyć cierpienia, nie twierdzę, iż będzie łatwe i bezbolesne, ale byłoby prawdopodobnie mądrym posunięciem.

Artemis ceniła sobie rozsądek. Nie lubiła niepotrzebnego zamieszania, dlatego zarządzała swoim życiem – oraz dwoma domami, w Londynie i Hertfordshire – kompetentnie i ze spokojem. I choć jej związek ze starszym o dwadzieścia lat zamożnym finansistą Maurice'em Wiltonem był powszechnie uważany za małżeństwo z rozsądku właśnie (Artemis uwielbiała luksusowe ubrania, kosztowną biżuterię i rejsy oceaniczne), to Rowan wiedziała, że Wiltonowie bardzo się kochali.

– Nie potrafię zrezygnować z Simona – powtórzyła z uporem. – Kocham go. Chyba jesteś w stanie mnie zrozumieć? Gdyby chodziło o Maurice'a…

Na silnej, kanciastej twarzy Artemis zagościła czułość.

– Moje kochane biedactwo. – Poklepała grzbiet dłoni przyjaciółki. Mieszanina emocji, które przemknęły później przez jej oblicze, wskazywała na to, że zbiera siły na wypowiedzenie trudnych słów.

Wreszcie rozpoczęła:

– Simon to mój kuzyn. Znam go od zawsze. Mam nadzieję, że się ze mną zgodzisz, iż ten fakt daje mi prawo do wyrażenia własnej opinii. Bardzo go lubię, bez wątpienia ma w sobie niezmierzone pokłady uroku osobistego, ale nie jest… Och, nie wiem, jak to powiedzieć. Nie jest zbyt stały w uczuciach. Ma już trzydzieści sześć lat i nigdy się nie zaręczył z żadną kobietą. Nigdy się nawet na to nie zanosiło.

– Kocha mnie.

– Owszem, ani przez chwilę nie miałam zamiaru twierdzić inaczej. – Artemis obracała nerwowo zapalniczkę. – Pewnego dnia odziedziczy Ashleigh Place i będzie musiał założyć rodzinę, jednak ani razu nie odniosłam dotąd wrażenia, że o tym myśli. Mężczyźni, w przeciwieństwie do nas, mogą sobie pozwolić na zwłokę. – Popatrzyła błagalnie na Rowan, westchnęła i przerwała. – Nie powinnam się wtrącać. Co ja tam wiem? Po prostu nie chcę patrzeć, jak cierpisz.

– Patrick i ja od dawna nie jesteśmy ze sobą szczęśliwi. – Rowan nie potrafiła powiedzieć całej prawdy o swoim małżeństwie nawet najbliższej przyjaciółce. Mąż też wyglądał na upokorzonego podczas tej bardzo trudnej porannej rozmowy.

– Nie mogę dłużej tak żyć, Artie – ciągnęła. – Nie dam rady.

– Kochana…

– Wiem, że Simonowi daleko do ideału, że bywa nadto skupiony na sobie. Ale kocha mnie, naprawdę. Z nim mam przynajmniej szansę być szczęśliwa.

Artemis przestała mieszać widelcem w sałatce i spojrzała uważnie na przyjaciółkę.

– Rozważasz rozwód?

– Sama nie wiem. – Rowan była bliska płaczu. Tutaj, w restauracji Selfridge, wśród zabieganych kelnerów, pakunków z zakupami i biesiadujących ludzi w najlepszych kapeluszach.

– Nawet jeśli ty nie podejmiesz takiej decyzji, to Patrick może to zrobić za ciebie, jeśli nie dostanie zapewnienia, że między tobą a Simonem wszystko skończone. Wprawdzie niektórzy mężowie chętnie przymykają oko na zdradę, ale nie sądzę, by on do nich należał. – Artemis chwyciła Rowan za rękę. – Błagam cię, zastanów się bardzo mocno, zanim uczynisz ten krok. Rozwód zrujnuje ci reputację. Przypomnij sobie choćby nieszczęsną Peony Deakin. Nikt już nie utrzymuje z nią kontaktów – nie ma koło siebie żywej duszy. Mieszka w tym upiornym ciasnym domku w Wimbledonie i opiekuje się czworgiem dzieci Geoffreya, kiedy te przyjeżdżają z wizytą, ponieważ nie stać ich na niańkę. Hilda Banister mówi, że aż przykro na nią patrzeć, taka jest wyczerpana.

Rowan nie lubiła być pouczana nawet przez ukochaną Artemis, wymamrotała więc ze złością:

– To zupełnie inna sytuacja. Simon, w przeciwieństwie do Geoffreya Deakina, nie jest ubogi.

– Rozwód zawsze nieodwracalnie obniża pozycję społeczną kobiety. Ucierpisz na nim znacznie bardziej niż Patrick, nawet jeśli zachowa się jak dżentelmen i weźmie winę na siebie. Może to niesprawiedliwe, ale takie jest życie. – Artemis przybrała łagodniejszy ton. – Proszę cię jedynie, abyś dobrze wszystko przemyślała, duszko. Rozumiem, jak bardzo ci ciężko, i współczuję. Naprawdę.

Kwadrans później pożegnały się – obie zdenerwowane, choć nie chciały tego przyznać. Artemis szła na lekcję tenisa, Rowan miała

zamiar zrobić zakupy na kolację w delikatesach. Zanim wsiadła do powrotnego autobusu, cała radość z nowych strojów wyparowała. Podejrzewała, że suknia w barwach chartreuse zanadto podkreśli jej bladość, i żałowała, że dała się Edwinie namówić na kupno żakietu. Biały aksamit jest szalenie niepraktyczny. Wystarczy jedna plamka, żeby nadawał się tylko do wyrzucenia.

Poważne ostrzeżenia przyjaciółki przed Simonem mocno ją zatrwożyły. Artemis znała go przecież od urodzenia. Trudno też odmówić słuszności temu, co mówiła o losie rozwiedzionych kobiet. Zarówno uwagi Artemis, jak i poranna rozmowa z Patrickiem bardzo ją zmartwiły, aczkolwiek całe współczucie, jakie żywiła wcześniej dla męża, zniknęło, kiedy zaczął mówić o Simonie.

– Czy ty poważnie myślisz, że jemu na tobie zależy? – zapytał. – Pembertonowi zależy wyłącznie na nim samym. Jest zadufanym w sobie, afektowanym łajdakiem niezdolnym do troski o drugiego człowieka. Nie ożeniłby się z tobą, nawet gdybyś była wolnego stanu.

Rowan wysiadła z autobusu na przystanku przed placem Piccadilly i ruszyła w stronę ulicy Charles. Potrzebowała usłyszeć od Simona, że ją kocha. Potrzebowała, by ją przytulił i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

Portier przywitał ją uprzejmie, gdy wkroczyła do holu. Weszła na górę i zadzwoniła do mieszkania. Drzwi otworzył kamerdyner. Usłyszawszy głos ukochanego, wyminęła pana Leacha, by przejść wprost do bawialni.

Po czym stanęła na progu jak wryta, słowa zamarły jej na ustach. Simon miał towarzystwo; na jednej z otoman z kremowymi obiciami siedziała starsza kobieta w bordowym kapelusiku z piórkiem, a obok niej drobne, blade, naburmuszone dziecko w różowej sukience. Na stoliku stała taca z herbatą.

Simon zmarszczył brwi i wstał.

– Rowan.

– Przepraszam… – bąknęła zdezorientowana. – Nie wiedziałam, że masz gości.

– Pozwól, że przedstawię – rzekł energicznie. – Oto pani Cecil i jej córka, panna Francesca Cecil. Mary, Francesco, pani Scott jest moją

dobrą znajomą.

Wymiana uprzejmości i uścisków dłoni dała Rowan trochę czasu na zebranie myśli i odzyskanie równowagi. Bardzo przeprasza, że przeszkodziła w spotkaniu. Czy panie przyjechały z daleka?

– Z Hertfordshire – odparła pani Cecil. – Samochodem ze Steadings – dodała, jakby to cokolwiek mówiło obcej osobie.

Naburmuszona dziewczyna, Francesca, nie była, jak początkowo uznała Rowan, dzieckiem. Bliżej jej było do dwudziestego niż dwunastego roku życia. Miała proste, gęste lniane włosy i niemal perłową cerę. Pani Cecil zwróciła się do Simona tonem jednocześnie władczym i ospałym:

– Mam nadzieję, żeś nie zapomniał kupić biletów do teatru.

Kilka grzecznościowych uwag później Simon ujął Rowan pod łokieć i wyprowadził na korytarz. Spodziewała się przytulenia, pocałunku i pocieszenia, a tymczasem usłyszała gniewne syknięcie:

– Co tu robisz? Przecież wiesz, że nie znoszę niezapowiedzianych odwiedzin.

– Przepraszam… Nie zdawałam sobie sprawy. – Pierwszy raz widziała go zdenerwowanego. – Chciałam cię zobaczyć.

– Nie mogłaś wybrać gorszej pory – odparł chłodno. – Panie Cecil są moimi dobrymi przyjaciółkami.

A kim ja jestem? – miała ochotę wykrzyczeć. Wysupłała jednak dość godności, by raz jeszcze wyszeptać przeprosiny i wyjść. Idąc ulicą, wstrzymywała łzy upokorzenia. Nie miała odwagi, by wsiąść do autobusu. Wiedziała, że jeśli usiądzie w ciszy z własnymi myślami, nie zdoła opanować płaczu, dlatego poszła pieszo do domu przy ulicy Mallord, obarczona ciężkimi zakupami.

Kiedy otwierała drzwi wejściowe, lekki ból głowy zamienił się w nieznośne pulsowanie. Na korytarzu stała walizka. Patrick zdejmował książki z regału w salonie.

Rowan odłożyła pakunki.

– Sądziłam, że jesteś w sądzie.

– Sprawa upadła. Świadek koronny nam zbiegł.

– Co robisz?

– Pakuję swoje książki. – Skupił na niej uwagę. – Wyprowadzam się, Rowan.

– Nie rób tego, Patricku. – Wpatrywała się w niego osłupiała.

– Wydaje mi się, że nie mam wyboru.

– Błagam, Patricku, to zupełnie niepotrzebne!

Przyjrzał się jej badawczo.

– Gdzie byłaś?

Upuściła na podłogę klucz do drzwi wejściowych, który chowała do torebki.

– U krawcowej.

– Nieprawda. Telefonowałem do Edwiny. Powiedziała, że wyszłaś przed południem.

Podniosła klucz i napotkała wzrok męża.

– Byłam u Simona. Czego innego się spodziewałeś po naszej porannej rozmowie?

– Niczego. – Pobladł. – Niczego się po tobie nie spodziewam i o nic cię nie proszę. Wiem, że nie mam do tego prawa. – Sięgnął po kolejną książkę. – Żałuję jedynie, że marnujesz się dla niego.

Opadła na fotel. Była wyczerpana, całkiem pozbawiona sił. Kątem oka dostrzegała migające światełko, zapowiedź nadchodzącej migreny.

– Byłam przybita i sądziłam, że spotkanie z nim poprawi mi nastrój – wyznała. – Myliłam się, jeżeli to dla ciebie jakieś pocieszenie.

– Bynajmniej. Sam pchnąłem cię w jego ramiona, zdaję sobie z tego sprawę i biorę pełną odpowiedzialność. Jedyne, co mogę uczynić w tej sytuacji, to jej nie pogarszać i zostawić cię w spokoju. – Zatrzasnął walizkę. – Możesz tu zostać tak długo, jak długo będziesz potrzebować, aczkolwiek prędzej czy później będę musiał sprzedać dom, jeżeli mamy mieszkać oddzielnie.

Mieszkać oddzielnie. Te słowa uświadomiły Rowan powagę sytuacji.

– Och, Patricku – jęknęła.

– Naturalnie zadbam o ciebie od strony finansowej, ale musisz zdecydować, czy chcesz tu dalej mieszkać.

– Nienawidzę tego domu – oznajmiła. Podobnie jak małżeństwo okazał się wielkim rozczarowaniem.

Skrzywił się, unosząc bagaż.

– Za dużo mam tych cholernych książek.

– Gdzie się zatrzymasz? Jakie masz plany?

– Dam sobie radę. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Kolega z kancelarii wyjeżdża na kilka miesięcy za granicę i użyczy mi swojego mieszkania. Chcesz rozwodu, Rowan, czy wystarczy oficjalna separacja?

– Nie wiem. – Choć wcześniej małżeństwo zdawało się jedynie ciężarem, to teraz dusił ją żal. – Nie myślałam o tym.

– Musisz się zastanowić. Rozwód to skomplikowane przedsięwzięcie. Wymaga czasu. – Przystanął przed drzwiami i się obejrzał. – Życzę ci szczęścia. Szczerze. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz.

– Błagam, Patricku, nie zniosę tego…

Ale on już wyszedł.

Rowan stała bez ruchu, aż do pokoju weszła kucharka i zapytała, czy zrobić kawę. Potrząsnęła głową, a Gwen powróciła do kuchni, skąd po chwili dobiegło stukanie naczyń.

A więc została całkiem sama. Thea się wyprowadziła, Patrick ją opuścił, ojciec też. Nienawidziła samotności. Zapragnęła odwiedzić siostrę, ale ta zapewne była jeszcze w pracy. Dopiero trzecia po południu.

Poszła się położyć w nadziei, że zdoła w ten sposób powstrzymać atak migreny. Nowe ubrania leżały nierozpakowane i pogniecione. Początkowo najbardziej dręczyło ją wspomnienie nieprzyjemnej reakcji Simona na niezapowiedzianą wizytę i myśl, że może wcale jej nie kocha, że zniszczyła swoje małżeństwo. Po jakimś czasie odczuwała już wyłącznie rezygnację. Od dawna wiedziała, że małżeństwo z Patrickiem jest fikcją. Niezależnie od wszystkiego, nie dałoby się go uratować. Być może Patrick miał rację, biorąc całą winę na siebie. Być może jedyną porażką Rowan była niechęć do stawienia czoła prawdzie. Lepiej by zrobili, pozostając przyjaciółmi; oboje popełnili błąd, próbując zostać kochankami. Z Simonem było zupełnie inaczej. Nie potrafiła sobie wyobrazić dalszego życia, jeżeli się okaże, że on jej nie kocha.

Ochlapywała właśnie czoło chłodną wodą, aby ukoić ból, kiedy zadzwonił telefon. Osuszyła twarz ręcznikiem i zeszła na dół.

– Pan Pemberton do pani – poinformowała z wyrzutem Gwen.

Rowan przejęła słuchawkę.

– Skąd telefonujesz, Simonie?

– Z klubu. Wiesz, jak bardzo nie cierpię tego wynalazku, ale chciałem cię przeprosić za swoje popołudniowe zachowanie.

– Nie masz za co przepraszać. To moja wina. Niepotrzebnie przyszłam.

– Wybaczasz mi więc?

– Nie mam ci czego wybaczać. – Owinęła palec kablem. – Kochasz mnie jeszcze?

– Ubóstwiam. Wielbię.

Pozwoliła ucichnąć myśli, że nie o to pytała, i usiadła, wspierając potylicę o zagłówek fotela.

– Patrick mnie zostawił – oznajmiła. – Dowiedział się o nas. – Już nawet nie próbowała przewidywać, jaka będzie jego odpowiedź, niczego się nie spodziewała.

– Przykro mi to słyszeć.

– Przypuszczam, że ostatecznie lepiej się stało.

– Zapewne masz rację, aczkolwiek będzie z tym trochę zamieszania.

– Zamieszania? – zakrzyknęła. – Zamieszania? Ja się czuję, jakbym trafiła w sam środek tornada!

– Tak, kochanie – rzekł uspokajająco. – Strasznie cię przepraszam, musisz padać z nóg. Dramatyczne sceny są szalenie wyczerpujące.

– Mam straszliwy ból głowy.

– Moje kochane biedactwo. Gdybym tylko mógł być przy tobie. Niestety obiecałem pani Cecil i Francesce, że zabiorę je do teatru. Zażądały wieczoru w West Endzie.

– Na co idziecie? Na jakiś musical*?* – Przypuszczała, że młoda dziewczyna, taka jak Francesca, lubuje się w spektaklach muzycznych.

– Nie – odpowiedział. – Na sztukę Szekspira. Dzięki Bogu, że jedną z tych łatwiej strawnych. Francesca wybrała *Burzę*.

– Kiedy się zobaczymy?

– Najprędzej za kilka dni, niestety. Muszę jutro odwiedzić Ashleigh Place.

– Och. – Poczuła się całkiem opuszczona.

– Denzil mnie wzywa. Nie mogę się doczekać, żeby cię tam zabrać, Rowan.

Ponury nastrój nieco zelżał. Wszak Simon nie planowałby pokazania jej Ashleigh Place, gdyby nie traktował poważnie ich związku.

– Ja też nie mogę się doczekać, kiedy tam z tobą pojadę – odrzekła.

– Zachwyci cię to miejsce, a ty zachwycisz Denzila.

– Powiedz mi, dlaczego tak bardzo je kochasz?

– Mógłbym powiedzieć, że za całą historię, którą w sobie zawiera. Duchy, które niemal widzisz kątem oka, wchodząc do jakiegoś mało używanego pokoju. Odkrycia na każdym kroku, kiedy myślisz, że nic cię już nie zaskoczy; że znasz ten dom jak własną kieszeń. Inicjały wyryte na belce, fragment ceramiki wyglądający spod różanego krzewu. A może za to, że jako dziecko czułem się tam bardziej u siebie niż we własnym domu.

Wyobrażała sobie jego twarz, gdy mówił. Pewnego razu, podczas wspólnego słuchania nagrania *Cosi fan tutte* z gramofonu, zobaczyła w jego oczach czysty zachwyt. Zdolność do odczuwania intensywnych emocji była jedną z tych cech, które w nim ubóstwiała.

Rozdział szósty

Wrzesień 1938

Wstąpiłem do Royal Air Force – zakomunikował Duncan podczas niedzielnego lunchu, sięgając po biszkopt z rodzynkami.

– Ty przeklęty farciarzu – odparł z zazdrością Stuart.

Sophie upuściła kawałek ciasta, stłumiła piskliwy okrzyk paniki i zapytała:

– Chcesz powiedzieć, że zgłosiłeś się podczas naboru?

Popatrzył na nią ze spokojem.

– Mam za sobą większość etapów rekrutacji. Parę dni temu, podczas popołudniowej przerwy w pracy, przeszedłem rozmowę kwalifikacyjną w Adastral House. Dostałem niebieski świstek i skierowanie na badania. Taki jeden chłopak powiedział mi, że niebieski świstek dają tylko wtedy, kiedy cię chcą.

Nic mi nie powiedziałeś. Zrobiłeś to bez porozumienia ze mną, pomyślała. Na szczęście nie zdążyła się odezwać, bo ubiegł ją Stuart.

– Dali ci jakieś zadania matematyczne do rozwiązania? Będziesz pilotował myśliwce?

Duncan pozostawił pytania brata bez odpowiedzi i zwrócił się do matki:

– Możliwe, że dostaniesz list z prośbą o zgodę, bo nie mam jeszcze dwudziestu jeden lat. Nie będziesz chyba stwarzać problemów, co, mamo?

Włożyła nadludzki wysiłek w spokojną odpowiedź.

– Nie, Duncanie. Jeżeli jesteś pewien, że tego chcesz, to nie.

– Jestem całkowicie pewien. Mogę? – Wziął kawałek ciasta i wrzucił do sosu.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zainteresował się Stuart.

– Nie wiem jeszcze. Najpierw przysyłają list z informacją, że się zakwalifikowałeś na kurs dla pilotów wojskowych, a potem jedziesz do specjalnej szkoły.

Stuart powrócił do tematu myśliwców. Sophie polała ciasto słodkim sosem tylko po to, żeby mieć jakieś zajęcie. Wiedziała, że niczego już nie przełknie.

Młodszy syn zaofiarował pomoc w sprzątaniu po obiedzie, ale ona powiedziała, że Duncan pomoże jej zmywać, Stuarta zaś wysłała na pocztę. Duncan radził sobie ze zmywaniem i osuszaniem naczyń znacznie lepiej od brata. Nietrudno było wyobrazić go sobie za sterami samolotu, opanowanego i działającego zgodnie z planem, niemniej Sophie było niewyobrażalnie trudno pogodzić się z myślą, że jej pierworodny syn miałby robić coś tak koszmarnie ryzykownego i niebezpiecznego jak pilotowanie latającej maszyny.

– Mam nadzieję, że nie wyprawiłaś Stu z domu tylko po to, żeby mi prawić morały, mamo. Tylko niepotrzebnie straciłabyś czas.

Nie spodobał jej się ton wyższości u Duncana, który wyrażał przekonanie, że ją zdemaskował.

– Wysłałam Stuarta na pocztę, ponieważ mam listy do nadania, a także dlatego, że chciałabym porozmawiać z tobą na osobności. Muszę się upewnić, że nie podjąłeś tej decyzji z niewłaściwych powodów.

Zmrużył orzechowe oczy. Oczy Hugh.

– A jakież to powody uważasz za niewłaściwe?

– Wściekłość na ojca. I na mnie.

Ku jej zaskoczeniu i irytacji parsknął śmiechem.

– Masz niesamowitą skłonność do zakładania, że wszystko kręci się wokół ciebie. Zaciągnąłem się do lotnictwa, bo chciałem. Chcę być pilotem.

– W takim razie w porządku. Ta szklanka jest brudna. – Oddała mu ją. Wrzucił naczynie z powrotem do zlewu, naburmuszony. – Szanuję twoją decyzję, pod warunkiem że nie podjąłeś jej, wiedząc, iż sprawi mi ból.

– To ścieżka kariery, mamo – pouczył ją protekcjonalnie. – Nie dramatyzuj.

Sophie zajęła się polerowaniem sreber i odkładaniem ich do pudełka. Wezbrała w niej fala emocji.

– Mój brat, Harold, zginął dwa miesiące po rozpoczęciu wojny, w bitwie pod Marną. Był ulubieńcem mamy, nigdy nie pogodziła się z jego śmiercią. Nigdy. To z jego powodu zostałam sanitariuszką. Nie mogłam znieść bezczynności w obliczu tego, co spotkało biednego Harolda. – Duncan otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale uciszyła go stanowczym gestem. – Mnóstwo ludzi mówi, że najpóźniej za rok wybuchnie wojna z Niemcami. Wziąłeś to pod uwagę?

– No jasne – pospieszył z zapewnieniem, nie patrząc Sophie w oczy.

Domyśliła się, że nie poświęcił temu zbyt wiele uwagi. Pożałowała ostrego tonu – był jeszcze dzieckiem, nastoletnim chłopcem, który kochał samoloty. Co w tym dziwnego, że chciał się nauczyć latać, że rozpierały go duma i radość z sukcesu?

– Przepraszam – mruknęła, dotykając jego mankietu. – Nie gniewam się na ciebie. Jestem naprawdę bardzo dumna. I ty też powinieneś być z siebie dumny.

Te słowa zdawały się go poruszyć bardziej niż cokolwiek innego. Skrzywił się i skoncentrował na zmywaniu. Na kilka minut zapadła cisza.

Duncan postawił rondel na suszarce do naczyń.

– Tak czy inaczej, to może być bardzo odległa przyszłość – powiedział. – Podobno nie zawsze od razu wzywają na ćwiczenia.

Potraktowała jego słowa jako swoistą gałązkę oliwną.

– Wobec tego wykorzystajmy ten czas jak najlepiej – rzekła, poklepując syna po plecach. – Wydziergam ciepłe skarpety i rękawice dla ciebie.

Po powrocie Stuarta z poczty chłopcy wybrali się do domu Fosterów, żeby zaproponować Michaelowi i Thomasowi wspólne kopanie piłki. Sophie przyrządzała sobie właśnie kawę, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Na ganku stała Viola Foster z koszem w rękach.

– Mam nadzieję, że nie zakłócam ci niedzielnego odpoczynku, Sophie.

– Skądże znowu. Zapraszam. – Niedziele stały się męczarnią, odkąd zabrakło Hugh; w domu panowała nieznośna cisza, a sklepy były pozamykane, nie mogła więc zabijać czasu na zakupach.

– Robiłam generalne porządki w domu i pomyślałam, że może przyda ci się coś z tych rzeczy. Thomas powyrastał z części ubrań. – Viola podała Sophie kosz pełen szarych szkolnych koszul.

Podziękowała sąsiadce, choć przewidywała, że rosnący w zastraszającym tempie Stuart wyrośnie z nich w ciągu paru miesięcy. Zaproponowała Violi filiżankę kawy i razem przeszły do kuchni.

– Duncan powiedział nam o swoich planach. Chciałam sprawdzić, jak się czujesz.

Duncan prawdopodobnie obwieścił Fosterom, że wstępuje do RAF-u, na co Viola zapytała: A co na to twoja matka? Och, nie ma nic przeciwko temu, odparł chłopak. Sąsiadka posłała mu wymowne spojrzenie. Sophie wyobraziła sobie tę sytuację.

– W sumie nie powinnam być zaskoczona – stwierdziła. – Mówi o samolotach, odkąd skończył dwa lata.

Wiotka jak trzcina Viola posłodziła kawę trzema łyżeczkami cukru.

– Może nie będzie latał – rzekła pocieszająco. – Może przydzielą go do obsługi naziemnej.

– On marzy o lataniu, więc ja także powinnam mu tego życzyć. Byłby dumny, gdyby udało mu się zostać pilotem, potrzebuje tego.

– Jesteś bardzo mądra.

Sophie popatrzyła w osłupieniu na przyjaciółkę.

– Mądra? Ja? Och, Violu, nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz! – Głos jej się załamał.

Viola ją przytuliła. Była wysoka i dość koścista, o chłopięcej figurze, przez co jej uścisk przywodził na myśl dotyk gałęzi. Skojarzenie dodatkowo wzmacniała brązowa kolorystyka całej jej postaci: miała proste brązowe włosy, jasnobrązowe oczy, śniadą cerę i upodobanie do brunatnobeżowej garderoby. Sophie czuła się przy niej niczym niezborny zlepek rozlanych krągłości.

– Z pewnością jest ci okropnie ciężko – powiedziała ze współczuciem. – Chociaż wspaniale sobie radzisz, odkąd straciłaś Hugh. Jesteś bardzo dzielna. Na pewno boleśnie ci go brakuje.

– Ani trochę – rzuciła bez zastanowienia. Obarczała Hugh winą za to, że Duncan się od niej odsuwał. Przypisywała mu odpowiedzialność za decyzję ich syna o wstąpieniu do RAF-u.

– Sophie… – Viola cofnęła się o krok.

– W ogóle mi go nie brakuje – powtórzyła. – Cieszę się, że umarł. – I tak już za późno, żeby się wycofać, pomyślała z determinacją. Jeżeli ich przyjaźń tego nie przetrwa, to widocznie nigdy nie była zbyt silna.

– Hugh miał drugą żonę, Violu – wypaliła prosto z mostu. – Chcę powiedzieć, że był już żonaty, kiedy braliśmy ślub. Krótko mówiąc, nasze małżeństwo nigdy naprawdę nie istniało. Nie masz przypadkiem przy sobie papierosów?

Sophie nie widziała wyrazu twarzy przyjaciółki skrytej za brązową kurtyną włosów, kiedy Viola szukała paczki w torebce. Od lat nie miała w ustach papierosa. Zaczęła palić podczas wojny, kiedy została sanitariuszką w szpitalu, ale zrezygnowała z tego po ślubie, jako że Hugh nie pochwalał tego nałogu u kobiet. Dziś poczuła dziką wściekłość na samą myśl, że ktoś taki jak on, zwykły zdrajca i oszust, miał czelność mówić jej, co ma robić. Czy ta złość kiedykolwiek przeminie? Pokłady wściekłości nie są chyba niewyczerpane.

Viola nachyliła się, podając Sophie ogień.

– Czyli był wdowcem albo rozwodnikiem i nic ci o tym nie wspomniał, tak?

– Czyli miał drugą żonę, jakąś Szwedkę. Wciąż byli małżeństwem, kiedy brał ślub ze mną.

– Dobry Boże. – Viola nie należała do osób często okazujących zdziwienie. Była spokojną, zrównoważoną osobą, która zdawała się wręcz traktować okazywanie niedowierzania lub zdumienia jako oznakę słabości. Tym razem jednak wyglądała na zupełnie zbitą z tropu.

– Dowiedziałam się o tym na początku roku, po śmierci Hugh. Przebywał w Glasgow ze swoją drugą rodziną, kiedy zachorował. A potem wszystko wyszło na jaw.

– Dobry Boże – powtórzyła Viola, otwierając szeroko jasnobrązowe oczy i marszcząc czoło. – Hugh miał jakąś inną rodzinę? Miał więcej

dzieci?

– Tak, dwie córki.

– Och, Sophie.

– Starsza z nich mieszka w Chelsea. Wyszła za mąż. Nie znam jej nazwiska po mężu, ale na imię ma Rowan.

– Nie znam jej. Nie znam zbyt wielu ludzi z Chelsea. Często bywają pretensjonalni, nie sądzisz? – Viola gardziła pretensjonalnymi ludźmi. Po chwili dodała: – Zawsze uważałam, że zasługujesz na kogoś lepszego niż Hugh. Był wprawdzie przystojny i czarujący, nie przeczę, ale oprócz tego miał w sobie jakąś… Nie tyle przebiegłość, ile nieprzeniknioność. Nie sposób było zgadnąć, o czym myśli. Poza tym pomiatał tobą.

Teraz to Sophie okazała zaskoczenie.

– Nigdy nie podniósł na mnie ręki – zaprotestowała, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego właściwie go broni.

– Miałam raczej na myśli sposób, w jaki zawsze stawiał na swoim. Był naprawdę dobry w osiąganiu własnych celów. Zresztą nie tylko na tobie stosował swoje sztuczki. Wszystkimi manipulował, łącznie z Dougiem. – Doug był mężem Violi.

Sophie bez wahania przyznała rację przyjaciółce. Dlaczego nie zdała sobie z tego sprawy wcześniej? Hugh zawsze dostawał to, czego chciał. Jeżeli napotykał jakikolwiek opór, wytrwale go pokonywał, aż do zmęczenia przeciwnika, albo po prostu robił swoje, nie zważając na niczyje zdanie. Powinna była częściej mu się sprzeciwiać. On podejmował wszystkie decyzje dotyczące ich wspólnego życia. Zadecydował o tym, gdzie mieszkali, do jakich szkół uczęszczali chłopcy, dokąd wyjeżdżali na wakacje i ile razy w tygodniu przychodziła sprzątaczka, pani Leonard. Ilekroć zgłaszała zastrzeżenia, próbował je obalić namowami i pochlebstwami, ale po pewnym czasie okazywał nieugiętą stanowczość. Jego nalegania były nacechowane w równym stopniu słodyczą i siłą.

– Myślałam, że jest miłością mojego życia, Vi – wyznała Sophie. – Czuję się jak ostatnia idiotka.

– To on był ostatnim draniem – stwierdziła z werwą Viola. – Zrobił rzecz niewybaczalną. Nie waż się obwiniać siebie w żaden sposób.

Wsparcie przyjaciółki podniosło Sophie na duchu. Dawno nie czuła się równie pokrzepiona.

– Czy chłopcy wiedzą? – zapytała Viola.

– Powiedziałam im po śmierci ojca. Duncan prawie ze mną nie rozmawia od tego czasu.

– Zwróciłam uwagę, że jest ostatnio w złym nastroju, ale zrzucałam to na karb wieku i żałoby po ojcu. A co z córkami Hugh? Wiedzą o tobie?

– Nie przypuszczam. – W chwilach, gdy powracała myślami do rozmowy z Theą Craxton na pogrzebie, Sophie odczuwała niejaką obawę, że nie zachowała należytej ostrożności. Nie mogła sobie przypomnieć, co dokładnie powiedziała; miała nadzieję, że nie odsłoniła się zanadto.

– Oprócz Duncana i Stuarta ty jedna wiesz – dodała.

– Powinnaś mi była powiedzieć dawno temu! To straszne, że musiałaś przechodzić przez to wszystko samotnie!

– Bałam się, że będziesz mną pogardzać.

– Och, Sophie, jakież to rozpaczliwie smutne. Jak mogłabym tobą pogardzać?

– Żyliśmy ze sobą w grzechu blisko dwadzieścia lat. Wiele osób byłoby tym zniesmaczonych.

Viola przekrzywiła usta na jedną stronę. Sophie spodziewała się usłyszeć coś w rodzaju: „to by świadczyło tylko o nich", na co odpowiedziałaby, że owszem, ale ostracyzm jest nieprzyjemny, tak czy inaczej.

Tymczasem Viola oznajmiła:

– Nie mnie oceniać. Sama mam kochanka. Arnold jest cudownym mężczyzną, widujemy się dwa razy w miesiącu w zacisznym hotelu. Te spotkania trzymają mnie przy życiu, pomagają znosić Douga. Nigdy ci o tym nie mówiłam, ponieważ wydawałaś się być przywiązana do tradycyjnych wartości.

W czasie gdy Viola snuła dalej swą opowieść, Sophie dokonywała koniecznych przewartościowań. Arnold pracował jako zegarmistrz. Mieszkał w Bermondsey. Jego małżeństwo było nieudane. Ludzie często są zupełnie inni, niż się z pozoru wydają, pomyślała. Weźmy na przykład Violę: płaska jak deska, bez śladu makijażu na twarzy,

a właśnie opowiada, jakim cudownym kochankiem jest Arnold, w odróżnieniu od Douga, któremu brakuje erotycznej wyobraźni. Cała ta przedziwna sytuacja była jednak w pewnym sensie pokrzepiająca.

Pan Ludgate, na którego wykład o archeologii Thea wybrała się pewnego wieczoru do Conway Hall, był mężczyzną drobnej postury ubranym w staroświecki surdut i koszulę frakową. Wyglądał jak pan Chamberlain. Większość studentów była płci męskiej; wyjątek stanowiły Thea i złotowłosa dziewczyna w przepięknym zamszowym płaszczyku, przycupnięta z tyłu sali. Obok niej siedział wysoki mężczyzna o kędzierzawych włosach w kolorze miedzi.

– Do cholery, Max, czy naprawdę musisz się tak afiszować ze swoim znudzeniem? Ja bez szemrania poszłam na twoją głupią walkę bokserską. – Theę doszły słowa jasnowłosej. Od czasu do czasu oglądała się przez ramię, by zerknąć na tę parę. W pierwszej połowie wykładu, podczas której pan Ludgate przedstawiał bieżące teorie archeologiczne, Max czytał gazetę, eksponując złowieszczy nagłówek: „Nowe postanowienia brytyjskiego rządu dotyczące obrony narodowej prawdopodobnie zostaną ogłoszone jutro". Po odkryciach Flindersa Petriego w Egipcie przyszedł czas na prace wykopaliskowe Carla Blegena na terenie dawnej Troi, a następnie na osadę w Skara Brae, w Orkney, badaną przez Gordona Childe'a. Max porzucił gazetę, skrzyżował ramiona i zapadł w drzemkę, głośnym chrapaniem akompaniując słowom pana Ludgate'a.

Wykładowca zwracał się do swego audytorium per „panowie", jak gdyby Thea i dziewczyna z końca sali były niewidzialne. Kiedy skończył omawiać przygotowany materiał i zachęcił studentów do zadawania pytań, nie reagował na uniesione do góry ręce dziewcząt.

Blondynka z ostatniej ławki podeszła do Thei, gdy obie wyszły już z budynku.

– Nadęty stary głupiec – powiedziała z najwyższą niechęcią. – Miałam ochotę czymś w niego rzucić. Ani jednej wzmianki o kobietach archeologach.

– A są takie?

Dziewczyna popatrzyła na nią z politowaniem.

– Ma się rozumieć, że tak. Moja babka jest archeolożką. Matka również. Poza tym nie słyszałaś o Dorothy Garrod? Czy o Mary Kitson Clark? – Przytoczyła jeszcze kilka nazwisk, po czym dodała: – Powinnaś to przeczytać, jeśli interesujesz się archeologią. Ja już skończyłam. – Wyciągnęła w stronę Thei trzymaną w ręku książkę.

Na sfatygowanej okładce widniał tytuł *The Prehistoric Archaeology of Britain* („Archeologia prehistoryczna w Wielkiej Brytanii"). Autorką była Rana Hughes.

– Jesteś pewna? – zapytała Thea.

– O tak, bardzo proszę. Tylko ostrzegam, jest dość nudna.

– Strasznie ci dziękuję. – Chciała ją zapytać o imię i poprosić o adres, pod który będzie mogła odesłać książkę po przeczytaniu, ale dziewczyna odeszła, mówiąc do swego towarzysza:

– Pospiesz się, Max, bo nie zdążymy na czas. – Po czym oboje ruszyli w stronę zaparkowanego przy krawężniku motocykla. Wsiedli na niego i szybko odjechali.

Thea wróciła do pensjonatu w Bloomsbury i otworzyła sobie drzwi do pokoju w suterenie. Peggy nie było, miała więc całe pomieszczenie tylko dla siebie. Dwa wąskie łóżka, w ciągu dnia przykryte kocami i ozdobnymi poduszkami, służyły za otomany. Umeblowania dopełniały komoda, nieduży stół i dwa fotele. Na ściennych wieszakach wisiały ubrania i schły płaszcze. Peggy przechowywała swoje farby, szkicowniki, płótna i płyty w rogu pokoju, a książki Thei tworzyły stertę obok łóżka. Kuchnię i łazienkę dzieliły z tuzinem innych lokatorów. Raz na jakiś czas ktoś z mieszkańców wyprawiał hałaśliwe przyjęcie, które rozlewało się na korytarze i docierało do piwnicy. Rowana nazywała ten pokój „kredensem", ale Thea go uwielbiała.

Poszła do kuchni przygotować sobie coś do jedzenia. Włączyła radio, drżąc z obawy, po czym odetchnęła z ulgą po wysłuchaniu wiadomości: wojna jeszcze nie wybuchła. Lęk narastał jednak z każdą minutą zbliżającą ją do kolejnego serwisu informacyjnego. Sygnał w kuchni pozostawiał wiele do życzenia i informacje, które

we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku były konsekwentnie złe i napawające niepokojem, przerywały zakłócenia.

Ten wieczór nie należał do wyjątków. Premier Neville Chamberlain poleciał do Niemiec, aby raz jeszcze porozmawiać z kanclerzem Adolfem Hitlerem na temat dalszych losów Czechosłowacji. Szumy i trzaski. Hitler żądał oddania Niemcom pokaźnej części terenów należących do Czechosłowacji. Kolejna seria trzasków i utrata sygnału.

Chleb się skończył, a Thea zapomniała kupić mleko. Zrobiła sobie czarną herbatę, próbując sobie wyobrazić, jak ona sama by się poczuła, gdyby część jej kraju miała nagle zostać wchłonięta przez inne państwo, na przykład gdyby hrabstwo Hampshire czy też Wiltshire od dziś przynależały do Francji. To było nie do pomyślenia.

Jeden ze współlokatorów – wysoki, wychudzony i wyglądający na chorego mężczyzna imieniem Miller, wszedł do kuchni, powłócząc nogami, ubrany w niechlujny szlafrok i zniszczone kapcie. Przechylił głowę na bok, słuchając wiadomości, które znów zaczęły napływać z radia.

– Chryste, najdalej za tydzień wybuchnie wojna – orzekł.

– Tak myślisz?

– Wszystko na to wskazuje.

– Chcesz herbaty?

– Nie, dzięki. Masz coś do jedzenia?

Thea pokręciła głową.

– Przykro mi.

– Nie jadłem od trzech dni. – Napełnił szklankę wodą z kranu, po czym opuścił kuchnię, szurając kapciami.

Głos prezentera BBC po raz kolejny zanikł wśród zakłóceń. Thea wyłączyła odbiornik i zabrała kubek na dół, do sutereny. Fala mdłości odebrała jej apetyt. „Najdalej za tydzień wybuchnie wojna". Może Miller ma rację? Wszystkie jej nadzieje, zmartwienia i ambicje okażą się nagle bez znaczenia. Przypomniała sobie oglądane w gazecie zdjęcia hiszpańskich miast po zbombardowaniu przez niemieckie myśliwce. Za tydzień Londyn może stanąć w ogniu. Ten pensjonat i pokój, który dzieliła z Peggy, mogą się zamienić w stertę gruzu i popiołu.

Nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić, żeby zapobiec wybuchowi wojny, a myślenie o tym nie pozwalało jej zasnąć, toteż dla rozluźnienia kartkowała *Archeologię prehistoryczną w Wielkiej Brytanii*, popijając herbatę. Nazwisko wykaligrafowane na pierwszej stronie, Helen Fainlight, bez wątpienia należało do dziewczyny w czarnym płaszczu, której babcia była archeolożką. Jednakże omiatając wzrokiem tytuły rozdziałów, natrafiła na coś jeszcze, co przyprawiło ją o szybsze bicie serca.

Szarzy Tancerze z wyspy Corran. Jeden z opisywanych w książce zabytków znajdował się na Corran, u której skalistych wybrzeży zatonęła żaglówka matki Thei, o nazwie „Iduna". Ciało Sigrid Craxton wypłynęło po dwóch dniach od wypadku. Została pochowana na Corran, ponieważ kochała to miejsce najbardziej na świecie – tak powiedział kiedyś ojciec Thei. Ona sama nie miała żadnych wspomnień związanych z wyspą.

Przewróciła kilka stron i zatrzymała się przy szkicu wysokich kamieni tworzących półkole – Szarzy Tancerze. Przebiegła wzrokiem podanie ludowe o kochankach, którzy zostali obróceni w kamienie za karę, za złamanie nakazów szabatu, i zaczytała się w opisie terenu. Trzynaście menhirów z czerwonego piaskowca przemieszanych z mniejszymi głazami z szarego granitu na płaskim podmokłym gruncie oddalonym około ośmiuset metrów od wybrzeża. Najwyższy głaz mierzy trzy metry i sześćdziesiąt pięć centymetrów. Autorka opisała krąg jako majestatyczny i niezwykły relikt epoki neolitycznej.

Do świadomości Thei przeniknął obraz olbrzymiego głazu dumnie wyprostowanego na tle rozżarzonego błękitnego nieba. Powierzchnię kamienia pokrywały zielonobrunatne porosty. Poczuła ciepły dotyk rozgrzanego słońcem granitu. W oddali połyskiwało w słońcu morze. Czy to wspomnienie, czy tylko wyobrażenie? Miała sześć lat, kiedy matka utonęła podczas tej ostatniej tragicznej wyprawy na Corran. Wolałaby, żeby to było wspomnienie. Niewiele pamiętała z tego najwcześniejszego okresu życia, który spędziła z matką. Zachowała wspomnienie kurtyny pszenicznych włosów opadającej na szczebelki łóżeczka. Pamiętała wysoki czysty głos śpiewający kołysankę w obcym języku. Czyjąś dłoń w swojej, kiedy biegła po piasku, i dźwięczny śmiech. Ilekroć usiłowała skupić uwagę na tych

odłamkach pamięci, rozpływały się jak kakaowy proszek w gorącym mleku.

Do pokoju weszli Peggy i Gerald.

– Pomyśleliśmy, że odwiedzimy Ralpha i Nancy – oznajmiła Peggy. – Nancy ugotowała zupę. Idziesz z nami, Theo?

Poszli na górę, zastukawszy po drodze do drzwi Millera. Ralph i Nancy Wadhamowie, wraz ze swoją malutką córeczką Mollie, zajmowali cztery pokoje na ostatnim piętrze budynku. Ralph, krępy brodaty trzydziestolatek, pracował jako scenograf i wykładowca na pół etatu w Slade. Młodsza od niego żona Nancy była jedną z jego byłych studentek.

W pokoju siedziało około dwunastu osób, część na fotelach, część na dywanie. Nancy zbierała puste miski po zupie. Jej ładna twarz o delikatnych rysach była dziś blada i znużona, a brązowe loki niedbale związane i ukryte pod postrzępioną szarą chustką.

Peggy i Thea przycupnęły na parapecie; Gerald usiadł na podłodze u stóp Nancy. Weszli w środku gorącej dyskusji, atmosfera w pokoju była gęsta od napięcia.

– Musimy znaleźć jakiś cywilizowany sposób rozwiązywania sporów pomiędzy państwami, a nie strzelać od razu z armat – mówił podniesionym głosem Ralph Wadham.

– Czesi mogą uznać rozwiązanie proponowane przez Chamberlaina za niespecjalnie cywilizowane – zauważył blady chłopak imieniem Leo, o powierzchowności intelektualisty, Thea pamiętała go z wcześniejszych spotkań u Wadhamów.

– Jeszcze ćwierć wieku temu Czechosłowacja nie istniała. Powstała w wyniku głęboko wadliwego traktatu pokojowego.

– Na miejscu Czechów nie byłabym zadowolona – odezwała się dziewczyna z warkoczami w kolorze lnu – gdybym ni z tego, ni z owego stała się obywatelką innego kraju z powodu kaprysu kilku starszych panów.

– Trudno mówić o jakimkolwiek kaprysie. To sposób na wprowadzenie zmian bez stosowania przemocy, rozumiesz? Co według ciebie powinniśmy zrobić? Zaatakować zbrojnie Niemcy, bo się z nami nie zgadzają?

– Nie mówiłam o żadnym ataku zbrojnym, chodziło mi o…

– Użycie siły jest niewyobrażalne, zarówno z praktycznego, jak i etycznego punktu widzenia.

– Ale jeżeli staniemy z boku i pozwolimy Hitlerowi robić, co mu się podoba…

– Gdybyśmy użyli wojska, bylibyśmy tacy sami jak oni, przecież to oczywiste – stwierdził autorytarnie Ralph. Dziewczyna z warkoczami zamilkła.

– Usiądź – zwróciła się tymczasem Peggy do Nancy. – Wyglądasz na skonaną. – Zrobiła dla niej miejsce na parapecie.

– Dzięki. – Nancy usiadła, wzdychając. – Mollie nie spała pół nocy. Ząbkuje.

– Gdzie deser, Nance? – zainteresował się Ralph.

Gospodyni wstała i przeszła do kuchni. Thea i Peggy za nią. Na niedużym drewnianym stole i suszarce do naczyń piętrzyły się stosy talerzy i sztućców. Brudne garnki moczyły się w szarej wodzie w zlewozmywaku.

Nancy szybko myła miski pod kranem, Thea i Peggy je wycierały.

– Mamy tylko sześć. Nie dawajcie Ralphowi tej wyszczerbionej, bo zrobi aferę. Trzeba będzie użyć talerzy. O nie – westchnęła z irytacją. – Też są brudne.

– A spodki? – zaproponowała Thea.

– Racja. Spodki.

Kiedy wróciły do pokoju, chłopak imieniem Gwyn zaproponował pomoc w serwowaniu ciasta. Jego ciemne kręcone włosy lśniły w popołudniowym słońcu, przyciągając wzrok Thei. Lubiła na niego patrzeć, choć trudno by jej było wytłumaczyć dlaczego. Co w układzie tej twarzy sprawiało, że człowiek miał ochotę na nią patrzeć i patrzeć?

Nagle Gwyn uniósł głowę i pochwycił spojrzenie Thei. Odwróciła się, umierając ze wstydu.

– Cśśś – szepnęła nagle Nancy, nasłuchując. – Czy to Mollie?

– Pójdę sprawdzić. – Podniosła się Roma, wysoka dziewczyna ubrana w granatowe ogrodniczki i białą koszulę; pracowała jako modelka w Slade.

– Może zaśnie, jeśli ją trochę pobujasz w wózku, Ro.

Dziewczyna wyszła z pokoju.

– Anglia tchórzliwie poparła agresję Niemiec i Włoch – mówił Leo. – Odmawiając uzbrojenia Republice Hiszpanii, pomagamy w zwycięstwie Franco. Włosi natomiast użyli trującego gazu w Abisynii, na litość boską. Też nic nie zrobiliśmy. Doprawdy ręce opadają.

– Rodzaj broni nie ma większego znaczenia – stwierdziła Amy, która mieszkała w pokoju na parterze. – Użycie każdej jest jednakowo okrutne i nikczemne.

– Nie sądzisz, że w trującym gazie jest coś wyjątkowo nikczemnego?

– Jeżeli uznajesz ten przypadek za wyjątkowy, to czy nie sugerujesz tym samym, że konwencjonalna broń nie budzi większego sprzeciwu?

– Nie. Co za bzdura.

Ktoś wspomniał o Peace Pledge Union.

– Bełkot – skwitował Leo. – Bezproduktywny, wyrachowany bełkot. Pacyfizm to sposób na zakamuflowane poparcie polityki ustępstw.

– Ty podżegaczu wojenny! – ryknął znienacka Ralph.

– Podżegaczu wojenny? – obruszył się Leo.

Ale Ralph skupił już uwagę na czym innym.

– Nie ma już sosu – orzekł, zaglądając do dzbanka. – Nie starczyło dla biednego Jakoba.

– Nie szkodzi – zapewnił Jakob, naukowiec żydowskiego pochodzenia i niemiecki uchodźca. – Szarlotka smakuje wybornie bez niczego.

– Lepiej dorób więcej, Nance.

– Nie mamy dość mleka, zostało tylko dla Mollie.

– Nie będziemy jeść szarlotki bez sosu.

Wszyscy usłyszeli donośny, rozpaczliwy płacz dziecka. Nancy zacisnęła usta, zabierając pusty dzbanek do kuchni.

– Ralph, mówisz tak, jakbyśmy czekali, aż coś się wydarzy – odezwał się znowu Jakob. – A przecież to się już dzieje, każdy dzień przynosi nowe wydarzenia. Chorobliwe ambicje ludzi dzierżących władzę to nie są jakieś hipotetyczne problemy, dramat już trwa, po prostu jeszcze nie dotarł do Anglii. Ale nawet tutaj, w bezpiecznym Londynie, można znaleźć zwolenników Hitlera.

– Mollie całkiem się rozbudziła – oznajmiła Roma, wracając do pokoju. – Nancy próbuje ją uspokoić. Podejrzewa, że to przez ząbkowanie. – Usiadła obok Gwyna, który przesunął rękę w górę i w dół jej kręgosłupa. Thea odwróciła oczy.

Głos ponownie zabrał Ralph:

– Mój ojciec trafił po wojnie do szpitala dla nerwowo chorych. Siedzi tam już dwadzieścia lat. Odwiedzamy go z matką raz w miesiącu. Prawie nie mówi i mnie nie poznaje. Dobrze wiem, co wojna robi z ludźmi.

Peggy dotknęła przedramienia Thei i obie przeszły do kuchni. Na zmianę tuliły Mollie. Thea poczuła się lepiej, trzymając w objęciach ciepłe pulchne ciałko i wdychając zapach jedwabistej skóry niemowlęcia. Wszystkie jej zmartwienia zeszły na dalszy plan. Później Nancy przejęła córeczkę; śpiewała kojącą kołysankę, podczas gdy Peggy i Thea robiły dla wszystkich kawę. Ralph zapomniał o sosie. Do kuchni docierały podniesione głosy, trwała ożywiona dyskusja na temat wydarzeń monachijskich.

– Nie można rezygnować z rzeczowej rozmowy.

– Świetnie się sprawdziła w wypadku Franco, co? Ach, Boże mój, a jakże znakomite rezultaty przynosi w wypadku Hitlera.

– Żarty sobie stroisz.

Nancy delikatnie kołysała Mollie. Dziecko zamknęło oczy, oparło główkę na ramieniu mamy. Przerwy między kolejnymi szlochami były coraz dłuższe. Thea pomyślała o rysunku przedstawiającym głazy na wyspie Corran. Czy była tam kiedyś ze swoją mamą? Może spacerowała pośród tych kamieni; może mama wzięła ją na ręce, kiedy się zmęczyła, i całowała w czubek głowy, tak jak teraz Nancy całuje Mollie?

Wkrótce potem poszły do siebie. Gerald postanowił zostać dłużej, Peggy i Thea schodziły więc na dół same.

– Nancy powiedziała mi, że znów jest w ciąży – mruknęła Peggy, zwracając się do Thei. – Nie może jeść, bo zaraz jej się zbiera na wymioty.

– Coś okropnego.

Zielonkawe światło padało na popękane linoleum w pokoju. Ostatnie promienie słońca przefiltrowane przez zakurzone ciemne

liście platanu za oknem.

– Nancy jest malarką – powiedziała Peggy. – Jej nauczyciel ze Slade uważa, że jest strasznie utalentowana.

– Co malowała?

– Głównie oleje. Kwiaty. Olbrzymie przecudnie kolorowe płótna. Coś pięknego.

– Nie wydaje mi się, aby teraz znajdowała czas na malowanie.

– Nie ma szans. Nie namalowała nic od urodzenia Mollie.

– Czy myślisz, że malarka, która nie maluje, wciąż pozostaje malarką?

– Nancy kiedyś powróci do malowania.

Thea nie była tego taka pewna. Przypomniała sobie, z jakim znużeniem i rezygnacją powiedziała, żeby nie dawać Ralphowi wyszczerbionej miski. „Bo zrobi aferę”. Tak jakby jej zadaniem było uspokajanie męża, tak samo jak uspokajała niemowlę.

– Ralph mógłby więcej pomagać – zawyrokowała. – Chyba widzi, jak bardzo Nancy jest zmęczona.

Peggy prychnęła lekceważąco.

– Ralph nigdy w niczym nie pomaga, czyżbyś tego nie zauważyła? Myśli, że gotowanie i podawanie jedzenia to powinność kobiet. Zresztą żaden z facetów nie ruszył palcem w kuchni.

– Gwyn trochę pomagał.

– Ale nie Gerald.

– Wyjdziesz za niego, Peggy?

– Nie wiem. Niedługo wyjeżdża.

– Dokąd?

– Do Ameryki Południowej. Do Brazylii. Jego kolega organizuje ekspedycję i zaprosił go do udziału. Będą szukać jakiegoś zaginionego plemienia.

– Ależ to emocjonujące! – Thea poczuła ukłucie zazdrości. Wiele by dała, aby móc podróżować jak Gerald! Spojrzała na pozostawioną na łóżku *Archeologię prehistoryczną w Wielkiej Brytanii*. Mimo że uwielbiała swoje londyńskie życie, zaczynała jej doskwierać tęsknota za otwartą przestrzenią, górami i morzem. Niestety zanosiło się na to, że niebawem straci pracę, gdyż sklep zamierzał zastąpić kurierów rowerowych furgonetkami dostawczymi. Wpadła na pomysł

odwiedzenia wyspy Corran. Chciała zobaczyć neolityczne głazy na własne oczy i miała dość oszczędności, by zrealizować pomysł.

Peggy schowała ręce do kieszeni bawełnianej zielonej spódnicy.

– Gerald zapewnia, że mnie kocha, a potem znika na wiele miesięcy, nie dając znaku życia – poskarżyła się.

– Z dżungli trudno wysyłać listy, jak przypuszczam.

– Spędził trzy miesiące w Szkocji i przez cały ten czas dostałam od niego tylko jedną zmurszałą pocztówkę. A nie sądzę, żeby brakowało tam skrzynek pocztowych.

– Nie brakuje, mamy ich mnóstwo. – Thea zmarkotniała, myśląc o tym, że sama nie ma perspektyw na romantyczne uniesienia, z nikim się jeszcze nie spotykała. Chłopcy w jej typie, tacy jak Gwyn, byli zajęci, ci natomiast, którzy okazywali jej zainteresowanie, nie wzbudzali w niej żadnych emocji.

– Chciałabym wreszcie kogoś poznać – wyznała. – Chyba wszystkich odstraszam. – Może dlatego, że jestem molem książkowym, pomyślała, przypominając sobie określenie Simona Pembertona.

– Nic podobnego. Po prostu jeszcze nie trafiłaś na tego jedynego. – Peggy udała omdlenie, a Thea parsknęła śmiechem.

We wrześniu Simon zabrał Rowan do Ashleigh Place. Bujne żywopłoty grodziły wąskie serpentyny szos hrabstwa Suffolk; wczesnojesienne słońce przeświecało przez korony buków, rzucając cętki na pobocze w miejscu, gdzie zatrzymał auto, żeby ją pocałować. Dom znajdował się kilka kilometrów od wioski o nazwie Hawkedon. Był otoczony parkiem, w którym prastare dęby i kasztanowce rzucały głębokie cienie na trawę. Okrzyk zachwytu Rowan na widok posiadłości sprawił Simonowi ewidentną radość. Położenie domu na zboczu niewielkiego wzniesienia dodawało mu pewnego subtelnego, malowniczego dramatyzmu. Powietrze przesycone zapachem lawendy i bukszpanu, drewniane belki w wyblakłej brunatnej kolorystyce, ściany z czerwonej cegły, ogród

przed domem pełen figur szachowych z przystrzyżonych cisów – wszystko to składało się na wspaniałą ucztę dla zmysłów.

Denzil Pollington, wuj Simona, powitał ich, nie szczędząc jowialnych komplementów. Spod fezu w kolorze bordo, ozdobionego czarnym frędzlem i haftami, wymykały się puszyste białe kosmyki przerzedzonej grzywki. Bladoniebieskie oczy spoglądały bystro spod fałd pomarszczonej skóry. Starszy pan nie szczędził starań, by Rowan czuła się w jego domu komfortowo. Podczas kolacji poprosił o kraciasty koc do przykrycia dla siebie i dla niej: w starych murach panował ziąb, w domu nie było elektryczności, światło dawały świece i lampy olejowe, a ogrzewanie zapewniały otwarte paleniska. Denzil zbeształ Simona za to, że nie przedstawił mu Rowan wcześniej, podsuwał jej najlepsze kąski i namawiał na skosztowanie sauternesu z domowej piwniczki.

Ponadsiedemdziesięcioletni, uskarżający się na słabe zdrowie gospodarz wcześnie odszedł od stołu i udał się do swej sypialni. Rowan i Simon zostali sami.

– Zrobiłaś na nim doskonałe wrażenie, kochanie – stwierdził z pełnym zadowolenia uśmiechem, gdy jego wuj się oddalił. – Dobra robota.

Nazajutrz Rowan wstała wcześnie i poszła na samotny spacer po ogrodzie na tyłach domu. Powietrze było świeże i rześkie, nisko wiszące słońce świeciło białym światłem. Podziwiała fioletowe kępki szałwii oraz drobne biało-różowe stokrotki porastające szczeliny w murach domu i przestrzenie pomiędzy kamieniami ścieżki. Nad stawem, w którym pływała złota rybka, stał posąg nimfy; z trzymanej przez nią odwróconej urny wypływała woda.

Rowan popatrzyła za siebie z miejsca na skraju ogrodu. Zastanawiała się, kiedy Simon wstanie i czy przyjdzie tu za nią. Miała cichą nadzieję na oświadczyny. Zgadywała, że właśnie w tym celu przywiózł ją do Ashleigh Place, domu, w którym kiedyś razem zamieszkają. Wprawdzie nie była jeszcze wolną kobietą, ale wyobrażała sobie, iż on wyrazi gotowość, by poczekać.

Nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Weszła w wysoką trawę. Czerwono umaszczona krowa spoglądała na nią brązowymi oczami spod długich rzęs, listowie drzew i krzewów połyskiwało soczystą

zielenią. Minęła stodołę, stajnie i drewnianą chatkę. Mężczyzna pracujący w swoim ogródku warzywnym pozdrowił ją, uchylając kapelusza. Przystanęła nad strumykiem w olszynowym zagajniku, obserwując pokaz nurkowania pomarańczowo-szafirowego zimorodka. Gdzieś w gałęziach pobliskiego wiązu zarechotał głośno dzięcioł zielony.

Wróciła tą samą drogą przez zagajnik i łąkę. W ogrodzie czekał na nią Simon.

– Gdzieś ty była? – Był wyraźnie zniecierpliwiony. – Spóźniłaś się na śniadanie. Denzil o ciebie pytał. Jest umówiony, więc nie zostaniemy na lunch.

Pocałowała go, odsuwając na bok rozczarowanie niespodziewanym powrotem do domu. Sam fakt, że Simon ją tu przywiózł, był swoistą deklaracją miłości, uznała. Ujęła go pod rękę.

– Cóż za cudowne miejsce, kochanie – rzekła. – Miałeś rację: to najwspanialszy dom na świecie.

*

Piątkowy wieczór, który Rowan spędziła w towarzystwie Nicky'ego Oliviera, zbiegł się z powrotem Neville'a Chamberlaina do Londynu z jego trzeciej podróży do Niemiec. Nicky otworzył szampana w swoim mieszkaniu w Belgravii i włączył radio. Wspólnie słuchali transmisji z lotniska w Heston. Spiker relacjonował wyjście polityka z samolotu na płytę lądowiska. Wymachiwał przed wiwatującym tłumem kartką z podpisami swoim i Hitlera, zwieńczeniem swych wysiłków. To już pewne, twierdził Chamberlain, niebezpieczeństwo wojny między państwami zostało zażegnane na zawsze.

– „Przywiozłem wam pokój" – powtórzył Nicky, wyłączywszy odbiornik. Stuknął swoim kieliszkiem w kieliszek Rowan, po czym powrócił na sofę. Na jego ciemnym posępnym obliczu zagościł cyniczny uśmieszek. – A więc jednak nie zostanę żołnierzem. Co za ulga.

Rozdział siódmy

Listopad 1938

Thea podróżowała na północ okrężną drogą, przez Krainę Jezior. Odwiedziła neolityczny krąg kamienny w Castlerigg. Następnie dojechała pociągiem z kilkoma przesiadkami do Ardrossan nad zatoką Firth of Clyde, gdzie zatrzymała samochód dostawczy, który powiózł ją serpentynową przybrzeżną szosą do maleńkiego wietrznego portu. Prom na wyspę Corran kursował dwa razy dziennie, dostarczał pocztę i zaopatrzenie.

Gdy siedziała w niedużej łodzi płynącej przez cieśninę, poczuła mdłości i zimny pot na skórze. Próbowała skupić całą uwagę na przybliżającej się szarej bryle wyspy. Wyszła na brzeg w Portmore i usiadła ciężko na niskiej podmurówce, boleśnie świadoma własnej beznadziejności. Powinna odczuwać wzruszenie, tremę lub przytłoczenie powrotem na Corran, gdzie rodzina Craxtonów miała niegdyś dom letniskowy i gdzie pochowano jej matkę, tymczasem jedynym uczuciem, jakie jej towarzyszyło, była ulga, że zdołała dotrzeć na drugą stronę bez wymiotów.

Po jakimś czasie odzyskała zainteresowanie otoczeniem. Stroma uliczka wiodła na górę, z dala od przystani i skupiska kamiennych budynków. Ruszyła przed siebie. Minęła bar, sklep i skromny bielony kościół. Po chwili zostawiła za sobą niedużą osadę, weszła na pola i łąki.

Przerzuciła plecak przez ogrodzenie z prętów i przeskoczyła na drugą stronę. Po rozbiciu namiotu poczuła wilczy głód. Zjadła kolację złożoną z zupy pomidorowej i owsianych herbatników, po czym do

zapadnięcia zmroku oddawała się lekturze. Następnie zwinęła się w kłębek w śpiworze i zasnęła snem sprawiedliwego.

Nazajutrz wyruszyła na poszukiwanie kamiennego kręgu. Po trzykilometrowej wędrówce dotarła do ścieżki prowadzącej od głównej drogi w górę zbocza, ku centrum wyspy. Przeszła po kamieniach przez płytki strumień, wyszła z lasu na otwartą przestrzeń, gdzie szlak zwężał się w cienki pasek wydeptanej trawy i ziemi. Błoto chlupotało pod kaloszami, kiedy patrzyła jak zaczarowana a to na jaskrawopomarańczową kępkę grzybów (*Aleuria aurantia*, pomyślała), a to na zielone liście paproci, przypominające sztylety, a to na samotny dzwonek okrągłolistny schowany wśród traw – widok rzadko spotykany w listopadzie.

Ścieżka stała się bardziej zdradliwa, prowadziła przez ciernie i kamienie, zakręcała wokół aksamitnych od mchu głazów. Wtem oczom dziewczyny ukazali się Szarzy Tancerze – byli tuż-tuż, przed jej oczami, na trawiastej polanie. Przystanęła w zachwycie. Majestat i ogrom monumentu zapierał dech w piersiach. *Kamienie tworzą spłaszczony okrąg… Wejście, jak w wielu budowlach neolitycznych, tworzą dwa wielkie menhiry*, przywołała w pamięci cytat z książki, którą miała w plecaku, od Helen Fainlight. Przyłożyła otwartą dłoń do powierzchni jednego z trzynastu czerwonych piaskowców. Rozgrzany słońcem kamień wydawał się niemal żywy.

Naszkicowała widok i zrobiła kilka fotografii, po czym zjadła kupione po drodze w sklepie w Portmore tabliczkę czekolady i jabłko. Czy prehistoryczni ludzie mieszkali w pobliżu kręgu? A może służył wyłącznie do odprawiania rytuałów? Być może wybrali to miejsce dlatego, że była to jedna z niewielu płaskich powierzchni na wyspie, która przypominała wystający z wody głaz. Jakże ciężkie życie wiedli tutaj ludzie, skoro cokolwiek do jedzenia trzeba było sobie upolować, znaleźć lub wyhodować na kamienistej ziemi. Jakże trudno było się ogrzać podczas długiej ciemnej zimy.

Deszcz znaczył kamienie czarnymi kropkami, stalowe chmury zasnuły jeszcze niedawno błękitne niebo. Kiedy srebrnoszara kurtyna ulewy zasłoniła kamienny krąg, Thea ruszyła w dół zbocza, przez las, ścieżką zaczynającą się po drugiej stronie polany. Pośród brunatnych kolumn drzew znalazła schronienie i chłodną katedralną powagę.

Natrafiła też na prawdziwe skarby: oto muchomor czerwony w białe kropki, taki jak w bajkach, a tam jakiś błyszczący i lepki od śluzu grzyb, którego nie rozpoznała, wyglądał, jakby miał się zapaść z powrotem pod ziemię. I jeszcze jeden, galaretowaty i przezroczysty; gdyby go dotknęła, mogłaby go przebić na wylot. Wyjątkowo piękny przedstawiciel *Auricularia auricula*. Przykucnęła w sosnowym igliwiu, żeby go zerwać.

Deszcz przestał już padać, kiedy wynurzyła się z lasu z powrotem na otwartą przestrzeń. Serpentyna ścieżki wiodła na dół pomiędzy szpalerami jarzębin i brzóz. Morze było odległym roziskrzonym błękitnym trójkątem; po niebie krążył myszołów.

Napisy wyryte na starszych nagrobkach cmentarza w Portmore zatarł deszcz, wiatr i czas. Mężczyźni ginęli na morzu, kobiety umierały w połogu, niekiedy razem z noworodkami, innym gorączka zabierała ukochane dzieci. Thea odszukała matczyny grób z prostym pomnikiem z białego marmuru w rogu cmentarza, w cieniu cisowego drzewa. Odczytała inskrypcję. *Sigrit Margareta Craxton, 1892–1927, ukochana żona Hugh, pokój jej duszy.*

Uprzątnęła martwe liście i ozdobiła nagrobek bukietem zerwanej po drodze jarzębiny. Po kościelnym dziedzińcu panoszyła się słona morska bryza z chłodną zapowiedzią zimy. Rowan opowiadała, że latem tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku spędzały tutaj we trzy – Rowan, Thea i mama – większość weekendów. Co przyciągało Sigrid Craxton do tego odludnego miejsca? Może tęskniła za chłodnym klimatem szwedzkiej wsi, gdzie się urodziła i wychowała. Może odnajdowała na Corran podobne poczucie odosobnienia. Nietrudno zrozumieć, dlaczego była oczarowana. Thea również zakochała się w tej wyspie.

Coś jednak nie dawało jej spokoju. We trzy. Tamtego lata dwudziestego siódmego roku Sigrid wielokrotnie odwiedzała Corran w towarzystwie córek. Ale bez męża. Uwielbiała pływać i żeglować – być może, podobnie jak Rowan, była kobietą targaną niepokojem, pełną energii domagającej się ujścia. Rowan nie potrafi usiedzieć

zbyt długo w jednym miejscu, możliwe, że pod tym względem były do siebie podobne. Pod maską witalności i aktywności skrywa cierpienie. Czyżby ich matka także była nieszczęśliwa i dlatego tamtego lata spędzała tutaj tak dużo czasu? Czy gdyby nie miała kłopotów małżeńskich, spędzałaby tyle czasu z dala od domu? Thea przypomniała sobie o kobiecie w czerni na pogrzebie ojca.

Nietrudno sobie wyobrazić, że Hugh Craxton również nie spędzał w domu owych weekendów, w które Sigrid zabierała córki na Corran na pokładzie „Iduny", nieprawdaż? Można przypuszczać, że już wtedy odwiedzał swego nieistniejącego przyjaciela, Malcolma Reida, a raczej kochankę, panią Torrance.

Duncan dostał wezwanie do Wojskowej Akademii Lotniczej w Desford w hrabstwie Leicestershire i od tego czasu cały dom żył przygotowaniami do wyjazdu. Sophie usiłowała ukryć przejmujący ból ściskający jej serce. Dzień opuszczenia domu nadszedł zbyt prędko. Zjedli razem śniadanie, a potem syn nałożył płaszcz na korytarzu. Uściskali się na pożegnanie i wyszedł. Przystanął jeszcze na chwilę przy bramie, pomachał z uśmiechem na twarzy.

Sophie obserwowała go z okna na piętrze. Dostrzegała w jego postawie optymizm połączony z obawą. Ze ściśniętym sercem uprzytomniła sobie, że jest już dorosłym mężczyzną, że jej chłopiec już nie powróci, ale powstrzymała się od płaczu, żeby widzieć go wyraźnie jak najdłużej. W końcu zniknął w tłumie przechodniów i na próżno wytężała wzrok. Poszedł.

Wspólnie z panią Leonard pozdejmowały pościel z łóżek i zabrały ją do prania, jak zawsze tego dnia tygodnia. Po południu Sophie zajęła się sprzątaniem nieużywanego pokoju. Stuart wrócił ze szkoły, świadczyło o tym tupanie na schodach.

– Cześć, mamo.

– Cześć, synku. – Pocałowała go na powitanie. – Jak ci minął dzień w szkole?

– Dobrze. A ty co robisz?

– Mierzę okna. Przytrzymasz mi taśmę? – Spełnił prośbę. – Muszę zarobić trochę pieniędzy na opłacenie rachunków – wyjaśniła. – Pomyślałam, że moglibyśmy wynająć komuś ten nieużywany pokój.

– Dobry pomysł.

– Nie masz nic przeciwko temu? – zapytała, spoglądając na syna.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu?

– Metr siedemdziesiąt. – Zanotowała wynik pomiaru. – Te zasłony wiszą tu, odkąd kupiliśmy dom. Poza tym przydałoby się odmalować ściany.

– Pomogę ci, mamo.

– Bardzo dziękuję, synku.

Stuart zszedł na dół po coś do jedzenia. Sophie odpłynęła myślami do domu w Glasgow zamieszkiwanego przez córki Hugh. Wyobrażała sobie ściany pokryte luksusowymi tapetami od Sandersona i zasłony marki Liberty w oknach, podczas gdy ona i jej synowie musieli się zadowolić tanią farbą klejową i błyszczącą bawełną ze sklepu Army & Navy.

Przyjęcie lokatora wydawało się najlepszym rozwiązaniem palących problemów finansowych. Jedyną alternatywą była sprzedaż domu i kupno czegoś mniejszego, a tego wolała uniknąć. Patrzyła przez okno, wspominając malejącą sylwetkę oddalającego się Duncana, która w końcu zniknęła w tłumie. Za parę lat Stuart także może zechcieć opuścić rodzinny dom. Zostanie wtedy całkiem sama. Gdyby wynajęła pokój, miałaby przynajmniej jakieś towarzystwo. Poza tym szukanie odpowiedniej osoby zapewni jej zajęcie na pewien czas.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przełamie swoją samotność. Czy zdoła znowu zaufać jakiemukolwiek mężczyźnie i czy będzie potrafiła dać sobie szansę na miłość, bo przecież w dalszym ciągu potrzebowała miłości, ciepła, przyjaźni i towarzystwa. Przecież wszystko to jest nie mniej ważne od strawy dla ciała i ognia w kominku. Miała czterdzieści dwa lata. Z lustra wciąż spoglądała na nią atrakcyjna kobieta. Kiedy szła ulicą, dostrzegała podziw w oczach mężczyzn. Byłoby jej trudno zrezygnować z tej części siebie.

*

Wąska ścieżka otoczona bujną gęstwiną brunatnych paproci wiła się po klifie ku kamienistej plaży. Zachmurzone ciemnoniebieskie niebo migotało jak diamenty. Liście paproci i jeżynowe gałązki smagały łydki Thei, kiedy schodziła na dół. Szare czerepy wysepek mniejszych od Corran wystawały z wód zatoki – wzdłuż zachodniego wybrzeża Szkocji były ich setki, wyglądały jak rozsypane korale.

Weszła na kamienisty brzeg w akompaniamencie odgłosów wody szurającej po piasku i uderzającej o kamienie. Wdrapała się na głaz wystający z morza. Czuła na skórze drobne kropelki wody, kiedy największe fale uderzały o kamień. Długo siedziała, obserwując radosne popisy głuptaków wpadających do wody jak białe strzały z nieba.

Wreszcie wyruszyła w dalszą drogę, wokół wyspy. Lśniące brązowe wstęgi wodorostów i bezbarwne kleiste szczątki meduz zaścielały linię brzegową. Kamyki chrzęściły pod butami. Jaskinia – wypłukana wnęka w nabrzeżnej skale – połykała szum wody i odpowiadała echem na spadające krople. Ciągnęła się daleko w głąb klifu, koniec ginął w nieprzeniknionej czerni. Czy ludzie z epoki neolitycznej, którzy zbudowali krąg z kamieni, zamieszkiwali ongiś tę jaskinię? Thea wyobraziła sobie płonące ogniska i cienie na ścianach.

Zaczęło padać. Naciągnęła kaptur na głowę i ruszyła stromą ścieżką w górę urwiska. Rozejrzała się wokół: morze spowijał szary koc wilgotnej mgły. Szczyt skarpy, którą szła, był odsłonięty, bez drzew. Nie miała gdzie się skryć przed szkwałem. Nie zabłądziła, w każdym razie niezupełnie, po prostu trochę straciła orientację. Spostrzegła nieduży biały dom i udała się w jego stronę.

Niebo tymczasem znowu się przejaśniło i wyszło słońce. Nad wodą zajaśniała tęcza. Powietrze pachniało mokrą trawą, a płaszcz – zmokłym psem. Przydomowy ogród otaczał mur, który prawdopodobnie służył do ochrony upraw przed silnym nadmorskim wiatrem. Zieleń była starannie rozplanowana, tworzyła schludny labirynt ścieżek i klombów. Skarłowaciałe drzewa wyciągały przed siebie palce pokrzywionych gałęzi. Wierzba, wygięta w łuk nad zakrętem ścieżki, miała konar z płaskorzeźbą ryby podczas skoku. Kamienny ptak przycupnięty na szczycie ogrodzenia wyglądał, jakby zrywał się do lotu. Zdawało się, że w każdej chwili mógłby rozłożyć

skrzydła, poszybować nad falami, by zanurkować między nimi niczym głuptaki, które Thea obserwowała z plaży.

Z domu ktoś wyszedł. Mężczyzna w średnim wieku ubrany w przetarte na kolanach sztruksowe spodnie i kraciastą koszulę.

Pomachał energicznie i przyjaźnie.

– Dzień dobry pani!

– Dzień dobry.

– Wspaniała pogoda na przechadzkę. – Podszedł do bramy.

Przytaknęła, po czym zapytała o drogę do Portmore. Miasteczko jest oddalone tylko o trzy kilometry, powiedział, wskazując drogę szybkimi ruchami ręki.

– Jest pan rzeźbiarzem? – spytała.

Miał mocne, wyraziste rysy twarzy, bystre ciemne oczy i proste czarne włosy gdzieniegdzie przetykane siwizną.

– Nie – odpowiedział. – Eilidth, moja siostra, jest rzeźbiarką. Ja piszę. Prozą i wierszem. A pani? Czym pani się zajmuje?

– Niczym – odparła zgodnie z prawdą. – Chwilowo nie pracuję. Byłam kurierem rowerowym, dostarczałam zakupy spożywcze, ale sklep zaczął rozwozić zamówienia samochodem dostawczym.

– Ach, ten nieubłagany postęp.

– Poszukam innego zajęcia po powrocie do Londynu. Najpierw chciałam zwiedzić Corran. Zobaczyć kamienny krąg.

– I widziała go pani?

– O tak, jest magiczny.

Popatrzył na nią z ciepłym uśmiechem.

– To jedno z moich ulubionych miejsc na wyspie. A właściwie na ziemi. Proszę zaczekać, coś pani pokażę.

Zniknął we wnętrzu domu, by po chwili pojawić się z dłonią zaciśniętą na jakimś drobnym przedmiocie. Westchnęła, kiedy pokazał jej kamienną głowicę siekiery.

– Coś pięknego. Mogę potrzymać?

– Oczywiście. – Podał jej eksponat. – Dostałem od Tancerzy. Znalazłem ich kilka między nimi.

Przesunęła kciukiem po powierzchni szarego granitu o owalno-trójkątnym kształcie. Głowica idealnie układała się w dłoni. Była elegancka i praktyczna.

– Lorcan! – Z domu dobiegł kobiecy głos. – Kolacja!

Thea chciała mu oddać zabytkowe znalezisko.

– Nie, proszę sobie zatrzymać – powiedział.

– Ależ nie mogłabym… – zaprotestowała oszołomiona.

– Nalegam. W ten sposób zawsze będzie pani miała przy sobie w Londynie fragment Corran. – Popatrzył na nią i zmarszczył brwi. – Właściwie… Chwileczkę.

Raz jeszcze zniknął we wnętrzu domu. Parę chwil później powrócił z książką, którą jej ofiarował.

– Chciałbym, żeby pani ją ode mnie przyjęła – rzekł.

– Dziękuję. – Spojrzała na okładkę. Był to tomik wierszy autorstwa Lorcana Richardsona zatytułowany *Pożegnanie z wyspą*. – Jest pan bardzo miły.

Schowała do plecaka głowicę i książkę, pożegnała Lorcana, po czym wyruszyła w drogę do Portmore.

*

W nocy rozpętała się burza, wiatr zawodził między drzewami i powiewał połami namiotu. Rano wciąż padał deszcz, ale wichura nieco zelżała. Thea zeszła w dół porośniętego łąką zbocza. Popatrzyła na morze, zjeżone niczym smoczy ogon. Woda była miejscami czarna i lśniąca jak krzemień, a miejscami ożywała kłębowiskiem białych grzyw roztańczonej piany. Thei zdawało się, że dostrzega kamienną rafę w tym szaro-białym wirze.

Być może tę samą, przez którą zatonęła łódź jej matki. „Tamtego dnia na morzu szalał sztorm”, powiedziała kiedyś Rowan w odpowiedzi na pytanie o szczegóły wypadku. Bardzo możliwe, że pogoda była podobna do dzisiejszej. Co jeszcze mówiła Rowan? „Ta krótka przeprawa na wyspę i z powrotem na główny ląd to była dla mamy drobnostka, jak przejście przez ulicę. Wszyscy się później zastanawiali, co się właściwie stało. Czy źle oceniła siłę wiatru? Czy może deszcz ograniczał widoczność do tego stopnia, że za późno zauważyła wystające z wody skały? Albo zorientowawszy się w sytuacji, próbowała zawrócić i zrobiła zbyt gwałtowny manewr.

Tata najbardziej się skłaniał ku tej ostatniej teorii. Uważał, że uderzyła o skały, łódź nabrała wody i wywróciła się do góry dnem”.

Thea zadrżała. Jaka matka naraża w ten sposób życie własnych dzieci? Jak można wypłynąć w morze małą łódką podczas sztormu? Pogoda tymczasem poprawiła się na tyle, że prom pocztowy wznowił rejsy i Thea mogła powrócić na cypel Mull of Kintyre. Kiedy doszła do siebie po przeprawie, ruszyła mozolnie pod górę i dotarła do szosy, tam zatrzymała ciężarówkę transportującą owce, z kobietą za kierownicą. Zwierzęta meczały i beczały przez całą drogę do Ardrossan. Dojechawszy na miejsce, Thea wsiadła do pociągu jadącego w kierunku Glasgow. Stamtąd pojechała koleją do Londynu. Na ostatnim etapie podróży wyjęła książkę od Helen, ale zasnęła nad nią i obudziła się dopiero wtedy, gdy za oknami przedziału migały już londyńskie przedmieścia. Kończą mi się pieniądze, pomyślała. Trzeba będzie poszukać pracy. A także jakiegoś celu w życiu.

Najpierw jednak postanowiła odnaleźć Helen Fainlight i zwrócić pożyczoną książkę. Nazajutrz rano odwiedziła bibliotekę w Kensington. Nazwisko Fainlight nie należało do najpospolitszych; w książce telefonicznej widniały tylko dwie osoby, które je nosiły. Pan W. Fainlight mieszkał dość daleko, przy Earl’s Court, ale profesor M. Fainlight był zameldowany przy Gordon Square, niedaleko gmachu British Museum, co oznaczało, że byli praktycznie sąsiadami. Zatem najpierw uda się do niego.

Na najwyższym stopniu schodów prowadzących pod drzwi domu przy Gordon Square leżała paczka owinięta w brązowy papier. Thea nacisnęła dzwonek.

Otworzyła jej dziewczyna ubrana w kraciastą spódnicę i szary wełniany sweter.

– Dzień dobry, w czym mogę pani pomóc?

– Ktoś to zostawił na schodach – powiedziała Thea, podając paczkę nieznajomej. – Ja natomiast poszukuję Helen Fainlight. Czy mieszka pod tym adresem?

– Kto przyszedł, Lucy? – zawołał ktoś z końca korytarza. – Czy to Stafford?

– Nie, Grace. Koleżanka do Helen. Przepraszam, jak pani godność?

– Thea Craxton.

Starsza z kobiet – Grace, jak przypuszczała Thea – podeszła do drzwi.

– Proszę wejść – powiedziała. – Helen jeszcze nie ma, ale spodziewamy się jej lada chwila.

Thea podążyła korytarzem za drobną utykającą staruszką o głowę niższą od siebie. Srebrne włosy Grace były związane w niedbały węzeł na karku.

Rzędy przeszklonych witryn i regałów ustawionych w korytarzu zawierały setki fascynujących przedmiotów – skamielin, potłuczonych naczyń, glinianych korali i kości. Książki stały w podwójnych rzędach i leżały, zajmując puste przestrzenie na górze. Thea zerknęła na przeciwległą ścianę. Wisiało na niej więcej fotografii piramid i rowów archeologicznych niż rodzinnych portretów.

– Pani imię pochodzi od Dorothei czy Althei – zainteresowała się Grace. – A może od Theodory?

– Od żadnej z wymienionych. Nazywam się po prostu Thea.

Kobieta zaprowadziła ją do pokoju z sofą w kolorze zielonego jabłka, kilkoma krzesłami i biurkiem, którego blat ginął pod maszyną do pisania, a także stosami papierów i żurnali. W kominku płonął ogień. Grace usiadła na krześle z wysokim oparciem, Thea zajęła miejsce na sofie. Gdzieś w innej części domu zadźwięczał dzwonek telefonu, zaszczekał pies, grała muzyka i dochodził stamtąd stłumiony szmer rozmów.

– Ta nowoczesna moda na krótkie imiona jest niebywale praktyczna – stwierdziła Grace. – Moi rodzice uznali za stosowne obdarować mnie trojgiem imion: Wilhelmina Hiltraud Grace. Naturalnie czym prędzej pozbyłam się pierwszych dwóch. Widzę, że ma pani egzemplarz książki Rany.

Thea ściskała *Archeologię prehistoryczną w Wielkiej Brytanii*.

– Nie należy do mnie – wyjaśniła. – Pożyczyłam ją od Helen Fainlight i teraz chciałabym oddać.

– Helen to moja wnuczka – poinformowała promiennie Grace. – Miło mi panią poznać. Bardzo lubię, gdy przychodzą do niej koleżanki.

Lucy, dziewczyna w kraciastej spódnicy, zajrzała do pokoju.

– Zrobić herbaty?

– To byłoby miłe z twojej strony.

– Muszę uratować Sylvię i Russella przed Montym. Nie pozwoli im nic przełknąć – powiedziała Lucy i wyszła.

Stary spaniel przydreptał zasapany i położył się na podłodze obok krzesła Grace.

– Monty to mój mąż – wyjaśniła starsza pani. – Podobała się pani książka, Theo?

– Nadzwyczajnie.

– Rana jest moją serdeczną przyjaciółką. Cudownie pisze o erze neolitycznej. Oczywiście rozdział o Orkney powstał, zanim dotarł tam znakomity Vere Gordon Childe. Archeolog musi nieustannie uzupełniać i aktualizować wiedzę w oparciu o nowe fakty. Nie ma sensu się obrażać, jeśli ktoś obalił naszą teorię. Żyjemy w epoce wielu nowych, fascynujących odkryć. Była pani w Skara Brae, Theo?

– Nie, jeszcze nie. Widziałam za to Szarych Tancerzy z wyspy Corran, Stonehenge i Avebury.

– A więc interesuje panią archeologia?

– Bardzo.

– Niektórzy patrzą na kamienny neolityczny grobowiec i widzą jedynie stertę starych kamieni, ale są też tacy ludzie jak my, dla których tego rodzaju miejsca są portalami do innego świata. Nie pracuje pani w terenie?

– Niestety nie. Chociaż wiele bym za to dała.

– Naprawdę? – zapytała z uśmiechem Grace. – Potrafi pani dobrze rysować?

– Tak, chyba tak – odparła Thea, zdziwiona nagłą zmianą tematu.

– Do jakiej szkoły pani uczęszczała? Czy posiada pani dyplom jej ukończenia? Jakie były pani ulubione przedmioty?

Thea odpowiedziała na pytania gospodyni najbardziej wyczerpująco, jak umiała. Ponownie zadzwonił telefon, ktoś otworzył drzwi. Z korytarza dobiegł podekscytowany głos:

– Joan! Russell przyszedł! Opalony na brązowo.

Do pokoju wszedł spacerowym krokiem przystojny białowłosy starszy pan odziany w podniszczone workowate tweedy.

– Jesteś nareszcie, Monty – powitała go Grace. – Musisz poznać panią Theę Craxton, koleżankę naszej Helen. Theo, to jest mój mąż, Monty Fainlight.

Podali sobie ręce.

– Stafford czeka na linii, Grace – powiadomił żonę Monty. – Chce z tobą pomówić. Czy ktoś robi herbatę?

– Lucy. Zaraz będzie gotowa.

– Dzięki Bogu, umieram z pragnienia – oświadczył i się oddalił.

– Przepraszam, Theo, muszę odebrać ten telefon. – Po chwili Grace także opuściła pokój.

Dziewczyna z przyjemnością została sama w gabinecie. Promienie słońca wpadające przez duże okna tworzyły refleksy na gładkiej drewnianej podłodze. Podobał jej się ten pokój, w którym nigdy nie zabraknie interesujących rzeczy do oglądania ani fascynujących książek. Polubiła też jego właścicielkę, od razu poczuła się swobodnie w jej towarzystwie. Miały takie same zainteresowania. Musiała jednak powiedzieć prawdę o znajomości z Helen, przecież dziewczyna mogła jej w ogóle nie pamiętać.

Postanowiła działać, zanim ktokolwiek ponownie odwróci uwagę Grace.

– Tak naprawdę nie jestem koleżanką Helen – wyznała natychmiast po jej powrocie. – To znaczy wydała mi się szalenie miła, ale miałam okazję ją spotkać tylko raz. Nawet nie zdążyłam zapytać o imię, kiedy wspaniałomyślnie pożyczyła mi tę książkę, która na szczęście jest podpisana.

Grace uśmiechnęła się z czułością.

– To całkiem do niej podobne.

Kiedy Lucy wkroczyła do gabinetu z tacą, podążało za nią pół tuzina innych osób. Napełniała filiżanki herbatą z imbryczka, podczas gdy pozostali zajmowali miejsca na kanapie, krzesłach, mościli się na podłodze. Grace przedstawiła Theę, korzystając z tego, że rozmowa o wykładzie Mortimera Wheelera nieco przygasła. Chwilę później wypłynął nowy temat. Monty stanął na środku pokoju z filiżanką

herbaty. Spijał ze spodka rozlane krople. Ciasta zostały pokrojone, słodkie bułeczki i dżem truskawkowy rozdane.

Rozległ się odgłos otwieranych drzwi i Grace popatrzyła wyczekująco. Po chwili pojawiła się Helen w towarzystwie Maksa. Jasne włosy dziewczyny były potargane od wiatru, miała na sobie ten sam zamszowy płaszczyk, który Thea zapamiętała z sali wykładowej.

– Strasznie się spóźniliśmy, babciu? – Helen pochyliła się, by pocałować Grace. – Przeklęty motocykl nie chciał zapalić. Cześć, dziadku. – Uścisnęła Monty'ego. – Umieram z głodu.

– Kochani, cudownie, że udało wam się przyjechać – odpowiedziała jej babcia. – Przesuń te papiery, Max, i usiądź sobie na biurku. Thea przyszła do ciebie, Helen. Pamiętasz Theę.

Helen rzuciła płaszczyk na podłogę i wepchnęła do ust kawałek drożdżówki.

– Ach, no tak. Spotkałyśmy się na wykładzie tego okropnego bubka. Jak się miewasz, Theo? – Osunęła się na dywanik obok krzesła Grace i przeczesała palcami długie jedwabiste ucho spaniela.

Monty zaczął opowiadać o wykopaliskach w Szwajcarii, niedaleko Bazylei. Russell puścił w obieg garść fotografii.

– Niesamowity amfiteatr – pochwalił ktoś.

– Rzymianie – skrzywiła się Helen. – No co? Nie mówcie, że się ze mną nie zgadzacie. Jest w nich coś posępnego, przyznajcie sami.

Max prychnął.

– Mamy się obrazić na całą cywilizację? – zapytał Monty.

– Czemu nie.

– Helen ma bardzo wyraziste poglądy – stwierdził Max.

– Na szczęście. Ludzie pozbawieni poglądów są nudni jak flaki z olejem. Ty też masz własne zdanie na każdy temat.

– Owszem. – Przesłał jej całusa w powietrzu.

– Masz jakieś wieści od swojego ojca, Helen?

– Dziś rano dostałam list.

– Powinniśmy przesłać Tobiasowi odbitki tych zdjęć. Znasz jego adres w Szwecji?

Helen wyjęła z kieszeni kopertę i podała Grace.

– Proszę, babciu.

– Zajmę się wysyłką – zaofiarowała się Lucy.

– W gruncie rzeczy byli przesiąknięci faszyzmem – oznajmiła Helen, strzepując okruszki. – Rzymianie. Wiecie, co mam na myśli. Oni zawsze kojarzyli mi się z najgorszym rodzajem represyjnej męskiej energii. Jeszcze gorszej od tej, jaką reprezentuje Max.

– Dziękuję, kochanie. – Skłonił się lekko.

– To były całkiem inne czasy, moja droga – zwróciła uwagę Grace. – Thea przyniosła ci twoją książkę.

– Jaką książkę?

– Tę, którą napisała Rana.

Helen położyła łyżeczkę dżemu na kolejną porcję słodkiego pieczywa.

– Możesz ją sobie zatrzymać, jeśli chcesz. Przestań, Max. To moje. Weź sobie drugą.

– Thea chciałaby pracować w zawodzie archeologa – powiedziała Grace.

– Może przyszłaby na miejsce Rosemary? – zaproponowała Helen.

– To samo pomyślałam. – Starsza pani przeniosła spojrzenie na Theę. – Potrzebuję kogoś do szkicowania i robienia notatek. Przeklęte biodro uniemożliwia mi swobodne przemieszczanie się, dlatego muszę mieć zaufaną asystentkę. Pisze pani na maszynie?

– Tak. – Serce Thei zaczęło nagle bić bardzo szybko. Czuła, że chwyciła się krawędzi czegoś wspaniałego, lecz dodała szczerze: – Ale niezbyt szybko.

– To bez znaczenia. Chyba nie ma pani nic przeciwko grzebaniu w ziemi?

– Przeciwnie. Grzebanie w ziemi sprawia mi przyjemność.

– A pani sytuacja domowa… Ma pani męża, dzieci?

– Boże uchowaj, jestem wolna jak ptak.

– Doskonale. – Grace sprawiała wrażenie zadowolonej. – A zatem czy zechciałaby pani podjąć u mnie pracę?

Rozdział ósmy

Grudzień 1938

Rowan wyczuwała, że w dalszym ciągu pozostaje na marginesie życia Simona, choć przecież nic już nie stało na przeszkodzie, by byli razem. Zdarzało im się nie widzieć ze sobą przez kilka dni. Przedstawił ją tylko niektórym, wybranym znajomym. Założył klub charytatywny dla ubogich artystów na Dean Street, który zapewniał im schronienie oraz porządny posiłek, i od czasu do czasu czynił mgliste obietnice zabrania jej tam. Wizyta jak dotąd nie doszła do skutku. Wbrew nadziejom Rowan na regularne wycieczki do Ashleigh Place więcej jej tam nie zaprosił, chociaż sam od września odwiedził Denzila już kilka razy. Rowan obawiała się, że namiętność zaczyna wygasać.

Artemis słusznie ostrzegała ją przed towarzyskim wykluczeniem po rozwodzie z Patrickiem. Jeszcze nawet nie była rozwódką – tkwiła na towarzyskiej pustyni dla kobiet w separacji – a już wiele osób, z których jedną czy dwie uważała za bliskie, odsunęło się od niej. Pewnego dnia dostrzegła w restauracji Selfridge znajomą twarz. Kiedy zaproponowała koleżance, że się do niej przysiądzie, ta odwróciła głowę i wyjęła puder z torebki.

– Lepiej nie, Rowan – powiedziała, patrząc na swoje odbicie w lusterku.

Ot i tyle. „Lepiej nie”. Zabolało ją to odrzucenie.

Pewnego grudniowego popołudnia, w piątek, portier wręczył jej list, kiedy wróciła po obiedzie do mieszkania na ulicy Macklin w towarzystwie dawnej przyjaciółki ze szkolnej ławy, Dory Mottram, której ostatnimi czasy nie najlepiej się powodziło. Patrick kupił dla

niej to lokum po sprzedaży domu w Chelsea. Rozpoznawszy stanowczy charakter pisma Simona, wsunęła list do kieszeni i przyrządziła herbatę dla Dory.

Kiedy otworzyła kopertę, poczuła dreszcz ekscytacji. Simon zaprosił ją ponownie do Suffolk. *Kochana Rowan*, pisał, *czy masz jutro czas, żeby pojechać ze mną do Ashleigh Place? Denzil utyskuje, że nie widział Cię od wieków. Przyjadę po Ciebie punktualnie o pierwszej*.

Bentley pokonywał szosy, wzdłuż których ciągnęły się budynki fabryk i magazynów, ściśniętych razem jak karty z powyginanymi rogami w pudełku. Pajęczyny zardzewiałych drabinek przeciwpożarowych pokrywały poczerniałe od sadzy szeregówki, a wysokie gazownie w kształcie walców górowały nad sklepami i dworcami kolejowymi. Następnie wyjechali na londyńskie przedmieścia z bliźniaczymi willami o bielonych, pokrytych kamyczkami fasadach i na wpół drewnianych gankach z dwuspadowym zadaszeniem, a także z garażami, zajazdami i parkami miejskimi.

– Wszystko tutaj jest tak potwornie grzeczne – burknął Simon, który był w złym humorze. – Gdybym miał wybierać między zamieszkaniem na przedmieściach a w slumsach, wybrałbym to drugie. Wśród biedoty przynajmniej nie umarłbym z nudów.

– Ten bar jest całkiem urokliwy – zauważyła Rowan, próbując go rozweselić. Niedbale wykonany szyld na niedużym białym budynku przedstawiał retrievera stojącego nad martwym bażantem. – Może wstąpimy na drinka?

– Nie mamy czasu. W termosie jest herbata, jeśli doskwiera ci pragnienie. Zwróciłaś uwagę na nazwę tej speluny? Pod Psem i Strzelbą? Dwadzieścia, trzydzieści lat temu była tu wioska. Sto lat temu, zanim wspólne tereny zostały odgrodzone, tutaj prawdopodobnie rozciągały się moczary zarośnięte dziką roślinnością. Zbezcześciliśmy naszą ziemię.

Przystojna twarz Simona wyrażała niesmak. Za Braintree drogi stopniowo się zwężały. Mijali wsie, zaorane pola i zagajniki.

Za miejscowością Castle Hedingham musieli zjechać na pobocze z powodu przedziurawionej opony. Simon miotał się wściekle, kiedy ją wymieniał. Odrzucił pomoc Rowan, przysiadła więc na ogrodzeniu i zjadła kawałek ciasta cytrynowego, które kamerdyner zapakował im na drogę.

Wreszcie dotarli do Ashleigh Place, gdzie Simon zaparkował z chrzęstem opon na żwirze. Powitała ich gospodyni Denzila, pani Frostick, a następnie wskazała im ich pokoje.

– Pan Pollington odpoczywa – powiedziała. – Spodziewa się spotkać z gośćmi na drinka w głównej sali o osiemnastej.

Rowan z pomocą pokojówki włożyła jedwabną suknię wieczorową w kolorze chartreuse. Była gotowa do wyjścia, kiedy Simon zapukał do jej drzwi.

– Wyglądasz zachwycająco – pochwalił ją i pocałował.

Schodząc po schodach, usłyszeli dobiegające z dołu głosy Denzila i jakiejś kobiety. Simon gwałtownie przystanął i zmarszczył brwi.

– O nie.

– Co się stało?

– Ona tu jest. Nie dam rady.

– Kto? – Szarpnęła go za mankiet. – O kim mówisz, Simonie?

– Pani Farmer – syknął, obracając głowę ku Rowan. – Jedna z tutejszych wdów. Niewiarygodnie ordynarny babsztyl. Mam nadzieję, że Denzil zaprosił ją tylko na drinka.

Weszli do wielkiej sali. Wuj Simona, ubrany w wieczorowy strój, siedział na fotelu obok olbrzymiego kamiennego kominka, z nogami przykrytymi kocem. Kobieta w czarnej wieczorowej sukni stanęła w pobliżu ze szklaneczką sherry. U jej stóp drzemał pekińczyk.

– Wybaczcie – powiedział Denzil, potrząsając dłonią Simona i składając pocałunek na ręce Rowan – że nie zszedłem was powitać, ale czuję się strasznie, reumatyzm dosłownie nie daje mi żyć. Simonie, tobie nie muszę przedstawiać pani Farmer. Pani Scott, oto moja droga przyjaciółka, towarzyszka i pocieszycielka na stare lata, pani Clarice Farmer.

Kobiety wymieniły uścisk dłoni.

– Bardzo miło mi cię poznać, kochana – rzekła pani Farmer. – Mów mi po imieniu. Clarice.

Rowan podała jej swoje imię.

– No proszę! – zawołała z zadowoleniem Clarice Farmer. – I wszyscy jesteśmy przyjaciółmi, prawda Pooky?

Zwracała się w ten sposób do Denzila, nie do psa. Simon był wyraźnie zdegustowany, gospodarz natomiast uśmiechnął się dobrodusznie, bez cienia urazy z powodu tej familiarności.

– Siadajcie, proszę – zaprosiła Clarice.

Zachowuje się, jakby była u siebie, pomyślała Rowan, a Simon cały się zjeżył.

Podano drinki. Rowan skorzystała ze sposobności, by baczniej przyjrzeć się pani Farmer. Nie była ani zbyt młoda – miała około czterdziestu pięciu lat – ani szczególnie urodziwa. Miała zaokrąglone, dość ponętne kształty, co było chyba jej największym atutem obok ciemnobrązowych włosów okalających miękkimi puklami twarz o grubo ciosanych rysach i brzydkiej cerze. Suknia, którą Rowan obrzuciła okiem znawczyni, bez wątpienia nie kosztowała mało, ale zanadto opinała biust i biodra.

Clarice Farmer zrelacjonowała im obszernie serię niefortunnych zdarzeń, jakie ostatnio były jej udziałem. Opowiedziała ze szczegółami o myszach, które zalęgły się w spiżarni, o przyjaciółce, która musiała opuścić dzielony z nią dom, żeby zaopiekować się poważnie chorą kuzynką, o pechowym upadku z roweru i skręconym nadgarstku gosposi.

– Gdyby Denzil nie zaprosił mnie dziś na kolację – zakończyła – siedziałabym całkiem sama nad talerzem suchego chleba i zimnej szynki!

Simon obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem.

– To bardzo miłe z twojej strony, Denzilu, że zaprosiłeś jeszcze jednego gościa w ostatniej chwili.

– Obawiam się, że źle zrozumiałeś. – Denzil popatrzył chłodno na siostrzeńca. – Zaprosiłem drogą Clarice kilka dni wcześniej niż was. O tobie przypomniałem sobie po czasie. Swoją drogą bardzo się spóźniłeś. Spodziewałem się ciebie znacznie wcześniej. Miałem nadzieję, że porozmawiamy o Priest's Field.

– Przepraszam. Przebiliśmy po drodze oponę.

– Nie znoszę spóźnialstwa – stwierdził Denzil. – Działa na mnie jak płachta na byka. Zawsze tak było.

– Czy Richards złożył ofertę w sprawie kupna pola? – zapytał Simon.

Denzil machnął ręką z irytacją.

– Owszem, bardzo rozczarowującą.

– W takim razie musisz ją odrzucić.

– I stanąć przed koniecznością melioracji tylu akrów przez kolejną zimę? – Denzil zarechotał wrogo. – Mówisz jak mieszczuch.

– Zapewniam cię, Denzilu, że jestem równie zmartwiony jak ty.

– W moim obecnym stanie zdrowia takie zmartwienie może być gwoździem do trumny.

Pokojówka zaanonsowała, że podano kolację, czym wybawiła gości od kontynuowania tego tematu. Przeszli do jadalni, wielkiego zimnego pomieszczenia przypominającego jaskinię, ze ścianami pokrytymi ciemną boazerią. Lampy oliwne i świece nie dawały rady rozproszyć wszechobecnego mroku.

Na pierwsze danie był bulion wołowy, delikatnie przyprawiony i dokładnie odcedzony. Z pewnością dzieło doskonałego kucharza. Przez moment po podaniu bordo wydawało się, że wszyscy odłożyli już na bok urazy i ostudzili nerwy, ale wtedy znowu przemówił gospodarz.

– Od twej ostatniej wizyty minęła wieczność, Simonie. Czyżbyś miał ciekawsze zajęcia aniżeli odwiedzanie starego schorowanego wuja?

Denzil, zauważyła w myślach Rowan, zdaje się zdeterminowany, by ukarać biednego Simona, który wyglądał na zranionego i zaskoczonego tą wymówką. Poczuła współczucie i chęć rozładowania napiętej atmosfery.

– O rety, Denzilu, przecież był u ciebie ledwie dwa tygodnie temu – rzekła z uśmiechem. – Widujesz go częściej niż ja.

– Kobieta taka jak pani, pani Scott – odparł Denzil, rozszarpując kawałek chleba drobnymi, różowymi, wymanikiurowanymi palcami – chyba nie narzeka na brak męskiego towarzystwa.

W pierwszej chwili nie dotarł do niej sens jego wypowiedzi i zawarta w niej zniewaga. Potem czekała na reakcję Simona, spodziewając się obrony, ale on uparcie milczał.

– Rzeczywiście mam szczęście do przyjaciół – powiedziała wreszcie z udawaną niefrasobliwością, ukrywając szok.

– Ja mam więcej przyjaciół niż czasu! – wtrąciła Clarice. – Towarzystwo z Londynu z czasów, gdy jeszcze mieszkałam w Highgate ze świętej pamięci Ronaldem, i wszyscy znajomi z Lavenham. Wyobraźcie sobie, że nie ma prawie dnia, żeby ktoś nie zaprosił mnie na lunch! Bez przerwy piszę listy albo rozmawiam przez telefon z dawnymi koleżankami ze szkoły. Oczywiście zawsze znajdę czas dla tych najbardziej wyjątkowych osób. – Dotknęła przedramienia Denzila.

Pusty, egocentryczny monolog Clarice jawił się Rowan jako istne błogosławieństwo, dał jej czas, by ochłonęła i zapanowała nad gniewem. Próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Simonem, lecz on uparcie patrzył w innym kierunku. Starała się usprawiedliwić przed samą sobą brak wsparcia ukochanego jego dobrym wychowaniem – ostatecznie siedzieli wszyscy przy stole Denzila, nie byli u siebie. Mimo wszystko boleśnie ją to dotknęło.

Później przestała się wysilać na jakikolwiek udział w konwersacji. Denzil wyraźnie ją ignorował; całą uwagę skupiał na pani Farmer, do niej kierował wszystkie komplementy i anegdotki. Simon natomiast był adresatem większości docinków. Nie dawał po sobie poznać, jaką sprawiają mu przykrość, jedynie napięcie widoczne w usztywnieniu ramion i przelotne grymasy twarzy zdradzały ból połączony z irytacją. Rowan podejrzewała, że męczy się przy tym stole nie mniej niż ona.

Mężczyźni zaczęli omawiać kwestię kupna zagajnika sąsiadującego z działką Denzila. Jego właściciel popadł w tarapaty finansowe w związku z trudną sytuacją w rolnictwie, Denzil zaś pragnął skorzystać z okazji, by wykupić pas terenu odgradzający posiadłość od drogi. Jednakowoż obaj z Simonem uważali, że cena, której zażądał rolnik, jest zbyt wygórowana.

– Osobiście napisałem list do Martina – mówił Denzil. – Własnoręcznie. Byłem pewien, że przystanie na moją ofertę, tymczasem dostałem pocztą odpowiedź odmowną w formie wulgarnych bazgrołów półanalfabety.

– Owlstone Wood należy do rodziny Martinów od przeszło stu lat – przypomniał Simon. Pokojówka podała krem śliwkowo-migdałowy z bitą śmietaną i budyniem. – Cierpliwości, Denzilu. W końcu sytuacja zmusi go do sprzedaży. Jest bliski bankructwa.

– Cierpliwości? – ryknął z wściekłością Denzil. – Kiedy automobile i samochody do przewozu mebli warczą mi pod bramą?

– Spokojnie, Pooky – odezwała się nierozsądnie Clarice. – Nie denerwuj się. Pomyśl o swoim słabym sercu.

– Proszę, nie używaj tego absurdalnego przezwiska – burknął opryskliwie.

Clarice struchlała.

– Ja tylko chciałam… Martwię się o ciebie.

– Ja także – stwierdził Simon. – Musisz bardziej dbać o zdrowie.

Nic nie było w stanie udobruchać wuja.

– Wobec tego musiałem odnieść mylne wrażenie – oznajmił ze złośliwym błyskiem w przeszywających niebieskich oczach. – Zdawało mi się bowiem, że z niecierpliwością odliczasz dni do chwili, kiedy opuszczę ten ziemski padół i Ashleigh Place przejdzie na twoją własność. Czyż nie dlatego się przede mną płaszczysz? Jeżeli tak, to muszę cię rozczarować. Zamierzam pożyć jeszcze kilka dobrych lat. Może zmienię testament. Nie wykluczam nawet ożenku, jeśli spotkam właściwą kobietę. – Przykrył małą pulchną dłoń Clarice swoją. Pani Farmer wyraźnie się rozpogodziła.

Simon natomiast pobladł.

– Zapewniam cię, Denzilu, że nic podobnego nawet mi nie przeszło przez myśl… – Urwał z nieszczęśliwą miną.

Niedługo potem obie panie wstały od stołu, aby zostawić mężczyzn samych z ich porto i cygarami. Clarice nalała kawy do filiżanek, prowadząc swój monolog o niczym. Mniej więcej po kwadransie przyszedł Simon z wiadomością, że Denzil udał się na wieczorny odpoczynek do swej sypialni.

– Och, moje biedactwo! – przejęła się Clarice. – Pójdę sprawdzić, czy czegoś mu nie potrzeba.

Simon odprowadził ją cynicznym spojrzeniem.

– Rany boskie, chyba poszła utulić Pooky'ego do snu – wymamrotał do Rowan, nie zważając na to, że wdowa może go jeszcze usłyszeć.

– Albo coś w tym rodzaju.

Zmarszczył brwi.

– Nie myślisz chyba, że są kochankami?

– Simonie. Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej.

– Byłem pewien, że ten etap życia już dawno jest za nim.

– Pani Farmer z pewnością dokłada wszelkich starań, aby do tego nie dopuścić.

– Niech ją diabli wezmą. – Simon usiadł i poluźnił krawat. – Co za tupet! Jaka bezczelna arogancja! Już traktuje ten dom jak swój! Ale wuj z całą pewnością się z nią nie ożeni. Nie jest przecież aż takim głupcem.

Rowan stłumiła westchnienie.

– Najdroższy, pani Farmer ma ponętną figurę i śmieje się ze wszystkich jego żartów. Mężczyźni żenią się z o wiele błahszych powodów. Ale nie mówmy już o nich. To dla mnie za duża dawka egocentryzmu jak na jeden wieczór. Poproszę brandy. Podwójną.

Clarice Farmer nie wróciła już na dół. Pokojówka wpadała raz na jakiś czas, aby opróżnić popielniczki i zaproponować dolewkę kawy i alkoholu. Koło północy poszli się kochać w pokoju Rowan. Krótkie żywiołowe zbliżenie pozwoliło Simonowi uwolnić część tłumionego gniewu, zanim powrócił do siebie na noc.

Pani Farmer ani Denzil nie zeszli rano na śniadanie. Po zjedzonym posiłku Simon poszedł na górę zapytać o samopoczucie wuja. Jako że długo nie wracał, Rowan narzuciła płaszcz i wyszła przed dom. Ogród jednakże o tej porze roku stracił nieco ze swej magii: poczerniałe astry leżały na mokrej od deszczu ziemi, śpiew ptaków zastąpiła chłodna cisza i odgłos cieknącej wody. Po półgodzinnym spacerze powróciła więc do pokoju i zaczęła się pakować.

Simon w końcu zapukał do jej drzwi.

– Denzil jest chory – oznajmił. – Doktor Paxman przyjechał do niego w nocy i zalecił, by bezwzględnie został w łóżku. Ta kobieta rwała się do roztoczenia nad nim opieki, ale zdołałem przekonać medyka, żeby przysłał zawodową pielęgniarkę. Nie ma sensu, żebyśmy tu dłużej siedzieli.

Pani Farmer nie pokazała się więcej, a Simon nie zaproponował, aby Rowan poszła powiedzieć „do widzenia” Denzilowi. W drodze do

samochodu milczał. Zaczął wyrzucać z siebie słowa, dopiero gdy przemierzali wilgotne brązowe wiejskie tereny.

– A co będzie, jeśli on jednak postanowi ją poślubić? – Musiała go dręczyć niepewność. – I urodzi im się dziecko?

Rowan, która była już mocno znudzona tematem, odparła:

– Nie sądzę, żeby zdecydował się na zalegalizowanie związku. Ostatecznie, jak sam twierdzi, brzydzi się wulgarnością. Poza tym ona nie jest już chyba w wieku na rodzenie dzieci. Gdyby jednak okazało się inaczej; gdyby wzięli ślub i spłodzili potomka – musiałbyś zacisnąć zęby i pogratulować. – Przyjrzała mu się wnikliwie. – Myślałeś o tym, że mógłby być z nią szczęśliwy?

– Szczęśliwy? – żachnął się. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Na pewno doskwiera mu samotność. Mieszka sam w ogromnym starym domu na odludziu. Jeżeli go kochasz, zapewne zależy ci na jego szczęściu. A musisz go bardzo kochać, skoro tolerujesz takie traktowanie.

– O co ci chodzi? – Obrzucił ją wrogim spojrzeniem.

– Jesteś na każde jego skinienie. Jak ten parszywy kundel Clarice.

– Przestań, Rowan.

– Okropnie się na tobie wyżywał wczoraj wieczorem – mówiła dalej, nie bacząc na ostrzegawcze tony w głosie Simona.

– Ma taki sposób bycia. To o niczym nie świadczy.

– W porządku, skoro tobie nie przeszkadzają jego zniewagi, nie będę się wtrącać. Niemniej kiedy obelgi padają pod moim adresem, a ty nie reagujesz – trochę mi to przeszkadza.

Zmienił się na twarzy, ale tylko na chwilę. Rowan nie była pewna, czy uczucie, które przemknęło przez jego oblicze, było irytacją, czy poczuciem winy.

– Denzil źle się czuł – mruknął. – Cierpiał.

– Nie na tyle, żeby nie zjeść czterodaniowego posiłku z dokładkami i nie popić go sześcioma szklankami bordo.

– Liczyłaś?

– Przecież on jest hipochondrykiem, nie widzisz tego? Owinął sobie ciebie i panią Farmer wokół palca.

– Proszę cię, nie wrzucaj mnie do jednego worka z tą straszną kobietą.

– Dlaczego nie? Oboje jednakowo wspieracie jego chamskie i samolubne zachowanie. Zastanawiałam się wczoraj, czy bardziej ci zależy na aprobacie wuja, czy mojej.

– Głupstwa pleciesz. Nic nie rozumiesz.

– Masz rację, do tej pory nie rozumiałam. Chodzi o dom. Może i kochasz wuja, ale dom kochasz jeszcze bardziej. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ci na nim zależy. To tylko dom.

– Ashleigh Place nie jest zwykłym domem.

– Denzil zaś jest wyjątkowo zepsutym i nieprzyjemnym człowiekiem.

– Mówisz o moim wuju – przypomniał ze złością Simon.

Droga prowadziła przez zalesioną dolinę spowitą mgłą. Rowan zdała sobie sprawę, że nie darzyła szczególnym sentymentem żadnego z domów, w których przyszło jej mieszkać.

– Ludzie są ważniejsi od murów – oświadczyła. – Przyjaźń jest ważniejsza.

Simon miał gradową minę. Mocno nacisnął pedał gazu.

– Weź pod uwagę, najdroższa, że znam Denzila bez porównania dłużej niż ciebie. A poza tym on miał rację. Dojechaliśmy spóźnieni.

– Z powodu przebitej opony. Nie ze swojej winy. Prawdziwy przyjaciel powinien okazać wyrozumiałość w takiej sytuacji. Co zaś do tego biednego rolnika…

– Jakiego znowu rolnika? Co ty wygadujesz?

– Tego, którego ziemię chce wykupić Denzil.

– Rozmawialiśmy o interesach. Kobiety nie są w stanie zrozumieć takich rzeczy.

– Potrafię rozpoznać chciwość i złą wolę, kiedy mam je przed oczami.

– Złą wolę? Zwykła zapobiegliwość. Nie umiesz gospodarować pieniędzmi, Rowan. Przeciekają ci przez palce jak woda, co niejednokrotnie zaobserwowałem. Otaczasz się pasożytami i darmozjadami.

– Nieprawda!

– Ta zaniedbana kobieta, z którą się przyjaźnisz…

– Masz na myśli Dorę Mottram? Jej mąż zmarł młodo na jakąś straszną chorobę, pozostawił ją bez grosza przy duszy.

– To pijawka. Karmisz ją, obsypujesz prezentami. Nie dziwota, że ci się tak podlizuje.

– Dora miała pecha w życiu – zaprotestowała gorąco Rowan. – Co ty, w czepku urodzony, możesz wiedzieć o przeciwnościach losu?

– Są rzeczy, które zawdzięczam wyłącznie sobie. W przeciwieństwie do ciebie nie jestem rozrzutny ani ekstrawagancki.

– Wolę być rozrzutna niż podła! – zawołała, zapowietrzając się ze złości. – Wolę być ekstrawagancka niż służalcza względem złośliwego starca! Nigdy nie poślubię człowieka niezdolnego do dzielenia się tym, co posiada!

Popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Zapadła brzemienna cisza, podczas której Rowan uprzytomniła sobie, co oznacza jego zdziwienie, zdumienie wręcz.

– Och – rzekła piskliwie. – Och, rozumiem. – Patrzyła na niego jakby po raz pierwszy. Wcześniej najwyraźniej widziała go przez zasłonę, przyjemny filtr, który sama stworzyła. – Nigdy nie miałeś zamiaru się ze mną ożenić, prawda? – zapytała powoli i z wysiłkiem.

Mruknął pojednawczo.

– Błagam cię, skarbie. Jesteś przecież zajęta.

– Nie, widzę, że małżeństwo nigdy ci nawet nie przyszło na myśl. Nie kochasz mnie. Potrafisz kochać tylko siebie. I ten przeklęty dom. Zwolnij, do czorta, bo nas zabijesz!

– Masz rację, nigdy nie wybrałbym cię na żonę – odparł zimno i nacisnął hamulec. – Przepuściłabyś majątek w mgnieniu oka. Poza tym Denzil nigdy nie zgodziłby się na przyjęcie do rodziny rozwódki.

Popatrzyła przez okno na pasmo drzew i krzewów zamglone przez łzy, które stanęły jej w oczach.

– Dlaczego mężczyźni zawsze okazują się takim rozczarowaniem? – zawołała. – Najpierw Patrick, a teraz ty!

– Nie mów, że miałaś jakiekolwiek złudzenia co do Patricka – rzekł z okrutnym błyskiem w oku. – Przecież on woli chłopców.

Od dawna żywiła podobne podejrzenia. Brak zainteresowania żoną i jego ogromne przywiązanie do Colina Slatera nasuwało pewne wątpliwości w kwestii orientacji seksualnej Patricka. Rozmawiała o tym pewnego razu przy winie z Nickym Olivierem, którego również

pociągali mężczyźni. Nie podzieliła się jednak dotąd swymi spostrzeżeniami z mężem.

Zbulwersował ją zimny i brutalny sposób, w jaki Simon mówił o tak bolesnych sprawach.

– Zamknij się – rzuciła z wściekłością.

– Wszyscy wiedzą.

– Zamilcz, powiedziałam. – Złapała za klamkę drzwi po stronie pasażera.

– Co ty wyprawiasz?

– Wysiadam.

– Skończ z tym absurdalnym zachowaniem.

– Nie wytrzymam ani sekundy dłużej w twoim towarzystwie!

– Przestań histeryzować, Rowan. Zostaw tę klamkę w spokoju, bo zrobisz sobie krzywdę. Masz – napij się herbaty i ochłoń. – Podał jej termos.

Ogarnęła ją jeszcze większa furia, że śmie mówić, by ochłonęła, kiedy to on doprowadził ją do wściekłości i rozpaczy. Niemniej jednak nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, w zasięgu wzroku nie było żadnego przystanku autobusowego, stacji kolejowej ani nawet domu. Serce Rowan kołatało jak uwięziony w klatce ptak. Wyszarpnęła zatyczkę z termosu, wypiła sążnisty łyk herbaty i utkwiła spojrzenie w szybie. Do końca podróży nie odzywali się do siebie ani słowem.

– Chciałbym je poznać.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Duncan, który przyjechał do domu na przepustkę, popatrzył z niedowierzaniem na Stuarta.

– Chyba sobie żartujesz?

– Nie. Mówię całkiem poważnie.

Stuart miał na myśli córki Hugh. Był drugi dzień świąt, rocznica śmierci ojca. W chwili, gdy Sophie podawała do stołu wędzoną szynkę na zimno, młodszy z synów skonstatował: „Pewnie córki taty też go dzisiaj wspominają”. Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć,

Duncan kazał młodszemu bratu się zamknąć. Wtedy właśnie Stuart wypowiedział te wstrząsające słowa: „Chciałbym je poznać”.

– Nie mamy z nimi nic wspólnego – oznajmił starszy z braci.

– Jesteśmy rodzeństwem.

– Przestań insynuować, że istnieje między nami jakakolwiek relacja, bo to nieprawda – rzucił z zimną furią Duncan. – Jak zwykle gadasz głupoty.

– Duncanie – upomniała go ostro Sophie.

Stuartowi zrobiło się przykro, o czym świadczyła głęboka zmarszczka na czole. Nie poddawał się jednak.

– Od dawna nie daje mi to spokoju. Czy ci się to podoba, czy nie – jesteśmy spokrewnieni. Zaprzeczanie temu uważam za głupotę.

Duncan przechylił głowę na bok i roześmiał się szyderczo.

– Stuart, daj sobie spokój. Nic z tego nie będzie.

Chłopiec zwrócił się do matki:

– Ty też uważasz, że powinienem dać sobie spokój, mamo?

Owszem, chciałaby odpowiedzieć. Widząc jednak, jakie to dla niego ważne, ostrożnie dobierała słowa.

– Synku, one najprawdopodobniej nic nie wiedzą o naszym istnieniu.

– Skoro my odkryliśmy prawdę, to one też mogły.

– Masz rację. Ale jeżeli jednak nie? Czy konfrontacja nie byłaby okrucieństwem?

Zmarszczka na czole Stuarta się pogłębiła.

– Idę o zakład, że coś podejrzewają. Gdybym był na ich miejscu, wolałbym wiedzieć.

– Nie wszyscy są tak druzgocąco naiwni jak ty. – Duncan wstał od stołu. – Jak to sobie wyobrażasz? Że co się stanie? Powitają cię z otwartymi ramionami jako odnalezionego po latach brata? Ty w dalszym ciągu niczego nie pojmujesz, prawda? To my jesteśmy intruzami i bękartami. – To powiedziawszy, opuścił jadalnię, pozostawiając po sobie echo ostatnich słów.

Stuart pobladł i wyszedł za bratem.

Z korytarza dobiegały podniesione głosy obu chłopców. Powinnam spróbować ich pogodzić, pomyślała ze znużeniem Sophie, nie ruszając się z miejsca. Siedziała sama przy zastawionym

świątecznym stole. Po jakimś czasie rozległo się trzaśnięcie drzwi wyjściowych i zapadła cisza.

Sophie wiedziała, że popełniła błąd, unikając rozmowy ze Stuartem o Rowan i Thei Craxton. W przeciwieństwie do starszego brata nie uciekał od trudnych tematów. Najwyraźniej dużo o nich rozmyślał i doszedł do wniosku, że jakkolwiek krępująca i niechciana, to łączy ich z tymi dziewczynami pewna więź. Znała przecież swojego młodszego syna – źle zrobiła, nie zachęcając go do zadawania pytań. Była zanadto skupiona na własnym nieszczęściu i gniewie. Każde z nich na swój sposób radziło sobie z katastrofą, która dotknęła całą rodzinę.

Stuart miał prawo poznać przyrodnie siostry, a jednak na samą tę myśl przechodziły ją ciarki. Kolejne święta zrujnowane przez tego łajdaka Hugh, pomyślała, sprzątając talerze.

Młodszy syn wrócił do domu o ósmej wieczorem. Sam.

– Gdzie Duncan? – spytała zaniepokojona, wychodząc mu naprzeciw. – Czy coś mu się stało?

– Nic mu nie jest. Musiał tylko spuścić trochę pary. Poszliśmy na spacer i do baru.

Do baru. Miała zamiar przypomnieć młodszemu synowi, że ma dopiero szesnaście lat.

– Teraz jest u Sally – dodał Stuart, zdejmując buty.

– U jakiej Sally?

– Swojej dziewczyny. Jest coś do jedzenia, mamo? Umieram z głodu.

– Nie wiedziałam, że Duncan ma dziewczynę. – Usłyszała własny piskliwy głos, kiedy podążała za Stuartem do kuchni.

– Spotyka się z nią od dawna.

Patrzyła, jak chłopak otwiera chlebak, i zadała sobie pytanie, czy w ogóle jeszcze zna swoich synów.

– Co to za dziewczyna, ta Sally?

– Bardzo w porządku. – Młodzian odkroił sobie piętkę chleba, którą następnie przykrył plastrem szynki i posmarował łyżeczką ostrego sosu. – I z charakteru, i z wyglądu. Też chcesz kanapkę, mamo?

– Tak, poproszę. – Ona także, podobnie jak chłopcy, prawie nie tknęła świątecznego obiadu. Była głodna. Usiadła przy stole

w kuchni, przetrawiając wiadomość o stałym związku starszego syna. Stuart tymczasem odkroił dwie nierówne pajdy chleba.

– Synku, jeżeli chcesz nawiązać kontakt z Rowan i Theą… – zaczęła.

– To już nieaktualne – przerwał jej.

– Powinnam była już dawno z tobą o nich porozmawiać.

– Duncan mówił, że nie zechcesz.

Nie chciała.

– Rozmawiałam z Theą na pogrzebie – rzekła mimo to. – To młodsza z dziewcząt. Tę starszą i zamężną, Rowan, też widziałam, chociaż nie miałam okazji zamienić z nią ani słowa.

– Jakie one są?

– Wydają się miłe – przyznała niechętnie. – Thea jest mniej więcej w twoim wieku. Podeszła do mnie po mszy. Chyba zauważyła, że przyszłam sama.

– Nie wiedziały, kim jesteś?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Przedstawiłam się panieńskim nazwiskiem jako przyjaciółka. – Roześmiała się z pewnym napięciem. – Przemknęło mi przez myśl, że obie czujemy się tam tak samo nie na miejscu.

Ku swojemu zaskoczeniu poczuła ulgę, kiedy pomyślała o córkach Hugh jak o zwyczajnych dziewczynach, a nie zachłannych harpiach. Być może Stuart miał rację. Być może Rowan i Thea rzeczywiście, jak to ujął, coś podejrzewały.

– Rzecz w tym – usłyszała własny zachrypnięty głos – że jeśli im powiesz, będą chciały rozmawiać ze mną. A ja nie jestem na to gotowa, jeszcze nie teraz. Przede wszystkim mogą mnie znienawidzić. Mają ku temu wszelkie powody, jeśli na to spojrzeć z ich punktu widzenia. Nie podołam tej sytuacji, mając na głowie tyle innych problemów.

Stuart, który już górował wzrostem nad matką, poklepał ją po głowie. Prawie po ojcowsku, pomyślała, jakby uspokajał rozhisteryzowane dwuletnie dziecko.

– Nie ma sprawy, mamo. Nie martw się. To był tylko taki niesprecyzowany pomysł. Zapomnijmy o nim.

Do ostatecznego rozstania doszło w barze hotelu Ritz w okresie między świętami a Nowym Rokiem. Nie padło zaproszenie na kolację, a poniewczasie Rowan uprzytomniła sobie, że Simon zaproponował spotkanie w tym właśnie miejscu, licząc na to, iż nie zrobi mu sceny w tak wytwornym otoczeniu.

Tak czy inaczej, nie miała zamiaru robić żadnych scen. W czasie, który upłynął od powrotu z Ashleigh Place, przeanalizowała dokładnie ich kłótnię i całą sytuację. Simon nigdy nie zamierzał się z nią ożenić, nie miał w tym żadnego interesu. Była dla niego rozrywką, jednym z wielu pięknych nabytków; przynależała do tej samej kategorii, co stoły z pozłacanego brązu i krzesła w stylu Ludwika XV.

Oczywiście nie ujął tego w ten sposób. Była piękną kobietą o magnetyzującej osobowości i życzył jej wszystkiego, co najlepsze. Musi wyjechać na kilka miesięcy – miał nadzieję, że to zrozumie.

Ależ rozumiem doskonale, pomyślała, jadąc taksówką do domu. Deszcz zacinał o samochodowe szyby. Strużki wody i łzy stojące w oczach zamazywały światła na placu Piccadilly i zniekształcały twarze przechodniów. Zawsze wiedziała, że Simon jest egocentrykiem. Nie zdawała sobie jednak w pełni sprawy, że dbanie o własne interesy i przyjemności stanowi trzon jego charakteru. Odpowiadało mu takie życie. Dlaczego zatem miałby cokolwiek w nim zmieniać?

Rozdział dziewiąty

Styczeń–lipiec 1939

Thea dostała własne biurko w małym pokoiku naprzeciwko gabinetu Grace. Jak wszystkie pomieszczenia w domu Fainlightów, to także przepełnione było książkami i gablotami zawierającymi odłamki naczyń i malowane korale z gliny. Z narożnego kredensu wyniośle spoglądał kamienny posążek egipskiej bogini Bastet pod postacią kota.

Zaczynała od odbierania telefonów, przepisywania listów na maszynie i archiwizowania dokumentów. Po upływie sześciu tygodni Grace zaczęła jej zlecać ciekawsze zadania: transkrypcję notatek z terenu, uporządkowanie ogromnego pudła fotografii z ekspedycji. Nauczyła się poruszać po ogromnym domu i lawirować wśród jego mieszkańców. Rezydencja Fainlightów zawsze była pełna ludzi. Studenci i koledzy z pracy Monty'ego oraz przyjaciele Grace wpadali na lunch z opowieściami z egzotycznych podróży albo na kawę, żeby pogawędzić o najnowszych odkryciach archeologicznych.

Monty i Grace mieli jednego syna, Tobiasa, który przeniósł się do Szwecji. Pracował w muzeum w Sztokholmie. Tobias i mieszkająca w Stanach Zjednoczonych matka Helen byli w separacji. Dwudziestojednoletnia dziewczyna zamieszkała u dziadków na Gordon Square. Thea szybko się z nią zaprzyjaźniła. Grace usilnie przekonywała wnuczkę do podjęcia studiów archeologicznych na uniwersytecie. Jak dotąd bez skutku.

– Nie mam nic przeciwko kopaniu w ziemi. Świetnie się przy tym bawię – powiedziała Thei pewnego dnia podczas lunchu, kiedy wyjątkowo zostały w domu tylko w towarzystwie Lucy, gospodyni. –

Ale żeby poświęcić całe życie przekopywaniu starych grobów? Nie, dziękuję. W tej rodzinie jest już stanowczo zbyt wielu archeologów.

Helen wyznała Thei, że Max poprosił ją o rękę. Właśnie łamała sobie głowę, czy przyjąć oświadczyny, czy też byłoby to katastrofalnym błędem.

– Ale kochasz go? – spytała Thea, a przyjaciółka zerknęła znad książki, którą kartkowała, i odpowiedziała niedbale:

– Och tak, na zabój. Chociaż czasami zachowuje się jak wielki głuptas.

Thea nie miała wątpliwości, że Max, który pracował w City na jakimś stanowisku związanym z finansami, ubóstwiał Helen, choć lubił się z nią drażnić.

Grace miała zwyczaj wręczania Thei po godzinach pracy, na odchodne, jakiegoś artykułu lub książki.

– Może cię to zainteresować – mówiła, podając jej *Hieroglify egipskie drugiej i trzeciej dynastii* Hildy Petrie, kiedy dziewczyna zapinała płaszcz. Albo odkopywała jakiś egzemplarz zapisu posiedzenia Towarzystwa Prehistorycznego. – Znajdziesz tu parę znakomitych publikacji na temat neolitu, Theo. Jestem pewna, że cię zaciekawią. – Później, przy okazji zwrotu lektur, zawsze znajdowała czas na rozmowę o ich treści.

W relacjach pomiędzy Montym, Grace i Helen panowała jakaś lekkość, która zachwycała Theę. Przy całym gwarze i pozornym chaosie w domu przy Gordon Square panował nienaganny porządek. Praca u Grace była spełnieniem marzeń. Spadła jej z nieba i napawała błogim szczęściem.

Uderzył ją jednak kontrast między życiem rodzinnym Fainlightów a relacjami, jakie panowały niegdyś w domu Craxtonów. Nikt tutaj nie znikał z dnia na dzień, nikt nie wyruszał w tajemnicze podróże. Żadne pytania nie wzbudzały w nikim złości, można było je zadawać bez lęku. Nie istniała niewygodna cisza ani tajemnice.

Helen przycupnęła przy biurku Thei. Opowiadała o niedawnej wizycie u ojca, pogryzając jabłko.

– W Sztokholmie było zimno jak diabli. Tata uwielbia śnieg, ja natomiast nie znoszę. Jedliśmy kiszone ryby na śniadanie. – Chrup, chrup. – Wolałabym mieszkać w jakimś ciepłym miejscu, na przykład na jednej z greckich wysp. A ty nie?

– Lubię chłodny klimat – odparła, wkładając nową ryzę papieru do maszyny.

– To pewnie dlatego, że jesteś Szkotką.

– Moja matka była Szwedką. Jestem więc w połowie Szkotką, w połowie Szwedką.

– W takim razie mogłaby ci posmakować kiszona ryba na śniadanie. Tata przyjeżdża za parę tygodni. Dostał miesiąc urlopu w muzeum. Pojedzie z nami na Barbury.

– Tak? Grace na pewno się cieszy.

Helen wyrzuciła ogryzek do kosza i wyruszyła na poszukiwanie kawy. Thea wróciła do pisania. Grace przygotowywała się do poprowadzenia w maju prac wykopaliskowych w forcie na wzgórzu Barbury w Wiltshire. Zaprzęgła do pomocy wszystkich domowników, od Monty'ego po Lucy. Należało zdobyć pozwolenia, sponsorów, przygotować budżet. Trwało kompletowanie ekwipunku: kilofów, rydli, taczek, lin, szpadli, namiotów i kufrów na znaleziska. Thea zajmowała się organizacją transportu tych przedmiotów na odległe wzgórza Wiltshire.

Skończyła pisanie listu i poszła po podpis Grace, która właśnie odkładała słuchawkę, gdy Thea weszła do gabinetu.

– Rozmawiałam z Russellem. Podjęli z Sylvią decyzję o wyjeździe na Kretę jeszcze w tym roku. – Grace ułożyła dłonie w kształt piramidy. – Jest pewien, że rząd wkrótce rozpocznie pobór do wojska. Chce wyjechać, dopóki to możliwe. Rozumiem, powiedziałam mu. – Zdjęła okulary i jęła czyścić szkła jedwabną apaszką. – Pokusa zatracenia się w przeszłości jest silna, prawda, Theo? – powiedziała cicho. – Chciałoby się zapomnieć o teraźniejszości i – Boże, miej nas w opiece – przyszłości. – Westchnęła i ponownie skupiła uwagę na leżącej na biurku liście uczestników. – To poważny cios. Bardzo liczyłam na Russella i Sylvię. Zabraknie nam rąk do pracy.

– Helen powiedziała, że Tobias przyjeżdża na jakiś czas.

– Prawda, jaka cudowna wiadomość? – Kobieta natychmiast się rozpogodziła.

– Mogę obdzwonić kandydatów z listy rezerwowej, jeśli ją pani dla mnie przygotuje – zaproponowała Thea.

– Nie musisz jeszcze uciekać?

Było wpół do siódmej. Thea i Peggy przeniosły się na jakiś czas do mieszkania Rowan w Covent Garden, ponieważ ona sama przebywała czasowo w Nowym Jorku z najnowszym narzeczonym, niejakim Bobbiem Whartonem. Rowan nalegała na użyczenie mieszkania dziewczętom na czas swej nieobecności. Siostra przyjęła propozycję z wdzięcznością. Apartament był znacznie przyjemniejszy od pokoju w suterenie, który w zimie zarastał czarną pleśnią.

– Bynajmniej – zapewniła.

– W takim razie niech pomyślę. – Grace otworzyła duży skórzany notes z adresami, na podłogę jak płatki śniegu posypały się luźne kartki. – Nina, możesz spróbować zatelefonować do Niny… A nie, jednak nie. Wspominała, że w tym roku pracuje w Mortimer. Może Geoffrey? Geoffrey King. Biedaczysko, ma tylko jedną rękę, ale świetnie się sprawdził w Somerset.

Grace kartkowała notes i uzupełniała listę o kolejne nazwiska. Lucy przyniosła kawę i ciasteczka.

– Will Towler – mówiła dalej. – Mam jego numer. Może podpowie jeszcze parę innych osób. Eva… Wspaniale byłoby mieć ją w zespole. Szalenie skrupulatna dziewczyna. Przyjęła nazwisko kochanka, chociaż nigdy nie wzięli ślubu. Jakie to było nazwisko? Ach tak, Harper. Zmarł kilka lat temu, smutna historia. Laurence… Porozmawiam z nim dziś, kiedy przyjdzie na kolację. Powiedz im, że wynagrodzenie wynosi funt tygodniowo przez cały czas trwania projektu. To psie pieniądze, ale wspaniale spędzony czas. Zostaniesz na kolacji, prawda, Theo?

– Bardzo chętnie.

Zadzwonił telefon, trzasnęły drzwi. Monty zajrzał do gabinetu, mówiąc coś o kilofach z rogu jelenia. Thea wyszła na korytarz po książkę telefoniczną. Odhaczała nazwiska tych osób, do których udało jej się dodzwonić, i podkreślała nazwiska tych, do których zamierzała zatelefonować ponownie rano.

Kiedy dotarła do Evy Harper, coś sobie uprzytomniła. „Przyjęła nazwisko kochanka, choć nigdy nie wzięli ślubu”. Włożyła do ust gumę owocową i przekartkowała książkę telefoniczną szukając litery C.

Ca… Ch… Cr… I proszę, oto ona. Na samym dole strony jedna samotna pani S. Craxton, zamieszkała przy ulicy Gilberta siedemnaście w południowym Kensington.

Bobbie Wharton był doskonałym partnerem do tańca, ale nie do rozmowy. Do tego miał prymitywne poczucie humoru, na przykład szalenie go bawiło wrzucanie kostek lodu za koszule kelnerów. Nowy Jork był ekscytujący, niemniej jednak romans skończył się, zanim Rowan weszła na pokład „Queen Mary”, by popłynąć z powrotem do Anglii.

Rejs odbywał się pod znakiem wzburzonych fal i zimnej aury. Nawet gdyby jeszcze ze sobą rozmawiali, rzadko miałaby okazję widywać Bobbiego, który niemal nie wychodził z kajuty, złożony okropną chorobą morską. Rowan, odporna na tego typu przypadłości, spędzała większość czasu na pokładzie spacerowym, skąd okutana w futra i koce podziwiała nieubłaganą siłę i energię oceanu. Liniowiec pruł wzburzone fale, które niekiedy podnosiły się do góry granitową ścianą, by po chwili opaść z wściekłym rykiem. Stewardzi przychodzili proponować gorące napoje, kilku innych śmiałków przemierzało pokład, lecz przez większość czasu Rowan była sama i miała mnóstwo czasu na przemyślenia.

Sztorm się wzmagał. Deszcz zacinał o pokład, wiatr wdzierał się z potwornym wyciem. Potężna fala uderzyła o dziób statku. Rowan popatrzyła wokół i zdała sobie sprawę, że jest jedyną pasażerką na pokładzie pierwszej klasy. Jeden ze stewardów dawał jej znaki, żeby zeszła i poszukała schronienia, ale nie zwracała na niego uwagi. Wspominała Corran i rozszalałe morze w zatoce Firth of Clyde, fale uderzające o „Idunę” i opór wody, gdy płynęła z wysiłkiem, trzymając Theę w ramionach. Zamrugała, by zatrzeć ten obraz.

Czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu.

– Pani Scott! – Steward przekrzykiwał zgiełk żywiołów. – Proszę wejść do środka! To zbyt niebezpieczne. – Rowan wzdrygnęła się wybudzona z transu i przeszła do baru.

Dwa dni później liniowiec wpłynął do portu w Southampton. Rowan odrzuciła propozycję odwiezienia do Londynu złożoną przez zielonkawego na twarzy Bobbiego i pojechała pociągiem. Zanim dotarła do mieszkania w Covent Garden, zapadł wieczór. Thea i Peggy wyjechały: Peggy do Walii ze swoim kawalerem, Geraldem, Thea do Wiltshire, gdzie pomagała w przygotowaniach do badań archeologicznych.

Rowan wyłuskała ze stosu korespondencji pozostawionej na wycieraczce list od Artemis, w którym przyjaciółka prosiła, żeby do niej zatelefonowała, jak tylko wróci do domu.

– Kochana! – zawołała Artemis, gdy Rowan spełniła prośbę. – Wróciłaś! Jak się masz? Prawda, że Nowy Jork jest wprost zachwycający? Strasznie się za tobą stęskniłam. Czy mogę przyjść cię zobaczyć?

Zadzwoniła do drzwi w chwili, gdy Rowan rozplątywała kłębowisko pończoch. Uściskały się. W mieszkaniu panował ziąb, Artemis nie zdejmowała więc futra. Rowan zapytała o Elizabeth i Maurice'a, a później nalała dżinu do szklanek.

– Słyszałaś, że Denzil umarł? – powiedziała nagle przyjaciółka.

– Nie, nie słyszałam – odparła Rowan zajęta dolewaniem wermutu do drinków i podniosła wzrok. Pomyślała o zgryźliwym, manipulującym starcu. A więc jednak naprawdę był chory.

– Zostawił Simonowi Ashleigh Place.

– Simon na pewno skacze z radości. Cóż za rozczarowanie dla Clarice Farmer.

Artemis uśmiechnęła się i zawahała, wzbudzając w Rowan podejrzenie, że śmierć Denzila Pollingtona to nie jedyna nowina, którą przyszła zakomunikować. Dolała do szklanek gorzkiej pomarańczowej nalewki i podała drinka przyjaciółce.

– Dziękuję, kochana. Mmmm, wyśmienite. – Artemis odstawiła koktajl z lekkim westchnieniem. – Wolałabym tego uniknąć, ale muszę ci powiedzieć. Lepiej, żebyś usłyszała to ode mnie niż od kogoś innego. Simon się żeni.

Rowan wpatrywała się w nią osłupiała.

– Simon? Żeni się?

– Tak. Przykro mi, wiem, że to dla ciebie okropny szok.

Szok nie był słowem, które w pełni oddawało wszystkie emocje, jakie nią targały. Najpierw niedowierzanie.

– Artemis, jesteś pewna?

– Niestety. Cecilowie zamieścili w zeszłym tygodniu ogłoszenie w „The Times".

– Cecilowie? – Rowan przypomniała sobie bladolicą dziewczynę poznaną w mieszkaniu Simona. – Simon zaręczył się z Francescą Cecil?

– Tak.

W ostatniej chwili powstrzymała się od powiedzenia czegoś w rodzaju: „Ależ to przecież jeszcze dziecko" lub, gorzej jeszcze, „Mówił, że nigdy się nie ożeni". W rzeczywistości powiedział tylko, że nigdy nie pociągała go instytucja małżeństwa. Niedowierzanie ustąpiło miejsca cierpieniu, jednocześnie uświadomiła sobie, co naprawdę miał na myśli: Nigdy nie pociągała go wizja ożenku z nią.

– Kochanie, zbladłaś jak ściana. Usiądź. – Artemis podprowadziła ją do krzesła i podała szklankę. – Wypij to.

Posłusznie wzięła łyk.

– Myślałam, że jest mi już obojętny – mruknęła.

Przyjaciółka usiadła obok Rowan.

– Cecilowie są dalekimi kuzynami Pembertonów – wyjaśniła łagodnie. – Matka Simona nosiła nazwisko Cecil. Podobno od dawna było wiadomo, że Simon i Francesca wezmą pewnego dnia ślub. Utrzymanie Ashleigh Place niemało kosztuje, a Francesca jest dziedziczką sporej fortuny, sama więc rozumiesz… – Artemis poklepała rękę Rowan. – Simon zawsze był interesowny. Powiedziałam mu, że się nim brzydzę. Ciekawe, jak sobie wyobrażają sprowadzenie noworodka do tej starej lodowni. Zawsze umierałam tam z zimna. A kanalizacja? Boże drogi! Kąpiel wymaga nie lada odwagi. Czy nie wydaje ci się, że Francesca wygląda na gruźliczkę?

Rowan pominęła milczeniem pytania przyjaciółki. Nie znajdowała w sobie złości na Simona ani urazy do Franceski. Odczuwała jedynie głębokie przygnębienie, zrozumiawszy, jak niewiele dla niego

znaczyła. Upokorzenie goniło upokorzenie, kiedy docierały do niej kolejne fakty. Otóż było wysoce prawdopodobne, że Simon spotykał się z Francescą, gdy oni byli jeszcze razem. Małżeństwo zostało zaaranżowane przez matki Simona i Franceski, co jednak nie wyklucza obustronnego zaangażowania i zauroczenia między narzeczonymi. Rowan zdążyła dobrze poznać byłego kochanka. To nie była wyłącznie transakcja handlowa. Simon miał wygórowane i drobiazgowe oczekiwania wobec ewentualnej przyszłej żony. Musiała być piękna, elegancka i kulturalna. Przy braku innych uczuć powinna wzbudzać przynajmniej jego szacunek.

Rowan czym prędzej dokończyła drinka, po czym wstała.

– Powinnyśmy wyruszyć do miasta – stwierdziła. – Nie widziałam się z nikim od miesięcy.

Artemis rzuciła jej sceptyczne spojrzenie.

– Rowan, jesteś pewna?

Była pewna. Pojechały taksówką do Savoya. Wszyscy przyjaciele – Manninghamowie, Vaughanowie i Charlbury'owie – zgromadzili się w American Bar. Rozmawiała z nimi, piła, opowiadała o Nowym Jorku i rejsie, rozśmieszała towarzystwo.

Myślała, że dobrze się bawi, dopóki nie zobaczyła nad ranem własnego odbicia w lustrze za kontuarem. Wyglądała, we własnej ocenie, groteskowo. Jej twarz miała bladozielonkawy odcień podobny do tego, jaki przybrało oblicze Bobbiego, gdy zmagał się z chorobą morską, a uśmiech bardziej przypominał grymas. Straciła całą energię i chociaż pozostała przy stoliku, to przestała uczestniczyć w rozmowie. Przypominała aktorkę, która zapomniała roli podczas spektaklu.

Poczuła się zupełnie załamana. Popełniła tak wiele błędów. Ogarnęło ją przerażenie na myśl, że była w stanie ubzdurać sobie miłość do Bobbiego Whartona, nawet na krótko. Pamięć o tym, jak bardzo była zakochana w Simonie, wywoływała podwójny wstyd. Żaden z nich nie okazał się godzien jej szczerego uczucia. Zignorowała wszystkie sygnały ostrzegawcze. Artemis próbowała zapobiec katastrofie, a Simon nie ukrywał się wszak ze swoim charakterem. Mogła winić wyłącznie siebie. Jak można się było tak pomylić? Czuła się jak idiotka.

Jeżeli zaś chodzi o Patricka, to od czasu separacji odbyli kilka spotkań w celu uzgodnienia szczegółów rozwodu. Chłodna, uprzejma wymiana zdań nie była w stanie zamaskować ogromu bólu po obu stronach. Ani Simon, ani Patrick nie kochali jej taką miłością, za jaką tęskniła. Patrickowi na niej zależało, ale jej nie pragnął. Simon pragnął jej ciała, lecz nigdy nie powinna była liczyć na miłość z jego strony. Poczuła strach, że nigdy nie znajdzie tego, czego szuka: miłości namiętnej, a zarazem głębokiej i bezinteresownej.

– Pora do domu – rzekła Artemis, która znalazła się u jej boku.

– Nie jestem zmęczona.

– Kochana, padasz z nóg.

– Nie zdołam zasnąć – zaprotestowała z uporem.

– W takim razie pojedź ze mną na plac Belgravia. Przegadamy całą noc. – Artemis dotknęła jej łokcia, nakłaniając, by wstała.

Hotelowy portier pożegnał je, uchylając kapelusza. Na ulicy ogarnęła ją nagła panika. Na wpół oczekiwała, że po wyjściu zastanie wszystko skute lodem, tymczasem miejski krajobraz pozostał taki sam jak wcześniej, zanim weszła do baru. Szosą nad Tamizą przejeżdżało kilka taksówek, powietrze pachniało mroczną rzeczną wilgocią i upojnym wiosennym leszczynowcem. To tylko ja się zmieniłam, skonstatowała w duchu.

*

Thea najbardziej lubiła wczesne poranki. Tego dnia obudził ją wesoły świergot ptaków. Ubrała się po cichu i umyła, starając nie przeszkadzać Helen, która nie podzielała jej upodobania do wczesnych pobudek. Przed opuszczeniem namiotu włożyła do kieszeni szortów garść rodzynek i wyruszyła na stanowisko archeologiczne.

Słońce wznosiło się na tle lśniącego błękitu nieba za wzgórzem Barbury i wzniecało iskry na pokrytej rosą trawie. Płynny wibrujący śpiew skowronków dźwięczał jak czyste srebro, gdy przemierzała białą, kredową ścieżkę. Na szczycie wzniesienia obróciła się powoli, podziwiając panoramę. Czapy mętnozielonych wzgórz Wiltshire znikały pod fioletową linią horyzontu.

Tego ranka pierwsza stawiła się do pracy. Barbury stanowiło skupisko rozległych, koncentrycznych rowów poprzecinanych ścieżkami. W pierwszym tygodniu pracy otworzono trzy wykopy archeologiczne w przestrzeniach między fosami. Mężczyźni ładowali łopatami ziemię na taczki. Podczas gdy odwozili ją na bok, kobiety skrupulatnie przeszukiwały doły, oczyszczając każdy znaleziony fragment kamienia czy kredy. Przypominało to trochę przewracanie kartek w książce. Po usunięciu kolejnej warstwy gleby błyskał krzemienny grot strzały. Poprzedniego dnia w części wykopu, w której pracowała Thea, ukazały się wyrostki kilofu z jelenich rogów. Miała permanentnie czarne paznokcie i otartą, podrapaną skórę na kolanach.

Poczuła żal z powodu psucia pięknego krajobrazu Wiltshire. Musiała sobie przypomnieć, że całe obozowisko na szczycie wzgórza było dziełem człowieka. Według Grace fortyfikacja powstawała na przestrzeni długiego czasu i ten starożytny krajobraz przetrwał co najmniej pięć tysięcy lat ciągłych zmian, więc na pewno przetrwa jeszcze trochę. Pod koniec lata zakończą badania, spakują narzędzia i znaleziska, zasypią wykopy i obsieją nową trawą. Przyroda wymaże wszelki ślad ich działalności na wzgórzu w ciągu kilku lat.

Thea zjadła rodzynki, sięgnęła po rydel, przyklękła obok wykopu i jęła odgarniać ziemię wokół rogowego znaleziska. Wdychała wilgotny, stęchły, gliniasty zapach gleby, z oddali dobiegały głosy nadchodzących kolegów i koleżanek. Słońce grzało ją w czubek głowy; zapowiadał się kolejny upalny dzień.

O dwunastej zrobili sobie przerwę na lunch, który zjedli w cieniu dębów rosnących u stóp wzgórza. Lucy rozdała korespondencję; Thea przeczytała list od Rowan wsparta o gruby pień.

Katastrofa, pisała siostra. *Jedliśmy właśnie kolację w uroczej gospodzie w Black Forest, kiedy Christopher zakomunikował, że się we mnie zakochał*. Thea zmieniła pozycję, by uciec przed palącym słońcem. *Wrócił obrażony do Anglii*, ciągnęła Rowan. *Podróżuję*

samotnie. Nie mogę jeszcze wrócić do domu, Theo. Po prostu nie mogę.

Lucy przyniosła termos z gorącą kawą. Thea włożyła list do kieszeni. Koledzy jedli, rozmawiali, drzemali, a o drugiej wrócili do pracy. Pot spływał jej po plecach mimo słomkowego kapelusza z szerokim rondem. Powinna skupić całą uwagę na wydobywaniu archeologicznego znaleziska, tymczasem uporczywie powracała myślami do listu siostry.

Nie mogę jeszcze wrócić do domu, Theo. Po prostu nie mogę. Wiadomość o zaręczynach Simona Pembertona zraniła ją do żywego. Odbyły wiele długich rozmów na ten temat, z których Thea wywnioskowała, że jej siostra nie jest w stanie myśleć o niczym innym. Kręciła się w kółko, powracając wciąż do tych samych buforów: Simon nigdy jej nie kochał, należała do tego typu kobiet, z którymi mężczyźni tylko sypiali i nigdy nie wybierali ich na żony. To wszystko jej wina.

Po czym nagle obwieściła, że wyrusza w podróż po Europie w towarzystwie przyjaciela, niejakiego Christophera Page'a. „Jestem okropnie przygnębiona", przyznała przed Theą. „Muszę się stąd wyrwać". Następnie podekscytowana zaczęła się pakować i zamawiać bilety, aż w końcu wsiadła do pociągu jadącego do portu. Thea pomachała jej na pożegnanie.

Uwolniwszy czubek rogu, dziewczyna wyjęła z kieszeni kuchenny pędzelek i zmiotła biały pył z powierzchni. Jeden z chłopców, Will, kilka lat od niej starszy – spędzał w ten sposób już któreś lato z kolei – przykląkł obok.

– Niezła sztuka ci się trafiła – powiedział.

Słońce przypiekało jej ramiona, ale nie przerywała pracy. Zdrapała brud, który przywarł do uchwytu narzędzia. „Narobiłam sobie potwornego bałaganu w życiu", poskarżyła się pewnego razu Rowan. „Zawsze muszę wszystko rozwalić". Obwiniała siebie i Thea nie mogła do niej dotrzeć: nieważne, co mówiła, ile razy powtarzała, że Simon Pemberton jest egocentryczną świnią. Rowan czyniła sobie też wyrzuty z powodu małżeństwa z Patrickiem. Fakt, że winiła Sigrid za wypadek u wybrzeży Corran, nasuwał Thei przypuszczenie, iż schemat ten powstał dawno temu, gdy Rowan była małą

dziewczynką. Wypadek i utrata matki wywarły na niej piętno. Ona sama nie pamiętała niczego z tamtego dnia, ale myśl o tym, jak traumatyczne wspomnienia nosiła jej siostra, sprawiała ból. Rowan nie lubiła siebie. Nie lubiła też matki, ale stanowczo odmawiała rozmowy na ten temat.

– Prawie zrobione – stwierdził Will, po czym wstał i zawołał Grace.

– Proszę bardzo, mamy to – mruknęła archeolożka. – Dobra robota, Theo.

Dziewczyna zaniosła przedmiot do namiotu, w którym przechowywano w obozie znaleziska, i wpisała do katalogu. Następnie sfotografowała rogowy kilof i zrobiła szkic w swoim notesie. Myśl, że jest pierwszą osobą dotykającą tego narzędzia po bez mała czterech tysiącach lat, wprawiła ją w podniosły nastrój. Przyrządy tego typu były, jak przypuszczano, używane głównie przez mężczyzn, ale drugi rysunek Thei przedstawiał przykucniętą krzepką kobietę przyodzianą w zwierzęce skóry. Długie czarne włosy spływały jej na ramiona, gdy robiła zamach ręką uzbrojoną w narzędzie.

Ton listu od Rowan zmartwił Theę. *Nie mogę jeszcze wrócić do domu. Nie dam rady stawić temu czoła.* Może podróż po Europie nie była jednak najlepszym pomysłem. Rowan była w kryzysie już od jakiegoś czasu, właściwie odkąd zmarł ich ojciec. Dziewczyna poczuła, że musi znaleźć jakiś sposób, by pomóc siostrze. Od tygodni biła się z myślami, rozważając podjęcie pewnego kroku. Instynkt podpowiadał jej, że należy przerwać milczenie i wydobyć wszystkie sekrety na światło dzienne. Światło likwiduje szkodliwe działanie tajemnic.

Czy to możliwe, by pani S. Craxton z domu przy ulicy Gilberta i pani Torrance, którą Thea poznała na pogrzebie taty, były jedną i tą samą osobą? Czy powinna spróbować to ustalić, czy też raczej zostawić tę sprawę w spokoju?

Było już jednak za późno. Powstrzymanie się od działania nie gwarantowało żadnego spokoju. Ten i tak już przepadł. Thea bała się o Rowan. Miała pracę, o jakiej zawsze marzyła, i powinna upajać się szczęściem w tym cudownym miejscu, tymczasem nie mogła przestać myśleć o siostrze. Nie potrafiła być szczęśliwa, gdy najukochańsza osoba na świecie cierpiała.

Musi odkryć prawdę, postanowiła, dla dobra własnego i starszej siostry. Zerknęła po raz ostatni na kilof i zamknęła wieko skrzynki. Bez jasnego obrazu przeszłości niemożliwa jest racjonalna ocena teraźniejszości. Postanowiła więc zerwać zasłonę przesłaniającą ich historię.

Rowan i jej towarzysze podróży, małżeństwo Brytyjczyków Fay i George Winchesterowie, a także ich amerykański przyjaciel Lucian Cardew, posilali się razem w trattorii w jednej z wsi położonych między Fiesole i Monte Ceceri. Poznała Luciana i Winchesterów dwa tygodnie wcześniej, w pociągu jadącym z Mediolanu do Florencji. Wieczorami zasiadali we czworo do kolacji, po której Rowan i jej towarzysz wracali do swojego hotelu na Via degli Strozzi, gdzie oddawali się miłosnym igraszkom.

Lucian był wysokim, ciemnowłosym i poważnym trzydziestodziewięciolatkiem. Miał za sobą jeden związek małżeński. Nie znosił upałów, spędzał więc dni w mrocznych, marmurowych salonach z książkami i trunkami. Rowan zwiedzała Florencję na dobrą sprawę z poczucia obowiązku, mimo że też męczyły ją upały, wszechobecny kurz, muchy i mężczyźni z ich natarczywymi okrzykami *Ciao, bella* i zaproszeniami na kolację do restauracji *nonny*.

Taras wychodził na strome wzniesienie, gdzie czarne cyprysy stapiały się z brzoskwiniowo-fioletowym niebem. Uciekli z miasta przed upałami, które jednak nie zostawiły ich w spokoju. Podążały za nimi krok w krok, ciężkie i duszące. Robiło się późno, stoliki pustoszały. Przy kawie i likierach towarzystwo ogarnęło rozleniwienie. Mężczyźni, dość już pijani, jęli przerzucać herbatniki przez balustradę, prześcigając się, który upadnie najdalej.

– Są niemożliwi, prawda? – zwróciła się do Rowan Fay Winchester. – George, Lucianie, zachowujecie się jak uczniaki.

– Zakład o pięć kawałków, że nie trafisz w tamten kamień.

– George, na litość boską. – Paciorkowate niebieskie oczy Fay błysnęły ostrzegawczo.

– Skończyły nam się ciastka. Kelner! – George, korpulentny, różowy, o okrągłej twarzy, dał znak obsłudze. – Przynieś nam więcej herbatników.

– Dziecinada – mruknęła Fay, po czym wstała od stolika i oparła się o balustradę obok Luciana, który właśnie przymierzał się do kolejnego rzutu.

Rowan pozostała na swoim miejscu. Nie czuła się dziś częścią grupy. Nie bawiła się tak dobrze, jak należałoby oczekiwać, ale powrót do Florencji również nie wzbudzał jej entuzjazmu. Miała dość powłóczenia nogami w kurzu po Ogrodach Boboli w poszukiwaniu niewypalonego słońcem skrawka trawy i przyprawiającego o ból głowy zwiedzania katedr. Była znudzona Florencją. Czas ruszyć w dalszą drogę. Tylko dokąd? Kończyły jej się pieniądze.

Podniosła głowę, słysząc przekleństwo George'a i aplauz Fay.

– Jesteś mi winien pięć funtów, Winchester – stwierdził Lucian.

George przeszukał portfel.

– Mam tylko te cholerne liry.

– W takim razie musisz mi dać jakiś fant. Pomyślmy. Może pukiel włosów szanownej małżonki? – To mówiąc, Amerykanin wyjął z kieszeni scyzoryk, a Fay zapiszczała i skuliła się z udawanym przerażeniem.

– Lucianie, ty potworze! – Ściągnęli na siebie uwagę innych gości.

Mężczyzna obciął długi platynowy lok z głowy Fay jednym wprawnym ruchem ostrza i uniósł do góry jak trofeum. Pukiel połyskiwał srebrzyście w świetle księżyca.

Fay sapnęła z przejęciem, dotykając głowy.

– Moje włosy… – Tym razem wyglądała na autentycznie zdenerwowaną.

– Nie widać ubytku – skłamała pocieszająco Rowan.

– Co za bezczelność – zezłościł się George.

– Nie trzeba się zaraz tak denerwować, drogi druhu. – Czarne oczy Luciana zamigotały.

Gospodarz sali zmierzał zdecydowanym krokiem w ich stronę.

– Musimy już iść – stwierdziła Rowan, wstając od stolika. – Zanim nas stąd wyrzucą.

Kobiety zabrały jedwabne szale i torebki, Lucian upuścił na stół plik banknotów.

– Kto pierwszy we Florencji, Cardew – rzucił George, kiedy wychodzili z restauracji. – Tym razem o dziesiątaka. I oddasz mi ten pukiel włosów.

– Jasne – zgodził się Amerykanin z leniwym uśmiechem.

Wziął Rowan za rękę, gdy schodzili w dół zbocza do samochodów. Winchesterowie szli przed nimi, wysokie obcasy Fay postukiwały o bruk wąskiej uliczki.

– Dobrze się bawisz, Rowan? – spytał Lucian.

– Niezupełnie.

– Powinnaś brać przykład ze mnie. – Znowu się uśmiechał. – Umilać sobie czas na wszelkie możliwe sposoby i akceptować nieuniknione rozczarowania. Większość ludzi jest przeciętna z natury rzeczy. Niech to szlag, odjeżdża.

Zielony jaguar roadster Winchesterów opuszczał plac w tumanach kurzu. Lucian otworzył przed Rowan drzwi swojego kabrioletu alfa romeo. Księżyc w pełni towarzyszył im przez cały czas, gdy sunęli przez wieś. Później wyjechali na drogę, która prowadziła wśród pól do Fiesole. Prastary toskański krajobraz, skąpany w srebrnej poświacie księżyca, zapierał dech w piersiach, a jednak Rowan patrzyła na niego obojętnie. Od towarzysza podróży też oddzielała ją jakaś ściana. Przyjechała do Europy, żeby uciec przed smutkiem, tymczasem ten zdawał się nie odstępować jej na krok. Nosiła go ze sobą niczym ciężki nieporęczny bagaż.

Wyjechawszy na równinę, zobaczyli jaguara, był niedaleko przed nimi. Lucian nacisnął pedał gazu, silnik alfy romeo zawarczał, gdy nabierali prędkości. Rowan nie miała nic przeciwko niebezpieczeństwu, przynajmniej odwracało uwagę od innych spraw. Pęd przemienił cyprysy za oknem w migające obrazy wprawionego w ruch zoetropu.

Kiedy wpadli z impetem w zakręt, Rowan zauważyła jadący z naprzeciwka pojazd.

– Lucianie! Uważaj! – zakrzyknęła.

Wykonał gwałtowny manewr i przeciął pobocze, o włos uniknąwszy kolizji.

– Świetna zabawa, co? – wrzasnął, przekrzykując ryk silnika. – Podoba ci się?

Zaczęła się bać.

– Zwolnij – poprosiła. – Błagam cię, zwolnij.

Ścięli kolejny zakręt i ich oczom ukazał się jaguar.

– Mamy drania – mruknął Amerykanin.

Na pasie, którym jechali, zionęła głęboka dziura. Lucian skręcił kierownicą, chcąc ją ominąć. Wtedy Rowan poczuła mocne szarpnięcie tylnych kół, które zjeżdżały na bok. Jej towarzysz przeklinał, próbując zminimalizować poślizg, ale było za późno, wydawało się, że wpadli w wir. Krzyknęła, kiedy auto zjechało z drogi i zatrzymało się na krawędzi rowu. Jej ciało poleciało gwałtownie w przód, usłyszała huk zgniatanego metalu. Siła uderzenia sprawiła, że zabrakło jej powietrza w płucach. Zaczerpnęła chrapliwie oddech w akompaniamencie furkotu obracających się w miejscu kół i wycia silnika.

Otworzyła oczy. Leżała na podłodze samochodu i coś kłuło ją w twarz. Odgarnęła gałęzie, usiłując zrozumieć, co robią w kabinie. Światła przestały działać, wokół panowała ciemność.

– Lucianie – wychrypiała.

Odpowiedziała jej cisza. Podciągnęła się z powrotem na siedzenie. Auto było przechylone na bok. Rowan przeszło przez myśl, że jej towarzysz wypadł na zewnątrz; że nie żyje.

– Lucianie – powtórzyła drżąco i wyciągnęła rękę w stronę miejsca kierowcy. Natrafiła palcami na mankiet marynarki. Mężczyzna jęknął. Popatrzyła rozpaczliwie na drogę w nadziei, że zobaczy nadjeżdżających Winchesterów, ale nie widziała niczego, tylko nieprzeniknioną czerń.

Odnalazła po omacku latarkę w schowku na rękawiczki. Snop światła rozjaśnił wnętrze kabiny pełnej liści i gałęzi. Maska alfy romeo wgniotła się w pień drzewa i przypominała harmonijkę. Wcześniejsza nadzieja, że zdoła pojechać po pomoc dla swojego towarzysza, legła w gruzach, samochód był wrakiem.

Lucian osunął się na kierownicę. Rowan dotknęła jego czoła i cofnęła palce mokre od krwi. Sięgnęła do stacyjki i wyłączyła silnik. Poruszenie wywołało kolejny jęk rannego.

– Jestem przy tobie – powiedziała, próbując zachować spokój. – Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

– Przepraszam – szepnął. – Jestem cholernym głupcem. Wybacz.

– Najdroższy, wszystko będzie dobrze.

Wyprostował się powoli i oparł o zagłówek fotela z twarzą wykrzywioną bólem. Obficie krwawił z poszarpanej rany na czole. Rowan poznała zasady udzielania pierwszej pomocy wieki temu, w harcerstwie, teraz naderwała więc zębami rąbek jedwabnej chusty, żeby podzielić ją na paski, i owinęła mu jeden wokół głowy. Wyczuła przyspieszony puls i przykryła Liciana kocem, ponieważ wstrząsały nim dreszcze.

Poczuła strach. Mógł mieć pękniętą czaszkę. Mógł sobie połamać żebra na kierownicy i przebić płuco. Mógł krwawić wewnętrznie, wykrwawiać się na śmierć. Podjęła szybką decyzję.

– Lucianie, muszę wezwać pomoc – powiedziała. – Obiecuję, że niedługo wrócę. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, zanim pójdę?

– Boli mnie głowa… – wyszeptał. – I bark.

– Wiem, najdroższy. Posłuchaj, spróbuję cię posadzić jakoś wygodniej. – Bardzo ostrożnie odsunęła otaczające go gałęzie, a następnie, klęcząc na fotelu pasażera, zmieniła nieco jego położenie.

– Czy tak lepiej?

– Tak. – Westchnął i zamknął oczy. – Świetna z ciebie dziewczyna, Rowan.

– Teraz muszę cię na chwilę zostawić, ale wrócę, zanim się obejrzysz.

Wygramoliła się z samochodu i ruszyła szosą przed siebie, rzucając snop światła to w jedną, to w drugą stronę w poszukiwaniu jakiegoś domostwa. Wokół były tylko puste pola, zagajniki i cyprysy przypominające czarne nagrobki. Pobiegła do zakrętu, modląc się, by zobaczyć za nim oświetlone okno, ale ujrzała jedynie więcej pól.

Wróciła do samochodu.

– Lucianie, jak się czujesz, najdroższy?

Znowu osunął się bezwładnie na siedzeniu. Trzepotał powiekami i pomrukiwał niewyraźnie.

– Niedługo ktoś nadjedzie. Na pewno – stwierdziła z narzuconą sobie stanowczością. – A wtedy zabierzemy cię do lekarza i opatrzymy.

Prowizoryczny bandaż nasiąkł krwią. Oderwała kolejny jedwabny pasek. W samochodzie unosił się zapach benzyny i krwi. Mimo że wieczór był ciepły, skóra Luciana pozostawała lodowata w dotyku. Objęła go, próbując ogrzać własnym ciałem. Wymówiła jego imię i nie dostała odpowiedzi. Miał zamknięte oczy.

Została sama. Umysł podsunął jej obraz Thei podrzucanej przez fale nieopodal Corran, bladej i nieprzytomnej. Przez cały czas, gdy holowała ją do brzegu, bała się, że siostra jest już martwa. Otrząsnęła się ze wspomnień. Jeżeli zacznie teraz rozmyślać o Corran, rozsypie się w drobny mak i nie zdoła pomóc Lucianowi. Uklękła na fotelu i ponownie sprawdziła prowizoryczny opatrunek. Krwawienie nieco osłabło.

Podniosła wzrok na drogę, usłyszawszy jakiś dźwięk. Przez chwilę nie rozumiała, co to, ale później, gdy odgłos stał się wyraźniejszy, uprzytomniła sobie z ogromną ulgą, że dobiega do niej delikatne stąpanie konia.

– Pomocy! Proszę o pomoc! – krzyknęła, wyskakując na drogę z latarką.

Zbliżał się ku nim wóz załadowany drewnianymi beczkami. Woźnica, barczysty mężczyzna o czarnych potarganych włosach, zatrzymał konia i popatrzył na wrak samochodu. Powiedział do Rowan kilka słów po włosku, z których zrozumiała tylko *morto*.

– Nie, nie, nie umarł! Trzeba go zawieźć do lekarza. – Szukała gorączkowo w pamięci właściwego słowa. – *Dottore! Per favore!* Błagam, musi mi pan pomóc!

Beczki zostały odsunięte na bok. Rowan i nieznajomy mężczyzna wspólnymi siłami wydobyli Luciana zza kierownicy. Krzyknął, kiedy go przenosili, przeraźliwie, po czym znowu stracił przytomność, gdy kładli go na wozie. Rowan opatuliła rannego podróżnym kocem i przyklękła obok niego.

Droga dłużyła się w nieskończoność, wóz podskakiwał na wybojach, powoli pokonując odległość trzech kilometrów dzielących ich od Fiesole. Dziękowała losowi, że Lucian stracił przytomność i nie

czuł chybotania ich środka transportu. Dojechawszy do Fiesole, woźnica zatrzymał się przed jakąś willą. Bębnił pięścią w drzwi, dopóki ktoś – służący, jak przypuszczała – wreszcie ich nie otworzył.

Obaj z woźnicą wnieśli Luciana do środka, przez wykafelkowane korytarze do kuchni, gdzie umieścili go na stole. Sześćdziesięciolatka w aksamitnym szlafroku i z wałkami we włosach powiedziała z obcym akcentem: „Lekarz niedługo przyjdzie", po czym wyszła z kuchni. Służący również opuścił pomieszczenie, pozostawiając Rowan samą z Lucianem.

Usiadła na krześle obok stołu. Kuchnia była przestronna, skąpo umeblowana i oświetlona lampami olejowymi. Krwawienie ponownie przybrało na sile; Rowan złożyła ścierkę i przycisnęła do czoła rannego.

Służący powrócił, tym razem w towarzystwie doktora, niskiego pękatego mężczyzny ubranego w spłowiałą czerń. Cmoknął i powoli pokręcił głową, zobaczywszy Luciana, po czym otworzył skórzaną torbę lekarską.

– Pani zostanie. – Wskazał Rowan. – Potrzebuję pielęgniarki. Chyba pani nie… – Odegrał omdlenie.

– Oczywiście, że nie – zapewniła.

– Signora nie jest ranna? – upewniał się, wyjmując stetoskop.

– Raczej nie.

Lekarz znał trochę angielski, Rowan mówiła trochę po włosku, oboje znośnie posługiwali się francuskim. Służący trzymał lampę, oświetlając stół, podczas gdy ona przytrzymywała głowę Amerykanina, a medyk zszywał brzegi rany. Pacjent jęczał z bólu, kiedy jego zmiażdżone ramię było unieruchamiane za pomocą temblaka.

Po udzieleniu pomocy doktor wraz ze służącym przenieśli Luciana na łóżko do sąsiedniego pokoju.

– Gennaro posiedzi z signorem Cardew – oznajmił, powróciwszy do Rowan. – Ja zajrzę do niego rano. Może mieć obrażenia w środku. – Wskazał swój brzuch i klatkę piersiową. – Jeżeli będzie z nim gorzej, zorganizuję transport do szpitala we Florencji. To jednak młody, silny organizm, więc módlmy się, aby doszedł do siebie. Miał dużo szczęścia, że nie zginął na miejscu. – Uśmiechnął się do dziewczyny.

– Jest pani dobrą pielęgniarką, madame. Świetnie sobie pani poradziła. Ale teraz proszę odpocząć.

Gennaro zaprowadził Rowan do małego pokoiku na pierwszym piętrze. Podziękowała mu, zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Całe ciało bolało ją ze zmęczenia i stresu. Przelotne spojrzenie w lustro nad komodą uświadomiło jej, że ma fatalnie podrapaną twarz.

Ktoś zostawił obok łóżka tacę z kieliszkiem czerwonego wina i talerzem ciastek. W nogach leżały ręcznik i koszula nocna. Rowan zanurzyła rąbek ręcznika w umywalce i przykładała do twarzy, próbując ją oczyścić; dotykanie głębokich zadrapań sprawiało ból. Wypiła wino i ugryzła ciastko, myśląc o głupiej zabawie Luciana i George'a podczas niedawnej kolacji w trattorii. Drżenie rąk utrudniało rozpięcie suwaka wieczorowej sukni, podartej teraz i brudnej, ale wreszcie zdołała ją zdjąć przez głowę.

Weszła do łóżka. Nie mogła zasnąć pomimo ogromnego zmęczenia. Zagnieździł się w niej jakiś chłód i chociaż noc była ciepła, a kołdra przykrywała ją po samą szyję, to dygotała na całym ciele.

Teraz nie mogła już powstrzymać fali wspomnień. Zalały ją z siłą prądów wodnych zamieszkujących cieśninę pomiędzy Corran a stałym lądem Szkocji. Znowu miała trzynaście lat, była na wyspie i krzyczała na matkę.

– Widziałam cię z tym człowiekiem! Słyszałam, co mówiłaś! Nienawidzę cię! Nienawidzę tego miejsca! – Słowa matki miały zostawić niezatarty ślad. Już wtedy wiedziała, że nie zapomni ich do końca życia.

Dotarły na brzeg, mama złapała ją za sztormiak, krzycząc, by weszła do łodzi razem z Theą. Lunął deszcz, morze było wzburzone i spienione, kiedy oddalały się od Portmore. Długie jasne włosy Sigrid powiewały na wietrze, gdy zmagała się z żaglami i sterem, a jej piękne rysy były wykrzywione w wyrazie wysiłku i rozpaczy.

Wszystko działo się błyskawicznie. Rowan wpadła do wody, fale obmywały jej głowę, wstrząs spowodowany zetknięciem z lodowatym nurtem przesłonił wszystko prócz trwogi. Miała zalane usta i nos, nie mogła oddychać, straciła z oczu mamę i Theę, a także orientację, w którą stronę brnąć, by zaczerpnąć powietrza. Tonęła, słysząc echo wypowiedzianych niedawno słów.

Nienawidzę cię. Nienawidzę cię.

Rozdział dziesiąty

Lipiec–sierpień 1939

Dotychczasowy lokator Sophie, młody człowiek nazwiskiem Roland Toft, został powołany do wojska. Stuart pomagał matce przygotować pokój na przyjęcie kolejnej mieszkanki, którą była kobieta w średnim wieku.

Zabrali pościel i zamietli podłogę. Syn szorował plamę na dywanie, pozostałość po wylanej przez pana Tofta kawie. Sophie wzięła się do mycia okien.

Nagle jej wzrok przykuła czyjaś sylwetka po drugiej stronie ulicy. Poczuła skurcz serca i zatrzymała się w pół ruchu. Czy to naprawdę ona? Nie, niemożliwe, musiało jej się coś przywidzieć. Jednak po chwili dziewczyna poruszyła się i Sophie nie miała już wątpliwości.

Najwyraźniej wydała z siebie jakiś odgłos, który zwrócił uwagę Stuarta.

– Co się stało, mamo? – zapytał, stając obok.

Potrząsnęła nieznacznie głową, nie mogąc oderwać wzroku od postaci.

– Tam – szepnęła.

Podążył za jej spojrzeniem.

– Nie widzę…

Po chwili jednak zobaczył, zmarszczył brwi i skupił wzrok na chodniku, po czym przeniósł spojrzenie na matkę.

– Mamo? – Pozostała niema i nieruchoma, podczas gdy on odłożył szczotkę do szorowania i wyszedł z pokoju.

Usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi wyjściowych. Następnie patrzyła przez okno na syna przechodzącego przez ulicę

w miejscu, gdzie stała dziewczyna. Rozmawiali przez chwilę. A następnie razem odeszli – Stuart i Thea Craxton.

Spacerując później przez Covent Garden, Thea rozmyślała o tym, co powiedział Stuart, jaki był miły, a także – po raz kolejny – o ponaddziewiętnastoletnim niby-małżeństwie Sophie Craxton – czy też Torrance, zależy, jak na to spojrzeć – z jej i Stuarta ojcem. Związek małżeński Sophie był nieważny, jako że Hugh przez część jego trwania pozostawał mężem Sigrid, aż do jej śmierci. A teraz Hugh też już nie żył. To wszystko oznaczało, że matka Stuarta nie nazywała się Sophie Craxton, lecz przez cały czas, sama o tym nie wiedząc, pozostała Sophie Torrance.

Stuart, tak samo jak Thea, należał do ludzi lubiących jasne sytuacje – oprócz wszystkiego, co ich łączyło, mieli jeszcze i tę wspólną cechę. Spędzili zatem sporo czasu w kawiarni, wymieniając informacje, daty i godziny, próbując poskładać w spójną całość skomplikowaną historię swoich rodzin.

Hugh ożenił się z Sigrid w tysiąc dziewięćset dwunastym roku. Po sześciu latach, w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym, poślubił Sophie. Rowan przyszła na świat w tym samym roku, w którym wybuchła wojna, Duncan rok po jej zakończeniu. Pomiędzy Theą i Stuartem był natomiast tylko rok różnicy.

– Dwoje niemowląt – powiedział chłopak, otwierając szeroko błękitne oczy. – Musiał się sporo nabiegać.

Przez moment zastanawiali się, dlaczego w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku, kiedy umarła Sigrid, Hugh nie poślubił Sophie legalnie i nie uporządkował swojego życia, ale odpowiedź była, rzecz jasna, oczywista: otóż nie mógł ożenić się z Sophie ponownie, nie mówiąc jej całej prawdy, że ich dotychczasowy związek nie został sformalizowany. Oboje uważali ojca za człowieka unikającego przyznawania się do błędów. Ponadto wiele rzeczy zaczęło po jakimś czasie żyć własnym życiem. Kiedy Hugh zaczynał kłamać, brnął dalej w kłamstwa siłą rozpędu. Zapominał powiedzieć pięknej sanitariuszce o żonie i dziecku pozostawionych w domu, po

czym, nie wiedzieć kiedy, wymyślił biuro w Londynie, wygodną wymówkę w postaci przyjaciela w górach, ukrywał problemy finansowe i całe mnóstwo innych spraw.

– Kiedy byłem mały, mieliśmy z tatą taką zabawę – rzekł Stuart, zanim się rozeszli. – Chował coś – monetę, kość do gry, szpulę bawełny – w salonie pod moim bacznym spojrzeniem. Następnie miałem za zadanie odgadnąć, gdzie jest ta rzecz, i nigdy nie potrafiłem. Byłem pewien, że stoi na półce, tymczasem przez cały czas miał ją w kieszeni, tego typu rzeczy. Szalbierstwo, mówił na to ojciec. Był naprawdę dobry w tym szalbierstwie. Może wszystko traktował jak grę, jedną wielką, skomplikowaną szaradę, która zajmowała jego umysł, by nie musiał myśleć o rzeczach dla niego nieprzyjemnych.

Thea otworzyła sobie drzwi mieszkania Rowan. Peggy nie było. Dobrze się składało, ponieważ nie wiedziałaby, co jej powiedzieć. Zapomniała kupić jajka, które miała zamiar przyrządzić na kolację. Cóż, zdarza się, szczególnie po wielogodzinnej rozmowie z przyrodnim bratem, o którego istnieniu do niedawna nie miała pojęcia.

W chwili, gdy zaglądała do opustoszałej spiżarni, usłyszała kroki na schodach. Rozpoznałaby je wszędzie.

Otworzyła drzwi na oścież. Za nimi stała już Rowan i szukała w torebce kluczy. Miała na sobie wygniecioną garsonkę z kremowego lnu i walizkę u stóp. Jedną stronę jej twarzy pokrywały różowe blizny przecinające policzek i czoło.

– Rowan – powiedziała w tym samym momencie, w którym siostra zawołała: – Och, Theo. – I padły sobie w ramiona.

– Och, Rowan, moje biedactwo! Co ci się stało w twarz?

Zrobiła kawę. Nie było mleka, pożyczyła więc dzbanek od sąsiada.

– Miałam wypadek drogowy we Włoszech – wyjaśniła siostra. – Kierowca, Lucian, odniósł poważne obrażenia. Zostałam z nim w Fiesole do czasu przyjazdu jego siostry z Paryża. Wydobrzeje, ale czeka go jeszcze długa rehabilitacja. – Musnęła palcami prawą

stronę twarzy. – To drobiazg. Może zostanie mi parę blizn. W każdym razie wyruszyłam do domu, gdy tylko siostra Luciana, Patricia, mogła przejąć nad nim opiekę. Kończyły mi się pieniądze. No i tęskniłam. – Uśmiechnęła się krzywo. – Miałam dość tej zagranicy, Theo. Nie wyobrażasz sobie nawet jak bardzo. Kupiłam bilet na pociąg do Londynu z zamiarem przespania całej podróży w wagonie sypialnym – prawie nie zmrużyłam oka, kiedy z Lucianem było źle; bardzo się o niego martwiłam i padałam ze zmęczenia – tymczasem podczas przesiadki w Mediolanie zostałam okradziona z portfela. Siedziałam na dworcu, gorączkowo przeszukując bagaże, nie mogłam uwierzyć, że nie ma w nich portfela. Na koniec wyrzuciłam wszystko na peron, wszystkie ubrania i całą resztę. Straciłam pieniądze i bilet. Tego już było za wiele.

– Co zrobiłaś? – zapytała Thea.

– Rozpłakałam się. – Rowan nalała kawy do filiżanek i podała jedną siostrze. – Siedziałam na peronie obok rozrzuconego bagażu i zanosiłam się płaczem.

– Och, Rowan.

– W pewnej chwili podeszła do mnie pewna miła pani i zapytała, czy nie potrzebuję pomocy. To była Angielka, starsza ode mnie. Zaczęłam jej się wypłakiwać w rękaw. Nie tylko z powodu utraty portfela, ale też z powodu wypadku i, och, wszystkiego, co poszło nie tak – z Patrickiem, Simonem… I w ogóle.

– Biedna Rowan. Całe szczęście, że to wszystko już za tobą i że jesteś już w domu.

– Wiele z tego było moją winą – dodała cicho, mieszając posłodzoną kawę. – Narobiłam sobie bałaganu w życiu. Nie wiem, co bym zrobiła bez pomocy Genevieve, tak miała na imię moja wybawicielka. Bałam się, że czeka mnie wyprawa do brytyjskiego konsulatu. Wyobrażałam sobie, jak brnę z walizką przez mediolańskie ulice, pytając o drogę z moją beznadziejną znajomością włoskiego. Było okropnie gorąco. Dotarło do mnie, że z całego serca nienawidzę upałów. Nie jestem stworzona do takich warunków atmosferycznych. W każdym razie Gen pożyczyła mi pieniądze na nowy bilet. Powiedziała, że też wraca do Londynu popołudniowym pociągiem, i zaproponowała wspólną podróż.

– To strasznie miło z jej strony.

– Nieprawdopodobnie miło. Poczułam ogromną ulgę i wdzięczność.

Nieznajomi bywają tak nieoczekiwanie wspaniałomyślni. Thea poczuła łzy wzbierające pod powiekami, kiedy przypomniała sobie o Stuarcie, który przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby z nią porozmawiać, taki był troskliwy i serdeczny. Znalazł czas, aby ją pocieszyć, chociaż niedawno dowiedział się, że jego ojciec był bigamistą, co dla niego musiało być jeszcze większym ciosem niż dla Thei – ostatecznie to Stuart i jego brat okazali się nieślubnymi dziećmi, nie ona i Rowan. „Wyobrażam sobie, co musisz przeżywać, dowiedziawszy się, że masz braci, o których nic nie wiesz. Tam na rogu jest kafejka, może napijemy się herbaty?”

Rowan podjęła na nowo opowieść o swoich perypetiach.

– Podróż z Mediolanu do Londynu trwa wiele godzin, więc miałyśmy z Gen mnóstwo czasu na rozmowę. Dużo też myślałam. Oczywiście o Lucianie. A także o tym, że tracę czas na mężczyzn, do których kompletnie nic nie czuję. Nigdy go nawet nie lubiłam. Co do Simona: romans z nim byłby świetną zabawą, gdybym nie szukała miłości, ale szukałam jej i pewnie zawsze będę, a on tylko złamał mi serce. No i nigdy nie powinnam była wychodzić za Patricka. To dobry człowiek, lecz po prostu nie pasowaliśmy do siebie. Myślałam w swej młodzieńczej naiwności, że małżeństwo mnie wyciszy, tymczasem mam zdecydowanie zbyt niespokojny charakter, żeby żyć z kimś takim jak on. No i nie mógł mnie pokochać tak, jak tego potrzebowałam. – Rowan wygładziła fałdy spódnicy. – Ponadto rozmyślałam o mamie. O tym, jak wszystkie moje problemy ostatecznie sprowadzają się do niej i tamtych tragicznych wydarzeń u wybrzeży Corran.

– Rowan – powiedziała łagodnie Thea. – Nie musimy teraz o tym rozmawiać.

– Owszem, musimy – odparła siostra, posyłając jej stanowcze spojrzenie. – Zanim stracę całą odwagę. Powinnaś to wszystko usłyszeć już dawno temu.

– Co takiego?

– Całą prawdę o mamie i jej wyprawach na Corran. O tobie. Masz prawo wiedzieć.

Thea słuchała siostry z rosnącym niepokojem. Wydarzenia dzisiejszego dnia pozbawiły ją chwilowo wrodzonej ciekawości świata. Była zdezorientowana. Czyżby siostra wiedziała o drugiej rodzinie ojca? – zastanawiała się. Nie, niemożliwe. To nie to.

– Od lat noszę w sobie wściekłość na matkę – podjęła Rowan. – Świadomość podobieństw między nami tylko ją wzmaga. Jestem niecierpliwa i niespokojna jak ona. Nie potrafię zadowolić się jednym mężczyzną. I może rozumiem ją teraz nieco lepiej. Domyślam się, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Bo mama miała romans, Theo. Z mężczyzną, który mieszkał na wyspie.

Thea nie potrafiła wydobyć z siebie ani jednego słowa. Przeżyła tego dnia zbyt wiele wstrząsów. Każdy ma swoją wytrzymałość. Wpatrywała się w osłupieniu w siostrę.

– Podsłuchałam jej rozmowę z kochankiem. Tego ostatniego dnia na Corran – mówiła dalej Rowan. – Bawiłaś się na plaży z innymi dziećmi, gdy zaczął padać deszcz. Zostawiłam cię i pobiegłam po nasze sztormiaki. Nie zastałam mamy w domu i poszłam jej szukać. Była w ogrodzie z jakimś mężczyzną. Płakała. Stali w ulewie, krzyczeli na siebie nawzajem, a ona płakała. Ten człowiek prosił, żeby odeszła od taty. Wręcz błagał ją o to. Odpowiedziała, że nie może tego zrobić, ze względu na nas, na ciebie i na mnie.

– To już przecież bez znaczenia – stwierdziła Thea. – Minęło tyle lat. To wszystko już nieważne.

– Niestety nie masz racji. To jest ważne. Dla ciebie.

Thea zadała sobie pytanie, czy w ogóle ją to obchodzi. Doszła do wniosku, że nie bardzo. Co z tego, że mama miała przed laty romans? Ich ojciec ożenił się w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku z inną kobietą – usłyszała to od Stuarta ledwie parę godzin wcześniej. Małżeństwo rodziców Thei i Rowan nie było, łagodnie rzecz ujmując, udane, kiedy Sigrid zdecydowała się kupić wakacyjny domek na wyspie. Należało się cieszyć, iż zdążyła zażyć choć trochę szczęścia w swym krótkim życiu.

– To jest ważne dla ciebie – powtórzyła Rowan. – Bardziej niż dla mnie. – W tej chwili Thea zaczęła pojmować, co siostra próbuje jej powiedzieć.

– Mama powiedziała, że nie może zostawić taty ze względu na ciebie i na mnie. Na co jej kochanek odparł: „Przecież Thea nie jest córką Hugh, tylko moją”.

Rowan mówiła coś jeszcze, ale jej słowa z trudem przedzierały się do świadomości dziewczyny. „Thea nie jest córką Hugh”. Podeszła do okna i wyjrzała na nieduże kwadratowe podwórko. Na sznurze suszyło się pranie, czarny kot wygrzewał się w słońcu pomiędzy donicami stokrotek. Starała się nie zapominać, że życie toczy się dalej i nie wszystkie dni będą takie jak dzisiejszy.

„Thea nie jest córką Hugh”. Rowan musiała się pomylić, była wtedy dzieckiem, od tragedii minęło ponad dziesięć lat, a pamięć potrafi płatać rozmaite figle, chciała zaoponować. Po chwili namysłu ogarnęły ją jednak wątpliwości. Oto Rowan: wysoka i rudowłosa jak Hugh. I Thea: drobnej budowy, o ciemnych włosach. Rowan była mistrzynią jazdy na nartach i gry w tenisa, do tego osobą wiecznie spragnioną towarzystwa, podczas gdy Thea nienawidziła bankietów i zawsze ostatnią wybierano ją do jakichkolwiek szkolnych gier zespołowych. Znajomi Rowan często mawiali z rozczarowaniem, poznawszy jej młodszą siostrę: „Nie jesteście do siebie podobne”. Nawet przeklęty Simon Pemberton tak powiedział.

– Nie mogłam się zdobyć na to, aby ci wyznać prawdę wcześniej, za życia taty – usłyszała cichy, wystraszony głos Rowan. – Przysporzyłabym mu zbyt wiele bólu. Rozumiesz mnie, prawda? – A po chwili: – Zdradziła go. Zdradziła takiego dobrego człowieka.

Thea odwróciła się od okna ku siedzącej na sofie Rowan. Szramy na twarzy młodej kobiety wyglądały na białej skórze jak pociągnięcia różową kredką. Poczuła współczucie i miłość do siostry, która tyle lat żyła obarczona ciężarem tajemnic.

Należało z tym skończyć.

– Cóż – powiedziała. – Może wcale nie był taki dobry, jak ci się wydaje.

Thea wróciła w poniedziałek do Wiltshire. Potrzebowała rutyny i skupienia na pracy, tęskniła za widokiem tych krajobrazów

zastygłych w bezczasie. Potrzebowała Fainlightów i innych współpracowników, którzy byli teraz jej przyjaciółmi, a nie tylko kolegami i koleżankami z pracy. Potrzebowała pożywki intelektualnej, odkrywania i poznawania starych cywilizacji, aby wypełnić przestrzeń w głowie, po której od czasu rozmowy z Rowan krążyły natrętne, chaotyczne myśli.

Podczas jej nieobecności rozpoczęto kolejny wykop, z którego wyłaniały się – jakby wypluwane przez ziemię – kości ludzkie i zwierzęce. Piszczel wojownika, dłoń kobiety, która zbierała nasiona i jagody, aby wyżywić rodzinę, i szczątki noworodka o palcach stóp przypominających drobne perły.

Zawsze w południe wszyscy odkładali narzędzia, przysiadali w dębowym zagajniku i jedli lunch. Tego lata, w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, często poruszali temat nadciągającej wojny. Armia Hitlera zajęła w marcu Czechosłowację. W maju Niemcy zawarły wojskową umowę sojuszniczą z Włochami pod wodzą Mussoliniego, nazywaną paktem stalowym.

Jeden z archeologów, imieniem Geoffrey, stracił rękę podczas wielkiej wojny. Nigdy nie mówił zbyt wiele, Thea zwróciła uwagę, że unika niektórych tematów. Pewnego razu rozmawiali o roszczeniach Hitlera do korytarza gdańskiego, czyli pasa ziemi stanowiącego dostęp Polski do Bałtyku, a oddzielającego Niemcy od ich terenów w Prusach Wschodnich.

– On nigdy nie przestanie wysuwać kolejnych żądań – powiedział nagle Geoffrey. – Tacy jak on nigdy nie mają dość. Dasz im palec, wezmą całą rękę. Znowu zaczniemy rozszarpywać się nawzajem w okopach, podczas gdy Hitler będzie krzyczał o więcej i więcej. – Wstał i odszedł. Poszedł w górę zbocza do stanowiska archeologicznego.

Leżąc tej nocy w namiocie, Thea rozmyślała o matce. Sigrid kupiła dom na wyspie i żaglówkę „Idunę” wkrótce po zakończeniu wielkiej wojny. Na pewno cierpiała z powodu częstych nieobecności męża; być może zarzuciła mu zdradę, której wytrawny oszust zaprzeczył. Żaglówka, którą uwielbiała, i ta wyspa przywróciły Sigrid radość życia, znalazła swoją odskocznię i pocieszenie.

Potem – niespodziewana miłość i coraz częstsze powroty na Corran. Jeżeli Thea była córką Sigrid i jej kochanka, romans musiał trwać co najmniej siedem lat.

Pewnego dnia sprawy stanęły na ostrzu noża. Być może kochanek miał już dość ukrywania się albo żądał praw ojcowskich do córki. Tak czy inaczej, pokłócili się. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że kłótnię podsłuchała Rowan.

Sigrid próbowała uspokoić córkę, wyjaśnić jej swoją sytuację, ale dziewczynka rozumiała tylko tyle, że matka zdradziła rodzinę. „Nienawidzę cię", powiedziała. „Nienawidzę tego miejsca. Chcę do domu". Tak oto Sigrid podjęła fatalną w skutkach decyzję o niezwłocznym opuszczeniu wyspy.

– Wypłynęłyśmy jeszcze tego ranka – opowiadała Rowan. – Nikt nie mógł później zrozumieć, jak mogło dojść do takiego wypadku, dlaczego łódź rozbiła się o skały. Jak to się stało, że doświadczona żeglarka popełniła tak podstawowy błąd. Tylko ja wiedziałam, że nie mogła się skupić z powodu tego, co się stało. Była zdenerwowana po kłótni z kochankiem i ze mną.

Biedna Rowan, co za straszny ciężar nosiła w sobie przez lata: wspomnienie zdrady, żalu i tragedii. Thea była bliska płaczu na samą myśl o tym.

Pewnego wieczoru, kiedy szukała w namiocie czystych skarpetek, natrafiła na kaszmirowy szalik ojca, zwinięty na dnie plecaka. Hugh Craxton nie był uczciwym człowiekiem ani nawet jej prawdziwym ojcem, a mimo to wtuliła twarz w miękki materiał, wdychając zapachy tak wątłe, że niewiele realniejsze od wspomnień: wody kolońskiej i tureckich cygar. Aromaty, które w dalszym ciągu – pomimo wszystko – przywoływały jego uśmiech i dotyk ręki, gdy wchodzili razem na wzgórza nad Loch Lomond.

Trwał piękny sierpniowy wieczór. Podczas gdy kraj chybotał się na krawędzi wojny, sprawy codzienne nabrały uroku. Rowan i Thea zmierzały w stronę Gilbert Street, gdzie mieszkała Sophie. Rowan

mówiła o porannej rozmowie kwalifikacyjnej w szpitalu imienia Świętej Anny.

– Raczej dobrze mi poszło, choć trudno to stwierdzić. Przełożona pielęgniarek powiedziała, że poinformuje mnie o decyzji.

Rowan postanowiła, że zostanie pielęgniarką. Aplikowała do sześciu londyńskich szkół przyszpitalnych i wreszcie dostała odpowiedź ze Świętej Anny z zaproszeniem na rozmowę. Teraz przepełniał ją optymizm. Obrała nowy kierunek w życiu i miała cel.

Zainspirował ją medyk z Fiesole. „Jest pani dobrą pielęgniarką", pochwalił ją tamtego wieczoru, kiedy Lucian balansował na krawędzi życia i śmierci. „Świetnie sobie pani poradziła". Podejrzewała wprawdzie, że kierowała nim zwykła życzliwość, niemniej potrzebowała jakiegoś użytecznego zajęcia. Czegokolwiek poza uganianiem się za beznadziejnymi przedstawicielami męskiego gatunku. Pielęgniarstwo było bez wątpienia zajęciem przydatnym, zwłaszcza jeżeli miała wybuchnąć wojna, co wydawało się nieuniknione. Postanowiła zatem dać sobie szansę.

Siostry wzięły się pod ręce. Thea miała przy sobie atlas Londynu i list od Stuarta, w którym pisał, że jego mama chciałaby je poznać. Nie mamy nic wspólnego z Sophie Craxton, pomyślała Rowan, a jednak tak wiele nas łączy.

Skręciły w ulicę Gilberta. Dom z numerem siedemnastym był willą z czerwonej cegły z donicą białego geranium na ganku obok drzwi wejściowych.

– Jeżeli ta kobieta okaże się jakimś potworem – mruknęła Rowan w chwili, gdy Thea naciskała dzwonek – udam migrenę, aby dać nam szansę ucieczki.

Otworzył im Stuart. Thea przedstawiła go siostrze i weszły do środka.

Sophie Craxton wyjrzała na korytarz ubrana w letnią sukienkę w kremowo-zielone paski. Uśmiechała się. Rowan uświadomiła sobie z niejakim zaskoczeniem, że polubiła ją od pierwszego wejrzenia.

CZĘŚĆ DRUGA

POCZEKAMY NA JUTRO
1940–1944

Rozdział jedenasty

Czerwiec 1940

Za długo z tym zwlekałaś”. To jedno zdanie przelatywało w kółko przez głowę Thei, kiedy pociąg, którym jechała, zatrzymywał się ze zgrzytem na kolejnych stacjach gdzieś we Francji. Stojąc w zatłoczonym korytarzu, ściśnięta pomiędzy tęgą kobietą w żółtej sukience a starym mężczyzną palącym fajkę, nie potrafiła stwierdzić, gdzie dokładnie jest. Nie mogła się nawet ruszyć.

Inni pasażerowie też uciekali z Francji, tak samo jak Thea, która wsiadła do pociągu, nie wiedząc nawet, w którą jedzie stronę. Nie podano trasy przez megafon, ale krążyły pogłoski, że prowadzi do Cherbourga albo innego portowego miasta, wcisnęła się więc do jednego z wagonów. Najważniejsze, rozumowała, to żeby jechać w kierunku przeciwnym do nadciągającej linii frontu. Podróż posuwała się frustrująco powoli ze względu na nagłe i długie postoje. Thea widziała skrawek szyby, a za nią błysk samolotów na błękitnym letnim niebie. W połowie drogi ktoś oznajmił, że dosłyszał serię wystrzałów z karabinów maszynowych, i w wagonie powiało grozą.

Za oknem mignął peron, a na nim pełno mężczyzn i kobiet z dziećmi oraz licznymi bagażami: walizkami, kuframi, klatkami dla ptaków. Wyglądał podobnie jak wszystkie inne na mijanych wcześniej stacjach; przez jedną straszną chwilę Thea wyobrażała sobie, że godzinami jeździli w kółko i oto dotarli z powrotem do Paryża. Wychyliła głowę, usiłując ustalić, gdzie naprawdę się znajdują.

Jakiś żołnierz zapukał w okno i krzyknął: „Koniec trasy!”. Wśród pasażerów rozszedł się pomruk; jeden z mężczyzn zaczął protestować histerycznie podniesionym głosem. Ktoś otworzył drzwi i wpuścił świeże powietrze do dusznego wagonu. Thea znalazła się na peronie, wypchnięta przez ludzką falę. Przeczytała nazwę stacji. Była w Alençon, w Normandii, mniej więcej sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Paryża.

Nie jest tak źle, pocieszała się, idąc wzdłuż peronu. Przynajmniej była bliżej wybrzeża i promu do Anglii niż jeszcze rankiem tego dnia. Przedzierała się przez tłum, próbując znaleźć pociąg, którym mogłaby dojechać do Cherbourga lub St Malo. Tłok utrudniał jakiekolwiek przemieszczanie się. Perony były tak zapchane, że niosła plecak przed sobą, mocno go przytrzymując. Niemowlęta płakały, a starsze dzieci biegały między ławkami i stertami bagaży upominane przez rodziców. W odpowiedzi na pytanie Thei o pociąg do którejkolwiek miejscowości z dostępem do kanału La Manche konduktor rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

Wpadła na człowieka krzyczącego przez megafon, ubranego w uniform pracownika francuskich kolei państwowych – ogłaszał brak dalszych połączeń do końca dnia. Tłum westchnął zbiorowo, ale większość obecnych pozostała na miejscu, wpatrzona w tablice rozkładów jazdy. Być może nie dowierzali albo zamierzali pozostać tu do jutra.

Thea opuściła dworzec. Wokół budynku panował ruch, ludzie zaczynali się rozchodzić na różne strony. Był pogodny czerwcowy dzień i dziewczyna poczuła się lepiej z dala od ludzkiej ciżby. Wyjęła z plecaka bukłak z wodą, napiła się chciwie, po czym ruszyła dalej. Mijając pasaż handlowy, kupiła jabłka, ser i chleb, następnie weszła do *tabac* z zamiarem nabycia mapy, ale kioskarz powiedział, że nie ma już żadnej – ani Normandii, ani całej Francji. Gazet też pozostało niewiele, a tych kilka rozpostartych na ladzie krzyczało z pierwszych stron o błyskawicznym przemarszu wojsk niemieckich przez północną część Francji. Wróg przemierzał drogę pomiędzy Dieppe i Paryżem. Do Rouen wjechały już czołgi.

Właściciel kiosku udzielił Thei wskazówek, jak wydostać się z miasta w kierunku północnym, chociaż tak naprawdę wcale ich nie

potrzebowała: wystarczyło pójść za innymi. Cała Francja wyruszyła bowiem w drogę. Każdy spieszył się tak samo jak Thea, chcąc opuścić pole bitwy, w które zamienił się cały kraj.

Dołączyła do sunącej szeroką powolną falą kolumny uchodźców. Ludzie narzekali na pociągi, drogi, krewnych, przez których mieli opóźnienie, a także na samolubnych towarzyszy podróży. O dwóch armiach zwartych w śmiertelnej walce gdzieś na północy kraju, o dziwo, mówiono niewiele. Konie pociągowe przepychały się między luksusowymi czarnymi limuzynami, które pokrywała gruba warstwa kurzu. Było gorąco i sucho. Ludzie łatwo tracili cierpliwość. Cykliści lawirowali między pieszymi, władczo podzwaniając dzwonkami i nawołując, aby zejść im z drogi. Małe dzieci jechały w wózkach, a sędziwe matrony odziane w czerń – na taczkach. Pobocza były pełne porzuconego dobytku. Stado gęsi, komplet encyklopedii, zestaw chińskiej porcelany w kwiatki: skarby, które okazały się na pewnym etapie podróży zbyt wielkim ciężarem dla właścicieli. Rozdzierający widok małego dziecka płaczącego samotnie za mamą na poboczu drogi też nie był rzadkością.

„Za długo z tym zwlekałaś", powtarzał głos w głowie Thei w rytm jej kroków. „Za długo z tym zwlekałaś".

Przez ostatnie cztery miesiące mieszkała w Szwajcarii, dokąd pojechała razem z Grace Fainlight na początku roku, aby przygotować teren pod letnie wykopaliska archeologiczne na obszarze rzymskiego amfiteatru położonego nieopodal Bazylei. W kwietniu dołączył do nich Monty. Thea czuła, że życie się przed nią otwiera. Kolejne lata miały jej upłynąć na pracy archeologa i podróżowaniu do wszystkich tych wspaniałych miejsc: Grecji, Włoch, Persji. Nie przewidziała gwałtownego zakończenia przygody i rozpaczliwej potrzeby powrotu do dawnego, nudnego, choć bezpiecznego życia, które jeszcze niedawno zamierzała pozostawić za sobą na zawsze.

Dziesiątego maja znienacka gruchnęła wieść o agresji niemieckiej na Niderlandy, Belgię i Luksemburg. Jakkolwiek należało się

spodziewać takiego rozwoju wypadków, to do końca nikt nie mógł w to uwierzyć. Wkrótce potem rozegrała się bitwa o Francję. Nawet wtedy zakładano przez długi – zbyt długi – czas, że wszystko będzie dobrze i armia francuska powstrzyma inwazję wroga. Wyobrażano sobie, że ta wojna będzie powtórką poprzedniej i cały konflikt zbrojny rozegra się na północy, na polach Flandrii, tak jak to miało miejsce w tysiąc dziewięćset czternastym roku, tymczasem niemieckie czołgi i piechota z piorunującą szybkością przebiły francuskie linie obrony i trysnęły jak woda z zardzewiałych rur.

Thea zastanawiała się, czy opóźniona reakcja nie wynikała z tego, iż rozmiary katastrofy były trudne do pojęcia. Swój własny bezwład przypisywała po części krótkowzrocznemu egocentryzmowi. Nareszcie miała wymarzoną pracę, z ludźmi, których kochała. Jak mogła zaakceptować utratę tego wszystkiego z powodu kaprysu jakiegoś szalonego dyktatora? W ten oto sposób podjęła decyzję o powrocie do domu, do Anglii, dopiero pod koniec maja, kiedy brytyjski korpus ekspedycyjny wycofywał się z plaż Dunkierki.

Wydawało się, że minęła cała wieczność od czasu, gdy Grace powiadomiła Theę o swojej i Monty'ego decyzji o pozostaniu w Szwajcarii. W rzeczywistości rozmowa odbyła się niecałe dwa tygodnie temu.

– Przeżyliśmy już jedną wojnę i żadne z nas nie ma siły przeżywać kolejnej – dodała. – Tobias walczył na froncie. Widziałam, w jakim stanie wrócił. Mogę się tylko cieszyć, że postanowił pozostać w Szwecji.

Szwecja, podobnie jak Szwajcaria, pozostała neutralna.

Siedzieli na balkonie wynajętego mieszkania Fainlightów w Bazylei. Zachód słońca barwił na różowo doniczki z ziołami.

– Może zmienisz zdanie i zostaniesz z nami, Theo? – przekonywała Grace. – Bardzo byśmy tego chcieli, ja i Monty.

– Nie mogę – odpowiedziała. – Muszę wracać do domu, do Rowan.

– Oczywiście. – Na twarzy Grace pojawił się wyraz niepokoju. – Theo, martwię się o Helen. Ostatni list przyszedł trzy tygodnie temu. Od tego czasu pisałam już do niej ponad tuzin razy i nie dostałam żadnej odpowiedzi. Wieści sprzed trzech tygodni przyszły z Paryża. Na pewno będzie bezpieczna w Paryżu, Hitler nie zdoła tam dotrzeć,

ale… Czy możesz coś dla mnie zrobić, kiedy tam będziesz? Czy zechciałabyś się z nią spotkać i przekazać, żeby tu do mnie przyjechała? Do Bazylei? Albo – jeśli woli – niech jedzie do taty, do Szwecji.

Thea obiecała pomówić z Helen. Zachowała dla siebie myśl, że nikt nie zdoła przekonać tej dziewczyny, by zrobiła cokolwiek wbrew swoim planom.

– Dziękuję ci, moja droga. – Grace westchnęła. – Martwi mnie to, że nie wiem, co zamierza. Bywa taka uparta. – Przykryła dłoń Thei swoją. – Będziemy tęsknić za tobą. Co zamierzasz robić po powrocie do Londynu? Niestety bardzo możliwe, że wszyscy będziemy musieli poszukać jakiegoś użytecznego zajęcia na czas wojny.

– Coś wymyślę – zapewniła.

Grace opuściła na chwilę balkon, by powrócić z kopertą.

– Nicholas Grey to jeden z moich dobrych znajomych – powiedziała. – Piastuje stanowisko wiceministra w rządzie. Przekaż mu ten list. Możliwe, że coś dla ciebie znajdzie.

Thea pożegnała się z Fainlightami nazajutrz, na dworcu kolejowym. Milcząco udawali, że wojna wkrótce się skończy, a najeźdźca zostanie skutecznie przepędzony. Nieco później pomyślała, czy nie byłoby większą odwagą spojrzeć prosto w oczy nieuniknionej katastrofie, która miała zdominować całe ich życie.

Wynajęła pokój w niedrogim paryskim pensjonacie. Już po południu pierwszego dnia pobytu w stolicy odkryła, że Helen opuściła adres podany przez Grace. Konsjerż wyraził przypuszczenie, że przeniosła się do koleżanki mieszkającej na lewym brzegu Sekwany. Koleżanka, dziewczyna imieniem Annette, była trudna do zlokalizowania, a gdy Thea wreszcie jednak do niej dotarła, dowiedziała się, że Helen nie kontaktowała się z nią od miesiąca.

Annette spisała na kartce nazwiska innych paryskich znajomych przyjaciółki, z którymi Thea próbowała się następnie kontaktować telefonicznie lub bezpośrednio, zostawiając liściki.

Restauracje serwowały wykwintne dania, ogrody Tuileries wyglądały zjawiskowo, statki wciąż kursowały po Sekwanie. A jednak Paryż był cichy i przybity. Miejski gwar zdawał się przytłumiony. Ludzie schowani za fasadą normalności wykonywali telefony,

studiowali mapy, planowali. W eleganckich mieszkaniach kamienic w Szóstej Dzielnicy Paryża być może właśnie trwały narady, jaką część dobytku zabrać ze sobą, a co zostawić.

Thea nie znalazła Helen. Ktoś podpowiadał, że powróciła już do Londynu. Wysłała kartkę pocztową do Grace.

W obliczu klęski ewakuowano przez kanał La Manche na południe Anglii setki tysięcy brytyjskich i francuskich żołnierzy. Wojska Hitlera zbliżały się do Paryża jak czarna fala. To, co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia, stało się zatrważająco realne, na oczach wszystkich urzeczywistniał się koszmar. Thea uprzytomniła sobie, nieco poniewczasie, że nie może dłużej odkładać powrotu do domu. Spakowała walizkę i ruszyła za wszystkimi na dworzec.

Maska jakiegoś samochodu otarła się o jej nogi. Kobieta wystawiła głowę przez okno.

– Najmocniej przepraszam! – powiedziała po angielsku.

Thea rozmasowała biodro.

– Nic się nie stało.

– Och Boże, tak mi przykro, te drogi…

– Naprawdę nic mi nie jest.

– Jest pani Szkotką? – zainteresował się kierowca.

– Tak.

– Mamy wolne miejsce z tyłu. Zapraszamy.

Od opuszczenia Alençon minęły dwa dni. Dwa dni powolnej wędrówki. Podziękowała parze Anglików i wspięła się do samochodu. Z tyłu niedużego citroëna tłoczyły się już trzy inne osoby: mężczyzna i dwie kobiety. Thea musiała usiąść na kolanach jednej z nich.

– Całe szczęście, że jest pani taka filigranowa – skomentowała właścicielka kolan. – A ja mam uda jak poduszki. – Zaśmiała się.

Zaczęli od wzajemnych prezentacji. Kierowca nazywał się Richard Collins. Ładna ciemnowłosa kobieta w jedwabnej wiśniowej sukience, zajmująca miejsce pasażera z przodu, była jego żoną Mary. Pasażerowie z tyłu to pulchna Charlotte King z mężem Jimem i jeszcze jedna kobieta, najstarsza z nich wszystkich, Joan. Wszyscy

pracowali jako nauczyciele angielskiego w jednej z paryskich szkół językowych.

Citroën poruszał się nieco szybciej od kolumny uchodźców. Coraz więcej porzuconych pojazdów i zwierząt blokowało trasę; często stawali w korku samochodów pohukujących klaksonami. Mimo wszystko miło było posiedzieć w aucie, zamiast tłoczyć się na zewnątrz. Richard i Mary naradzali się, czy jechać dalej na zachód, czy może ruszyć w kierunku południowym. Mogliby spróbować dotrzeć do domu, sugerował Richard, przez Hiszpanię, Portugalię, a nawet Afrykę Północną.

Zjechali z głównej trasy i popędzili wiejską dróżką wśród łąk i zagajników. Tutaj, na głębokiej francuskiej prowincji, tylko odciski i kurz na nogach przypominały Thei, że przemierza kraj ogarnięty wojną. Wieczorem zatrzymali się na obrzeżach wsi i urządzili piknik na łące ukwieconej stokrotkami. Musiała się zdrzemnąć w trawie, ponieważ Mary obudziła ją i przekazała informację, że postanowili jednak obrać kierunek południowy.

– Joan zna willę nieopodal Montpellier, w której będziemy mogli się zatrzymać. To dłuższa trasa, ale lepsze drogi. Ktoś powiedział, że część portów nad kanałem zajęli już Niemcy. Możesz jechać z nami, Theo, jeśli tylko chcesz.

Podziękowała. Powiedziała, że spróbuje szczęścia na zachodzie. Zanim się rozstali, dostała od Mary paczkę ciastek, a Richard narysował dla niej mapę: położył notes na masce citroëna i naszkicował sześciokąt symbolizujący Francję, a w nim dużą kropkę – Paryż – i mniejszą, Alençon, gdzie wysiadła z pociągu. Pozostałe kropki w okolicy wybrzeża oznaczały miejscowości portowe: Hawr, Cherbourg, St Malo, St Nazaire. Chociaż znała Richarda i Mary Collinsów ledwie od kilku godzin, to gdy odchodziła od samochodu, poczuła się tak, jakby zostawiała za sobą ostatnich starych przyjaciół.

Po raz kolejny przyłączyła się do długiej procesji uchodźców akurat w chwili, gdy za sprawą jakiegoś hałasu wszyscy popatrzyli w niebo.

– Sztukas! – zawołał ktoś.

Ludzie zaczęli krzyczeć i rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia.

Samolot obniżył lot z potwornym hukiem i błyskiem świateł, po czym rozbrzmiała ogłuszająca seria z karabinów maszynowych.

Kiedy hałas nieco zelżał, roztrzęsiona Thea wyszła z rowu. Dobiegały ją krzyki i potworne rzężenie. Dopiero po paru sekundach zrozumiała, że wydaje je z siebie powalony na bok koń z mokrą od krwi kasztanową grzywą. Na drodze leżała nieruchomo kobieta; uniesiona do góry spódnica odsłaniała długie beżowe majtki. Biała dziecięca koszulka zmieniała kolor na czerwony. Przewrócił się wózek, a jego zawartość wypadła na ziemię. Właścicielka przetrząsała koce, wytrzeszczając oczy z przerażenia i otwierając usta w niemym krzyku. Jakiś młodzian pochwycił rower z pobocza i odjechał nim, ścigany przez utykającego starca.

Thea ruszyła przed siebie, ominąwszy wstrząsane konwulsjami ciało, które jeszcze przed chwilą było człowiekiem, teraz zredukowane do sterty zakrwawionych ubrań, zbyt okaleczone, by przeżyć. Dostrzegła szczelinę w żywopłocie i przecisnęła się przez nią. Dotarła przez pola do lasu. Pod baldachimem liści i gałęzi królowały bezruch, cień i cisza. Weszła między drzewa. Kiedy z pola widzenia zniknęła otwarta przestrzeń, przysiadła na pniu, przymknęła powieki i przyłożyła pięści do czoła. Wciąż słyszała zawodzenie umierającego konia i miała przed oczami ciało mężczyzny. Odeszła, mimo że powinna była zostać i pomóc. Czuła się silniejsza w samotności, z dala od skarg przerażonych ludzi, ale źle postąpiła, odchodząc od nich, i była tego świadoma. Należało coś zrobić, instynkt tymczasem krzyczał, że trzeba uciekać.

W lesie udało jej się odzyskać względny spokój, choć wciąż dygotała na całym ciele. Wreszcie założyła plecak na plecy i wyruszyła w dalszą drogę, obarczona dodatkowym bagażem poczucia winy i dotkliwego wstydu z powodu słabości własnego charakteru. Nie nadaję się na wojnę, pomyślała. Brak mi heroizmu.

Miała przy sobie kompas i mapę narysowaną przez Richarda Collinsa. Kierowała się na zachód przez wzgórza, niskie skarpy, wzdłuż strumieni, w których napełniała bukłak wodą. W lesie czuła się jak w domu, z ulgą przyjęła samotność, ale od czasu ostrzelania

nie potrafiła opanować strachu. Wielka Brytania toczyła wojnę z Niemcami. Jeżeli Thea nie zdoła się przedrzeć do Anglii w najbliższym tygodniu, zostanie internowana. Zmierzała na wybrzeże, choć przecież nie miała żadnej pewności, że porty nie zostały pozamykane. Mary Collins powiedziała, że część opanowali już Niemcy. Gdyby ją internowano, mogłyby minąć całe lata, zanim zdołałaby wrócić do domu. Zostałaby rozdzielona z Rowan na długi czas. Żałowała, że nie ma obok siebie starszej siostry, że nie idzie teraz obok niej i nie podtrzymuje jej na duchu. Po chwili poczuła jednak ulgę, że Rowan jest bezpieczna w Londynie, w swojej szkole pielęgniarskiej przy szpitalu Świętej Anny.

Maszerowała przed siebie, aż słońce zmieniło się w złote kolumny pomiędzy pniami drzew; sowa płomykówka przeleciała nisko obok niej jak blady duch. Kiedy wreszcie przystanęła, przynajmniej część jej uwagi pochłaniały bolące nogi i pęcherze na stopach zamiast konającego konia i kobiety przetrząsającej kocyki z dziecięcego wózka.

Nie miała namiotu, pakując plecak przed podróżą z Bazylei do Paryża niewiele ponad dwa tygodnie wcześniej, nie podejrzewała, iż mógłby się na cokolwiek przydać. Zjadła jabłko i resztę ciastek, po czym zajęła się ranami na stopach. Zapadła w niespokojną drzemkę pod gołym niebem, przykryta tylko płaszczem przeciwdeszczowym. Marzyła o tym, by zostać w lesie na zawsze; nigdy z niego nie wychodzić. Czuła się tutaj bezpiecznie.

Wychynęła na pofalowane wzgórza skąpane w ostrym słońcu. Pola i łąki rozdzielały bujne żywopłoty obwieszone kapryfolium i kwiatami dzikiej róży. Strzeliste topole rzucały fioletowe cienie na złote łany zbóż i kukurydzy.

Wyszła na główną drogę. W pewnej chwili zasłoniła oczy przed słońcem, by spojrzeć w dal. Zobaczyła kawalkadę czołgów brnących przez pola niczym gigantyczne metalowe insekty, coraz bliżej i bliżej. Od tej pory trzymała się wąskich ścieżek. Od czasu do czasu dobiegały ją odgłosy walki, grzmoty wystrzałów i przerażająco

znajomy świst bombowców. Najwyraźniej poszła dalej na północ, niż planowała, albo wróg dotarł głębiej na południe. Żadna z tych myśli nie napawała optymizmem.

Niepokoił ją stan stóp. Bardzo głupio postąpiła, zostawiając buty turystyczne w Bazylei i zabierając ze sobą tylko skórzane sandały. Miała dwie pary skarpet, które wkładała na przemian i prała w strumieniach, kiedy miała taką możliwość. Dziurawe skarpetki przywierały do krwawiącej skóry. Zużyła już cały zapas plastrów; najgorsze rany opatrywała teraz podartymi chusteczkami do nosa. Mimo wszystko odczuwała dotkliwy ból i chociaż starała się go ignorować, to z dnia na dzień posuwała się naprzód coraz wolniej, a to budziło jej strach.

Podczas wędrówki mijała wioski i osady, w których zaopatrywała się w jedzenie. Niektóre miejscowości były opuszczone, w innych toczyło się na pozór normalne życie. Pewnego późnego popołudnia napotkała tuzin wyczerpanych francuskich żołnierzy śpiących na polanie otoczonej platanami. Thea była bosa i ubrana w szorty. W normalnych okolicznościach taki widok wywołałby gwizdy i komentarze, ale teraz nie wzbudził nawet cienia zainteresowania młodych mężczyzn. Pomyślała, że nic w tym dziwnego, ostatecznie miała nogi pokryte grubą warstwą kurzu i włosy nietknięte grzebieniem od wielu dni, a jednak zbliżywszy się do nich z mapą, dostrzegła coś jeszcze – martwe, nieobecne spojrzenia.

Jeden z żołnierzy wskazał punkt na mapie gdzieś pomiędzy Rennes a Fougères, w przybliżeniu siedemdziesiąt kilometrów od St Malo. Następnie oznajmił, że Paryż upadł. W pierwszej chwili była pewna, że się przesłyszała, ale powtórzył to samo po raz drugi. Wehrmacht wkroczył do Paryża. Stolica Francji, to cudowne eleganckie miasto było teraz w rękach Niemców.

Bolesny ucisk w okolicy serca zdawał się rozprzestrzeniać z każdym kolejnym krokiem, zajął kości i płuca. Zaczęła się modlić po raz pierwszy, odkąd opuściła szkolne mury: o to, by Helen była bezpieczna w Anglii, o zdrowie bliskich, o powrót do domu.

Była pierwszą osobą z zewnątrz, która dotarła do maleńkiej, położonej na uboczu osady, i to jej przypadło w udziale przekazanie wieści o upadku Paryża. Sprzedawczyni w piekarni popatrzyła na nią

jak na osobę niespełna rozumu lub nikczemną i odmówiła przyjęcia zapłaty za chleb, opędzając się od niej, jakby roznosiła zarazę.

Ilekroć osiągała szczyt jakiegoś wzgórza lub wzniesienia, przeszukiwała wzrokiem horyzont, modląc się o widok roziskrzonego morza, które mogło być tuż-tuż albo wiele kilometrów dalej. Od ponad tygodnia właściwie nie spała i wszystkie wioski zaczynały jej się zlewać w jedną. Takie same pozamykane domy, place otoczone drzewami i małe ciemne piekarnie. Dręczył ją nieustanny niepokój, że zabłądziła; że mimo na ogół dobrej orientacji w terenie zgubiła drogę wśród splątanych ścieżek i dni pomieszanych z nocą. Zamiast na brzeg kanału mogła zmierzać wprost na rozległy skalisty Półwysep Bretoński. Albo błąkać się w kółko w piekielnej i wyczerpującej wędrówce, którą zakończyć miało dopiero wpadnięcie w szpony nieprzyjaciela. Istniała też możliwość, że zdoła dotrzeć do St Malo, ale tylko po to, by się przekonać, że jest ono już pod niemiecką okupacją albo że wszystkie rejsy na drugą stronę kanału zostały wstrzymane.

Ramiona miała spieczone od słońca, oczy łzawiące od kurzu. Przez cały czas doskwierał jej ból głowy, który przypisywała upałowi. Najbardziej niepokoiły ją jednak stopy. Po wielu dniach wędrówki były pokryte pęcherzami i krwawiące. Część pęcherzy popękała; z największego, o długości prawie ośmiu centymetrów, umiejscowionego na boku prawej stopy, sączyła się żółta ciecz. Najwięcej bólu sprawiały jednak te na podeszwach, to przez nie każdy krok stanowił udrękę.

Wbrew temu, co Thea powiedziała wcześniej Grace, Rowan nie była jedynym powodem jej wyjazdu ze Szwajcarii. Podbiwszy kraje na północy Europy, Hitler skupi uwagę na Wielkiej Brytanii. Dziewczyna chciała wesprzeć swój kraj, tymczasem incydent z samolotem uświadomił jej własne ograniczenia i teraz uważała, że nie ma do zaofiarowania absolutnie niczego wartościowego. Mimo wszystko – aby wypełnić swoją rolę – musiała wrócić do Anglii, tymczasem zmasakrowane stopy pozwalały przemierzać coraz mniej

kilometrów każdego dnia. Przerażała ją myśl o chwili, kiedy nie zdoła już zrobić żadnego kroku.

Usiadła na trawie pod wierzbami i napiła się wody. Takie myślenie nie ma sensu, zganiła się w duchu. Popatrzyła na rozpościerającą się przed nią dolinę w kształcie misy, przez którą prowadził kamienisty kręty szlak. No, Thea, głowa do góry. Ze wzniesienia po drugiej stronie doliny mógł się ukazać wytęskniony widok błękitnej, mieniącej się w słońcu wody.

Rozpięła sandały, zacisnęła zęby i zdjęła skarpetki. Złożyła ostatnią chusteczkę, którą owinęła wokół stopy, krzywiąc się z bólu. Nie wyobrażała sobie przejścia kolejnego kilometra, nie wspominając o dwudziestu lub trzydziestu. Nie była pewna, czy da radę. Na razie delektowała się odpoczynkiem. Chłodne powietrze w cieniu drzew działało kojąco na poranione stopy. Spróbowała odpędzić czarne myśli i podziwiała krajobraz.

Wypiła kilka łyków wody, zjadła kawałek bagietki, położyła kompas na kamieniu i obserwowała igłę, która potwierdziła obrany kierunek. Powinna wyruszyć w dalszą drogę, lecz potrzeba wypoczynku była obezwładniająca. Pozwoliła opaść ciężkim powiekom.

Głośny ryk silnika zagłuszył śpiew ptaków, wyrywając Theę ze snu. Zobaczyła motocykl w wojskowych barwach zmierzający w jej stronę ścieżką wśród pól. Błyskawicznie włożyła skarpetki, poderwała się, spakowała rzeczy do plecaka i spróbowała ukryć się za drzewem. Kiedy jednak wychyliła ostrożnie głowę, zobaczyła, że przednie koło motoru uderza o kamień. Pojazd wypadł z drogi i przewrócił się na bok, wyrzucając kierowcę z siedzenia.

Wstała. Srebrzysta kierownica motocykla błyszczała w promieniach słońca, koła wirowały szaleńczo. Żołnierz, który leżał bez ruchu na skraju pola, miał na sobie zielony mundur brytyjskiego korpusu, nie szare barwy Wehrmachtu.

Zbiegała na dół, wołając:

– Żyje pan? Halo?

Przyklękła obok motocyklisty i przyjrzała mu się z bliska. Był młodym chłopakiem, a jego ubrania nosiły podobne ślady zużycia jak odzienie Thei. Dotknęła skóry pod brodą i ku swojej uldze wyczuła puls. Opalenizna pobielała od kurzu, mocna linia szczęki, proste

czarne brwi, długie rzęsy ocieniające zamknięte powieki, kształtne uszy. Piękny mężczyzna, pomyślała, opierając się nagłemu impulsowi pogładzenia czarnych loków, dotknięcia kącika warg.

– Halo? – powtórzyła, poklepując go po ramieniu. – Jak się pan czuje?

Odpowiedział jęknięciem. Thea usiadła na ziemi w pewnym oddaleniu. Otworzył oczy – były koloru polnych chabrów.

– Jest pan ranny? – zapytała.

– Nie wiem – jęknął po raz kolejny. – Co za idiota. Co za przeklęty idiota.

– Uderzył pan przednim kołem w kamień.

Podciągnął się do pozycji siedzącej.

– Jednak jest pan ranny – stwierdziła, patrząc na jego skroń, z której sączyła się krew, i na częściowo pozbawione skóry dłonie. – Proszę. – Rozwiązała bawełnianą apaszkę, złożyła na pół i podała nieznajomemu. – Niech pan tym zatamuje krwawienie.

– Dziękuję. – Przycisnął materiał do czoła, po czym poklepał czule motocykl. – Tak czy inaczej, kończyło nam się paliwo – oznajmił. – Pani jest Brytyjką, prawda? – dodał, spoglądając na Theę.

– Tak. Nazywam się Thea Craxton.

– Cormac Jamieson. Co pani tu robi?

– Prawdopodobnie to samo, co pan. Usiłuję wrócić do domu.

Uniosła głowę do góry pod wpływem nagłego hałasu i ujrzała złowieszcze srebrne refleksy na niebie.

– Samoloty – powiedziała, wstając szybko. – Nie widać czyje, a nie warto czekać, by się przekonać. Chodźmy.

Ujęła go pod ramię, pomogła mu wstać i razem pokuśtykali pod górę, w stronę zarośli. Stali obok siebie pod osłoną drzew, podczas gdy myśliwce przelatywały im nad głowami. Cormac Jamieson był co najmniej o głowę wyższy od Thei. Zmrużył oczy, spoglądając na niebo przez liście i gałęzie. Świst samolotów gwałtownie obniżających lot i ponownie się wznoszących wywoływał strach skręcający żołądek. Naszła ją przedziwna tęsknota za wtuleniem twarzy w klatkę piersiową żołnierza. Chciała, by ją objął i mocno przytulił, chciała przestać słyszeć ten wstrętny nosowy pogłos.

– Odlatują – zakomunikował.

Dwa samoloty zrobiły szeroki łuk, a następnie obrały kierunek, z którego nadleciały. Thea wypuściła wstrzymywane powietrze.

– Dokąd chcesz dojść? – zapytał Cormac.

– Do St Malo.

– Wygląda na to, że idziemy w tę samą stronę. Z St Malo mają nam zapewnić transport. – Rozwinął mapę i wskazał punkt w jej zagięciu. – Jesteśmy mniej więcej w tym miejscu. A więc przed nami nie więcej niż trzynaście, czternaście kilometrów.

Trzynaście kilometrów. Może zdoła przejść kolejne trzynaście kilometrów. Czy to wykonalne?

Cormac otrzepał mundur z ziemi i piasku, przerzucił torbę przez ramię.

– Ruszajmy – powiedział. – Im szybciej dotrzemy na miejsce, tym większe prawdopodobieństwo, że zastaniemy statek w porcie.

Za lasem rozciągały się kolejne pola poprzecinane żywopłotami.

– Kulejesz – zauważył żołnierz, kiedy pokonali niewielki kawałek drogi.

– To tylko pęcherze.

– Zobaczmy.

Usiadła na poboczu i zsunęła skarpetki. Mężczyzna wstrzymał oddech, po czym wydobył z bagażu puszkę plastrów oraz buteleczkę jodyny. Podzielili się jodyną, kilka kropel poszło na jego ranę głowy, kilka więcej – na opatrzenie stóp Thei.

Cormac podał jej parę zielonych skarpet.

– Są o wiele za duże, ale przynajmniej całe. Skąd idziesz?

– Z Alençon.

Gwizdnął.

– To spory kawałek drogi.

Thea zajęła się swoimi stopami, podczas gdy on po raz kolejny popatrzył na mapę. Kiedy zapięła klamerki sandałów, przewiesił sobie przez ramię jej plecak, ignorując protesty i zapewnienia, że doskonale sama sobie poradzi.

Po drodze opowiadał o sobie. Należał do oddziału brytyjskich łączników. Kiedy dowódca zakomunikował, że każdy ma się ratować na własną rękę, dołączył do grupy kolegów, którzy zamierzali obrać kierunek na Cherbourg. Pewnego wieczoru, gdzieś niedaleko Rouen,

zapadli w krótką drzemkę, z której zbudził ich hałas nadjeżdżających czołgów. Mieli sekundy na ucieczkę, wskoczyli więc na motory, porzuciwszy hełmy i rękawice ochronne. Następnego dnia napotkali innego brytyjskiego żołnierza zmierzającego, tak jak oni, nad kanał La Manche. Dowiedzieli się od niego, że trasa na Cherbourg została odcięta przez nieprzyjaciela, skręcili więc na południe, do St Malo.

– A później, nie pomnę kiedy, wczoraj czy parę dni temu, wyjechaliśmy zza zakrętu wprost na armię Wehrmachtu. Cały rój niemieckich żołnierzy. – Cormac przetarł oczy z kurzu i potu. – Uciekłem w przeciwną stronę niż reszta i nie udało mi się później nikogo znaleźć. Może ich pojmano. Wszędzie pełno Niemców, mogą być za każdym drzewem. Za każdym zakrętem można się nadziać na czołg.

Podczas wędrówki akompaniowała im stłumiona kakofonia strzałów, szydercze przypomnienie, jak łatwo można ich zniszczyć. Thea miała nadzieję, że stopy będą mniej boleć opatrzone i opatulone w świeże skarpety, tymczasem cierpiała jeszcze dotkliwiej. Każdy krok był jak stąpanie po tłuczonym szkle. Cormac próbował dostosować tempo marszu do jej możliwości. Bardzo o nią dbał, ale nie miała złudzeń: w każdej chwili mógł podjąć decyzję o pozostawieniu jej samej sobie; poruszałby się o wiele szybciej w pojedynkę.

Kolejne obniżenie terenu i kolejne wzgórze. Thea kuśtykała przed siebie popychana intensywną nadzieją, że ujrzy taflę wody za wzniesieniem. Widok morza pomógłby jej iść dalej. Kiedy po raz kolejny zobaczyła przed sobą tylko takie same pola i żywopłoty, ogarnęło ją rozczarowanie tak przeszywające, że miała łzy w oczach.

– Spowalniam cię tylko – wyrzuciła z siebie. – Nie musisz na mnie czekać. Zrozumiem.

Cormac powiódł wzrokiem po poboczu drogi. Odciął nożem prostą jesionową gałąź.

– Podpieraj się tym – powiedział. – Nie zostawię cię, Theo. Dotrzemy tam razem, dobrze?

Pochyliła głowę i wymamrotała:

– Nie wiem, czy dam radę.

– Krok za krokiem. Nie myśl o niczym więcej.

– Jeżeli mnie zamkną, przynajmniej nie będę musiała iść dalej.

– Bzdura. Nawet tak nie myśl. Już niedaleko. Prawie się udało. Jutro o tej porze będziesz w domu.

Nie możesz tego wiedzieć, pomyślała. Milczała jednak. Bała się, że ją zostawi, zmęczony narzekaniem. Miała dość samotności, a jego optymizm napawał ją otuchą, podobnie jak, nie wiedzieć czemu, północny akcent. Towarzystwo rozsądnego, praktycznego Brytyjczyka czyniło tę upiorną, niekończącą się wędrówkę o wiele znośniejszą. Fakt, że miał prawdziwą mapę, potrafił jeździć na motorze i wiedział, jak unikać wroga, podnosił ją na duchu. „Jutro o tej porze będziesz w domu". Te słowa wznieciły w niej nieoczekiwanie iskrę nadziei, na przekór poranionym stopom i śmiertelnemu zmęczeniu.

Ruszyli naprzód, Thea podpierając się prowizoryczną laską. „Krok za krokiem".

– Co robiłaś w Alençon? – spytał.

– Spędziłam tam tylko kilka godzin. Wcześniej byłam w Paryżu, gdzie przyjechałam z Bazylei. Jestem archeolożką.

– Archeolożką? Godne podziwu.

– Plasuję się na samym dole w hierarchii. Głównie sporządzam notatki i opisy. Ale uwielbiam to – dodała szczerze. Opowiedziała o Fainlightach i wykopaliskach w Barbury.

Podtrzymuje rozmowę wyłącznie dla poprawienia mi nastroju, myślała. Większość ludzi uważała archeologię za szczyt nudziarstwa, ale Cormac nader przekonująco udawał zainteresowanie.

Wyjaśniła powód pobytu w Paryżu i opisała poszukiwania Helen.

– Mam nadzieję, że niczego nie przeoczyłam i że wróciła do Anglii albo jest w Szwecji, u taty. – Nagle zdała sobie sprawę, że za dużo mówi o sobie, i postanowiła zmienić temat. – A ty, Cormacu, czym się zajmujesz, kiedy nie walczysz na froncie? Chyba że jesteś zawodowym żołnierzem?

– Zaciągnąłem się w trzydziestym ósmym. – Przystanęli na poboczu, żeby rozwinąć mapę. – Jesteś gotowa na dalszą wędrówkę? – zapytał, składając płachtę papieru. – Odpoczniemy na szczycie następnego wzniesienia.

Podjęli marsz.

– Nie mogłem wrócić do domu po okropnej awanturze z ojcem – podjął Cormac. – Wojsko wydawało mi się wtedy dobrym rozwiązaniem.

– Masz złe relacje z tatą?

– Stary diabeł ma trudny charakter. Jamiesonowie są z natury wybuchowi, ale on przekracza niekiedy wszelkie granice. Pokłóciliśmy się o coś i musiałem ochłonąć.

– Czasami otwarty spór jest lepszy niż trzymanie wszystkiego w sobie.

– Czasami. – Przelotny uśmiech. – Aczkolwiek ja jestem zazwyczaj potulny jak baranek.

Roześmiała się.

– To dla mnie dobra wiadomość. Skąd pochodzisz?

– Z miejscowości o nazwie Crawburn, w Northumberland. Najmilszy zakątek pod słońcem – powiedział z taką prostotą, jakby to był niezaprzeczalny fakt. – A ty? Ze Szkocji, tak? Masz tam rodzinę?

– W Glasgow już nikogo. Oboje rodzice nie żyją. Mam starszą siostrę, Rowan, ale ona mieszka teraz w Londynie.

– Ja też mam siostrę. Młodszą. Ma na imię Nicola. Matka umarła, gdy miałem dwanaście lat. Nie winię ojca za to, że jest taki, jaki jest. Miał ciężkie życie.

Wspięli się na nieduże wzniesienie. Thea z ulgą opadła na trawę, Cormac usiadł obok niej.

– Czy głowa bardzo cię boli? – zaniepokoiła się, zobaczywszy grymas na jego twarzy.

– Trochę boli. – Skrzywił się, dotykając czoła opuszkami palców. – Zdrzemnę się pięć minut. Obudź mnie, jeśli będę spał dłużej. Obiecaj mi, Theo.

– Obiecuję.

Zamknął oczy i momentalnie zapadł w sen. Skóra pod warstwą kurzu i opalenizny miała niebieskawy odcień. Dziewczyna odgoniła muchę, która krążyła wokół jego twarzy.

Ocknął się równo pięć minut później i zjedli resztę prowiantu Thei, który podzieliła na dwie części. Później ruszył zamaszystym krokiem na rekonesans. Osłonił oczy przed słońcem, żeby popatrzeć w niebo.

Obserwując go, Thea nie miała wątpliwości, że Cormac odczuwa silny ból głowy.

Podjęli dalszą wędrówkę. W miarę jak przybliżali się do wybrzeża, odgłosy walki zbrojnej przybierały na sile. Postanowili wejść na główną drogę, zamiast jak dotąd trzymać się bocznych ścieżek. Było to mniej bezpieczne, ale oszczędzało czas. Thea podejrzewała, że Cormac też zdaje sobie sprawę, że oboje są już u kresu sił. Zmęczeni po ostatnich dniach i tygodniach musieli nieustannie uważać, czy za kolejnym żywopłotem nie czai się wróg albo czy nie nadciągają myśliwce. Żołnierze Wehrmachtu i Luftwaffe ciągnęli na południe i zachód Francji z zamiarem zamknięcia portów i uniemożliwienia ucieczki kolejnym członkom korpusu pomocniczego. Thea i Cormac musieli dotrzeć do St Malo, zanim zrobi to wróg.

Późnym popołudniem weszli do wioski pełnej pobielanych domków porośniętych pnącymi różami. Samochody i powozy konne wypełnione angielskimi rodzinami zmierzały w stronę St Malo. Młodzieńcy na rowerach studiowali mapy i podawali sobie nawzajem bukłaki z wodą. Mundury brytyjskich żołnierzy były brudne i podarte jak ubranie Cormaca, a ich twarze pokryte smugami kurzu i pociemniałe ze zmęczenia.

Zabudowania były coraz rzadsze; rząd chatek, jakaś staruszka z motyką pieląca ogródek, pies ścigający królika na polu.

– Popatrz – powiedział.

W oddali, za polami upstrzonymi wiejską zabudową, rozciągał się lazurowoturkusowy pas morza roziskrzony w słońcu.

– Och – westchnęła z zachwytem.

Cormac wsparł się o pień drzewa. Pod chabrowymi oczami miał sinoniebieskie cienie.

– A nie mówiłem? – Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Potrzebujesz odpoczynku?

– Nie, dam radę. Powinniśmy iść dalej. A ty?

– W porządku.

Podjęli wędrówkę. Thea odczuwała zawroty głowy spowodowane upałem i rażącym słońcem. Szli w milczeniu, każde skupione na stawianiu kolejnych kroków. Dziewczyna wyczuwała, że jej towarzysz pokonuje taki sam opór ciała jak ona.

Brukowane portowe uliczki były pełne pojazdów i pieszych. Weszli w tłum zmierzający w tym samym kierunku, ku przystani. Cormac podał rękę Thei, żeby nie zgubili się w otaczającym ich ludzkim mrowiu. Poczuła ciepło jego palców. Ludzie porzucali samochody i wozy z końmi, wyciągali z tylnych siedzeń i bagażników walizki, kufry i dzieci, by pokonać resztę drogi piechotą.

– Theo, statek! – zakrzyknął Cormac.

Padli sobie w ramiona: on ze śmiechem, ona z płaczem. Wdychała zapach jego skóry i delektowała się mocnym dotykiem ciepłych ramion. Nagle rozluźnił uścisk, pochylił głowę i musnął jej usta swoimi spierzchniętymi, słonawymi, gorącymi wargami. Zaniemówiła w przypływie emocji.

Poszli dalej, Cormac mocno ściskając dłoń Thei i torując drogę wśród ludzkiej masy. Ktoś ich pokierował do konsulatu brytyjskiego. Thea stanęła w kolejce do okazania paszportu, aby dostać pozwolenie na wejście na pokład. Co jakiś czas zerkała w stronę Cormaca, który stał wsparty o ścianę. Jego opalona, pokryta kurzem skóra pobladła i pokryła się warstewką potu.

Zewsząd dobiegały płacz kobiet i rzucane pod nosem przekleństwa mężczyzn, gdyż obywatele francuscy spotykali się z odmową przyjęcia na pokład, co oznaczało rozłąkę z angielskimi krewnymi. Thea omal nie zemdlała z ulgi, otrzymawszy pozwolenie. Przecisnęła się przez tłum do Cormaca. Miał zamknięte oczy.

– W porządku? – Dotknęła jego dłoni.

Zatrzepotał powiekami.

– Nic mi nie jest.

– Jak głowa?

– Boli. – Przyłożył rękę do czoła.

Wyszli z budynku i ruszyli na nabrzeże. Teraz to ona podpierała Cormaca. Przeniósł na nią część ciężaru ciała, potknął się parę razy.

– Jamieson! – zawołał ktoś, gdy podchodzili do statku. Jasnowłosy żołnierz o szerokim przyjaznym uśmiechu torował sobie drogę wśród morza zielonych mundurów. – Myślałem, że trafiłeś w niewolę. Jak dobrze cię widzieć!

– Coleman – powiedział Cormac. – Dzięki Bogu.

– Wszyscy tu są – oznajmił jasnowłosy mężczyzna. – Chodź.

– Daj mi chwilę. Theo, pora wejść na pokład.

– Cormac…

– Ja muszę dołączyć do reszty oddziału. – Uśmiechnął się do niej. – Śmiało, Theo. Z Bogiem. Bezpiecznej podróży do domu.

Marynarz pilnujący trapu niecierpliwie domagał się od niej dokumentów i popędzał, by weszła na pokład. Obejrzała się za siebie. Cormac zasalutował na pożegnanie.

– Napiszę do ciebie! – krzyknął. – Gdzie mieszkasz?

– Moja siostra ma mieszkanie na ulicy Macklin! – Zdążyła odpowiedzieć, zanim ktoś odepchnął ją na bok, reszta pasażerów weszła na pokład i zaciągnięto trap. Kiedy powtórnie popatrzyła na nabrzeże, nie zobaczyła już na nim Cormaca. Była niepocieszona.

Poczuła pod stopami drżenie silników, okręt wypływał w morze. Ludzie mówili, że pozostanie na pokładzie ze wzrokiem utkwionym w horyzont zmniejsza ryzyko choroby morskiej. Początkowo Thea miała nadzieję, że to prawda, ale w miarę jak statek wpływał coraz dalej na otwarte wody, kadłub podrygiwał mocniej na grzbietach fal, a ona rozpoznała znajomy mdlący ucisk w dołku. Mdłości przynajmniej odwracają uwagę od krążących po niebie jak drapieżniki myśliwców, pomyślała, przeciskając się przez tłum i szukając wolnego miejsca przy górnej krawędzi nadburcia. W ostatniej chwili znalazła prześwit przy burcie i gwałtownie zwymiotowała w spienione fale. W chwili ulgi, która nastąpiła potem, oddała się myślom o Cormacu, o ich uścisku i pocałunku. Na przekór śmiertelnemu zmęczeniu, poparzeniom słonecznym, pęcherzom i chorobie morskiej ogarnęła ją błogość, którą niebawem zakłócił nieubłagany nawrót mdłości. Wreszcie opadła na deski przy burcie i wyczerpana zapadła w sen.

Rozdział dwunasty

Czerwiec 1940

Miał zaledwie dwadzieścia lat. Był szeregowym żołnierzem, nazywał się Alfred Claybourn. Leżał nieruchomo na łóżku okryty niebieskim szpitalnym kocem. Rowan, która sprawowała nad nim opiekę pielęgniarską, widziała tylko kępkę włosów koloru wróblich skrzydeł i szaroniebieskie oczy zwężone w szparki i mętne od morfiny. Dolna część twarzy została odstrzelona, a to, co pozostało, było ukryte pod gazą i bandażami.

Popatrzył na Rowan i z jego gardła wydobył się chrapliwy dźwięk. Uśmiechnęła się do niego.

– Twoi rodzice już do ciebie jadą – powiedziała łagodnie. – Niedługo tu będą, Alfie. – Powtarzała to już któryś raz z kolei, bo nie była pewna, czy zrozumiał.

Kolejny zdławiony, gardłowy odgłos.

– Wsiedli już do pociągu. Będą naprawdę niedługo. Obiecuję.

Rodzina Alfiego mieszkała w Staithes, na północnym wybrzeżu hrabstwa Yorkshire. Podróż do szpitala w Kencie miała im zająć cały dzień.

Chłopak leżał w rogu sali, odgrodzony przepierzeniami od reszty łóżek. Znajome odgłosy szpitala, szybkie kroki innych pielęgniarek, jęki pacjentów, skrzypienie łóżek na kółkach i szelest wykrochmalonej pościeli zdawały się należeć do innego świata. Rowan czuła się wypalona po wielu długich dniach opieki nad poparzonymi, rannymi, zszokowanymi i wyczerpanymi żołnierzami spod Dunkierki, Calais, Hawru i ostatnio – St Nazaire. Siostra oddziałowa pouczyła ją, by trzymała Alfiego za rękę i rozmawiała

z nim. Zawsze uważała się za biegłą w sztuce konwersacji, ale o czym można gawędzić z umierającym chłopcem?

Wodniste światło przenikało przez niebieskie zasłony przepierzenia, gdy młody żołnierz poruszał się niespokojnie na łóżku.

– Masz braci albo siostry, Alfie? – zapytała.

Odpowiedział nieznacznym skinieniem głowy. Jedną rękę miał grubo obandażowaną, drugą trzymała Rowan. Ledwie dostrzegalnie uniósł trzy palce.

– Trzy siostry? – zgadywała. – Nie? W takim razie bracia. Szczęściarz z ciebie. Na pewno świetnie się bawicie we czterech. Nigdy nie byłam w Staithes, a słyszałam, że to urocze miejsce. – Mało brakowało, by zapytała Alfiego, czy pływał z braćmi po morzu. Szczęśliwie opamiętała się w porę. Chłopak został uratowany z okrętu zatopionego przez niemieckie myśliwce u wybrzeży Francji. Na jego włosach pozostała warstewka soli z kanału La Manche.

– Chodziłam do szkoły w Yorkshire – powiedziała zamiast tego. – Tata przyjeżdżał, kiedy zaczynały się ferie, i zabierał nas z siostrą na spacer, a potem do kawiarni. Nigdzie nie jadłam smaczniejszych ciastek. Samej szkoły szczerze nienawidziłam. Nie przepadam za wykonywaniem poleceń. Ale w wojsku trzeba, prawda? W szpitalu zresztą też.

Wydał z siebie kilka niespokojnych pomruków, jego dłoń poruszyła się spazmatycznie.

– Spróbuję ułożyć cię trochę wygodniej – powiedziała. – Poprawię poduszkę. Widzisz, nic się nie dzieje. Proszę. Prawda, że lepiej?

Jej głos zdawał się go uspokajać. Chłopak wyciszał się, gdy opowiadała o letnich wakacjach, zabawach z Theą, wspólnych spacerach i smaku lodów. Kiedy brakowało jej weny do dalszych opowieści, Alfie poruszał się niespokojnie i wydawał z siebie nieludzkie odgłosy przerywane dusznościami, Rowan wytężała więc umysł i mówiła dalej. O czymkolwiek. Wreszcie zamknął oczy, a wtedy ściszyła głos, nie przestając gładzić jego ręki. Mamrotała w kółko te same słowa, niczym modlitwę lub kołysankę. Że wszystko będzie dobrze; że rodzice już do niego jadą; że nie jest sam i nic złego się nie dzieje.

Rowan blisko dziewięć miesięcy temu dołączyła do personelu szpitala Świętej Anny, położonego na południowym brzegu Tamizy. Pierwszy dzień w pracy wspominała jako pasmo szokujących doświadczeń. Pobudka o szóstej była wstrząsem, podobnie jak wykrochmalony na sztywno, niewygodny, staroświecki strój służbowy oraz śniadanie złożone z owsianki i chleba jedzone w towarzystwie pięćdziesięciu innych plotkujących i narzekających pielęgniarek. Wreszcie oddział. Jako nowa pracownica na okresie próbnym zajmowała w hierarchii miejsce najniższe z najniższych. Słusznie, ponieważ o niczym nie miała pojęcia. Snuła się bez sensu i celu, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, bądź usiłowała chaotycznie spełniać polecenia.

Mimo wszystko była zachwycona. Pierwszego wieczoru opuszczała oddział zmęczona jak nigdy w życiu, z chaosem w głowie, w której wciąż rozbrzmiewało echo pokrzykiwań siostry oddziałowej. A jednak dzień minął błyskawicznie, ponieważ przez cały czas była czymś zaabsorbowana i w coś zaangażowana. Jakże nudne wydawało się teraz jej dawne życie w porównaniu z obecnym, jak bardzo jałowe i pozbawione celu! Odkrycie przerażające i zachwycające zarazem. Jakimś cudem nareszcie zdołała stanąć na nogi.

W kwietniu, po zakończeniu „dziwnej wojny", przeniesiono ją do oddziału szpitala polowego w Kencie. Z dala od stolicy rozstawiono skupisko namiotów oczekujących przybycia rannych. Pewnego poranka sześć tygodni później pielęgniarki i sanitariuszki otrzymały polecenie opróżnienia oddziału. Pacjenci ambulatoryjni zostali wypisani, pozostali odesłani do domów opieki.

Nadjechały ambulanse, niekończące się konwoje karetek wiozących żołnierzy ewakuowanych spod Dunkierki. Aż do tego dnia wojna była zaledwie nagłówkiem w gazecie lub nudnym radiowym sprawozdaniem, które się przełączało na inną stację, aby posłuchać muzyki. Rowan być może niekiedy odczuwała cień niepokoju o Theę, ale niezbyt dokuczliwy, gdyż neutralność Szwajcarii pozwalała jej ufać w bezpieczeństwo siostry.

Dunkierka wszystko zmieniła. Zszokowani, okaleczeni żołnierze byli realnym dowodem klęski i odwrotu. Rowan rozcinała zszargane mundury i przemywała brudne słone ciała. Po raz pierwszy miała do

czynienia z ranami po szrapnelach. Nikt jej nie uczył, jak usuwać szrapnele, ale wszystkie przeszkolone pielęgniarki były zajęte; ktoś włożył jej w ręce cążki i kazał się brać do roboty. Tak więc uczyniła. Wydłubywała fragmenty metalu z ludzkich głów, kończyn i pleców. Niekiedy w akompaniamencie wrzasków, gdy usuwała jakiś wyjątkowo głęboko umiejscowiony odłamek, ale często w ciszy. Tylko płaty skóry widocznej spod warstw ropy i brudu bladły jeszcze bardziej. Absurdalne szpitalne zwyczaje – ustawianie łóżek w rzędach nogami do środka pokoju, polerowanie mosiężnych klamek dwa razy dziennie i ciągłe sprzątanie szafek – poszły w zapomnienie. Po paru dniach do zapachu krwi i benzyny dołączył słodkawy odór gangreny. Kiedy nadeszła wieść o zajęciu Paryża, jeden z francuskich żołnierzy odwrócił twarz do ściany i zapłakał.

Przerwy między kolejnymi oddechami Alfiego coraz bardziej się wydłużały. W pewnej chwili ranny po raz kolejny zaczął się dusić. Po chwili siostra oddziałowa rozsunęła kotarę i weszła do środka. Była surowa, zasadnicza i lubiła wytykać błędy, lecz tym razem jej głos zabrzmiał łagodnie.

– Biedny chłopiec nie żyje, siostro Scott. Już po wszystkim.

Młoda pielęgniarka zdała sobie sprawę, że przełożona ma rację.

Oficer lotnictwa z pobliskiej bazy podwiózł do Londynu Rowan i jej koleżankę, wesołą siostrę Jenkins o rumianych policzkach, swoim samochodem marki MG. Wypili razem drinka w jednym z barów w Covent Garden, zanim zostawiła ich, by powrócić do mieszkania.

Zajrzała do skrytki pocztowej, ale nie znalazła żadnego listu od Thei. Wstrzymała oddech, wchodząc na górę, kierowana przesądem z dzieciństwa: jeżeli zdołam wstrzymać oddech do momentu wejścia do domu, zastanę w nim Theę. Tak się jednak nie stało. Weszła do chłodnych pustych pokoi; za długo stały nieużywane, aż nabrały zapachu stęchlizny. Wymyła butelkę po skwaśniałym w lodówce mleku i otworzyła okna, by wpuścić świeże powietrze. Dręczył ją niepokój i gnębiło rozczarowanie. Włączyła bojler i przygotowała letnią kąpiel. Moczyła się przez chwilę, aby

zapachy szpitala pozostały w wodzie, a następnie wyszła z wanny i owinęła się dużym ręcznikiem. Po zamknięciu okien i zaciemnieniu ich przed godziną policyjną położyła się do łóżka z zamiarem ucięcia sobie drzemki.

Pracowała przez dziesięć dni z rzędu; tego ranka zaczęła dyżur o siódmej, nie mogła jednak wyciszyć myśli i zapomnieć błagalnego wzroku Alfiego Claybourna, dotyku jego spazmatycznie drgającej dłoni. Po chwili zrezygnowała ze snu i zaczęła się ubierać.

Nastawiła na gramofonie płytę Cole'a Portera, włożyła jedwabny biustonosz koloru brzoskwiniowego i body. Zapaliła papierosa. Gdzie, na Boga, podziewała się Thea? Dlaczego nie wracała do domu? Czy wciąż była bezpieczna w Szwajcarii? A może tkwiła gdzieś pośrodku tego chaosu we Francji, zagubiona, przerażona, zagrożona niewolą? W szpitalu mówiono, że statkiem Alfiego, tym zbombardowanym, płynęli również cywile. Rowan modliła się, aby to nie była prawda. Myśl o Thei pokrytej benzyną i krwią albo poszarpaną jak ten biedny chłopak przyprawiała ją o dreszcze. Zgasiła papierosa.

Usiadła przed toaletką, by nałożyć makijaż i spiąć włosy w gładki kok. Naciągnęła jedwabne pończochy, wślizgnęła się w koralową sukienkę z satyny i narzuciła biały aksamitny żakiet od Edwiny. Sięgnęła po torebkę, w której miała portfel, puder i klucze. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, zakładając kolczyki. Proszę, wyglądała prawie tak samo jak dawna Rowan, pomijając czerwone, podrażnione ręce.

Nie zamknęła za sobą drzwi na klucz, na wypadek powrotu Thei. Zresztą często zostawiała je otwarte; udostępniała mieszkanie na noc znajomym na przepustkach lub przejazdem w Londynie. Miejsce nabierało powoli obcego charakteru. Co jakiś czas znajdowała porzucone przez różnych ludzi przedmioty: fiolkę perfum, granatową męską kurtkę, książki w miękkich okładkach.

W American Bar w hotelu Savoy zastała Artemis i Maurice'a Wiltonów.

– Wzięłam kąpiel – powiedziała niepewnie Rowan. – Ale obawiam się, że nadal cuchnę szpitalnym środkiem do dezynfekcji.

– Skądże znowu, kochana, jesteś idealna pod każdym względem, jak zwykle. – Artemis poprowadziła ją do stolika. – Chodź, usiądź

z nami. Na pewno jesteś wykończona.

Kelner napełnił kieliszki szampanem, gawędzili o tym i owym. Maurice piastował jakieś stanowisko w Ministerstwie Zaopatrzenia, Artemis zaś pracowała w wolontariacie kobiet. Pomagała organizować poczęstunki dla żołnierzy ocalałych po bitwie pod Dunkierką; osobiście zrobiła setki kanapek i serwowała wojakom kakao w pociągach.

– Masz jakieś wieści od Thei? – spytała.

Rowan potrząsnęła głową.

– Cisza.

– Nie martw się.

– Artemis, widzisz, w jakim stanie ludzie stamtąd wracają. Ja też widuję ich codziennie. – Rowan nie potrafiła już dłużej zapanować nad lękiem. – Od dwóch tygodni pielęgnuję tych nieszczęśników. Thea na pewno próbuje wrócić do domu. Znam ją. Może być teraz wszędzie. – Zwróciła się do Maurice'a: – Co jej grozi w razie pojmania?

– Internowanie. Czyli zamknięcie w obozie jenieckim.

– A później?

– Nie wiem – odpowiedział łagodnie Maurice. – Przykro mi, Rowan. Można tylko mieć nadzieję na przestrzeganie procedur międzynarodowych w takich sytuacjach.

– Słyszałam w szpitalu o zatonięciu jakiegoś statku płynącego z St Nazaire… I zastanawiam się, czy…

– Rowan, zginęło wielu ludzi, dlatego nie chcą tego rozgłaszać. Morale, rozumiesz… – odpowiedział przyciszonym głosem Maurice.

– Czy na pokładzie byli jacyś cywile?

– Niestety tak. Nie znamy dokładnej liczby. Być może nigdy jej nie poznamy.

Artemis poklepała dłoń przyjaciółki.

– Thea to rozsądna dziewczyna – rzekła stanowczo. – Najprawdopodobniej została na miejscu. Ja bym się nigdzie nie ruszyła ze Szwajcarii. Pomyśl tylko o tej przepysznej czekoladzie i serach.

Rowan rozumiała, że Artemis bardzo się stara ją rozweselić, odpowiedziała więc uśmiechem i zmieniły temat.

Wracając później do domu, zdała sobie z czegoś sprawę: tego dnia po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl o utracie Thei na zawsze. Do tej pory żywiła jakieś niezłomne, wewnętrzne przeświadczenie, że siostra prędzej czy później wróci do domu, nawet jeżeli miałoby jej to zająć kolejny tydzień czy dwa, ale nie mogła się dłużej oszukiwać. Młodzi ludzie masowo umierali. Alfie był zaledwie rok starszy od jej siostry. Niemcy bombardowali i zatapiali jeden po drugim statki wypływające z francuskich portów, transportujące żołnierzy brytyjskich, francuskich i polskich, a także angielskich cywilów. Skoro rząd podjął decyzję o nieujawnianiu informacji o katastrofie statku, to z pewnością zginęły w niej tysiące ludzi.

Chmury rozstąpiły się, ukazując postrzępiony fragment księżyca, który oświetlił podrygujący na niebie olbrzymi srebrzysty balon zaporowy, równie piękny, jak złowieszczy. Rowan przechodziła przez zielony kwadrat ogrodu. Nocne powietrze było ciepłe i pachnące różami. Zadrżała z trwogi, uświadomiwszy sobie możliwość, że chociaż przed laty zdołała uratować Theę od utonięcia u wybrzeży Corran, to morze ostatecznie ją pochłonęło.

Szybko pokonała ostatni odcinek drogi na ulicę Macklin. Odruchowo zajrzała do skrzynki, nim weszła na górę. Przez szparę między drzwiami i podłogą przesączało się światło. Poczuła kołatanie serca. To mógł być każdy, powiedziała sobie, naciskając klamkę. Na przykład Nicky, Patrick albo Davey Manningham na przepustce. Ktokolwiek potrzebujący noclegu.

Weszła do salonu. Na podłodze stał plecak, a na kanapie leżała nieduża skulona postać.

– Thea! – zakrzyknęła Rowan obezwładniona ulgą i radością.

Thea opowiadała siostrze o swojej podróży, mocząc nogi w misce z ciepłą wodą. Rowan smażyła w kuchni jajecznicę i przygotowywała grzanki.

– W St Malo było raczej dziwnie. – Dziewczyna skrzywiła się, zdzierając plaster z dużego palca. – W otwartych sklepach sprzedawano eleganckie ubrania i torebki, jak zawsze, podczas gdy

ulice były zakorkowane tłumami zmęczonych i brudnych ludzi. Wszyscy próbowali stamtąd uciec. Mnie się udało, bo mam brytyjski paszport, ale wielu odeszło z kwitkiem. A później, kiedy statek wypełnił się już pasażerami, samoloty zaczęły zrzucać bomby, próbując nas zatopić.

Rowan wystawiła głowę z kuchni.

– Och, Theo, to jakiś koszmar.

– Niewiarygodny koszmar. Nasi lotnicy je rozpędzili.

– Dzięki Bogu.

– Czy wszystkie statki z St Malo dotarły bezpiecznie? Wiesz coś o tym, Rowan?

Starsza siostra weszła do pokoju.

– Znajomy wspominał o jednym, który zatonął. Mnóstwo ofiar.

Serce Thei ścisnęło się ze strachu, zanim Rowan zmarszczyła brwi i dodała:

– Nie. Jestem prawie pewna, że chodziło o port w St Nazaire, nie St Malo.

Dziewczyna poczuła ogromną ulgę. Miała nadzieję, że Cormac bezpiecznie dopłynął do Anglii następnym statkiem płynącym na drugą stronę kanału. Podczas rejsu do domu uświadomiła sobie, że jest w nim zakochana. Nigdy wcześniej nie była w nikim zakochana i miała pewne wątpliwości, czy to w ogóle możliwe: żywić tak intensywne uczucia wobec osoby, z którą spędziło się mniej niż jeden dzień. Serce podpowiadało, że owszem, możliwe. Jej miłość była bolesna w dotyku, ostra i szczypiąca niczym pęcherze na nogach. Zakochała się w nim być może już od pierwszego wejrzenia, kiedy leżał nieprzytomny na skraju pola we Francji.

– Proszę. – Rowan postawiła przed nią kubek herbaty. – Wypij. Kolacja prawie gotowa.

– Dziękuję. – Thea przetarła stopę flanelową szmatką, woda natychmiast poszarzała. – Dostałam okropnej choroby morskiej – opowiadała dalej. – Myślałam, że na dużym statku może nie będzie tak źle, ale było gorzej niż źle. Spodziewałam się poczuć jakiś rodzaj, sama nie wiem, patriotycznego uniesienia na widok brytyjskiej ziemi, tymczasem nie mogłam się skupić na niczym poza ulgą z powodu ustania wymiotów.

Rowan wróciła do pokoju z talerzem jajecznicy.

– Pokaż mi te swoje nogi. Biedna dziewczyno, coś strasznego. Zjedz kolację, później wymoczysz się w wannie, a przed spaniem opatrzę ci rany.

– A co z tobą? Wszystko w porządku?

– Tak. Jestem szczęśliwa, że cię widzę. – Rowan usiadła obok Thei. – Do szpitala trafia wielu żołnierzy z Francji. Bardzo się martwiłam.

Thea zgarnęła widelcem porcję smażonych jajek.

– Myślałam, że dałam plamę. Że za późno wyruszyłam.

Siostra ścisnęła ją za ramię.

– Ta podróż musiała być okropnie trudna.

Rzeczywiście. Thea wiele się o sobie dowiedziała. Pewnych rzeczy wolałaby nie wiedzieć, niemniej zostały jej wspomnienia, które będzie przechowywać jak najcenniejsze skarby. Uczucie, kiedy wreszcie ujrzała w oddali morze. Głos Cormaca, gdy mówił: „Nie zostawię cię, Theo". Pocałunku.

Nawet nie próbowała się tym dzielić z siostrą. Myśli były zbyt kruche i trudne do ubrania w słowa. Poza tym, wyczerpana do granic, ledwo miała siłę, by podnieść widelec do ust, choć nie miała w ustach treściwego posiłku od wielu już dni.

– Jestem szczęśliwa, że wróciłam – powiedziała tylko. – Niesamowicie szczęśliwa.

Wieczorem w łóżku wciąż miała wrażenie kołysania, jakby jeszcze nie zeszła ze statku. Martwiła się, czy Cormac dosłyszał adres, który wykrzyczała na pożegnanie. Mogą się już nigdy więcej nie spotkać.

Ta perspektywa wydawała się zbyt straszna, by brać ją pod uwagę. Nie mogła znieść myśli, że go straci, przecież dopiero się odnaleźli. Postanowiła nie wierzyć w najgorsze. Półprzytomna ze zmęczenia, zamknęła oczy i ujrzała pod powiekami jego twarz. Wpatrzona w nią odpłynęła w sen.

Rozdział trzynasty

Czerwiec–wrzesień 1940

Stuart wstąpił do marynarki wojennej i Sophie miała teraz miejsce dla trzech lokatorów. Wynajmujący byli inni niż ci przed wojną. Zniknęli wędrowni sprzedawcy, stare panny i wdowy w trudnej sytuacji życiowej. W kwietniu wprowadził się niejaki pan Reynolds, cichy, spokojny człowiek, który pracował w admiralicji. Drugą lokatorką została jego koleżanka z pracy, panna Cornish, wysoka tęga kobieta w wieku Sophie, osoba prostolinijna, pogodna i przyjacielska. Lubiła, jak to sama określała, „we wszystkim uczestniczyć", w związku z czym uparcie pomagała w sprzątaniu po kolacji.

W czerwcu dołączył do nich kapitan Kazimierz Wajszczyk. Kapitan pochodził z Polski, bronił swojego kraju we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, a po ogłoszeniu okupacji hitlerowskiej przedostał się przez Węgry do Francji, gdzie walczył dalej u boku generała Sikorskiego. Po kapitulacji Francji przypłynął do Anglii jednym ze statków, które opuszczały południowe porty.

Sophie zgadywała, że polski żołnierz miał około trzydziestu pięciu lat. Wysoki, o prostych jasnobrązowych włosach, niezwykle przystojny, o regularnych rysach. Spojrzenie szarych oczu nasuwało skojarzenie ze stalą. Pomimo jak najlepszych chęci notorycznie przeinaczała jego świszczące spółgłoskami nazwisko. Wyczuwała, że go to irytuje. Czasami zwracała się do niego po prostu „panie kapitanie", z tchórzostwa.

Był człowiekiem schludnym i uporządkowanym. Nie przysparzał jej wielu obowiązków, poza serwowaniem posiłków, praniem

i prasowaniem koszul oraz starciem od czasu do czasu kurzu w dawnym pokoju Duncana, który zajmował. Sam pastował sobie oficerki, czyścił płaszcz i mundur. Niezmiennie uprzejmy, nie zgłaszał nigdy żadnych zastrzeżeń, pozdrawiał Sophie eleganckim skinieniem głowy, ilekroć się widzieli. Wychodził z domu wczesnym rankiem, a wracał późnym wieczorem.

Właściwie trudno sobie wyobrazić mniej absorbującego lokatora. Sophie podejrzewała jednak, że kapitan Wajszczyk uważa swój obecny styl życia i jej dom za coś w rodzaju degradacji. Zastanawiała się, czy wcześniej – w Polsce – mieszkał w jakimś zamku. Niewiele mogła zrobić w sprawie posiłków. Masło, cukier, boczek i mięso – wszystko było teraz reglamentowane. Pani Leonard, do tej pory z dumą pełniąca funkcję pomocy domowej, podjęła w kwietniu pracę w fabryce części samolotowych, co oznaczało, że Sophie musiała przejąć jej obowiązki. Poza tym uczęszczała na kurs pierwszej pomocy z zamiarem odświeżenia i wykorzystania dawnych umiejętności z czasów, gdy była sanitariuszką wojenną.

Wiosną chłopcy przekopali kolejną część trawnika pod ogródek warzywny. Własne warzywa były na wagę złota, ale wymagały pielenia i podlewania, tak więc Sophie nie miała właściwie wolnej chwili. Z powodu rozoranego trawnika i wielkiego wybrzuszenia schronu ogród nie przypominał tego sprzed wojny. Niedługo trzeba będzie zrezygnować z róż, pomyślała ze smutkiem. Czasami spoglądała na swój dom oczami kapitana Wajszczyka i rozumiała, dlaczego mieszkanie w nim jest poniżej jego godności.

Sąsiadka i serdeczna przyjaciółka Sophie, Viola Foster, właśnie weszła i minęła się z wychodzącym kapitanem. Mężczyzna zasalutował jej, przechodząc. Viola zdjęła maskę gazową w sieni i uniosła brwi, zerkając na gospodynię.

– Czy to ten sławetny polski oficer? Bardzo przystojny mężczyzna.

– Owszem, chyba tak. – Sophie roześmiała się pod znaczącym spojrzeniem sąsiadki. – Jest dla mnie o wiele za młody. Straszny dzieciak.

– Hm – odpowiedziała Viola, stawiając na stole w kuchni koszyk truskawek. – Ptaki je trochę ponadgryzały, ale nadają się na dżem – rzekła.

Był piękny letni dzień, zabrały więc owoce na werandę i tam je szypułkowały, siedząc obok siebie, wsparte plecami o ścianę. Szorty Violi odsłaniały jej kościste opalone nogi. Sophie miała na sobie bawełnianą sukienkę w tym samym kolorze, co truskawki. Od czasu, gdy zamieszkał u niej kapitan Wajszczyk, ubierała się bardziej starannie – nie dlatego, że był przystojny, co to, to nie, po prostu nie chciała stać się kolejnym obiektem jego politowania.

Viola relacjonowała treść listu od swojego najstarszego syna, Michaela, który brał udział w ćwiczeniach wojskowych na terenie hrabstwa Yorkshire, ale Sophie nie mogła się skupić. Niesłusznie nazwała kapitana Wajszczyka dzieciakiem. Bez wątpienia był mężczyzną, w dodatku takim, który na wojnie widział – i prawdopodobnie robił – straszne rzeczy.

– Sophie? – zagadnęła Viola.

Podskoczyła wyrwana z własnych myśli.

– Bardzo cię przepraszam, Vi. Co mówiłaś?

– Nic ważnego. Tylko tyle, że prawie skończyłyśmy.

Wróciły do kuchni, gdzie Sophie wsypała truskawki do dużego garnka, dodała cukier i sok z cytryny, a Viola napełniła i nastawiła czajnik.

– Masz jakieś wieści od Duncana?

– Dostałam list parę dni temu, a wczoraj odwiedziła mnie Sally. Telefonował do niej poprzedniego dnia wieczorem. Mówi, że brzmiał nieźle. – Jej starszy syn i Sally Fleming zaręczyli się w kwietniu.

– To bardzo miłe z jej strony, że do ciebie przyszła.

– Tak, bardzo miłe.

Kuchnia wypełniła się niebiańskim truskawkowym aromatem lata. Flemingowie mieszkali w Richmond nad Tamizą. Sally codziennie dojeżdżała do pracy w londyńskiej siedzibie stacji BBC. Poprzedniego wieczoru przyszła po dyżurze w redakcji i została na kolacji, po której uparła się posprzątać razem z panną Cornish.

Zanim Stuart wyprowadził się z domu, pomógł Sophie przenieść z bawialni dwa masywne skórzane fotele i niedużą otomanę

w kwiaty, dzięki temu dawny gabinet zamienił się w salon dla lokatorów. Siedziała tam wczoraj wieczorem, rozmawiając przy herbacie z panem Reynoldsem i kapitanem Wajszczykiem, podczas gdy z kuchni dobiegały salwy perlistego śmiechu.

– Jaka świetna dziewczyna – skomentowała panna Cornish po wyjściu Sally, a Sophie przyznała jej rację.

Początkowo bliskie relacje Duncana z Flemingami, a w szczególności jego ciepły stosunek do matki Sally, Evy, budziły zazdrość Sophie, jednak te uczucia dawno już należały do przeszłości. Jej syn był szczęśliwy z narzeczoną. Sophie była jej z tego powodu dozgonnie wdzięczna i darzyła tę dziewczynę miłością.

– Daj, wyparzę słoiki – zaofiarowała się Viola.

Sophie weszła na taboret i podawała przyjaciółce naczynia z górnej szafki.

– Sally jest o połowę młodsza ode mnie, a mimo to nie potrafię jej sobie wyobrazić skonfundowanej – mówiła. – Kiedy przypomnę sobie siebie w wieku dwudziestu jeden lat, wycofaną, bez żadnych kwalifikacji… A potem zakochaną w Hugh! Jakąż ja musiałam być idiotką!

Viola napełniała słoiki wrzątkiem.

– Hugh potrafił wyprowadzić w pole wiele osób. Był wyjątkowo przebiegły. Nikt z nas nie podejrzewał, co wyprawia. Jesteś dla siebie zbyt surowa.

Sophie stanęła na podłodze. Podeszła do garnka i zamieszała smażone owoce.

– Straciłam do siebie zaufanie. Nie za bardzo znam się na ludziach.

– Bzdura – żachnęła się Viola. – Nie pozwól, żeby to, co zrobił, wpłynęło na twoje relacje ze wszystkimi mężczyznami. Wiem, łatwo powiedzieć, ale naprawdę nie powinnaś rezygnować przez niego z tej części życia. Hugh miał mnóstwo uroku osobistego, którego używał jak zasłony dymnej. W rzeczywistości był pozbawiony skrupułów.

Przesłaniał jej cały świat, kiedy żył. Dopiero teraz jego obraz zaczynał się kurczyć.

– Podpisać je? – zapytała Viola.

– Dziękuję ci – odpowiedziała, przeszukując szufladę, w której przechowywała naklejki i długopisy. – Stuart w dalszym ciągu łudzi się, że miał ważny powód, by mnie poślubić w ten sposób. Przed wyjazdem do Portsmouth pytał, czy można wykluczyć amnezję. Myśli, że może doznał urazu głowy na wojnie i – sama nie wiem – zapomniał o poprzedniej żonie albo coś w tym rodzaju.

Viola się skrzywiła.

– Och, Sophie, jakie to smutne. Biedny Stuart.

– Nie mogę mu powiedzieć wprost, co o tym myślę. Nie potrafię być z nim brutalnie szczera i wypalić prosto z mostu, że jego ojciec był egoistycznym, zachłannym draniem, który bez oporów sięgał po wszystko, czego zapragnął. Syn wciąż bardzo za nim tęskni.

Sophie wsparła dłonie o zlewozmywak i popatrzyła przez okno. Często myślała, że nigdy nie odkryje całej prawdy o zdradzie Hugh. Przed rokiem, kiedy po raz pierwszy rozmawiała z jego córkami, dowiedziała się, że pochodził z małej miejscowości pod Glasgow. Odziedziczył firmę papierniczą po ojcu. Nie było żadnej plebanii w Devonshire ani dzieciństwa zdominowanego przez rygorystyczne religijne zakazy – wszystko to zmyślił, podobnie jak wiele innych rzeczy. Oczywiście nie sposób było stwierdzić, czy to, w co wierzyły Rowan i Thea, było prawdą. Równie dobrze mógł je też okłamywać, a w rzeczywistości pochodzić z Londynu, Leeds czy innego zakątka imperium. Żadna z nich tego nie wiedziała. Sophie, Rowan i Thea utrzymywały ze sobą kontakt. Wydawało jej się to ważne, nie tylko dlatego, że obie rodziny odrzuciły podział tak pracowicie pielęgnowany przez Hugh. Thea i Stuart zwierzali się sobie nawzajem. Relacje trzech kobiet – kochanki i prawowitych córek – polegały głównie na wymianie okolicznościowych kartek oraz krótkich, zdawkowych listów, co należało uznać za sukces.

Ponownie zamieszała truskawki.

– Czy Duncan poznał już córki Hugh? – zapytała Viola.

Sophie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie chce. – Może nigdy nie będzie na to gotowy. Matka doskonale go rozumiała.

Zapytała przyjaciółkę o jej męża, Douga, i o kochanka, Arnolda.

– Obaj zaczęli się udzielać w lokalnym wolontariacie, muszę więc bardzo uważać, żeby nie pomylić, który co robi – odpowiedziała Viola, po czym dodała cierpko: – Doug jest w swoim żywiole: uwielbia biegać po dzielnicy i wrzeszczeć na ludzi, czuje się okropnie ważny, Arnold natomiast szczerze tego nie znosi. Mówi, że nie byłby w stanie zastrzelić niemieckiego spadochroniarza, nawet gdyby zależało od tego jego życie.

Sophie nałożyła łyżką odrobinę dżemu na porcelanowy spodek, żeby sprawdzić jego gęstość. Czerwony kleks zmarszczył się pod naciskiem paznokcia. Viola zajęła się przelewaniem dżemu do słoików, Sophie umieszczała na wieczkach kółka woskowanego papieru. Następnie odstawiły przetwory do wystygnięcia, a same wyszły na taras i przysiadły na krzesłach ogrodowych z herbatą.

Każdego wieczoru, po wykonaniu wszystkich obowiązków, Sophie siadała samotnie w bawialni, obezwładniona poczuciem straty. Zwlekała z zapalaniem świateł, częściowo w ramach oszczędzania energii, a częściowo z powodu niechęci do zaciągania szczelnych czarnych żaluzji. Siedząc w półmroku, odczuwała własną pojedynczość. Brak zakotwiczenia w rzeczywistości objawiał się u niej kołataniem serca i panicznym lękiem.

Nabrała zwyczaju słuchania muzyki przed snem. Była zbyt zmęczona, by czytać książki, kładła się więc skulona na sofie, słuchając Mozarta czy Offenbacha. Ściszała gramofon tak, aby nie przeszkadzał lokatorom. Przesłuchiwała po kolei kolekcję płyt. Nie oczekiwała ukojenia. Wystarczało jej chwilowe odwrócenie uwagi i wypełnienie ciszy.

Pewnego wieczoru, gdy słuchała sonat Beethovena, rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła i ujrzała na progu pana Reynoldsa.

Już miała go przeprosić za zbyt głośną muzykę, kiedy powiedział:

– Proszę wybaczyć, pani Craxton, ale czy nie zechciałaby pani zostawić otwartych drzwi? Bardzo lubię Beethovena.

Zaprosiła go do środka i dalej słuchali już razem. Opowiedział jej co nieco o sobie. Miał na imię John, jego owdowiała matka

mieszkała w Aylesbury, młodszy brat pracował dla floty handlowej. Zgłosił się na ochotnika do pułku pancernego, ale nie przyjęto go z powodu wady kręgosłupa.

Najbliższe dwa tygodnie ujawniły, że John Reynolds pasjami uwielbia romantycznych kompozytorów. Nie rozmawiali zbyt wiele, był milczącym mężczyzną. Od czasu do czasu dołączała do nich Vera, panna Cornish, rozpromieniona i podrygująca w takt muzyki. Sophie odkryła, że w towarzystwie muzyka brzmi jeszcze lepiej. Przynosi pewne ukojenie.

Vera Cornish wybrała się w odwiedziny do zamężnej siostry w Earl's Court, kapitan Wajszczyk zaś wyszedł z samego rana i jeszcze nie powrócił tamtego wieczoru, kiedy pan Reynolds zapukał po raz kolejny do drzwi bawialni.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, Sophie. Znalazłem coś takiego w jednym ze sklepików przy Tottenham Court Road.

„Coś takiego" okazało się być koncertem fortepianowym Schumanna. Kiedy Myra Hess rozpoczynała intermezzo, Sophie usłyszała odgłos otwieranych drzwi frontowych. Wyjrzała na korytarz, myśląc, że to panna Cornish. Chciała ją zapytać, czy miło spędziła wieczór, tymczasem pokłonił jej się kapitan Wajszczyk w mundurze błyszczącym od deszczu. Wymienili powitalne uprzejmości, po czym Sophie zapytała, czy podać mu kolację.

– Już jadłem, bardzo dziękuję, madame.

– Zatem herbata?

– Nie, dziękuję. Mam to. – Pomachał triumfalnie papierową torebką.

– Co to takiego?

Otworzył torbę, wypełniając korytarz aromatem kawy.

– Kawa! – zakrzyknęła. – Cudownie.

– Prezent od przyjaciela. Ja, uhm, naprawiłem mu rower… – Przebierał palcami w poszukiwaniu właściwego słowa. – *Une crevaison*.

– Pękniętą oponę?

– Pękniętą oponę – powtórzył starannie. – Czy ma pani… – Tym razem wykonał okrężny ruch dłonią.

– Młynek do kawy? Tak, oczywiście.

– Zrobię nam kawy.

Podążył za nią do kuchni. Był za wysoki, a może miał w sobie jakąś ekstrawagancję nazbyt kontrastującą ze skromnym pomieszczeniem. Nie pasował tam, jakby brakowało dla niego skali. Odszukała młynek i wyciągnęła rękę po ziarna, ale on pokręcił głową.

– Ja zrobię.

– Kapitanie, potrafię przyrządzić kawę.

– Ale pani pija herbatę, madame.

– Mój mąż był wielkim smakoszem kawy.

– W domu to ja zawsze robiłem kawę.

Zrozumiała, w czym rzecz.

– Tęskni pan za domem.

W szarozielonych oczach o pięknym kształcie pojawił się błysk.

– Tak. Tęsknię za domem. – Dotknął pięścią klatki piersiowej. – Tu mnie ściska. Myślę, że pani czuje podobnie, madame. Udaje pani szczęśliwą, uśmiecha się, ale to nie jest prawda.

– Martwię się o synów – odpowiedziała szorstko, z zakłopotaniem.

– Ach tak.

Usiadła przy stole, podczas gdy kapitan zajął się mieleniem kawy. Dawniej zamartwiała się, że Duncan wpadnie pod ciężarówkę, jadąc zbyt szybko na motorze. Albo pozna jakąś nieodpowiednią pannę czy nabierze nadmiernego upodobania do mocnych trunków. Po śmierci Hugh bała się, że ucieknie z domu i pojedzie walczyć do Hiszpanii. Tego lata wszystkie te troski wydawały się bez znaczenia. Duncan został pilotem myśliwców w brytyjskich siłach powietrznych. Naloty Luftwaffe stały się codziennością na południu Anglii, niemieckie dywizjony bombardowały stacje lokacyjne i bazy wojskowe, szykując się do inwazji. Walka powietrzna nad południowymi hrabstwami miała przesądzić o wyniku starcia i o tym, czy Anglia zachowa niepodległość. Bohaterami tej potyczki, trzymającymi kurczowo cienką błękitną linię obrony, byli młodzi chłopcy tacy jak Duncan. Powinni grać w krykieta, prowadzić studenckie życie, podrywać dziewczyny na dancingach, tymczasem codziennie narażali życie. Tonęli w wodach kanału albo płonęli żywcem na polach Kentu. Oczywiście, że Sophie czuła ból w klatce piersiowej z tego powodu.

Kapitan Wajszczyk otworzył z rozmachem drzwiczki kredensu i czegoś szukał.

– Kawa poprawi pani nastrój – oświadczył. – Wszystkim poprawia.

Wyjął nieduży rondelek oraz sitko, które na nim umieścił przed zalaniem zmielonych ziaren gorącą wodą. Sophie przygotowała serwis do kawy, różowy, z pozłacanymi brzegami, prezent ślubny od matki. Postawiła go na tacy i odszukała mleko oraz cukier. Kapitan Wajszczyk zaniósł tacę do bawialni.

Siedzieli we troje na różowo-zielonej sofie, delektując się kawą i finałowymi dźwiękami koncertu. Sophie na środku, pomiędzy milczącym Johnem Reynoldsem a ekstrawaganckim kapitanem Wajszczykiem. John podśpiewywał pod nosem. Polski oficer postukiwał o poręcz sofy, wtórując Myrze Hess. Ona obserwowała złote włoski na opalonym smukłym nadgarstku mężczyzny. Od czasu do czasu ocierała się ramieniem o jego ramię, ten przelotny dotyk wzbudzał w niej doznania, które odwracały uwagę od muzyki.

Kiedy nagranie dobiegło końca, kapitan uparł się, by posprzątać ze stołu. Chciał także pozmywać, ale na to już kategorycznie nie wyraziła zgody. Powiedział dobranoc i poszedł na górę.

John zapytał, czy Sophie grywa na fortepianie. Owszem, odpowiedziała, ale niezbyt dobrze.

– A ja jestem niezbyt dobrym tenorem – oznajmił. – Powinniśmy nawiązać współpracę.

Zaczęli od angielskich i szkockich pieśni ludowych ze śpiewnika, a później przeszli do Gilberta i Sullivana przez *Linden Lea* oraz *All in the April Evening*. John Reynolds śpiewał jasnym, przyjemnym tenorem. Akompaniowanie mu sprawiało jej przyjemność. Raz na jakiś czas śpiewali w duecie.

Pewnego wieczoru śpiewali *Fair Moon to Thee I Sing* przed publicznością w osobie Very. W połowie arii dołączył do nich głos z korytarza. Po chwili w progu stanął kapitan Wajszczyk. Miał doskonałą artykulację, zaskakujący ciepły baryton, poważny wyraz

twarzy. Dwa głosy splotły się razem, poruszając struny serca. Sophie zgubiła parę nut.

Zagrała ostatni akord.

– Och, kapitanie Wajszczyk – powiedziała. – Nie miałam pojęcia, że jest pan tak doskonałym śpiewakiem.

– Ojciec mój był wielkim wielbicielem oper Gilberta i Sullivana. Śpiewałem te pieśni od chłopięcych lat. Jeśli pani pozwoli… – Stanął za Sophie, popatrzył jej przez ramię i przerzucił kilka arkuszy nut, aż znalazł arię z *Iolanthe*.

– Może spróbujemy tę, madame?

Zagrała *Spurn Not the Nobly Born*. Obaj panowie śpiewali. Gdy skończyli, Vera oklaskiwała ich energicznie.

– Cudownie!

Weszli w pierwsze takty *Take a Pair of Sparkling Eyes*, kiedy Sophie pochwyciła odgłos klucza przekręcanego w zamku i uniosła drżące palce nad klawisze. Następnie poderwała się i wybiegła na korytarz.

– Duncan! – zawołała.

Starszy syn rzucił torbę na podłogę.

– Przepustka na czterdzieści osiem godzin – zakomunikował. – Pomyślałem, że zajrzę do domu.

Rzuciła mu się na szyję. Poruszył się niespokojnie, więc rozluźniła uścisk i uczyniła krok do tyłu. Dopiero wtedy zauważyła jego bladość.

Odgarnęła potargane włosy z czoła syna.

– Spać czy najpierw jeść?

– Spać, mamo. Jestem zbyt zmęczony, by jeść.

Kapitan Wajszczyk przemknął się niepostrzeżenie na górę i teraz schodził po schodach ze swoimi rzeczami.

– Będę spał na dole – zakomunikował.

– Kapitanie…

– Zwalniam pokój. – Skinął Duncanowi głową.

Rzesza rodaków kapitana Wajszczyka brała udział w bitwie o Anglię, tak samo jak Duncan.

– Dziękuję – mruknęła Sophie. – To bardzo miłe.

Poszła z synem na górę, zmieniła pościel, kiedy był w łazience. Wrócił do pokoju, padł na łóżko jak kłoda i natychmiast zasnął.

Rozwiązała i zdjęła mu buty, postawiła je obok łóżka. Przykryła syna, wspominając dwuletniego chłopczyka, który zasypiał równie błyskawicznie. Jaką miała wprawę w ostrożnym przenoszeniu go do łóżeczka. Jaką miał śliczną, delikatną buzię; jasne, lekko zaróżowione policzki i niebieskie żyłki pod przezroczystymi powiekami.

Wyjęła z szafy poduszkę i koc, które zabrała ze sobą na dół. John i Vera poszli już do siebie, w salonie lokatorów siedział już tylko kapitan. Zdjął bluzę od munduru i rozpiął kilka guzików koszuli. Jego białe bose stopy wyglądały bezbronnie.

– Pościelę panu na sofie w bawialni.

Przejął od niej pościel.

– Chyba się nie zmieszczę. Prześpię się tutaj, na podłodze.

– Dziękuję, że odstąpił pan swój pokój. To ogromna przysługa.

Pokręcił głową.

– Nie mój pokój. Pokój pani syna. – Spojrzał na nią przenikliwie. – Dziś wydaje się pani szczęśliwa, pani Craxton. Dobrze widzieć panią szczęśliwą. Jest pani wtedy piękna.

Półmrok pomógł jej ukryć rumieniec.

– Głupstwa pan plecie.

– Mówię prawdę – stwierdził, odwracając się do niej tyłem, po czym rzucił poduszkę na dywan.

Nie mogła spać tej nocy. Ulga i radość z powrotu Duncana, całego i zdrowego, do domu, choćby tylko na czterdzieści osiem godzin, były obezwładniające. Szczęście mącił tylko strach przed nieuniknioną rozłąką. Modliła się o zakończenie tej wojny i powrót do normalności. Chciała, żeby Hitler powiedział nagle: Właściwie to wszystko nie jest tego warte.

Pomyślała o kapitanie Wajszczyku, który leżał na podłodze w saloniku lokatorów. Czy kręci się niespokojnie na twardej posadzce, czy też jako żołnierz przywykł do spania w każdych warunkach? O czym lub o kim śni? Przywołała w pamięci trójkąt opalonej skóry pod szyją mężczyzny, zarys jego szczęki i karku.

Zastanawiała się, jakim byłby kochankiem. Wyobrażała sobie, że wiedział, jak sprawić kobiecie rozkosz.

Duncan przespał czternaście godzin, zanim wstał z zamglonym wzrokiem i pochłonął zawartość spiżarni. Pogoda była piękna, więc po południu wyszli do ogrodu. Gawędzili o tym i owym. W przerwach zasypiał na słońcu. Nie mówił o wojnie, o lataniu i potyczkach powietrznych z wrogiem. Nie wspominał kolegów, którzy zginęli.

Sally wpadła po pracy. Po zjedzonej we troje kolacji młodzi poszli potańczyć. Nazajutrz rano Duncan przekopał kolejny płat ogrodu pod uprawę warzyw, po czym wyruszył do Richmond, na kolację do Flemingów.

Następnego dnia wcześnie rano musiał opuścić dom przy ulicy Gilberta. Ryk klaksonu obwieścił, że czeka już na niego samochód. Zimne powietrze wtargnęło do domu, gdy Sophie otworzyła drzwi. Przytulił ją.

– Nie patrz, jak będę odchodził, mamo – powiedział. – Nie chcę, żebyś patrzyła, jak odchodzę.

Spełniła jego prośbę. Wróciła do kuchni, pozmywała naczynia po śniadaniu i zaparzyła dzbanek herbaty. Następnie wyszła na zewnątrz i usiadła pod ścianą werandy, obejmując kolana ramionami, zziębnięta w swojej letniej sukience bez rękawów. Nowa grządka warzywna wyglądała jak rana w ziemi; wysoko na niebie podrygiwały spuchnięte kształty srebrnych balonów zaporowych. Popijała herbatę, czując się tak, jakby ktoś wkładał jej łyżkę pod żebra i dźgał prosto w serce.

John wyjechał służbowo na północ kraju, Vera zaś uczestniczyła w jakimś spotkaniu kościelnym. Sophie podała kolację kapitanowi Wajszczykowi w jadalni.

Po jedzeniu wyniósł po sobie naczynia do kuchni.

– Będę dziś Verą – oznajmił, wstawiając talerz i kubek do zlewu.

Sophie uśmiechnęła się, kapitan nieczęsto żartował. Przez większość czasu zdawał się traktować świat i siebie samego ze śmiertelną powagą, co było zresztą dość zrozumiałe.

Zakasał rękawy i przystąpił do zmywania. Sophie wycierała.

– Vera zawsze wypija ze mną filiżankę herbaty, gdy skończymy sprzątać – oznajmiła. I choć rzuciła to tonem dość niefrasobliwym, to wyczuwała jakieś napięcie między nimi.

Skrzywił się z niesmakiem, pokazując, co myśli na temat herbaty.

– Albo – dodała. – Mam też brandy, kapitanie Wajszczyk.

– Kazimierz.

– Casimir – spróbowała powtórzyć.

Kolejny grymas.

– Może być po prostu Kaz.

– Czy dobrze wymawiam?

– Hm – odpowiedział z miną sugerującą, że uważa się za wielce taktownego. – Bardzo uroczo, ale nie. Niech będzie Kaz. Łatwiejsze dla angielskiego podniebienia.

– Jeżeli ja mam zwracać się do pana po imieniu, to proszę mi mówić Sophie. Madame brzmi nazbyt oficjalnie.

Popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

– Sophie – powiedział na próbę. – Po polsku Zosia.

Zabrzmiało jak Zo-sza. Cóż za beztroskie, frywolne słowo, pomyślała. Może Zosia miałaby weselsze życie od Sophie?

Przeszli do bawialni. Zapytała, czy ma ochotę posłuchać muzyki. Wybrał mazurki Chopina.

– Mój ojciec często je grywał, a ja tańczyłem z mamą.

– W waszym zamku w Polsce?

– Zamku? – powtórzył z rozbawieniem. – Nie, nie w zamku.

– W takim domu jak ten?

– Nie, nie takim jak ten. Trochę ziemi, sad, staw rybny.

– Dwór.

– Nie byliśmy bogaci. Rozumiesz, Zosiu, nie… – Zaczął przebierać palcami. – Nie… Jak to powiedzieć?

– Ostentacyjnie?

– Nie byliśmy ostentacyjnie bogaci. Ale wiedliśmy wygodne, spokojne życie. – Sposępniał. – Nasz dom zajmują teraz Rosjanie.

– Co się stało z twoją rodziną?

– Matka umarła, gdy miałem czternaście lat. Ojciec… – Wzruszył ramionami. – Nie wiem. Mam nadzieję, że dotarł na Węgry.

– Byłby tam bezpieczny?

– Oby. Mamy przyjaciół w Budapeszcie.

Pokój wypełnił się muzyką, szybką, poruszającą i pełną żalu. Słuchanie muzyki z Kazem było zupełnie innym doświadczeniem niż słuchanie jej z Johnem. Nie umiała się rozluźnić w jego towarzystwie. Była spięta i podminowana. Wyczuwała bijące od niego ledwie tłumione emocje.

– A ty, Zosiu? Ciężko ci bez męża.

Wyrwało jej się pogardliwe prychnięcie.

Kaz uniósł do góry kształtne brwi.

– Nie?

– Naprawdę lepiej, że go nie ma. Mówię ci, Kaz…

– On był… – Postukał znacząco w szklankę napełnioną brandy.

– Owszem, Hugh lubił się napić, ale nie w tym tkwił problem.

– Czyli miał kochankę. – Przerzucił ramię przez oparcie sofy. – Co za głupiec.

Sophie miała dość unikania wyjaśnień na temat Hugh i skrywania związanych z nim uczuć, czuła się przez to stłamszona do granic. Kazimierz mógł ją uznać za głupią lub rozwiązłą, ale niech sobie myśli, co chce, uznała.

– Hugh miał dwie żony – rzekła. – Jedocześnie. Ja byłam tą drugą.

Poszedł po butelkę brandy i zbliżył się, żeby napełnić jej szklankę. Zmarszczył brwi.

– To legalne w Anglii? Dwie żony?

– Skądże. Oczywiście, że nie.

– Okłamał cię.

– Och, żeby to raz.

– A teraz nie żyje.

– Od dwóch i pół roku.

– Czy ty… – Machnął ręką. – Uderzyłaś go w głowę tym… Jak to się mówi? *Une pelle*.

– Łopatą. Szpadlem.

Zerknął w stronę podwórza za domem.

– I zakopałaś tego, tego Chu, w ogródku.

Parsknęła śmiechem, rozbawiona zarówno tym przypuszczeniem, jak i absurdalną wymową imienia Hugh.

– Niestety nie, chociaż pewnie powinnam była. Nie. Umarł na zapalenie płuc. – Przyłożyła otwartą dłoń do klatki piersiowej, na wypadek gdyby nie zrozumiał.

Uśmiechnął się.

– Twoje życie jest ekscytujące, Zosiu. Niezwykła z ciebie kobieta.

– Można i tak na to spojrzeć.

– Tak najlepiej.

Zastanowiła się.

– Być może. Usiądź, proszę, Kaz. Nie stój tak nade mną. Deprymujesz mnie.

– Przepraszam. – Odstawił butelkę na półkę i zajął miejsce obok niej.

Poczuła pewną ulgę, napięcie nieco z niej zeszło. Nie była pewna, czy zawdzięcza to temu, że wreszcie mogła się śmiać z sytuacji z Hugh (Chu), czy może brandy. Zapewne i jednemu, i drugiemu. Wypijała jedną lub dwie szklaneczki czegoś mocniejszego każdego wieczoru przez kilka miesięcy po śmierci Hugh, ponieważ inaczej nie potrafiła zasnąć. Porzuciła jednak ten zwyczaj z dnia na dzień, kiedy tylko uprzytomniła sobie, czym to grozi. Nie chciała, żeby Duncan i Stuart widywali ją permanentnie wstawioną po tym, co już przeszli.

– Życie śmiesznie się czasami układa, prawda?

– Śmiesznie?

– Dziwnie. Niespodziewanie. Nie ma sensu rozpaczać nad sprawami, które od nas nie zależą.

– *Il faut chercher la consolation ou l'on peut.*

– Właśnie tak.

– Masz piękne włosy, Zosiu. – Delikatnie pogładził jej jasne loki. – Jak jedwab.

Zdała sobie sprawę – już jakiś czas temu – że Kaz ma zamiar ją uwieść. Co zresztą pokrywało się z jej zamiarami, ostatecznie to ona zaproponowała brandy. „Trzeba szukać pocieszenia, gdzie się da”.

Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Vera narzekała na spóźniony autobus. Sophie zaproponowała jej kakao.

Lokatorka podziękowała i zabrała je na górę. Sophie posprzątała, po czym zajrzała do bawialni. Pokój był pusty, na stoliku zostały tylko dwie porzucone szklanki.

Poszła do swojego pokoju, gdzie przebrała się w jasnobłękitną jedwabną koszulę, której nie wkładała od wieków, i usiadła na łóżku, czekając, aż cały dom ucichnie. Kaz uważał ją za niezwykłą. Przez chwilę obawiała się, że nie ma racji, że w istocie ona, Sophie, jest pospolitym tchórzem, który nie umie korzystać z życia. Wstrzymywała oddech, zawieszona między jedną a drugą egzystencją, niepewna, jaką wybrać drogę. W końcu otworzyła powoli drzwi, przestąpiła próg i wyszła na korytarz.

Nie musiała pukać do jego drzwi. Czekał na nią na korytarzu. Pogładził jej ramiona z błyskiem zadowolenia i pożądania w oczach. Weszli do jej pokoju.

– Moja piękna Zosia – wyszeptał, gdy zamknął za nimi drzwi. Musnął wargami jej piersi, dotyk był leciutki jak łaskotanie ptasich skrzydeł. Ramiączka koszuli zsunęły jej się z ramion, błękitny jedwab opadł na podłogę.

Od tego czasu przychodził do niej codziennie. Mieli swoje rytuały. Stukotanie w łazience, odgłos spuszczanej wody w toalecie, stąpanie Very albo Johna – a potem cisza. Cudowna cisza pełna emocji i wyczekiwania, kiedy oboje czekali na odpowiedni moment, połączeni w bezgłośnym porozumieniu. Otwierał drzwi i zamykał je za sobą. Potrafił to robić zupełnie bezgłośnie.

Potrafił też wiele innych rzeczy, jak miała okazję się przekonać. Akt miłosny za każdym razem wyglądał inaczej. Czegoś takiego nigdy nie doświadczyła z Hugh. Później leżała wyczerpana i potargana w jego ramionach. Rozmawiali na różne tematy. Dowiedziała się, że Kaz ma trzydzieści dwa lata i pochodzi ze wschodniego regionu Polski. Studiował prawo na uniwersytecie. Był kiedyś zaręczony, ale narzeczona z nim zerwała. Rozmawiali o wojnie. „Teraz czas na inwazję”, rzekł pewnej nocy. „Najpierw zniszczą siły powietrzne, później zbombardują Londyn, a na koniec wkroczy wojsko. Jak w Warszawie”.

Nigdzie nie wychodzili razem. Kaz nadal opuszczał dom wcześnie rano i wracał późno wieczorem. Sophie nie miała pojęcia, co wtedy robił. Romans z nim sprawił, że znowu czuła się młoda i pełna życia. Znowu cieszyły ją błękit nieba, piękno pnących róż i łagodne muzyczne pasaże. Powrót Kaza, odgłos jego kroków na korytarzu,

wywoływał dreszcz ekscytacji. Teraz, kiedy się jej kłaniał, dostrzegała w jego oczach konspiracyjny błysk humoru. Z lubością zadawała mu uprzejme, zdawkowe pytania, serwując kolację. Uwielbiała jego odpowiedzi, akcent i skupienie na twarzy, gdy pracował nad szlifowaniem angielskiego.

Wiedziała – od początku zdawała sobie sprawę – że to nie potrwa długo, ale ten romans był czymś więcej niż odwracaniem uwagi od lęku o Duncana i Stuarta. Kochała Kaza na tyle, na ile potrafiła w tym czasie kochać kogokolwiek. Był bardziej poraniony od niej i pragnęła ukoić jego ból. Stracił swój kraj i rodzinę. Wiedział, jak to jest, kiedy duża część życia zostaje obrócona w proch, wymazana, jakby nigdy nie istniała.

Naloty w dzień towarzyszyły im z przerwami od jakiegoś czasu, ale w połowie sierpnia zaczęły się bombardowania nocne. Pewnego ranka wycie syreny alarmowej zastało ich w łóżku. Szybko skończyli to, co zaczęli, a potem Sophie zaczęła się gorączkowo ubierać.

John i Vera stali na półpiętrze, zaspani. John miał na sobie płowy szlafrok, Vera połyskliwą pikowaną narzutę i koszulę nocną. Sophie zapukała demonstracyjnie do pokoju Kaza, po czym zeszli we troje do schronu. Kaz dołączył do nich niedługo potem. Usiedli na rozkładanych krzesłach opatuleni kocami. Po kilku godzinach zasygnalizowano koniec nalotu i powrócili do łóżek.

Codzienna rutyna poszerzyła się o kilka nowych zwyczajów: termos z herbatą przygotowywany w porze kolacji, koce, latarka, kubki i łyżeczki do herbaty pozostawione na wszelki wypadek w schronie, razem z książką i robótką. Przenośna pompa i wiadro z piaskiem, gdyby dom zajął się ogniem. Maska przeciwgazowa i stara walizka zawierająca ważne dokumenty – akty urodzenia, umowy ubezpieczeniowe i tym podobne, a także pieniądze, klucze do drzwi, apteczka z solami trzeźwiącymi, aspiryną, tonikiem do twarzy, szminką, pudrem i grzebieniem – wszystko pod ręką, żeby o niczym nie zapomnieć. Było parę spokojnych nocy, podczas których Sophie i Kaz kochali się w pełnej skupienia ciszy, a także jedno bajeczne

popołudnie, kiedy to wrócił do domu wcześniej niż zwykle i zastał ją samą w domu. Któregoś dnia wynajęli mały obskurny pokój w hotelu, gdzie Sophie zdejmowała ubranie z dreszczykiem emocji, przejęta ekscytującą atmosferą występku. Ludzie pracowali w biurach, robili zakupy w sklepach, a ona przyszła do hotelu z kochankiem. To niebywałe.

Po nocach przerywanych nalotami następowały dni pod znakiem niewyspania. Sophie wiedziała, że musi zrobić to czy tamto, po czym natychmiast zapominała. Sporządzała listy: *kupić ziemniaki, podlać pomidory, nie zapomnieć o szkoleniu przeciwlotniczym*. Wszyscy przeżywali to samo. Na bladych smutnych twarzach pasażerów autobusu i kobiet stojących w kolejce do sklepu malowało się zmęczenie.

Pewnej nocy, kiedy siedzieli w schronie, bomba spadła na jeden z domów położonych dwie ulice dalej. Ziemia zadrżała. John wydał cichy okrzyk.

– Dobry Boże – szepnęła Vera.

Kaz ujął dłoń Sophie pod osłoną ciemności i narysował coś na niej kciukiem. Serce, odgadła.

– Mam coś dla ciebie, Zosiu – powiedział pewnego wieczoru, gdy leżeli cicho, wtuleni w siebie po miłosnych uniesieniach.

Wyjął z kieszeni munduru mały woreczek z materiału i jej podał. Rozpakowała naszyjnik: srebrny łańcuszek wysadzany diamentami i granatami.

– Kaz! Jaki piękny.

– Należał do mojej matki.

Uczyniła gest, jakby chciała oddać klejnot.

– Nie mogę tego przyjąć, przecież wiesz. To rodzinna pamiątka.

Zamknął jej dłoń trzymającą naszyjnik.

– Po śmierci mamy dałem go Klarze, ale oddała, kiedy zerwała nasze zaręczyny. Chciałbym, żebyś ty go miała.

Pogładziła oszlifowany kamień granatu.

– W takim razie przechowam go dla ciebie w bezpiecznym miejscu. Oddam po wojnie, kiedy wrócisz do domu.

– Do domu? – Wydął usta i powiódł pogardliwie po pokoju szarozielonymi oczami. – To nie jest mój dom.

– Miałam na myśli twój powrót do Polski, kiedy to się skończy.

Zapalił papierosa i zgasił płomień zapałki szybkim ruchem nadgarstka.

– Nie wiem, czy będę miał dom, do którego można wrócić. Nie wiem, czy będę miał kraj, do którego można pojechać. Możliwe, że Rosjanie zatrzymają podbite tereny – mówił z goryczą. Zaciągnął się dymem z papierosa i zaśmiał się chrapliwie. – Podobno mają zamiar wysłać nas, Polaków, do Szkocji, żebyśmy bronili wschodniego wybrzeża. Tak więc, moja droga, słodka Zosiu, chciałbym, żebyś nosiła ten naszyjnik. Kiedy będę patrolował jakąś zimną szarą plażę albo kiedy Bóg da mi szansę znowu walczyć o własny kraj, zamknę oczy i pomyślę o moim naszyjniku na twoich pięknych… – Przyłożył otwartą dłoń do klatki piersiowej. – Jak się mówi?

– Dekolt – powiedziała stanowczo. – Słowo, którego szukasz, to dekolt.

Kaz zapiął naszyjnik, srebrne nitki opadły między piersi Sophie.

– Pięknie – zamruczał. – Wyglądasz bardzo pięknie.

*

Siódmego września Sophie była w domu sama. Skrobała marchewki w kuchni, kiedy zawyła syrena alarmu przeciwlotniczego. Zostawiła ciasto w piekarniku i pobiegła do schronu, gdzie siedziała w ciemnościach, czekając na sygnał, że zagrożenie minęło. Po godzinie zaryzykowała bieg do kuchni, żeby uratować ciasto, i ujrzała ogromną chmurę dymu nad miastem.

Weszła na piętro. Londyn spowijała pomarańczowa poświata. Wschodni kierunek, z którego unosił się dym, sugerował, że płoną doki. Stała nieruchomo przy oknie, sparaliżowana strachem. Świst i łoskot myśliwców nie ustawał.

Sygnał bezpieczeństwa rozbrzmiał o szóstej. Kiedy wychynęła ze schronu, powietrze smakowało ceglanym pyłem i karmelem. Po

trzydziestu minutach wróciła Vera, a wkrótce po niej – John Reynolds. Vera powiedziała, że wybuchła gazownia w Beckton. Kaz nie wracał. Wreszcie Sophie zdecydowała się nakryć do stołu tylko dla nich trojga. Zmywając naczynia po posiłku, usłyszała kolejny alarm. Myśliwce powróciły. Sophie, Vera i John pomaszerowali do schronu, w którym zostali do czwartej trzydzieści nad ranem. W kakofonii eksplozji, świstu przelatujących bombowców i wycia syren alarmowych, walcząc ze strachem, myślała o Kazie, zabłąkanym w mieście. Modliła się, żeby znalazł bezpieczną kryjówkę.

Rano dowiedziała się, że Niemcy zbombardowali doki i magazyny w dzielnicy East End. Barki Tate & Lyle na Tamizie z ładunkami cukru, fabryka gumy i spichlerz poszły z dymem, zostały z nich czarne szkielety. Skład drewna w dokach handlowych Surrey wyglądał jak bramy piekieł, płomienie wznosiły się do nieba na dziesiątki metrów. Niewygaszone pożary wciąż dymiły.

Kiedy Kaz nie wrócił do domu kolejnego wieczoru, Sophie próbowała przekonać samą siebie, że pewnie pomaga sprzątać skutki nalotu. Przez całą noc rozbrzmiewały alarmy na przemian z sygnałami bezpieczeństwa.

– Mam nadzieję, że kapitan jest cały i zdrowy – powiedział John Reynolds.

– Ja także – odrzekła. Żadne z nich nie dodało nic więcej. Pod żebrami Sophie zagnieździł się ciężki kwaśny strach, którego nie mogła od siebie odepchnąć.

Kolejne popołudnie spędziła w ośrodku wolontariatu, gdzie serwowała herbatę i bułki bezdomnym rodzinom. Skręciwszy w ulicę Gilberta, dostrzegła pod swoją bramą jakiegoś żołnierza; rozpoznała mundur – Kaz nosił taki sam. Przywitał ją też podobnie jak kapitan, lekkim pokłonem. Wyczytała z jego oczu, że stało się coś strasznego.

Polski żołnierz przedstawił się jako major Kamiński. Sophie zaprosiła go do domu. W salonie, w tym samym salonie, w którym razem śpiewali, w którym opowiadała mu o Hugh, a on gładził jej włosy, dowiedziała się, że Kaz nie żyje. Zginął na miejscu w sobotę wczesnym wieczorem, kiedy zabłąkana bomba uderzyła w biuro, gdzie pracował. Major Kamiński powiedział jeszcze, że kapitan

Wajszczyk był prawdziwym bohaterem, wielkim patriotą i wykonywał swe obowiązki z odwagą, bezinteresownością i uporem. Sophie nigdy w to nie wątpiła.

Po wyjściu majora poszła na górę, do swojej sypialni. Wyjęła z sakiewki naszyjnik od kapitana i zapięła drżącymi palcami. Klejnoty połyskiwały na jasnym tle bluzki. Wróciła do salonu, usiadła przy fortepianie. Wybrała zapis arii *Take a Pair of Sparkling Eyes* Gilberta i Sullivana. Grała, dopóki łzy pozwalały jej czytać nuty.

Kaz utracił tak wiele: rodzinę, ojczyznę, przyszłość. Połączyło ich wzajemne zrozumienie. Oboje musieli zacząć wszystko od nowa na zgliszczach historii. A mimo wszystko w tej ruinie znaleźli namiętność i miłość.

Rozdział czternasty

Październik 1940–lipiec 1941

Thea nie wiedziała, co ze sobą począć (w państwie stojącym w obliczu nieustannego zagrożenia podbiciem przez obce wojska nie ma zbyt wielkiego zapotrzebowania na archeologów), aż wreszcie znalazła na dnie plecaka pognieciony list od Grace Fainlight, adresowany do niejakiego Nicholasa Greya. Pan Grey pracował jako urzędnik państwowy w Ministerstwie Zaopatrzenia. Napisała do niego i otrzymała propozycję pracy w charakterze sekretarki.

Klika tygodni po rozpoczęciu nalotów na Londyn przeniesiono jej biuro ze stolicy do hrabstwa Wiltshire, z dala od bomb. Nowa siedziba, Whiteridge House, mieściła się w wielkim, niczym się niewyróżniającym osiemnastowiecznym gmachu na obrzeżach Salisbury Plain. Thea i pozostałe dziewczęta zajmowały sypialnie na poddaszu, gdzie nieszczelnie zasłaniane okna wymuszały wczesne gaszenie świec i latarek. Do łazienki chodziło się po omacku, strącając budziki, szklanki, szminki, puderniczki i oprawione zdjęcia kochanków w mundurach.

Thea nie miała narzeczonego. Na skórzanej walizeczce imitującej nocną szafkę nie stało żadne zdjęcie. Cormac ją pocałował, ale nie byli parą ani nie wymienili się fotografiami. Wielokrotnie wprawdzie podejmowała próby przeniesienia na papier jego podobizny, lecz żaden z rysunków nie spełnił oczekiwań. Obawiała się, że stopniowo zapomina jego twarz.

Obok jej łóżka w stosiku leżały książki i pamiątka z Corran. Jedna ze współlokatorek, Davina, podniosła ją pewnego ranka.

– Po co ci ten kamień, Craxton? – zapytała.

– To głowica siekiery. Liczy około dziesięciu tysięcy lat.

– O do diaska! – Davina uczęszczała na jedną z tych eleganckich, acz kompletnie bezużytecznych pensji dla panien, w których uczono podstaw rysunku, ogrodnictwa, a także wsiadania do limuzyn i wysiadania z nich tak, by nie pokazywać majtek. Ziewnęła, po czym odłożyła ciężar na miejsce. – Pospiesz się, bo grzanki nam wystygną.

Thea trzymała przy łóżku swój skarb z Corran dla przypomnienia, kim jest, a także dlatego, że nie planowała przez resztę życia siedzienia po osiem godzin w zimnym pokoju z dwudziestoma innymi dziewczętami i pisania na maszynie. Kiedyś, w przyszłości, nieważne jak odległej, odzyska życie, którego próg ledwie zdążyła przestąpić. Na razie znalazła dla siebie zajęcie w Whiteridge House, a mianowicie oczyszczała sypialnie z pająków. W starym gmachu rezydowało mnóstwo pająków, a wiele dziewcząt piszczało na ich widok i stawało na łóżkach, podczas gdy ona brała biedne żyjątka na ręce i znosiła na dół. Zawsze wypuszczała je w ciepłych pomieszczeniach kuchennych, ale nikomu o tym nie mówiła.

Nie narzekała na pobyt w Whiteridge House. Mieszkała w internacie od szóstego roku życia, zdążyła więc przywyknąć do chłodu i braku prywatności. Lubiła spacerować po parku, lubiła, gdy mokre trawy ocierały się o kalosze, a powietrze pachniało mokrymi liśćmi i grzybami. Zaznajomiła się z rozsianymi po zielonym terenie zardzewiałymi ławeczkami, na których niegdyś panowie w kapeluszach zalecali się do pań w falbaniastych jedwabnych sukniach. W środku trudno było o cichy zakątek, kiedy więc tylko miała wolną godzinę, wychodziła na wilgotną ławkę, by szukać towarzystwa jeleni i gawronów.

Tam otwierała korespondencję. Czytała listy od Rowan, początkowo pisane ze szpitala polowego w Kencie, a później, kiedy przeniesiono ją z powrotem do Londynu, ze Świętej Anny, gdzie pielęgnowała ofiary nalotów. Listy od Peggy, mieszkającej teraz w Kornwalii, w artystycznej komunie. Listy od przyjaciół archeologów. Stara załoga rozproszyła się po świecie. Monty i Grace pozostali w Szwajcarii, ale Lucy pracowała w Londynie jako sekretarka w Ministerstwie Informacji. Will Towler z Barbury Hill wstąpił do sił

powietrznych i latał nad wodą. Geoffrey King był dowódcą cywilnej obrony przeciwlotniczej w rodzinnym Bristolu.

Listy od Helen, która wróciła bezpiecznie z Francji i przyłączyła się do korpusu pomocniczego Wojsk Obrony Terytorialnej. Max również wstąpił do wojska, stacjonował ze swoim oddziałem na północy kraju. Planowali ślub pod koniec roku. Wieści od Helen i innych przyjaciół z wojska początkowo przychodziły nieregularnie. Poczta potrzebowała czasu na opracowanie sprawnego systemu przekazywania dziesiątek tysięcy listów od samotnych żołnierzy w koszarach, okopach i na okrętach wojennych do niezliczonych rzesz równie samotnych narzeczonych, żon i przyjaciół. Ktoś musiał opanować wreszcie kwestie organizacyjne, ponieważ grudzień obfitował w korespondencję, mimo że urzędy i pociągi pocztowe wciąż były regularnie bombardowane.

Dostała listy od Stuarta, przebywającego na poławiaczu min u wschodniego wybrzeża. Thea i Stuart postanowili zostać rodzeństwem, choć w rzeczywistości nie łączyły ich więzy krwi. Matką Stuarta była przemiła Sophie, a ojcem – Hugh Craxton, Thea zaś była owocem związku pięknej i upartej Szwedki Sigrid z… Cóż, wiedziała o nim tylko tyle, że mieszkał na Corran w latach dwudziestych. Nie byli więc bratem i siostrą z biologicznego punktu widzenia. Bardzo natomiast się lubili, postanowili więc nie szukać lepszego określenia dla tej przyjaźni.

Ze Stuartem, jako jednym z nielicznych, mogła swobodnie rozmawiać o człowieku, którego nadal uważała za swojego ojca; który ją wychował i którego wciąż, pomimo wszystko, kochała. Stuart, tak samo jak ona, potrzebował sobie to jakoś poukładać. Oboje usiłowali zrozumieć, dlaczego Hugh postąpił tak, jak postąpił. Thea miała nieco bardziej skomplikowaną sytuację z powodu Sigrid. Zanim dowiedziała się od Rowan o romansie i kochanku z Corran, zanim odkryła na własną rękę istnienie Sophie, Duncana i Stuarta, zakładała, że jej rodzice się kochali. Bo dzieci zwykle tak uważają, prawda? Przedwczesna śmierć Sigrid, żałoba Hugh – wszystko to składało się w jej wyobraźni na tragiczną historię miłosną, którą idealizowała przez całe dzieciństwo i okres dorastania. Tylko że nie było żadnej wielkiej miłości. Myliła się w wielu kluczowych kwestiach.

Nie obwiniała Hugh ani Sigrid, ludzie są tylko ludźmi. Chciała jednak poznać prawdę. Próbowała ją odkryć, Stuart także, bowiem i on darzył ojca miłością. Hugh Craxton, którego znał, pod pewnymi względami przypominał człowieka wychowującego Theę, a pod innymi – ani trochę.

Jedyną osobą, która mogłaby powiedzieć coś więcej o Sigrid, jedyną, która znała historię pochodzenia Thei, był kochanek jej matki. W czasach pokoju wybrałaby się po prostu na wyspę Corran, by przeprowadzić małe prywatne śledztwo. Poszukać fragmentów dawnego życia w zlodowaciałym gruncie. Wobec szalejącej wokół wojny nie miała takiej szansy.

Nie dostała żadnej wiadomości od Cormaca. „Napiszę do ciebie", zawołał z brzegu, kiedy wsiadała na pokład. Nie napisał. Początkowo, kiedy jeszcze mieszkała u Rowan, z niecierpliwością wyczekiwała listu. Serce biło jej szybciej za każdym razem, gdy zaglądała do skrzynki pocztowej w holu. Po kilku długich bolesnych tygodniach zrozumiała, że nie ma na co czekać.

Być może Cormac nie dosłyszał adresu wśród zgiełku i chaosu panujących tamtego dnia w St Malo. Z tego, co wiedziała, wszystkie statki stamtąd dotarły do Anglii bez większych przeszkód, tak więc jeżeli wypłynął z portu w jakimkolwiek późniejszym terminie, powinien być bezpieczny, a to przecież najważniejsze, próbowała się pocieszać. Naturalnie nie można było wykluczyć innych scenariuszy. Oddział Cormaca mógł zostać skierowany do innego portu. Mogło zabraknąć dla nich miejsca na pozostałych okrętach wypływających z St Malo. Statki opuszczające wybrzeża Francji w tamtym czasie były dziesiątkowane, wielu ludzi zginęło. Thea próbowała nie zadręczać się myślami ani o tym, ani o ranie na głowie Cormaca. Rozmawiała o nim z Rowan, dla siebie jednak zostawiając wspomnienie namiętnego uścisku i pocałunku. Sama nie wiedziała, dlaczego właściwie woli o tym nikomu nie opowiadać. Być może narodziła się w niej obawa, że owo doświadczenie znaczyło dla niej więcej niż dla niego. W każdym razie rany głowy były potencjalnie śmiertelne i nieprzewidywalne, powiedziała siostra. O tym także Thea starała się nie pamiętać.

Możliwe, że Cormac rozmyślił się w sprawie listu. A pocałunek mógł być wyrazem ulgi i radości na widok statku w St Malo, niczym więcej. Dla niej jednak znaczył wszystko. Analizy i próby bagatelizowania wynikały wyłącznie z lęku przed odrzuceniem i zranieniem, poza tym nie działały. Coś się z nią stało podczas tamtej przeprawy, co inni przypisaliby może wzmożonym emocjom w niespokojnym czasie, ale nie Thea. Poznała kawalera i zakochała się w nim. Był w jej myślach w dzień i w nocy. Tęskniła za nim, za jego pocałunkiem, dotykiem lub choćby przelotnym widokiem.

Grace pokazała jej kiedyś dwie skorupy z Beaker. Ułożyła jedną przy drugiej, demonstrując ich idealne dopasowanie. Dokładnie tak widziała siebie i Cormaca. Znalazła brakujący fragment swojego istnienia, o którym wcześniej nie miała pojęcia.

Thea spędziła Boże Narodzenie w Londynie. Zatrzymała się u Rowan, która jednak przez większość trzydniowej wizyty siostry miała dyżury w szpitalu, nawiązała więc kontakt ze starymi przyjaciółmi. Peggy i Gerald, którzy rozstali się przed wojną, teraz do siebie wrócili. Helen i Max wzięli ślub. Obie pary przez większość czasu prowadziły odrębne gospodarstwa domowe. Wojna rzuciła ich w różne części kraju. Peggy z Geraldem zatrzymali się na święta u jego ojca, podczas gdy Helen i Max spędzali swoje przepustki w domu Fainlightów w Bloomsbury.

Przyjaciele przechodzili na kolejne etapy życia, podczas gdy ona tkwiła w miejscu. Straciła wymarzoną pracę i nie miała nawet narzeczonego; dość ponura egzystencja, myślała. Jako że mieszkała blisko Salisbury Plain, od czasu do czasu chadzała z koleżankami na potańcówki do obozów wojskowych. Konwersowała i tańczyła, niekiedy zaś podpierała ścianę remizy bądź hangaru, marząc o powrocie do pokoju i żałując, że nie zabrała ze sobą niczego do czytania z obawy przed byciem uznaną za nietowarzyską dziwaczkę. Pewnego razu podsłuchała rozmowę grupki żołnierzy na swój temat.

– A ta mała, czarna? – zasugerował jeden z szeregowców koledze.

– Masz na myśli tę deskę? – odparł tamten, rzucając pogardliwe spojrzenie w stronę Thei. Jak widać, piękne oczy, które zwróciły uwagę Simona Pembertona, nie miały znaczenia, jeśli towarzyszyły im małe piersi. Zabolał ją ten komentarz, jakkolwiek próbowała nie brać go do siebie.

Żaden z poznanych dotąd kawalerów nie wzbudził w niej szczególnego zainteresowania. Prawdę powiedziawszy, nie umywali się do Cormaca, z którym ich nieustannie porównywała. Być może zbyt pochopnie skreślała innych młodzieńców, odmawiając im wszelkich interesujących przymiotów, ale mówi się trudno. Przekonywanie samej siebie, że powinna zmądrzeć i zapomnieć o żołnierzu z Francji, nie przynosiło rezultatów. Nie potrafiła o nim zapomnieć. Nosiła go w sercu, które kłuł niczym cierń. I chociaż bolało, to nie chciała go puścić. Bolesne wspomnienie i towarzysząca mu tęsknota były lepsze niż nic.

W dzień powrotu Thei do Wiltshire w Londynie nastał siarczysty mróz. Nieogrzewany pociąg zjechał na bocznicę, gdzie spędził czterdzieści pięć minut. Zachodnie przedmieścia Londynu, oglądane przez szpary zaciemnionych okien przedziału, opalizowały w lodowatym powietrzu. Dachy i szosy pokrywała warstewka lodu, niebo zaś było blade i puste niczym wnętrze muszli. Sześć miesięcy wcześniej przemierzała gorące tory i nagrzane słońcem polne drogi Francji, otoczone dojrzałymi łanami zbóż i zielenią lasów, a pot spływał jej po poparzonych od lejącego się z nieba żaru ramionach. Teraz trudno było sobie wyobrazić ciepłe powietrze. Jakby należało do innej epoki. Wszystko to należało do innej epoki. Ta zima miała w sobie nieubłaganą stałość.

Wszyscy pasażerowie słyszeli złowrogi pomruk samolotowych silników, ale nikt nie wypowiedział ani jednego słowa. Thea powróciła pamięcią do tamtego myśliwca, który przeciął ze świstem puste niebo, strzelając w tłum uciekających ludzi. Pomyślała o dłoni Cormaca Jamiesona w swojej, kiedy torowali sobie przejście wśród ludzkiej gromady w porcie St Malo. Pociąg ruszył w dalszą drogę i ciężar w trzewiach Thei nieco zelżał.

„Nie zostawię cię samej, Theo”, przypomniała sobie słowa Cormaca, zastanawiając się, gdzie on teraz jest. Czy przestępuje

z nogi na nogę na mrozie w jakichś koszarach Northumbrii bądź Yorkshire, czy też walczy na północy Afryki? Modliła się o jego bezpieczeństwo. Czy on także myślał o niej, dumała, gdziekolwiek był – na wzgórzach lub pustyni? Czy ich wspólna wędrówka przez Francję znaczyła dla niego tak samo dużo jak dla niej? Coraz częściej zaczynała dopuszczać do siebie możliwość, że już nigdy go nie zobaczy.

Zima przeminęła, śniegi stopniały, przyszła wiosna. Nie przewidziała, że spędzi wojnę na wypełnianiu faktur dla Ministerstwa Zaopatrzenia, ale na to właśnie się zanosiło. W wolne niedziele jeździła na rowerze po wiejskich drogach w towarzystwie koleżanki, Claudii Daniels. Było to pewnym urozmaiceniem nudy panującej w Whiteridge House. Claudia, wysoka, przeraźliwie chuda dziewczyna z naelektryzowaną szopą włosów koloru toffi i wielkimi, jasnymi, krótkowzrocznymi oczami, nałogowo czytała i pasjonowała się skamielinami. Jej szafka przy łóżku była pełna amonitów i belemnitów znalezionych na krzemienistych polach i w kamieniołomach Wiltshire.

Jeździły do Cley Hill, którego szańce i rowy pochodziły z epoki żelaza. Thea odkryła wewnątrz kręgów kilka zagłębień sugerujących możliwe miejsca pochówków. Przypomniała sobie groby w Barbury Hill, kości wypolerowane na brązowo przez czas i dreszcz ekscytacji, gdy wydobywała z ziemi narzędzie z rogu jelenia. Gwałtowny powiew wiatru przygniótł do ziemi trawę na wzgórzu. Na dole rozciągał się łagodnie falujący krajobraz Wiltshire. Gdzieniegdzie, niczym szare głazy wyplute przez wulkan na pole, widać było szare rowy przeciwczołgowe wylane betonem. Jakaś wiejska dziewczyna jechała wąską drogą wozem ciągniętym przez konia. Thea zastanawiała się, jak by to było znaleźć się na jej miejscu. Życie wiejskiej dziewczyny na pewno było ciekawsze od pracy urzędniczki w Ministerstwie Zaopatrzenia, aczkolwiek wypełnione większą ilością błota, chłodu i ciężkiej pracy fizycznej podczas wykopków.

Jechały do domu przez niedużą osadę, kiedy Claudia pomachała ręką.

– Przebita opona! – zawołała.

Zatrzymały się i zeszły z rowerów. Claudia ścisnęła dętkę.

– To potrwa tylko chwilę.

Thea zostawiła swój rower na poboczu i poszła poszukać skrzynki pocztowej, do której mogłaby wrzucić listy. Zapomniała je wysłać rano. Minęła kościół, kuźnię, warsztat samochodowy i skupisko krytych strzechą chatek w różnych stadiach ruiny. Znalazłszy skrzynkę, wyjęła z dna plecaka plik pogniecionych listów i spróbowała go wyprostować. Z naprzeciwka nadjechała wojskowa ciężarówka, która zablokowała wąską wiejską drogę. Wyległy z niej kobiety w spódnicach i marynarkach koloru khaki, żołnierki z korpusu pomocniczego Wojsk Obrony Terytorialnej. Paliły papierosy i gawędziły między sobą, wsparte o ścianę z krzemienia.

Claudia stanęła u boku koleżanki.

– W porządku – oznajmiła. – To tylko niewielkie przebicie opony. Napompowałam ją i powinno wystarczyć do powrotu do domu. – Zamilkła na moment, po czym dodała: – Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek nad…

Thea podążyła za jej spojrzeniem na żołnierki, które wdrapywały się z powrotem do ciężarówki.

– To byłoby straszne – stwierdziła.

– Owszem.

Musztra na lodowatym asfalcie w takt pokrzykiwań sadystycznej nauczycielki wychowania fizycznego i potwornie nietwarzowy mundur – straszne to za mało powiedziane. Szaleństwem była sama myśl o wstąpieniu w szeregi kobiecej obrony terytorialnej.

Wróciły do Whiteridge House. Zabawne, jak niektóre myśli, raz zaszczepione, nie chcą się od człowieka odczepić. Pomysł tkwił w niej i uwierał jak rzęsa w oku podczas monotonnych godzin wypełniania formularzy. Skojarzyło jej się to z pewnym wydarzeniem z dzieciństwa, kiedy jako mniej więcej siedmioletnia dziewczynka wbiegła z premedytacją w kępę pokrzyw tylko dlatego, że chciała sprawdzić, co się stanie. Oczywiście potwornie szczypało i bolało. Wstąpienie do ATS, pomyślała, to pomysł tego samego rodzaju.

Ale przynajmniej spróbowałaby czegoś nowego. I może znów poczułaby, że żyje.

Jedenastego stycznia jedna z bomb uderzyła bezpośrednio w stację metra Bank. Wybuch zmiótł schody, zabił i okaleczył każdego na swojej drodze – pasażerów i tych, którzy szukali schronienia przed nalotem w podziemnych korytarzach. Rannych rozwożono do różnych szpitali w mieście, część trafiła do Świętej Anny. Rowan rozcinała zwęglone poszarpane ubrania i odkładała na bok dla ułatwienia identyfikacji poszkodowanych.

Ta noc ją zmieniła. Kiedy wreszcie zeszła z dyżuru, poszła prosto do stołówki dla pielęgniarek, nie zdołała jednak przełknąć ani kęsa ze stojącego przed nią śniadania. Wciąż miała w nozdrzach swąd spalonego ciała. Z upływem kolejnych dni nadal go czuła w głębi gardła, niezależnie od liczby wypitych kaw czy wypalonych papierosów.

System triaż wprowadzony w szpitalu Świętej Anny w pierwszych dniach nalotów działał teraz z przećwiczoną płynnością. Studenci medycyny wnosili rannych na noszach do izby przyjęć, skąd następnie kierowano ich do wyposażonych oddziałów, sal operacyjnych albo reanimacyjnych w szpitalnych piwnicach.

Pewnego marcowego wieczoru Rowan, już po całodniowym dyżurze, przebrała się w biegu w świeży uniform i powróciła do pracy po kolejnym nalocie bombowym. Napływ ofiar zdawał się nie mieć końca. Były to głównie poparzenia i rany po eksplozjach u londyńczyków, którzy akurat się przemieszczali. Personel medyczny przeprowadzał transfuzje i podłączał kroplówki, lekarze rezydenci bandażowali rany. Rowan odkażała właśnie tace w śluzie, kiedy ktoś powiedział, że jedna z bomb spadła na Café de Paris w dzielnicy West End i zabiła wielu bywalców nocnego klubu, a także lidera zatrudnionego tam na stałe swingowego bandu, Kena „Snakehipsa” Johnsona.

Nie miała czasu zamartwiać się, czy ktoś z jej przyjaciół stracił życie lub został ranny, ponieważ napływały kolejne ofiary.

We wczesnych godzinach rannych gmach szpitala zadrżał w posadach, gdy nieopodal doszło do eksplozji. Zgasło światło i piwnice utonęły w ciemnościach.

– Tutaj, Scott. Potrzymaj to – zawołała jedna z pielęgniarek z sąsiedniego bloku operacyjnego, wpychając jej w ręce latarkę. Rowan stanęła nad stołem, przyświecając lekarzowi operującemu ranę brzucha. Podobnie jak inni przedstawiciele zawodów medycznych nauczyła się już ukrywać własny strach i przyspieszone bicie serca.

Uruchomiono generatory awaryjne i sala operacyjna znowu pojaśniała. Rowan pozbierała narzędzia chirurgiczne, które spadły razem z tacą na podłogę, kiedy zabrakło światła, i zabrała się do ich ponownej sterylizacji za pomocą kuchenki turystycznej. Następnie powróciła na swój oddział, gdzie zajmowała się pięćdziesięciolatką z poparzonym ramieniem, wstrząsaną niekontrolowanymi dreszczami. Nabrała wprawy w rozpoznawaniu różnych rodzajów szoku. W najostrzejszej formie – pourazowej lub pooperacyjnej – wymagał pilnej interwencji medycznej. W średnim natężeniu łagodziło się go ogrzaniem ciała, odpoczynkiem i słodką herbatą. Lekarze nazywali go „napięciem alarmowym". Czasami zdawało jej się, że wszyscy – i medycy, i pacjenci – cierpią w tym samym stopniu na owo napięcie alarmowe. Na pytanie o samopoczucie zawsze padała taka sama rutynowa odpowiedź: W porządku. Wszyscy jechali na tym samym wózku. Jeżeli człowiek miał za sobą wyjątkowo okropną, przerażającą noc pod znakiem huku spadających bomb i tęsknił za bliskimi tak bardzo, że pękało mu serce, mógł powiedzieć: Dzisiaj trochę podlej.

O piątej nad ranem fala rannych ustała. Dwie godziny później, po zejściu z dyżuru, Rowan wyszła na pobojowisko. Londyn przez długi czas był jej azylem. Przybyła tu jako dziewiętnastolatka, aby tańczyć, romansować i zażywać luksusu. Po nieudanym małżeństwie z Patrickiem mieszkanie w Covent Garden stało się jej sanktuarium. Widok ukochanego miasta w gruzach był trudny do zniesienia. Nieco nieprzytomna ze zmęczenia, musiała się chwilę zastanowić, nim odnalazła drogę do domu pielęgniarek.

Sprzątaczka zmiatała gruz z podłogi w holu.

– Siostro Scott! – usłyszała za sobą czyjś głos, gdy wchodziła na górę.

Odwróciła się. Przełożona pielęgniarek patrzyła na nią groźnie, stojąc u podnóża schodów.

– Tak, siostro?

– Proszę pamiętać o zakazie pozostawiania butów na podłodze sypialni.

Zacisnęła dłoń na balustradzie. Po dwudziestodwugodzinnym dyżurze musiała wysłuchiwać reprymendy na temat butów. Na końcu języka miała niecenzuralne słowa.

Po chwili milczenia przywołała na twarz przepraszający uśmiech.

– Dobrze, siostro. Bardzo przepraszam.

– Żeby to się więcej nie powtórzyło.

Weszła do swojego pokoju i zaczęła się rozbierać. Gniewnie strząsnęła buty, zrzuciła pasek, fartuch, czepek i czarne pończochy na podłogę. Weszła pod kołdrę w bieliźnie i zamknęła oczy. Pod powiekami przemykały jej obrazy minionego wieczoru: chirurg zszywający brzuch mężczyzny, kobieta z poparzonym ramieniem roztrzęsiona jak galareta. I umarli z Café de Paris: kobiety w wirujących spódnicach poszarzałych od pyłu, ludzie zastygli w ostatnim tańcu bez muzyki.

Duncan i Sally wzięli ślub w czerwcu czterdziestego pierwszego roku. Uroczystość odbyła się w parafii Flemingów, w miejscowości Richmond. Duncan wyglądał bardzo przystojnie w mundurze pilota wojskowego, a Sally olśniewała urodą w białej koronkowej sukni, która była dziełem jej matki, Evy. Kościół udekorowano białymi i żółtymi kwiatami z przydomowego ogrodu. Kompetentna, ładna i wyrobiona towarzysko Eva Fleming przyjęła z ogromną wdzięcznością tort weselny, który podjęła się upiec mama pana młodego.

Sophie wystąpiła w bladobłękitnej sukience z szantungu i w żakiecie, który kupiła przed wojną. Zrobiła sobie stroik na głowę z resztek wstążek i siatki. Na jej szyi lśnił bajecznie naszyjnik

od biednego Kaza. Raz po raz dotykała klejnotów, przypominając sobie, że była dla kogoś godna pożądania; wspominała Kaza i uśmiechała się do siebie. A jednak chwilami czuła się kompletnie nie na miejscu lub zagubiona w tłumie. Ojciec Sally, Giles, szlachetnie okrążył z nią parę razy parkiet. Domyśliła się, że nienawidzi tańczyć, tym bardziej doceniała, że ją poprosił do tańca. Czy jest taka sytuacja, kiedy brak osoby towarzyszącej doskwiera dotkliwiej aniżeli na ślubie własnego dziecka? Duncan był dumnym człowiekiem. Przyznanie przed Flemingami, że jego nieżyjący ojciec okazał się bigamistą, musiało go wiele kosztować. Jeżeli Sophie odnosiła chwilami wrażenie, że dostrzega w promiennym uśmiechu Evy i jej rezolutnym sposobie bycia oznaki lekceważenia bądź litości, to prawdopodobnie dawała się ponieść wyobraźni.

Tegoroczne lato i jesień przyniosły jej świadomość własnej siły. Pomimo oczywistej rozpaczy po śmierci Kaza stawała się kobietą coraz bardziej pewną siebie i własnej wartości. Coraz rzadziej rozmyślała o Hugh. Często miała wrażenie, że zawdzięcza te zmiany polskiemu kapitanowi.

Ostatnimi czasy była zbyt zajęta, aby zajmować się przeszłością. Wstawała o świcie, wykonywała obowiązki w domu i ogrodzie, pisała do Stuarta pływającego poławiaczem min u wschodnich brzegów kraju i do Duncana, stacjonującego w Lincolnshire. Od początku roku regularnie dyżurowała w punkcie pierwszej pomocy, gdzie przyjmowała rannych. Popołudniami udzielała się w wolontariacie kobiet: serwowała herbatę i bułeczki w domach pomocy i segregowała używane ubrania dla bezdomnych. Wolontariat stwarzał okazję poznawania kobiet z innych klas społecznych. Uczyła się wytrzymałości i siły od tych, które traciły domy, dorobek całego życia albo – największa tragedia – dzieci.

Byli też lokatorzy. Vera Cornish nadal mieszkała w domu przy ulicy Gilberta, ale John Reynolds wyprowadził się do innego regionu kraju. Pokój Kaza pozostawał pusty przez kilka miesięcy po jego śmierci, lecz ostatnio zajęła go koleżanka z byłej pracy Sally, przemiła dziewczyna imieniem Heather, dziennikarka BBC. Trzeci pokój przypadł porucznikowi Walkerowi, marynarzowi, który stracił rękę

i oko w bitwie o Atlantyk, a obecnie piastował stanowisko biurowe w admiralicji.

Wyżywienie lokatorów pochłaniało coraz więcej czasu, a ogród służył już niemal wyłącznie do uprawy warzyw i owoców. Przed wojną uprawiała warzywa wyłącznie latem, teraz sytuacja wymagała upraw całorocznych. Robienie przetworów na przetrwanie zimy też zajmowało dużo czasu.

Tak więc Sophie uczyła się walczyć o siebie. „Hugh okropnie tobą pomiatał", rzekła kiedyś Viola. „Był piekielnie skuteczny w stawianiu na swoim". Sophie nie miała zamiaru dać sobą pomiatać żadnemu mężczyźnie. Już nie, nigdy więcej.

Rozdział piętnasty

Luty–październik 1942

Zatłoczony pociąg relacji Londyn King's Cross–York był duszny od dymu papierosowego i stęchłego zapachu wilgotnej wełny żołnierskich mundurów. Tego popołudnia, kiedy Thea wychodziła od Rowan po dwudniowej przepustce z jednostki wojskowej, padał ulewny deszcz. Silniki ożyły, wagony wyjechały spod dworcowego zadaszenia i krople wody uderzały w szyby. Dziewczyna torowała sobie drogę przez korytarze, pomrukując przepraszająco, nadeptując na worki żeglarskie i walizki. Zaglądała do przedziałów bez większej nadziei na znalezienie wolnego miejsca.

Nagle jej serce zamarło, gdy wynurzyła się z kolejnego z rozklekotanych gumowych przegubów łączących wagony. Przez moment nie dowierzała własnym zmysłom. Stanęła bowiem twarzą w twarz z opalonym, ciemnowłosym i niebieskookim Cormakiem Jamiesonem.

– Dobry Boże, Thea! – zawołał.

– Cormac! To ty, prawda?

Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. Och, cóż to było za błogie uczucie. Pomiędzy tym przytuleniem a poprzednim, tak dawno temu, żyła tylko połowicznie.

– O rety – powiedział, zrobiwszy krok do tyłu, żeby na nią popatrzeć. On także nie mógł przestać się uśmiechać. – Nie wierzę własnym oczom. Toż to cud. O rany, Thea. Przepraszam, że bredzę, ale jestem taki szczęśliwy, że cię widzę. Jak się masz?

– Dobrze.

– Stopy wydobrzały?

Roześmiała się.

– O tak. A jak twoja głowa?

– W porządku. – Przyciągnął ją do siebie, kiedy pół tuzina marynarzy przeciskało się obok, narzekając na brak wolnych miejsc. Zapach jego skóry i muśnięcie szorstkiego materiału munduru przeniosły ją z powrotem do St Malo, do tamtej chwili, gdy trzymając się za ręce, szli w stronę statku.

– Nie byłam pewna, czy udało ci się bezpiecznie wrócić – powiedziała.

– Popłynąłem następnym statkiem.

Miałeś do mnie napisać. Dlaczego tego nie zrobiłeś? – chciała zapytać, ale nie zdążyła.

– Praktycznie straciłem przytomność. Biedny stary Phil musiał mnie niemalże wnieść na pokład. – Zmrużył oczy. – Podałaś mi swój adres, prawda, Theo?

– Tak.

– Odbyłem cały rejs w malignie i obudziłem się dopiero następnego dnia w szpitalu w Southampton. Nie mogłem go sobie przypomnieć. Nie pamiętałem, co mi powiedziałaś.

– Nieważne. – To nie miało żadnego znaczenia, już nie.

– Zapomniałem nawet nazwę statku, na który wsiadłaś. Cały ostatni etap podróży pamiętałem jak przez mgłę.

Poczuła nagłą suchość w ustach.

– Ale mnie zapamiętałeś.

Popatrzył na nią spod zmarszczonych brwi.

– Theo, ciebie nigdy nie mógłbym zapomnieć – oświadczył prostolinijnie.

Wezbrało w niej szczęście i poczuła, że nie musi już udawać, być może nigdy więcej.

– Ani ja ciebie – odpowiedziała.

Znów rozciągnął usta w promiennym uśmiechu.

– Cholerny cud, że się tu spotkaliśmy. Mogłem cię już nigdy nie zobaczyć, bardzo się tego bałem, a tu proszę. Jesteś! Twój bezpieczny powrót ze Szwajcarii musiał przynieść niebywałą ulgę siostrze.

– O tak, ogromnie się martwiła. Cały czas pracuje jako pielęgniarka u Świętej Anny. A jak się miewa twoja siostra, Cormacu?

– Nicola ma się dobrze. Oboje z tatą są w domu, na gospodarstwie. Już sobie wyobrażam te codzienne awantury. Tak to bywa, gdy pod jednym dachem mieszka dwoje choleryków.

– Pogodziłeś się z tatą?

– Pamiętasz.

Dawna Thea spłonęłaby rumieńcem, ale wojsko ją zahartowało. Sześć miesięcy morderczego treningu pozbawiło ją dużej części młodzieńczej nieśmiałości.

– Oczywiście, że pamiętam. Pamiętam każdy szczegół naszej wędrówki we dwoje.

Zeszli na bok, żeby przepuścić kolejną grupkę pasażerów. Pociąg, który zatrzymał się w szczerym polu, ponownie ruszył z ostrym szarpnięciem.

– Ciekawe, prawda? – rzekł Cormac. – Wydawałoby się, że będziemy chcieli o tym jak najprędzej zapomnieć. Oboje byliśmy u kresu sił, przerażeni. Nie wiedzieliśmy, czy zdołamy dotrzeć do Anglii. Należałoby się spodziewać jak najszybszego wymazania z pamięci tego piekła, tymczasem ja nie mogłem przestać o tobie myśleć.

I tak oto w zatłoczonym rozklekotanym wagonie, w samym środku przygnębiającej angielskiej zimy i wojny, Thea przeniosła się pod francuskie letnie niebo, poczuła zapach kurzu i siana. Niewiele brakowało, by go straciła, pomyślała. Mogła wtedy pójść swoją drogą, nie znaleźć w sobie dość odwagi, by wyjść na pobocze, kiedy nad głową latały myśliwce. Mogli też byli wpaść w ręce wroga albo nie zastać żadnego statku w St Malo, całe miasto mogło być już zajęte przez Niemców. Mogli się już nigdy nie odnaleźć po rozstaniu.

Nie zamierzała ryzykować po raz kolejny. Stojąc tak blisko niego, świadoma jego fizyczności i własnych pragnień – aby go dotknąć, przytulić – wiedziała, że musi mu powiedzieć o swoich uczuciach, nie może sobie pozwolić na ucieczkę w powściągliwość, która czasem przychodziła jej zbyt łatwo, zaszczepiona w dzieciństwie zdominowanym przez sekrety.

– Nie wydaje mi się, żeby to wszystko było po prostu, no wiesz, przez wojnę, strach i okoliczności. Niektórzy tak uważają. Ale dla mnie to coś więcej – powiedziała.

– I dla mnie – przyznał, spoglądając na nią ze zmarszczonym czołem. – Kiedy cię spotkałem, poczułem, że wszystko jest takie, jak powinno. To znaczy byłem w okropnym stanie, bardzo bolała mnie głowa i rozpaczliwie pragnąłem powrotu do domu, ale przy tobie wszystko wydawało się w porządku. Czułem, że wreszcie odnalazłem właściwą drogę. – Wyciągnął rękę ku jej twarzy, jak gdyby chciał sprawdzić, czy jest prawdziwa.

Jeden z marynarzy, którzy rozłożyli się w korytarzu, zauważył gest Cormaca, szturchnął swojego kolegę, po czym rozległy się gwizdy.

– Przymknąć się tam – upomniał ich łagodnie Cormac i uśmiechnął się przepraszająco do Thei.

Postanowili poszukać bardziej ustronnego miejsca. Dotarli do wagonu restauracyjnego, gdzie zaproponował jej filiżankę herbaty. Wagon był pełen, ale jakiś lotnik przesunął się, żeby zrobić dla niej miejsce. Nadchodził wieczór, okna zostały całkowicie zasłonięte zaciemniającymi żaluzjami, aby trudniej było zlokalizować pociąg z powietrza.

Cormac przyniósł do stolika dwie herbaty i coś do zjedzenia.

– A więc wstąpiłaś do wojsk artyleryjskich – zagadnął, zerkając na białą smycz, którą nosiła na szyi.

Należała do obsługi baterii przeciwlotniczej, wyjaśniła mu.

– Stacjonuję w obozie ćwiczebnym. Obsługuję teodolit. – To było ciekawe zajęcie i miała wielkie szczęście, że ją do niego wyznaczono.

– A ty, Cormacu? Jesteś na przepustce?

– Tak. Jadę na parę dni do Northumberland, a później na manewry do Szkocji. Pogodziłem się z tatą. Cała praca w gospodarstwie spadła teraz na niego i Nicolę. – Zamieszał herbatę. – Wszyscy pomocnicy, których zatrudnialiśmy, wstąpili do armii. Wojsko też marnie płaci, ale nie aż tak, żeby opłacało się teraz pracować w rolnictwie.

– Co was poróżniło?

– Gospodarstwo. – Pochylił się, gdy para w podeszłym wieku stanęła w coraz dłuższej kolejce do lady. – Powiedziałem mu, że nie widzę siebie w roli farmera, i rozjuszyłem go tym. Jestem jego

jedynym synem, dla mnie przewidział rolę dziedzica Crawburn. Miałem żyć tak jak on i jego ojciec przed nim. Nie zmieniłem zdania w tej kwestii, chociaż on uważa inaczej. Pozwalam mu na razie wierzyć, w co chce, dla świętego spokoju. Po wojnie znajdę sobie inny sposób na zarabianie pieniędzy.

Wypili herbatę, zjedli ciasto, po czym ruszyli w stronę ostatnich wagonów, cały czas rozglądając się za wolnymi miejscami w przedziałach. Cormac prowadził, torując drogę przez tłum. Ostatni wagon był najluźniejszy. Jakiś marynarz siedział na worku i drzemał, dwóch innych żołnierzy grało w karty. Cormac i Thea wcisnęli się w pustą przestrzeń przy wagonie służbowym.

– Na początku wojny, nie wiedzieć czemu, zakładałam, że nie potrwa długo. Najwyżej pół roku. Wszyscy szybko się zorientują, jak wielki błąd popełnili, myślałam z nadzieją. Teraz nie widzę szans na rychły koniec, Cormacu. Podobno to może potrwać nawet dziesięć lat. Dziesięć lat!

– Za czym najbardziej tęsknisz?

Oparła się plecami o szybę przedziału. Tęskniła za mnóstwem rzeczy. Brakowało jej pomarańczy, przyzwoitej kawy, oświetlonych ulic, możliwości wejścia do sklepu po igłę i nitkę do cerowania ubrań. Czasu na czytanie książek. Spotkań z bliskimi i przyjaciółmi. Braku nieustannej obawy, że Rowan zostanie rozszarpana przez bomby podczas dyżuru w szpitalu.

– Pracy – powiedziała wreszcie. – Najbardziej brakuje mi archeologii. Tęsknię za nią ustawicznie. Dopiero zaczynałam, kiedy musiałam zrezygnować. Czy to brzmi okropnie samolubnie? Tylu ludzi straciło bliskich… Kiedy zaczęłam pracować dla Grace Fainlight, poczułam, że znalazłam brakujący fragment układanki.

– Wrócisz po wojnie do archeologii?

– Jeżeli tylko będę mogła. Nie wszystko zależy jednak ode mnie. Możliwe, że Grace i Monty pozostaną na stałe w Szwajcarii. Albo Grace przejdzie na emeryturę, choć tego akurat nie jestem sobie w stanie wyobrazić. Poza tym niewykluczone, że po wojnie pracy wystarczy tylko dla mężczyzn. Może trzeba będzie zaczynać od zera.

– Ale dasz sobie radę.

– Tak. – Lato w Barbury Hill było najszczęśliwszym w całym jej życiu. Znajdzie jakiś sposób.

Zapytała Cormaca o jego tęsknoty.

– Za domem – odpowiedział po prostu. – Za własnym miejscem na ziemi.

W przeciwieństwie do niego Thea czuła się pozbawiona korzeni. Nie przynależała do żadnego konkretnego miejsca.

Pociąg zahamował na stacji, ludzie wysypali się z wagonów na peron. W pobliskim przedziale zwolniły się dwa miejsca, z których skorzystali. Poruszali różne tematy podczas tej podróży z przerwami na północ.

– Myślałem, że może poznałaś kogoś innego – powiedział w pewnym momencie.

Podniosła wzrok.

– Nie.

– Dzięki Bogu. Mam jakąś szansę. Proszę, wesprzyj głowę na moim ramieniu.

Pociąg dudnił i pohukiwał, posuwając się naprzód. Ramię Cormaca było ciepłą i stabilną poduszką. W tej chwili nie pragnęła być nigdzie indziej, tylko z Cormakiem Jamiesonem w zimnym pociągu sunącym przez mroczny wojenny krajobraz. Spędziła tak wiele miesięcy w niepewności, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy, a kiedy się spotkali, zrozumiała od pierwszej sekundy, jak wielka siła ją do niego przyciąga. Często potrzebowała dużo czasu na oswojenie się z kimś, tymczasem z nim od razu poczuła się zupełnie swobodnie. Nie czuła żadnej presji, nie musiała udawać innej, niż była.

Obudził ją na stacji w Yorku. Zaspana zebrała swoje rzeczy. Pocałował ją delikatnie w policzek, zanim wysiadła, i zapytał, czy może do niej napisać. Tak, bardzo by tego chciała, odparła i dała mu swój adres.

Jako że ich przepustki nigdy nie przypadały w jednym czasie, Cormac i Thea poznawali się początkowo dzięki listom. Ona opisywała mu obszernie historię swojego pochodzenia: pisała

o Corran, matce i jej kochanku. *Nie wiem, kim był. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiem.* Pisała też o Hugh, który ją wychował. *Miewał swoje humory, ale w dobre dni nie było lepszego towarzysza. Sophie (żona numer dwa) mówi to samo. Odwiedziłam ją kilka razy, będąc w Londynie. Bardzo lubię tę kobietę. Wielu ludzi uznaje to za dziwne, ale rozmowa z kimś, kto dobrze znał tatę, przynosi ulgę. Cóż, na tyle dobrze, na ile dał się poznać komukolwiek.*

Cormac pisał o rodzinnym Crawburn. *Kiedy staniesz za domem, zobaczysz wzgórza Cheviot. Błękitne, brązowe, pomarańczowe, zielone albo białe, w zależności od pory roku. Stłoczone aż po horyzont. W dzieciństwie przesiadywaliśmy tam całymi dniami. Budowaliśmy tamy na potokach i próbowaliśmy łowić ryby. Wracaliśmy do domu, dopiero gdy robiło się ciemno. Nic sobie nie robiliśmy z pokrzykiwań ojca.*

Nareszcie ostatni dzień przepustki Thei pokrywał się z pierwszym dniem czterdziestoośmiogodzinnej przepustki Cormaca. On był w Yorkshire, ona w Londynie, w mieszkaniu Rowan. Przestudiowawszy mapy i rozkłady jazdy pociągów, umówili się na niedużej stacji pośrodku trasy między Londynem a Leeds.

Thea liczyła postoje. Tabliczki z nazwami pozdejmowano ze względów bezpieczeństwa, co znacznie utrudniało orientację. Na szczęście było lato, a co za tym idzie – lepsze światło, a widoczności nie pogarszała mgła. Mimo wszystko na każdej kolejnej stacji pasażerowie debatowali, gdzie się znajdują. Często jedna osoba wychylała się przez okno przedziału i pytała przechodzącego konduktora. W miarę zbliżania się do celu czuła coraz większą ekscytację.

Cormac czekał na nią na peronie. Po pełnym ożywienia powitaniu – pociąg nie miał tak dużego opóźnienia, jak się obawiała, i dzięki Bogu znaleźli się bez problemu – wziął ją za rękę, wzbudzając w niej kolejną falę radości. A potem ją pocałował.

To był pierwszy prawdziwy pocałunek Thei. Niebiańskie doznanie, także dla niego. Całowali się nieprzerwanie, stojąc pod zadaszeniem peronu, nie zwracając uwagi na mijających ich pasażerów.

Kiedy wreszcie się rozdzielili, oboje uśmiechnięci, poszli poszukać jakiegoś wiejskiego baru. Jedli kanapki, pili piwo i rozmawiali, ciągle

trzymając się za ręce. Ich wspólny czas przemijał z prędkością światła. Ona drżała przed nadciągającą nieubłaganie rozłąką. Nie rozstawali się do ostatniej minuty. Stali razem na peronie, planując kolejne spotkanie. Miała nadzieję na opóźnienie pociągu powrotnego do bazy, ale jak na złość ten jeden raz przybył punktualnie.

– Jedzie – powiedział.

Podniosła głowę i ujrzała zbliżającą się lokomotywę.

Wysiadający pasażerowie zniknęli w chmurze dymu. Cormac pocałował ją raz jeszcze, najpierw muskając ustami czoło, później usta, przyciągając rękami jej biodra. Zamknęła oczy, zatracając się w jego smaku i dotyku. Pożegnali się, po czym wsiadła do wagonu. Wszystko się zmieniło w jeden dzień.

Sophie przystanęła na moment po opuszczeniu stacji przy bocznej linii kolejowej, żeby się rozejrzeć i przełożyć bagaż z jednej ręki do drugiej. Następnie ruszyła w kierunku Church Street, ulicy, przy której mieszkał Duncan ze swoją żoną Sally. Miejscowość była położona w nizinnej części Lincolnshire. Za budynkiem szkoły, eleganckimi willami z czerwonej cegły i gmachem kościoła rozciągały się pola i zagajniki, skąpane w popielatym świetle nadchodzącego wieczoru i przesłonięte jesienną mgłą. Zwęglone drzewa połyskiwały posępnie w półmroku, z którejś gałęzi dobiegało pohukiwanie sowy. Duncan szkolił pilotów w bazie lotniczej w Lincolnshire. Był wściekły z tego powodu, odebrał przeniesienie jako degradację zawodową, dlatego Sophie nie obnosiła się przed nim z olbrzymią ulgą, jaką odczuła. Przypuszczała, że Sally też w głębi duszy się cieszyła. Zanim dowództwo przydzieliło go do bazy w Lincolnshire, Duncan cierpiał na szereg zakażeń górnych dróg oddechowych. Sophie nie miała wątpliwości, że jego organizm i psychika były wycieńczone po kilku latach pilotowania jednostek bojowych. Prawdopodobnie dowódca również to dostrzegł.

Podróżowała od świtu. Wiklinowy kosz i walizka wydawały się cięższe niż poprzedniego wieczoru, kiedy pakowała je w Londynie. Zawierały maleńkie ubranka robione na drutach i szydełkiem,

przeróżne smakołyki i prezenty od Violi oraz byłych i obecnych lokatorów. Trzy tygodnie temu przyszła na świat jej wnuczka. Duncan i Sophie dali dziewczynce imiona Rosalind Eva Sophie. Sophie poczuła się niezmiernie wzruszona tym, że jedno z imion dostała po niej.

Eva Fleming, która była z córką podczas porodu, napisała, że zarówno Sally, jak i ich wspólna wnuczka czują się dobrze. Viola zaproponowała, że będzie gotować dla lokatorów, aby Sophie mogła wyjechać. Vera Cornish zbyła obawy pani domu lekceważącym machnięciem ręki.

– Damy sobie radę bez żadnego problemu, Sophie. Sporządzę grafik sprzątania i zmywania.

W pociągu czuła zdenerwowanie pomieszane z ekscytacją. Wspominała narodziny własnych dzieci, gwałtowne żądania ciała i obezwładniające fale emocji. Hugh wyjechał w interesach, kiedy rodziła Duncana, więc asystowała jej matka, był jednak obecny przy narodzinach młodszego syna. Wziął go na ręce, gdy tylko pielęgniarka umyła noworodka. I zapłakał. Sophie pamiętała, że płakał. W ciągu ostatnich kilku lat bywały chwile, kiedy uznałaby jego wzruszenie za udawane, ale dziś – zbliżając się do domu Duncana i Sally, połowy nowoczesnego niedużego bliźniaka – dopuszczała do siebie możliwość, że jego łzy były szczere.

Otworzyła furtkę. Firanka się poruszyła i Sally pomachała jej przez okno. Trzymała w ramionach drobne białe zawiniątko. Sophie popatrzyła na wnuczkę z mieszaniną zachwytu i tęsknoty. Szybko pokonała ścieżkę prowadzącą przez ogródek do drzwi, które natychmiast stanęły otworem. Uściskały się z Sally na schodkach, po czym weszła do domu, odstawiła bagaże i zdjęła płaszcz. Młoda matka przekazała jej maleństwo. Sophie popatrzyła na maleńką, bladą, piękną buzię.

– Och, Sally – wykrztusiła. Nie zdołała powiedzieć nic więcej. Łzy, które spływały jej strumieniami po policzkach, były łzami radości. Sally poklepała ją po ramieniu, zostawiła samą z wnuczką, żeby mogły się lepiej poznać, i poszła zaparzyć herbatę.

Rozdział szesnasty

Marzec–wrzesień 1943

Tamtego marcowego wieczoru siedzieli w kilkanaście osób przy jednym stoliku, kiedy Rowan zawitała w nocnym klubie. Z wielowątkowej rozmowy wyłapała głośny potok słów Nicky'ego Oliviera wygłaszającego arbitralne tezy na temat poezji.

– Oczywiście, że forma dyktuje treść.

– Tak uważasz? – zapytał mężczyzna w wojskowym mundurze zajmujący miejsce naprzeciwko Nicky'ego. Miał gęste, proste, brązowe włosy, głęboko osadzone małe oczy i długi nos z bulwiastym czubkiem. Twarz złożona z niepasujących do siebie elementów, pomyślała Rowan. Aczkolwiek bardzo sympatyczna. – Nie sądzisz, że może być dokładnie na odwrót?

– Absolutnie wykluczone.

– Gdybym zamierzał napisać wiersz, najpierw zastanowiłbym się, co chcę w nim powiedzieć, a dopiero potem wybrałbym najbardziej adekwatną formę.

– Jesteś poetą? – zainteresował się Nicky, nachylając się w stronę żołnierza.

– Nie. A ty?

– Broń Boże. – Nicky wydął usta. – Gardzę poezją.

Rowan stanęła za plecami Nicky'ego i potargała mu czuprynę.

– Nicky pisze o poezji – wyjaśniła nieznajomemu rozmówcy przyjaciela. – Jest słynnym krytykiem.

– Oksymoron, droga Rowan. – Nicky poklepał ją po ręce. – Czy krytyk może być słynny? Nie wydaje mi się. Poproś dowolnego

człowieka na ulicy, by wymienił choćby jednego krytyka, a usłyszysz: nie znam.

– F.R. Leavis – podsunął Denis Charlbury.

– Nie jesteś osobą z ulicy, Denisie. Spędzasz wakacje w St Moritz i jeździsz morganem. Posiadasz na własność dom w Belgravii, a także, o ile się nie mylę, wiejską posiadłość w Hampshire bądź innym nobliwym zakątku. Jako nędzarz bez grosza przy duszy mam o wiele większe prawo do tytułu człowieka z ulicy.

– Gloucestershire – prychnął w odpowiedzi Denis. – Mój drugi dom jest w Gloucestershire. Aktualnie zajmują go leciwi krewni i psy.

– Wyglądasz bosko, Rowan – oświadczył Nicky, obejmując ją ramieniem w pasie.

– Dziękuję, najdroższy. – Pomachała pozostałym znajomym, po czym podała rękę adwersarzowi Nicky'ego. – Rowan Scott.

– Alex Moore. Bardzo mi miło. Pozwól, że naleję ci drinka.

– Nie słuchaj go, Alex – powiedziała, siadając. – Chce zwrócić na siebie uwagę.

– Jak możesz recenzować wiersze, skoro nie lubisz poezji?

– Nie powiedziałem, że nie lubię – sprostował Olivier, wysuwając podbródek. – Tylko że nią gardzę. Dwie różne sprawy. Pisanie o tym, czym się pogardza, jest stosunkowo łatwe, bo wzbudza przynajmniej jakieś emocje. Obojętność z kolei powoduje stupor. Poza tym jak ktokolwiek może twierdzić, że „lubi poezję"? – zapytał, podkreślając szyderczo ostatnie słowa. – To jakby powiedzieć: lubię jedzenie. Za niektórymi rzeczami się przepada, innych się nie znosi. Ja na przykład uwielbiam ośmiorniczki i nienawidzę jabłek.

– Co u ciebie słychać, Nicky? – wtrąciła Rowan.

Zrobił nieszczęśliwą minę.

– Bardzo źle, kochana. Awansowali mnie na porucznika, dasz wiarę? Porucznik Olivier. Najwyraźniej umknęło ich uwadze, że nie potrafię maszerować pod górę, okrążać biegiem nierówności terenu i robić tych wszystkich przerażających rzeczy, których wymagają w wojsku. Nienawidzę służby wojskowej. Zdezerterowałbym choćby jutro, gdyby nie fakt, że jeszcze bardziej nienawidzę wojskowych więzień.

Rowan wymamrotała jakieś pocieszenie. Kelnerka postawiła na stoliku kolejną butelkę szampana. Rowan przesunęła kciukiem po grzbiecie dłoni, martwił ją przesuszony fragment skóry. Davey Manningham poprosił ją do tańca i zeszli po schodach na parkiet, na którym kolorowe suknie kobiet podkreślały urodę zielonych i niebieskich męskich mundurów. Davey był doskonałym tancerzem, zawsze dobrze im się razem tańczyło. Na parkiecie przynajmniej nie myślała o szpitalu i wydarzeniach minionego dnia. Później poprawiła makijaż w toalecie dla pań, gdzie brak połowy żarówek znacząco utrudniał nakładanie szminki i pudru.

Po powrocie zastała Daveya pogrążonego w rozmowie z Bobbiem Whartonem, weszła więc na górę, ale nie wróciła do stolika. Stanęła samotnie na balkonie, wspierając się o balustradę, i obserwowała tancerzy oraz zespół jazzowy. Zdawało jej się, że romans z Bobbiem – nieprzemyślany, aczkolwiek w gruncie rzeczy nieistotny epizod – przynależy do innej epoki.

– Mogę się przyłączyć?

Obejrzała się za siebie. Wojskowy mundur, szerokie barki, opadające powieki i włosy w kolorze jesiennych liści. Był może o kilka lat starszy od niej. Emanował swoistą uważnością.

– Oczywiście.

Stanął obok niej na balkonie.

– Rowan Scott, prawda? Ja nazywam się Josh Makepeace.

– Czołem, Josh. Skąd znasz moje nazwisko?

– Zapytałem Aleksa – odpowiedział z uśmiechem.

– Znasz Aleksa Moore’a?

– Od wielu lat. Poznaliśmy się pierwszego dnia po moim przyjeździe do szkoły z internatem. Miałem wtedy czternaście lat. Alex wziął mnie pod swoje skrzydła.

– Wydaje się bardzo sympatyczny. Na długo przyjechałeś do Londynu?

– Tylko na ten jeden dzień. Mieszkasz tu, tak?

– Zrobiłeś gruntowne rozeznanie, Josh.

Wsparł ramiona o barierkę, tuż obok niej.

– Nie ma lepszej strategii. Poznaj swojego wroga i tak dalej. Mam nadzieję, że nie zostaniemy wrogami.

Rowan z zaskoczeniem zarejestrowała powrót znajomego doznania, iskrę ekscytacji sprzed lat. Od dawna nie odczuwała podobnego natychmiastowego przyciągania, swoistego milczącego porozumienia i naglącej potrzeby bliskości.

– Ja też mam taką nadzieję.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem pielęgniarką.

– Mieszkasz na terenie szpitala?

– Na szczęście już nie. Taki był wymóg, zanim zdałam wszystkie egzaminy, ale już wtedy uciekałam do własnego mieszkania przy każdej sposobności.

Uniósł brwi.

– Uciekałaś? Po rynnie przez okno w łazience?

– Obawiam się, że tak. Nie wymagało to jednak wielkiej odwagi, ponieważ łazienka była na parterze.

– Co ci się nie podobało w internacie dla pielęgniarek?

– Gdybyś kiedykolwiek miał okazję posłuchać zbiorowych narzekań na żylaki, nie zadawałbyś głupich pytań. – Przyjrzała mu się uważniej; chyba miał zielone oczy, trudno to było jednak stwierdzić w tym świetle z jakąkolwiek pewnością. Zwróciła uwagę, że pomimo typowej karnacji rudzielca, niewiele odbiegającej od jej własnej, był dość mocno opalony, a to z kolei kazało jej przypuszczać, że nie pracuje za biurkiem. – Choć pewnie nocowałeś w gorszych miejscach – dodała.

– Zdarzyło się raz czy dwa razy. Mężczyźni też potrafią koncertowo narzekać na rozmaite bolączki.

– Gdzie stacjonujesz, Josh?

– Och, tu i tam. Ciągle w drodze.

Chociaż odpowiedź zabrzmiała niefrasobliwie, to Rowan zrozumiała jej podtekst: Nie mogę powiedzieć, gdzie i co dokładnie robię. A więc coś tajnego.

Zapytał ją, gdzie mieszka. Odpowiedziała, że w Covent Garden.

– Użyczam noclegu przyjaciołom, ilekroć przyjeżdżają do Londynu. Uwielbiam ich widywać. Nie ma nic cenniejszego od towarzystwa najstarszych, najserdeczniejszych przyjaciół, prawda?

– Odprowadzić cię do stolika?

– Skądże, nie to miałam na myśli. – Rowan popatrzyła na parkiet, na którym pary tańczyły w rytm szlagieru *I've Got You Under My Skin*. – Jeśli mam być całkiem szczera, czuję się dziś odrobinę aspołeczna – przyznała. – Chyba nie jestem w nastroju do zabawy.

– Nie dasz się zatem zaprosić do tańca?

– Niestety nie. Mimo że to jedna z moich ulubionych piosenek.

– Zamilknę więc, żebyś mogła posłuchać w spokoju.

Tak też uczynił. Uznała to za dość niebywałe. Znała wielu mężczyzn, którzy czuli się w obowiązku wypełniać sobą każdą chwilę ciszy.

Gdy utwór dobiegł końca, powzięli postanowienie opuszczenia klubu Signorelli i poszukania jakiejś restauracji. Odbierając z szatni płaszcz przeciwdeszczowy, powiedziała mu o swoich przemyśleniach sprzed paru minut.

– Ostatnimi czasy przywykłem do samotności – odpowiedział. – Bałem się nawet, że stracę umiejętność rozmawiania z ludźmi.

Samotność w ogarniętym wojną Londynie była wyjątkowo dotkliwa. Wszyscy nieustannie się przemieszczali, dlatego właśnie Rowan użyczała mieszkania na Macklin Street każdemu, kto go potrzebował. Niekiedy po powrocie do domu zastawała w nim pół tuzina ludzi zajmujących łóżka, sofy, śpiących na podłodze.

– Obawiam się, że ja również nieco zaniedbałam sztukę konwersacji – odparła. – Chyba że pasjonują cię historie na temat opróżniania basenów i opatrywania ran.

– W ustach właściwej osoby niemal wszystko wydaje się interesujące, nie sądzisz? – Musnął jej odkryte ramię, pomagając nałożyć płaszcz. Przebiegła między nimi elektryzująca iskra, która tliła się jeszcze długo po tym, jak wyszli na zewnątrz.

Mimo że naloty nie zdarzały się już co noc, to na Londyn wciąż często spadały bomby. Rowan odruchowo zerknęła w niebo. Josh miał podobny odruch, zauważyła. Siąpiła lekka mżawka, przenikając wilgocią gruzy, poszarpane drogi i chodniki. Josh Makepeace zręcznie omijał przeszkody w pochmurnym opalizującym mroku. Cechy, które zwróciły jej uwagę od pierwszej chwili – swoista uważność i czujność – jakby jeszcze się wyostrzyły.

Zabrał ją do niedużej knajpki na Piccadilly. Kelner zaprowadził ich do ustronnego stolika w rogu.

– Pańskie ulubione miejsce, kapitanie Makepeace – rzekł, pozostawiając ich samych z kartami dań.

– To jedna z moich kryjówek – wyjaśnił Josh. – Często przychodzę tu coś zjeść, ilekroć jestem w Londynie. Wnętrze nie wygląda może imponująco, ale jedzenie serwują pierwszorzędne.

Miał rację. Mimo wszystko Rowan nie mogła nic przełknąć. Z zażenowaniem przesuwała rybę widelcem po talerzu, mając nadzieję, że Josh tego nie zauważy. Jednocześnie karciła się w duchu za własną głupotę i marnotrawstwo.

Dotknął jej ręki i powiedział łagodnie:

– Czy wolałabyś wyjść?

– Bardzo proszę – odparła czerwona ze wstydu.

Josh zamienił parę słów z kelnerem, po czym opuścili lokal.

– Strasznie cię przepraszam – wyrzuciła z siebie, kiedy znaleźli się na ulicy. – Jestem dziś beznadziejna.

– Nie ma najmniejszego problemu.

– Nie będę ci mieć za złe, jeśli stwierdzisz, że masz mnie dość.

– Nie mam. – Zatrzymał się i zwrócił w jej stronę. Jego czoło i kąciki kształtnych ust sugerujących zdecydowany charakter spowijał cień. – Rowan, ja naprawdę nieczęsto zaczepiam obce kobiety. Nie mówię, że jestem jakimś skromnisiem, nic z tych rzeczy, ale ostatnio nie miałem czasu na nic poza pracą. Podejrzewam, że jesteś w stanie to zrozumieć. Praca pielęgniarki z pewnością jest teraz morderczym wysiłkiem. Być może pochłania cię całkowicie. Jeżeli tak, zostawię cię w spokoju.

– Nie – zaprotestowała, chwytając go za rękaw. – Nie rób tego.

– Dobrze – zgodził się, ujmując ją pod ramię. – Kiedy cię dziś zobaczyłem w klubie, pomyślałem…

– Co takiego pomyślałeś?

– Że jesteś przepiękna. I że jesteś człowiekiem, którego warto lepiej poznać. Pójdziemy do mnie? Mam tu niedaleko mieszkanie. Dasz się zaprosić?

Po drodze opowiadał jej o swojej rodzinie. O tym, że dzieciństwo spędzał głównie za granicą: w Austrii, Italii, a później we Francji.

Było to ciekawe, wędrowne życie podyktowane pracą dyplomatyczną ojca. Pani Makepeace lubiła podróże; towarzyskie obowiązki żony ambasadora bardzo jej odpowiadały. Josh i jego dwaj starsi bracia, Peter i Ronald, mieli mnóstwo swobody. Ich matka wierzyła, że chaos sprzyja rozwojowi chłopców, w związku z tym po każdej zmianie miejsca zamieszkania trafiali do pierwszej lepszej szkoły rejonowej.

Zapytała, co obecnie robią jego bracia.

– Peter pływa na okrętach podwodnych. Ronalda poniosło gdzieś na Bliski Wschód. Bodajże do Egiptu.

– A wasi rodzice? Nadal mieszkają za granicą?

– Dzięki Bogu nie. Kupili dom w Suffolk z wystarczającym areałem, aby matka mogła realizować swoje pasje. Uwielbia pracę w ogrodzie i konie. A ty, Rowan? Masz jakąś rodzinę?

– Byłego męża, Patricka – powiedziała, korzystając ze sposobności odkrycia wszystkich kart. Stosunek do rozwodów stopniowo zmieniał się wraz ze wzrostem liczby rozbitych przez wojnę małżeństw, ale wciąż nie były one powszechnie akceptowane. Nie sądziła, by akurat Josh skreślił ją za bycie rozwódką, ale nie mogła tego przecież wiedzieć na pewno.

– Musiało ci być ciężko.

– Tak, bardzo. Kiedyś ci o tym opowiem, ale nie dziś. To zamierzchła przeszłość, którą dawno pozostawiłam za sobą.

Przemierzali labirynt wąskich uliczek za Strandem.

– Oboje moi rodzice nie żyją – podjęła Rowan. – Została mi siostra, Thea, którą kocham nad życie. Oraz dwóch przyrodnich braci, jeden służy w marynarce wojennej, drugi w RAF-ie. Prawie wcale ich nie znam. Starszego nawet nie widziałam na oczy. Dowiedziałam się o ich istnieniu dopiero kilka lat temu, na krótko przed wybuchem wojny.

Josh otworzył drzwi i wpuścił ją do środka, na klatkę schodową zagraconą rowerami i pożółkłą korespondencją. Kafle podłogowe były popękane i pokryte warstwą kurzu, a wykładzina wyścielająca schody, po których wchodzili na górę, przetarta.

Mieszkał na ostatnim piętrze.

– Mój dziadek ze strony ojca, Frederick Makepeace, był starym rozpustnikiem – rzekł po wejściu do mieszkania, kiedy Rowan zdejmowała płaszcz. – Utrzymywał kochankę w Paryżu. Albo kilka, Bóg raczy wiedzieć. Ilekroć babka zalazła mu za skórę, czyli całkiem często, uciekał do Francji. Babka nie była z tego powodu zadowolona. Podobno rzucała w niego czym popadło – sewrską porcelaną, stojącymi zegarami i tym podobnymi rzeczami. Rodzinne kroniki donoszą, że właśnie dlatego nie mamy zbyt wielu pamiątek po przodkach. Osobiście podejrzewam, że jest to nieco podkoloryzowana wersja wydarzeń i bibeloty zostały sprzedane, by pospłacać długi. Sarah Makepeace była słynną pięknością. Pozowała Johnowi Singerowi Sargentowi. Intuicja zawsze mi podpowiadała, że zemściła się w bardziej oczywisty sposób. Ojciec mój nie przypomina reszty rodzeństwa.

– Cóż to za powiew świeżości i ulga, gdy poznaje się człowieka, którego rodzina jest tak samo zdegenerowana jak moja – odparła z uśmiechem Rowan.

– Przypuszczam, że pod cienką warstewką konwenansów każda rodzina jest zdegenerowana. Usiądź, proszę, Rowan. Napijesz się czegoś?

– Tak, poproszę.

Pokój, który jej wskazał, był schludny, książki za szybami regału stały w równych szeregach; obok złożonego egzemplarza „Timesa" z rozwiązaną krzyżówką leżał długopis.

Szkielet budynku został jednak mocno uszkodzony. Ściany były popękane, a jedno z okien zasłonięte twardą płytą pilśniową.

Josh podał gościowi szklaneczkę brandy.

– Budynek oberwał podczas bombardowania dziewiętnastego maja czterdziestego pierwszego roku – wyjaśnił. – Sąsiedni całkiem wyleciał w powietrze. Gdyby bomba spadła parę metrów bliżej, z tego też niewiele by zostało.

Wypiła łyk calvadosu. Dojrzały trunek smakował bosko.

– Byłeś tu wtedy?

– Nie, na szczęście nie.

– Strasznie mi głupio z powodu tego, jak się zachowałam w restauracji. Nie do końca nad tym panuję: wydaje mi się, że

wszystko w porządku, że jestem głodna, a potem odkrywam, że jednak nie. Parę lat temu, na samym początku, bywało jeszcze gorzej. Pracowałam w szpitalu, kiedy przywieźli rannych ze zbombardowanej stacji metra. To było straszne, Josh, po prostu potworne. Od tego czasu nie mogę jeść. Przechodzi mi na jakiś czas, a potem znowu wraca w najmniej odpowiednich chwilach. To takie głupie.

– Wcale nie głupie – zaprzeczył łagodnie. – Przeżyłaś koszmar. Szok robi z ludźmi przedziwne rzeczy, widywałem to wielokrotnie. Pracujesz na pierwszej linii frontu. To trudne.

– Zrozumiem, jeśli uciekniesz gdzie pieprz rośnie przed kobietą sparaliżowaną strachem na widok porcji *plaice* à *la meunière*.

– Ach, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. – Uśmiechnął się do niej. – Przyrządzę nam domowy posiłek, ale nie czuj się w żaden sposób zobowiązana, żeby jeść, jeśli nie będziesz miała ochoty. Mama zajęła się ostatnio hodowlą świń i przysłała mi pół kilograma boczku.

Smakowity aromat roznosił się po mieszkaniu, które Rowan zwiedzała podczas przygotowania posiłku. Niespodziewanie dla samej siebie poczuła głód. Zauważyła, że część książek na półkach jest napisana w językach obcych: po francusku, niemiecku i włosku.

– Znasz wszystkie te języki? – zawołała.

Zajrzał do pokoju.

– Tak, nauczyłem się niejako mimochodem w dzieciństwie. Dzieci szybko podłapują nowe słowa, a każdy kolejny język przysparza mniej trudności.

Mieszkanie było urządzone po kawalersku. Josh najwyraźniej nie spędzał w nim zbyt wiele czasu, pomyślała. Choć na pierwszy rzut oka nie mówiło prawie nic o właścicielu, to dawało jednak pewne wskazówki.

Josh postawił na stoliku talerz pełen kanapek ze smażonym boczkiem.

– Opowiedz mi o pracy – poprosił. – Dlaczego pielęgniarstwo? Co najbardziej lubisz w tym zawodzie?

– Pacjentów. To niebywałe, że ludzie zawsze znajdują siłę na śmiech, nawet gdy jest bardzo źle. Lubię też mieć poczucie bycia

dobrą w tym, co robię. Poza tym pielęgniarki są teraz szalenie potrzebne.

– Cokolwiek robisz, rób to najlepiej, jak potrafisz – takie mam życiowe motto.

– Właśnie. Więc równie dobrze może to być coś pożytecznego. Nie jest łatwo. Na początku popełniałam błąd za błędem.

Uniósł butelkę i napełnił szklanki.

– Powiedz mi, czego się boisz.

– Skąd wiesz, że czegokolwiek się boję?

– Każdy czegoś się boi, choćby udawał, że jest inaczej.

Położył wyciągniętą rękę na oparciu sofy. Rowan była dotkliwie świadoma jego bliskości. Dzieliły ich od siebie centymetry. Gdyby się nachyliła, mógłby ją pocałować. Miał oczy w niezwykłym zielonobrązowym kolorze, teraz widziała je wyraźnie, były niemal jak odlane z brązu, ze złotymi refleksami.

– Ja na przykład – mówił – nie znoszę zamkniętych przestrzeni. Nie nadaję się na czołgistę.

Czego się bała?

– W przeszłości bałam się, że wszystko się rozpadnie – zaczęła z namysłem. – I że nigdy nie odkryję, co powinnam zrobić ze swoim życiem. Ale teraz… Jestem nieobliczalna, kiedy się nudzę, Josh. Może właśnie tego boję się najbardziej – nudy. Zaczynałam tę pracę z mocnym postanowieniem udowodnienia sobie samej, że potrafię w czymś wytrwać. Później ją pokochałam. Tak czy inaczej, odejście byłoby strasznie przewidywalnym posunięciem. Pielęgniarki ustawicznie się odgrażają, że lada chwila złożą wypowiedzenie – mówiła dalej. Była już dyplomowaną pielęgniarką. Zdała egzamin ubiegłej jesieni.

– Trzeba przeć naprzód.

– Otóż to. – Nagle odkryła, że zjadła całą kanapkę, prawie tego nie zauważając.

– Pomaganie ludziom na pewno daje mnóstwo satysfakcji.

– Bardzo często. Chociaż nie zawsze możemy pomóc tak, jak byśmy chcieli. Opatrujemy rany i odsyłamy pacjentów w dalszą drogę. Pozostają później zdani tylko na siebie. Na zawsze oszpecone bliznami dziewczęta i chłopcy, którzy do końca życia będą chodzić

o kulach lub jeździć na wózkach inwalidzkich. Nie mamy czasu koić ludzkiej rozpaczy. Sprzątamy najgorszy bałagan. Na tyle, na ile jesteśmy w stanie. A potem każdy mierzy się sam ze swoją stratą. To nie w porządku.

– Robisz tyle, ile możesz. Jak my wszyscy. – Roześmiał się gorzko. – Mógłbym sobie darować swoje oklepane mądrości. Albo pisać moralizatorskie felietony w kościelnej gazetce. – Sięgnął po jedną ze stojących na półce fotografii. Przedstawiała jasną piaszczystą plażę i wysokie skały nad zatoką.

– Jako siedemnastolatek postanowiłem pójść na Kretę – powiedział.

– Czy to wykonalne?

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie do końca.

– Ile czasu szedłeś?

– Prawie sześć miesięcy. Stwierdziłem, że mam dość nauki, i rzuciłem szkołę. Uprzedziłem dyrekcję, wszystko odbyło się legalnie – opowiadał z roziskrzonym wzrokiem. – Oczywiście nie obyło się bez całej irytującej przeprawy, możesz sobie wyobrazić. Matka była wściekła. Ronald rozwinął skrzydła w wojsku, Peter został finansistą, obaj robili coś sensownego, a ja postanowiłem zostać bezdomnym europejskim włóczęgą. Wysłała za mną Petera, żeby spróbował przemówić mi do rozsądku i nakłonić mnie do powrotu.

– Poniósł klęskę.

– Na całej linii. Byłem uparty jak osioł. Ostatecznie dopiąłem swego, choć zahaczyłem o zakamarki piekieł. Po dwóch tygodniach wędrówki byłem bliski kapitulacji – w jakimś prowincjonalnym francuskim miasteczku zwaliło mnie z nóg zatrucie pokarmowe. Pomyślałem wtedy o ukochanej rodzince i ich: a nie mówiliśmy? To dało mi siłę, żeby iść dalej. Imałem się po drodze rozmaitych zajęć, ale i tak kilka razy skończyły mi się pieniądze. Nie piłem przez dwa dni, co było koszmarnym doświadczeniem i niewiarygodnie głupim pomysłem. Ale najtrudniejszy sprawdzian przyszedł wtedy, gdy złamałem rękę na jakimś odludziu i dopiero po paru dniach trafiłem do medyka, który mi ją nastawił. Mimo wszystko nie oddałbym tych przeżyć za nic w świecie. Otworzyły mi oczy na wiele spraw. Zawsze

i wszędzie, nawet w miejscach dotkniętych największą biedą, znalazł się ktoś, kto podzielił się ze mną posiłkiem i udostępnił miejsce do spania. To pokazuje, że większość ludzi okazuje dobroć, kiedy ma taką możliwość.

Rowan wyobraziła sobie upartego siedemnastolatka przemierzającego zakątki Europy, w których panowały dawne zwyczaje, a ludzie mówili wymierającymi językami.

– Co tobą kierowało? Chęć sprawdzenia własnych możliwości?

– Trafiłaś w samo sedno. Chciałem się sprawdzić. A także poznać kawałek świata.

– Co wspominasz z największym sentymentem?

– Krajobrazy, ludzi… – Odstawił zdjęcie na półkę. – Kiedy wreszcie dotarłem na Kretę, znalazłem tę odludną małą plażę, rozebrałem się do naga i wszedłem do wody. Boże, jakie to było cudowne uczucie. – Popatrzył na nią śmiejącymi się oczami. – Rękę ciągle miałem na temblaku.

– Wyobrażam sobie ciebie wchodzącego do Morza Śródziemnego w samym temblaku.

– Tak, to był niezły widok – przyznał. – Byłem czarny od brudu i miałem ogniście rudą długą brodę. Tak czy inaczej, po powrocie do Londynu poszedłem na kurs przygotowawczy, a potem zdałem egzaminy na studia. Rodzina uznała, że się ustatkowałem. Osobiście nie jestem pewien, czy to możliwe.

Mówił to, delikatnie masując kark Rowan. Poczuła znajomy dreszcz.

– Wiesz co, Josh? – rzuciła wesoło. – Nie jesteś takim złym rozmówcą.

– Cieszę się, że tak myślisz – powiedział.

A potem ją pocałował. Dotyk jego warg przeniknął ją na wskroś, budząc dawne pragnienia i tęsknoty.

Czyjeś pięści zadudniły w drzwi wejściowe.

– Kapitanie Makepeace! Panie kapitanie!

– Niech to szlag – mruknął Josh.

– Kto to?

– Sąsiad. Pan Lyons. Nie doszedł do siebie po wybuchu. – Przesunął opuszkami palców po jej policzku. – Wybacz, Rowan. Muszę się tym zająć.

Wstała.

– Powinnam już iść.

– Koniecznie? – Zmarszczył czoło.

Kolejna seria uderzeń w drzwi.

– Kapitanie Makepeace, nigdzie nie ma Poppy!

– Josh, powinieneś otworzyć drzwi.

Podczas gdy Josh rozmawiał z sąsiadem, Rowan szukała swojej torebki. Trzeba zachować rozsądek, mówiła sobie. Poznała tego mężczyznę ledwie kilka godzin temu. Ona też miała skłonność do nadmiernego ulegania impulsom, za co wielokrotnie w przeszłości płaciła dość wysoką cenę.

Pan Lyons brzmiał jak człowiek ogarnięty paniką. Poppy, jak wywnioskowała Rowan z rozmowy prowadzonej w korytarzu, podczas gdy sama pudrowała nos, była kotem. Po chwili usłyszała kroki na schodach, a po nich głośne miauknięcie protestującego zwierzęcia.

– Już w porządku, panie Lyons. Mam ją – zakomunikował wkrótce Josh.

Sąsiad wylewnie podziękował. Josh powrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Biedaczysko. Nieznośne kocisko nigdy nie odchodzi daleko, ale on za każdym razem wpada w panikę. Nie zmienisz zdania, Rowan?

– Doprawdy na mnie już czas. Zrobiło się bardzo późno.

– Oczywiście. – Podał jej płaszcz. – Jutro muszę wyjechać, ale mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– Bardzo bym tego chciała.

Pomógł jej nałożyć okrycie. Odnalazła rękaw, wdychając słonawy, cytrusowy zapach jego skóry. Wszelkie obawy wydały się nagle absurdalne i małostkowe. Chciała go jeszcze zobaczyć, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, na cóż więc miała czekać? Josh Makepeace był lingwistą biegłym w kilku europejskich językach. Mężczyzną wysportowanym, otwartym na przygody, aura tajemnicy zaś otaczająca jego zawód, w połączeniu z kwalifikacjami, kazała przypuszczać, że ma coś wspólnego z wywiadem. Jeżeli dobrze odgadła, należało się liczyć z tym, że wyjeżdża na niebezpieczne misje zagraniczne. Okazja do kolejnego spotkania mogła nigdy nie

nadejść. Dlaczego, na litość boską, miałaby zwlekać kierowana fałszywą skromnością? Tylko po to, by później żałować? Znowu?

Nigdy nie była pewna, jak to się stało. Otarła się o niego, nakładając płaszcz. I nagle padli sobie w ramiona. Całowali się dziko, namiętnie, pożądliwie. On zerwał z niej płaszcz i przyciągał ją do siebie, gładząc opuszkami palców jej plecy, kiedy rozpinał suwak pomarańczowej jedwabnej sukienki.

Tak zaczął się romans, który miał odmienić życie Rowan. Obudzili się o piątej nad ranem i kochali się jeszcze raz, powoli, intensywnie. Później rozmawiali, przytuleni do siebie nawzajem. Z uszkodzonego sufitu wystawały elementy konstrukcji stropu. Przez szpary widać było rozgwieżdżone niebo.

Opowiedziała mu swoją historię.

– Oboje z Patrickiem myśleliśmy, że to miłość, tymczasem żadne z nas nie miało pojęcia, czym jest prawdziwe uczucie. Byłam bardzo młoda. Można pomyśleć, że w wieku dwudziestu jeden lat człowiek zna już trochę życie, ale to nieprawda. Patrick jest dobrym człowiekiem, ale po prostu do siebie nie pasowaliśmy, unieszczęśliwialiśmy się nawzajem. – Pół roku temu spotkała go przypadkiem. Służy w marynarce. Colin Slater, serdeczny przyjaciel ze szkolnej ławy, trafił do niewoli po upadku Singapuru. Patrick był chory z niepokoju o niego.

Opowiadała o Simonie, o europejskiej wyprawie z Christopherem Page'em, o Lucianie i wypadku, tym bolesnym incydencie, który sama na siebie ściągnęła. Mówiła o podróży z mamą do Szwecji, kiedy była mała, i o strzępkach wspomnień dużego jasnego domu na wsi oraz dziadków, cichych i życzliwych ludzi. Nabrała przekonania, że Josh Makepeace jest osobą, której może powiedzieć wszystko. Że podobnie myślą i czują, a także dzielą lęk przed życiem przeżytym na pół gwizdka.

Czy kiedykolwiek był żonaty lub zaręczony? – zapytała. Była pewna dziewczyna, odpowiedział. Planowali wspólną przyszłość, ale

w końcu wszystko się rozmyło i każde poszło w swoją stronę. Ona pragnęła domu, dzieci.

– Zarzuciła mi, że jestem niepoważny – dodał cierpko, paląc już drugiego papierosa. – I miała rację. Chociaż od tamtego czasu spoważniałem.

Znowu zapadli w sen i obudzili się dopiero parę godzin później. Po śniadaniu, które dla niej przygotował, odprowadził ją do mieszkania w Covent Garden. Przywarli do siebie w pożegnalnym pocałunku. Nie chcieli wypuścić jedno drugiego. A później Rowan odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie wtopił się całkiem w tłum przechodniów.

Czas mijał. Wypracowali pewną rutynę. Telefoniczna rozmowa albo liścik podrzucony do mieszkania poprzedzały spotkanie w biegu. Godzina w zacisznej knajpce albo kilka ukradzionych chwil spaceru zrujnowanymi ulicami Londynu. Następnie pustka, tęsknota i strach o niego. Pewnego razu tańczyła z Daveyem Manninghamem w klubie Signorelli, kiedy ten uśmiechnął się półgębkiem i wypuścił ją z ramion, skąd wpadła prosto w objęcia Josha, którego nie widziała od miesięcy. Muzycy zagrali po raz kolejny *I've Got You Under My Skin*. Przytuliła policzek do twarzy Josha, wdychając jego zapach. Pachniał świeżym powietrzem. Był wychudzony i wymizerowany. Całowali się na środku parkietu, otoczeni tancerzami.

Chmury przemykały po ciemnym nieboskłonie, a porywisty wiatr poruszał niedopałkami papierosów w rynsztoku, kiedy Thea opuszczała dworzec w Salisbury. Hotel, w którym się umówiła z Cormakiem na kolację, był po drugiej stronie ulicy. Boy hotelowy powiódł ją krętym korytarzem koloru błota do restauracji. Większość stolików w wielkiej, wysoko sklepionej sali była już zajęta; powiodła po nich wzrokiem, szukając Cormaca.

– Starszy szeregowy Jamieson zarezerwował stolik na dwie osoby – powiedziała kelnerowi, który do niej podszedł.

Mężczyzna zajrzał do książki rezerwacji.

– Czy już przyszedł?

– Nic mi o tym nie wiadomo, proszę pani.

Zaprowadził ją do stolika przy oknie, wysunął krzesło, wręczył kartę dań. Otworzyła menu i udała, że je czyta, podczas gdy tak naprawdę obserwowała wejście. Minęła ósma. Umawiali się na siódmą trzydzieści.

Cormac od dwóch miesięcy mieszkał w koszarach w Bulford, brał udział w manewrach na Równinie Salisbury. Chociaż pod względem geograficznym nigdy nie byli bliżej siebie, to ich spotkania rzadko przebiegały zgodnie z planem. Pociągi się spóźniały albo nie przyjeżdżały wcale, przepustki obojga bywały odwoływane w ostatniej chwili. Cóż za ironia losu, myślała Thea. Gdyby została w Whiteridge House, widywaliby się teraz znacznie częściej.

Kelner powrócił do jej stolika i zaproponował aperitif. Podziękowała mu jednak.

Zaczynała mieć dość tych napuszonych miejsc, które kurczowo trzymały się przedwojennych konwenansów pomimo niedoboru personelu i żywności. Wiedziała, że Cormac też za nimi nie przepada. Spotykali się w nich, ponieważ zawsze można było liczyć na jakiś hotel lub gospodę przy dworcu albo przynajmniej na bufet ze słodkimi bułeczkami bez masła i z jedną wspólną łyżeczką przytwierdzoną do kontuaru – w każdej niemalże, choćby najpodlejszej i najmniejszej mieścinie.

Thea napiła się wody. Serce podskoczyło jej do góry na widok munduru w otwartych drzwiach. Ale to nie był on. Przeczytała menu. Pieczone kotlety cielęce, grillowana ryba, kurczak i szynka na zimno. Weszła jakaś para – kobieta w płaszczu obszytym futrem i małym zielonym kapelusiku z mężczyzną w marynarskim mundurze. Thea zastanawiała się, czy oni też zdążyli tak dobrze poznać stacje kolejowe wzdłuż i wszerz kraju, gwarne londyńskie rozjazdy i prowincjonalne dworce z drewnianymi dachami i wypielęgnowanymi rabatami kwiatowymi. Niepozorne stacyjki wśród mokradeł, trzęsawisk i bezdrzewnych wyżyn, na których pociągi zatrzymywały się dwa razy dziennie, gdzie nie spotykało się żywej duszy.

Ósma trzydzieści. Kiedyś umierałaby ze wstydu, czekając na mężczyznę w restauracji. Czułaby się potwornie niezręcznie, spojrzenia innych gości ciążyłyby jak ołów. Wyjęłaby książkę,

próbując zagłuszyć nerwy i wątpliwości czytaniem, chociaż nie byłoby mowy o skupieniu. Te czasy dawno jednak minęły. Dzisiaj czuła tylko dojmującą tęsknotę za Cormakiem. Nie zwątpiła w niego ani przez chwilę. Znała go. Właściwie od chwili, gdy uklękła obok niego na poboczu wiejskiej drogi we Francji i zakochała się w jego twarzy. Pamiętała, że dawno temu – jakby w innej epoce – marzyła o tym, by jakiś mężczyzna wzbudził w niej silne uczucia. Nie zdawała sobie wówczas sprawy, jakie to może być bolesne. Wieczory takie jak ten przynosiły dojmujące poczucie osamotnienia.

Przez nieszczelne okno powiało chłodem. Wiatr przybierał na sile, poruszając czarnymi roletami, które uderzały o szyby. Stary zmęczony kelner powrócił z kolejnym pytaniem.

– Może życzy sobie pani zupę, madame?

Niezależnie od tego, czy Cormac zdoła dziś do niej dotrzeć, będzie musiała wrócić na noc do Londynu. Miała przy sobie tylko kilka szylingów i nie jadła od południa, doskwierał jej głód. Zerknęła do karty. Mogła sobie pozwolić na gęsty krem z warzyw za sześć pensów. Złożyła zamówienie i podziękowała kelnerowi. Towarzystwo z drugiego końca sali piszczało ze śmiechu i domagało się kolejnych piw. W rogu siedziała jeszcze jedna samotna dziewczyna w mundurze żeńskiej służby pomocniczej Royal Air Force. Popatrzyły sobie w oczy, lekko się uśmiechając.

Minęła dziewiąta. Thea postanowiła zapytać w recepcji, czy nie zostawiono dla niej wiadomości. Przeszła do holu, pozostawiwszy na stoliku książkę i czapkę. Ustawiła się na końcu kolejki przy kontuarze. Na jednym ze skórzanych foteli popijał drinka wąsaty lotnik w niedbale rozpiętym przy szyi mundurze Royal Air Force. Thea czuła na sobie jego taksujące spojrzenie.

Recepcjonistka poinformowała, że nie ma dla niej żadnej wiadomości.

– Wystawił cię do wiatru – skomentował oficer lotnictwa, kiedy go mijała. – Chodź tu, mała, ja ci postawię drinka.

– Nie, dziękuję – odmówiła grzecznie.

Weszła do damskiej toalety, gdzie umyła ręce i poprawiła włosy. Jeżeli poczeka jeszcze chwilę, być może po powrocie zastanie

Cormaca przy stoliku. Bywało już tak, że czekała i czekała, a kiedy już niemal całkiem traciła nadzieję, nagle się zjawiał.

Tym razem go jednak nie było. Zjadła swoją zupę. Przyszedł tylko chłopak lotniczki, rudowłosy amerykański żołnierz. Angielskie wioski i miasteczka przyjmowały coraz więcej Amerykanów, którzy trenowali manewry wojskowe na brytyjskich plażach i wzgórzach. Oddziały amerykańskie znacząco zasiliły szeregi sił zbrojnych Wielkiej Brytanii. Wszyscy przygotowywali się do nadchodzącej walki o wyzwolenie Europy. Pewnego dnia, kiedyś.

Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku druga bitwa pod El Alamein zakończyła serię porażek aliantów. Wreszcie zaczęli zwyciężać, najpierw w Afryce Północnej, później we Włoszech, gdzie po zaciekłych potyczkach zbrojnych zdołali umocnić swoją pozycję. Do lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku Rosja odzyskała Stalingrad, a następnie kolejne okupowane miasta. Zwycięstwo nie było już odległym marzeniem, lecz realną kuszącą możliwością.

Goście stopniowo opuszczali restaurację. Wskazówki zegara nieubłaganie przesuwały się w kierunku wpół do dziesiątej. Ostatni pociąg miał odjechać o dziesiątej dziesięć. Thea poczuła dotkliwe szarpnięcie tęsknoty i rozczarowania. Żyła tymi spotkaniami i cierpiała za każdym razem, gdy nie dochodziły do skutku. Po raz kolejny udała zaabsorbowaną czytaniem karty dań. Inaczej to sobie wyobrażała. Nie przypuszczała, że miłość przyniesie jej tyle zawodów i wpędzi ją w taką desperację.

Kelner zapytał, czy życzy sobie zamówić danie główne, i dodał, że niebawem zamykają kuchnię. Poprosiła o rachunek. Zapłaciła sześć pensów za zupę i zostawiła trochę drobnych dla kelnera, po czym ruszyła do szatni po swoje okrycie. Ludzie nakładali płaszcze, regulowali rachunki, pytali o taksówki i autobusy. W chwili, gdy wsuwała ramię w rękaw, drzwi wejściowe się otworzyły i stanął w nich Cormac.

Serce podskoczyło jej z radości. Padli sobie w objęcia.

– Jakie szczęście, że zdążyłem cię jeszcze złapać – powiedział. – Dostałaś moją wiadomość?

Pokręciła głową.

– Nie. Nic.

– Niech ich diabli porwą. Telefonowałem. Odwołali mi pociąg. Musiałem łapać okazję, ktoś mnie podwiózł na motorze.

Wyszli na zewnątrz. Cormac obejmował Theę ramieniem w pasie.

– Bałam się, że wcale nie przyjedziesz.

Stali w ciemności na chodniku przed hotelem. Przyłożył dłonie do jej policzków. Pocałowali się.

– Nigdy tak nie myśl – wyszeptał. – Zawsze cię znajdę, prędzej czy później. Zawsze możesz na mnie liczyć, gdziekolwiek jesteś. Nigdy cię nie zawiodę. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Bardzo.

Zimny wiatr poruszał liśćmi w rynsztoku. Thea zamknęła oczy do pocałunku.

Stuart stanął na progu bez zapowiedzi, ku olbrzymiej radości Sophie, która właśnie serwowała lokatorom kolację złożoną z zapiekanki warzywnej i oszukanej tarty morelowej. Zamiast moreli dodała do ciasta marchwi i ziemniaków, ale alternatywą był budyń mleczno-kartoflany, a do tego poziomu nie była jeszcze gotowa się zniżyć. Syn zgłosił się do pomocy w wydawaniu posiłków. Vera zaproponowała, że sama się wszystkim zajmie, żeby mógł spokojnie porozmawiać z matką, on jednak nalegał.

Stał przy zlewie i zmywał naczynia, kiedy Sophie wróciła do kuchni po podaniu lokatorom herbaty. Zauważyła, że jest czymś zdenerwowany.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać, mamo – oznajmił i Vera, która właśnie miała zamiar wejść, odwróciła się na pięcie, po cichu zamykając drzwi.

Sophie sięgnęła po ścierkę.

– Śmiało.

Wyglądał, jakby zbierał się w sobie przed oczekiwanym ciosem.

– Ożeniłem się, mamo.

Cudem nie upuściła na podłogę szklanki, którą wycierała. Popatrzyła na syna w osłupieniu.

– Jak to ożeniłeś się? Chcesz powiedzieć, że jesteś zaręczony?

– Nie, mamo. Ruby i ja pobraliśmy się w niedzielę.

Jaka znowu Ruby, na miłość boską? Nie znała żadnej Ruby. Nigdy o niej nawet nie słyszała. Ostrożnie odstawiła szklankę.

– Przyszedłem od razu, żeby ci powiedzieć osobiście – dodał szybko.

– Ożeniłeś się – powtórzyła.

– Mamo, ja ją kocham. Jest taka piękna i wspaniała. Kocham ją strasznie. Wzięliśmy ślub w Liverpoolu, bo tam mieszka. Byliśmy tylko we dwoje. Świadków wzięliśmy z ulicy.

– Ależ dlaczego? – zawołała. – Po co ten pośpiech? I czemu mnie nie uprzedziłeś? – Jak to się mogło stać? Jakaś chciwa harpia wbiła szpony w jej Stuarta? Pod wpływem szoku wybuchła w niej furia. Stuart jest żonaty!

Spuścił wzrok na mydliny.

– Rzecz w tym, że Ruby spodziewa się dziecka.

Sophie usiadła.

– Och, synu – jęknęła.

– Nie cieszysz się z wnuka? – rzucił gniewnie. – Nie posiadałaś się z radości, kiedy dowiedziałaś się o Rosalind.

To zupełnie inna sytuacja, chciała powiedzieć, lecz w porę ugryzła się w język. Zdawała sobie sprawę, że może go stracić na zawsze, jeżeli powie teraz coś niewłaściwego. W swoim własnym mniemaniu Stuart kochał tę jakąś Ruby.

Sophie uczyniła więc nadludzki wysiłek.

– Naturalnie, że się cieszę. Przepadam za dziećmi i nie mogę się doczekać kolejnego wnuka. Naprawdę, Stuarcie. Po prostu mnie zaskoczyłeś. Muszę ochłonąć.

– Zrobić herbaty? – zapytał, wyciągając ze zlewu ociekające mydlinami ręce.

– Tak, jeśli możesz.

Napełnił czajnik wodą i postawił na kuchence. Sophie obserwowała swojego syna, który miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Odziedziczył po niej usposobienie, złote włosy i niebieskie oczy. Zawsze łączyła ich szczególna więź. Niekiedy wyobrażała sobie jego

przyszłą żonę. Dziewczynę podobną do niej, z którą będzie mogła się zaprzyjaźnić. Miała ochotę zapłakać.

– Kiedy dziecko ma się urodzić? – zapytała.

– W marcu.

Zrobiła w myślach szybkie obliczenia. A więc – pomyślała – ta dziewczyna, żona Stuarta, jest w trzecim miesiącu ciąży.

– Czy Duncan wie?

– Powiedziałem mu przez telefon. Kazał mi przyjść do ciebie osobiście.

Czyli przynajmniej jeden z jej synów miał trochę rozsądku. Stuart zaparzył herbatę i postawił przed nią kubek z gorącym napojem. Dużo się nauczył, odkąd wstąpił do marynarki wojennej. To oczywiste, że nie był już małym synkiem, lecz dorosłym mężczyzną wykonującym trudną, niebezpieczną pracę. Mimo wszystko… Przypomniała sobie, jak w święta próbował zapuścić marynarską brodę, ale zdołał wyhodować tylko kilka cienkich włosków na krzyż, czym wzbudził bezlitosną wesołość starszego brata. I wciąż nie całkiem uporał się z młodzieńczym trądzikiem.

Otworzył drzwi do ogrodu, by wpuścić do kuchni świeże, pachnące latem powietrze. Oparł się o ościeżnicę i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Sophie nie mogła odpędzić od siebie myśli, że zmarnował sobie życie.

– Jak długo znasz Ruby?

– Pół roku. – Wrzucił wypaloną zapałkę do doniczki. – Poznaliśmy się pół roku temu, ale spędziliśmy razem tylko dziewięć dni – powiedział niemal z dumą.

– Ile ma lat?

– Dziewiętnaście.

Dziewiętnaście!

– A co na to jej rodzice? Zakładam, że ma jakąś rodzinę?

– Ojciec pływa na statkach handlowych. Matka wyrzuciła ją z domu. Ruby nocuje teraz u siostry na kanapie.

Wiedziała, co należało powiedzieć i czego oczekiwał Stuart – biedna dziewczyna – nie mogła się jednak zdobyć na żadne współczucie. Zamiast niego czuła silną antypatię.

Na rozmarzonej twarzy chłopaka odmalowała się czułość.

– Od pierwszej chwili wiedziałem, że to ta jedyna. Ty też ją pokochasz. Zobaczysz, mamo, gwarantuję ci to.

– Tak, na pewno. – Przynajmniej tyle zdołała z siebie wydusić.

– Jeden pokój stoi pusty, prawda? – zagadnął ze skrępowaniem, wyraźnie zdenerwowany.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

– Bo chodzi o to, że – dodał szybko – Ruby nie bardzo ma gdzie się podziać. Nie może wrócić do domu. Pomyślałem więc, że mogłabyś ją przygarnąć u siebie.

Dobry Boże, on oczekiwał, że umieści tę dziewczynę w… Sophie odchrząknęła.

– Drzwi tego domu zawsze będą otwarte dla twojej żony, Stuarcie. – Słowo „żona" prawie stanęło jej w gardle, wydawało się dziwne i nie na miejscu.

Syn uśmiechnął się do niej po raz pierwszy od początku wizyty.

– To od razu po nią pójdę, dobrze?

– Jak to? – zapytała zdezorientowana.

– Czeka w pobliskim pensjonacie. – Wybiegł głównymi drzwiami.

Sophie stworzyła w wyobraźni wizerunek przebiegłej gąski w wyzywającym stroju, triumfującej z powodu usidlenia Stuarta, tymczasem Ruby okazała się zupełnie inna. Wyglądała na mniej niż dziewiętnaście lat, była drobna i bardzo szczupła, o dziecinnej, promiennej buzi nietkniętej pudrem ani szminką. Miała na sobie wiśniową sukienkę z białym kołnierzykiem i mankietami, która na niej wisiała, na głowie brązowy filcowy beret, najlepszy, jaki miała, zgadywała Sophie, nałożony specjalnie na spotkanie z teściową. Gładkie ciemne włosy dziewczyny wywijały się na końcach. Przypominała Olive Oyl z kreskówki o Popeye'u.

– Okropnie miło panią poznać, pani Craxton, ale chyba mi niedobrze – brzmiały jej pierwsze słowa skierowane do matki męża.

Stuart czym prędzej pogonił z nią do łazienki na parterze, z której po chwili dobiegły straszliwe odgłosy torsji.

– Wymiotuje prawie cały czas, mamo – powiedział, wróciwszy sam do kuchni.

– Biedactwo. – Tym razem nie miała najmniejszego problemu z okazaniem szczerego współczucia. – Niestety niektóre kobiety tak reagują. Nastaw wodę, dobrze?

Ruby wyłoniła się z toalety blada, ale uśmiechnięta.

– Okropnie przepraszam, pani Craxton.

– Nie masz za co przepraszać. Zaraz znajdę jakieś krakersy, powinny pomóc. Usiądź sobie w ogrodzie. Na świeżym powietrzu od razu poczujesz się lepiej.

Wyszła z dziewczyną przed dom i rozłożyła leżaki, podczas gdy Stuart zajął się przygotowaniem herbaty i przekąsek. Ruby spacerowała po ogrodzie.

– Jaki kapitalny stoliczek! – wydawała pełne zachwytu okrzyki. – O kurczę, jaki śliczny ogródek! Pani Craxton, tu rosną prawdziwe maliny!

– Sophie. Mów mi po imieniu. Usiądź, dziecko. Na pewno jesteś zmęczona po podróży.

Dziewczyna opadła na rozkładane krzesło.

– Już myślałam, że nie doczekam końca. Co chwilę latałam do wychodka. Jakiś przemiły pan ustąpił mi miejsca. Prawda, że to okropnie wspaniałomyślny gest z jego strony?

Stuart przyniósł herbatę i przekąski. Ruby natychmiast porwała jednego krakersa.

– Nie mogę niczego utrzymać w żołądku na dłużej – powiedziała, pogryzając ostrożnie. – Jak to dziecko ma urosnąć?

Pod fałdami wiśniowej sukienki nie było żadnego dostrzegalnego śladu ciążowego brzuszka. Stuart usiadł obok Ruby. Wzięli się za ręce.

– Bardzo dziękuję, że pozwoliłaś mi zamieszkać w swoim domu – rzekła Ruby. – Nie będę sprawiać kłopotu, obiecuję. Wiem od Stuarta, że masz lokatorów. Pomogę w pracach domowych i gotowaniu. Jestem w tym naprawdę niezła. – Utkwiła w Sophie załzawione spojrzenie ciemnobrązowych oczu.

Stuart przytulił żonę.

– Wszystko dobrze – wyszeptał. – Wszystko będzie dobrze. Prawda, mamo?

Sophie, nieoczekiwanie dla siebie samej, poklepała pocieszająco drobną kościstą dłoń synowej.

– Oczywiście. Wszystko się ułoży.

Ruby przestała płakać. Sophie była wzruszona tym, że młodzi tak bardzo dbają o siebie nawzajem. Szybko zapomniała o wymyślonej dziewczynie, którą sobie wymarzyła dla młodszego syna.

Ta prawdziwa rozpromieniała się, ilekroć Stuart wchodził do pokoju. On zaś bardzo się o nią troszczył. Podawał herbatę i podsuwał jej poduszki pod plecy, żeby miała wygodnie. Trzymali się za ręce i obejmowali przy każdej okazji. Lubił brać żonę na kolana, gdzie siedziała skulona, z głową na jego ramieniu.

Pasowali do siebie, to było widać. Chłopak nabrał pewności siebie przy żonie. Zawsze był wrażliwy i troskliwy. Zajmowanie się Ruby najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. Może nie była klasyczną pięknością, lecz nie można jej było odmówić swoistego czaru. Emanowała ciepłem i entuzjazmem, zdolnymi skruszyć niemal każde serce. Poza tym, myślała Sophie, nie mam prawa oceniać decyzji, które podejmują z miłości inni ludzie. Wszak sama wyszła za mąż dość pochopnie.

Kiedy Stuart powrócił na statek, Sophie zabrała Ruby do przychodni, gdzie młoda kobieta została zważona, zmierzona i pouczona o konieczności zażywania tranu i picia dużych ilości soku pomarańczowego – oraz do lekarza, który okazał się zgoła bezużyteczny ze swoimi zaleceniami w sprawie prostych posiłków i słabej herbaty, które dziewczyna po chwili zwracała. Sophie pilnowała, by Ruby jadła cokolwiek, co nie budziło jej oporów, możliwie najszybciej po wymiotach. Miała nadzieję, że w ten sposób jakaś część jedzenia zostanie strawiona. Synowa dobrze reagowała na te zabiegi, po pewnym czasie torsje przestały być tak gwałtowne, a brzuch – chociaż nadal nieduży – wyraźnie urósł.

Dom zmienił się dzięki obecności dziewczyny. Jej wdzięczność za to, że Sophie wzięła ją pod swoje skrzydła, a także zachwyt zarówno domem, jak i ogrodem, nie miały końca. Była radosnym wulkanem energii. Lubiła pomagać w obowiązkach domowych, chociaż Sophie błagała, żeby więcej czasu przeznaczała na odpoczynek. Po pewnym czasie zorientowała się jednak, że Ruby naprawdę woli być zajęta. Jako druga z siedmiorga rodzeństwa przywykła do pracy w domu, wykonywała ją sprawnie i kompetentnie. Błyskawicznie przecierała podłogi, po czym przysiadała na piętach, by podziwiać efekty.

– Proszę, jak się błyszczy – mówiła. Obierała ziemniaki i skrobała marchewki w ekspresowym tempie, po mistrzowsku ugniatała drobnymi dłońmi ciasto. Po kilku tygodniach Sophie nie mogła już sobie wyobrazić domu bez niej.

Wyczuwała pewną twardość w tej na pozór kruchej dziewczynie. Życiową siłę będącą konsekwencją pokonywania od wczesnego wieku trudności.

– Moja mama się po prostu poddała – zwierzyła się pewnego dnia Ruby, kiedy opróżniały wspólnie spiżarnię. – Siedmioro dzieci w dziesięć lat. Trudno mieć pretensje – mówiła, zapamiętale polerując słoik z kiszonką. – Przychodziłyśmy z siostrą do domu, a ona leżała w łóżku, nie zwracając uwagi na zapłakanego Franka. Zaczęłyśmy chodzić do szkoły na zmianę, bo ktoś musiał zająć się dzieckiem. Nie popełnię tego samego błędu, co ona. Poprzestanę na dwójce dzieci. Stuart się zgadza. I będziemy mieć wygodny dom z ogródkiem. I kota, i psa. Będziemy normalną rodziną.

Rozdział siedemnasty

Październik 1943–marzec 1944

Thea wybrała się w październiku do Northumberland, aby poznać rodzinę Cormaca. Wyszedł po nią na stację w Hexham. Tam wsiedli już razem do innego, mniejszego pociągu jadącego do miasteczka. Za oknami przewijały się wzgórza, fioletowe od wrzosów i rdzawe od paproci, ze szczytami zatopionymi w chmurach. Wysiedli na maleńkim postoju przy bocznicy, gdzie zaczekali na autobus, który zawiózł ich do Lawton. Z Lawton poszli już pieszo wąską ścieżką, trzymając się za ręce, wśród stromych wzgórz i ciemnozielonych dolin.

Droga zaprowadziła ich do dużego kamiennego domu oddalonego od drogi. Elewację porastały pędy dzikiego wina, częściowo zachodzące na okna. Cyprysy i bukszpany po obu stronach budynku rzucały cienie na trawnik, na którym było więcej ostów i krostawców niż trawy. Dziedziniec i żwirowy podjazd obfitowały w żółte kałuże, z boku leżała sterta butelek i zardzewiałych puszek. Na kamiennej tabliczce przytwierdzonej do zardzewiałej bramy z kutego żelaza widniał wygrawerowany napis: Langhill House.

– To dom Greville'ów – wyjaśnił Cormac. Opowiadał wcześniej Thei o tej rodzinie, do której należała większość gruntów wokół Crawburn, łącznie z tymi dzierżawionymi przez jego wujostwo.

Za Langhill droga stopniowo zanikała, ustępując miejsca pooranemu koleinami szlakowi, który wiódł pod górę. Za zakrętem ujrzeli nadjeżdżający z naprzeciwka rower. Koła podskakiwały z klekotem na wybojach, a wraz z nimi ciemne loki rowerzystki.

– Moja siostra – powiedział Cormac. – Nicola! – zawołał i pomachał do niej.

Nicola Jamieson zatrzymała się z piskiem hamulców i zeskoczyła z siodełka. Parę centymetrów wyższa od Thei, o szczupłej wysportowanej sylwetce i takiej samej atrakcyjnej powierzchowności jak brat. Miała jaśniejsze i bardziej zielone oczy niż Cormac. Jasnoakwamarynowe, kontrastujące z opalenizną.

– Ty pewnie jesteś Thea – zagadnęła Nicola. – Cormac wszystko nam o tobie opowiedział. – Przewróciła oczami, szczerząc zęby w uśmiechu. – Naprawdę wszystko. Obszernie i szczegółowo.

– Zamknij się – rzekł Cormac nader uprzejmym tonem.

Siostra rzuciła mu kpiące spojrzenie.

– Spodziewałam się Mony Lisy skrzyżowanej z Marią Curie. Kobiety równie pięknej, jak mądrej.

– Ignoruj ją, Theo. Co słychać?

– W porządku. Tata nie w humorze.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i zaczęła prowadzić rower z powrotem w stronę domu.

– Przyszło kolejne pismo z Ministerstwa Rolnictwa z poleceniem zasiania zboża na Whin Fell. Mówiłam im, że tam nie urośnie nic poza trawą i janowcem. Jeżeli znowu przyślą na przeszpiegi tę wścibską babę, ojciec gotów dostać apopleksji.

– Jak on się czuje? Nadal kaszle?

– Czuje się już prawie całkiem dobrze, Cormacu. Po prostu nie może już pracować tyle, co wcześniej, i wścieka się z tego powodu. Wiesz, jaki on jest.

– A jak gospodarstwo? Dajesz sobie radę?

– Ma się rozumieć – żachnęła się. – Radzę sobie kapitalnie, kiedy nikt mi nie przeszkadza. – Po chwili złagodniała. – Cieszę się, że przyjechałeś. Może odwrócisz uwagę tego starego trutnia od rujnowania mi życia.

– Dobrze być w domu. – Cormac ścisnął rękę siostry. – A oto i Crawburn.

Wysoko na wzgórzu, wkomponowany w zbocze niczym książka starannie odłożona na półkę, stał pomalowany na biało dom. Po

jednej jego stronie wyrastała ściana szczytowa, po drugiej chaotyczne skupisko budynków gospodarczych. Kilka spadzistych popielatych dachów o różnych kątach nachylenia miało wysokie białe kominy. Wielodzielne okna z czarnymi futrynami wychodziły na bezładny, wielopoziomowy ogród połączony w całość wąskimi żużlowymi ścieżkami i kamiennymi schodkami. Na jednym z niżej położonych tarasów rosła jabłonka owinięta pnącą różą. Nieco wyżej, obok kamiennej ławeczki, stały doniczki z ostatnimi w tym sezonie szkarłatnymi kwiatami geranium.

– Przepiękny – powiedziała ze szczerym zachwytem Thea. Po miesiącach spędzonych w bazach wojskowych wreszcie mogła odetchnąć pełną piersią i przypomnieć sobie, kim naprawdę jest. Artylerzystka Thea Margaret Craxton nie była tu potrzebna.

– Ogród należał do mamy – wyjaśnił Cormac. – Nicola go pielęgnuje.

– Nie przetrwałby zabiegów taty, który wszystko najchętniej by wypalił. – Nicola oparła rower o ścianę budynku. – Nie pozwalam mu niczego dotykać. Ta kobieta z Ministerstwa Rolnictwa powiedziała, że powinnam poświęcić ogród na uprawę grochu i fasoli. Nie przebierałam w słowach.

Przez otwarte drzwi wybiegły dwa czarno-białe psy rasy border collie i rzuciły się witać Cormaca. Za nimi wyszedł starszy mężczyzna.

– Cześć, tato. – Syn uniósł rękę w pozdrowieniu.

Robert Jamieson był wysoki i przysadzisty. Spod splątanej siwej grzywy spoglądały niebieskie, bystre, pełne ciekawości oczy. Przywitał potomka skinieniem głowy, po czym odezwał się do gościa:

– Witaj w Crawburn, panienko.

Po wymianie powitalnych uprzejmości zwrócił się do Cormaca:

– Wuj John i ciotka Cathy są w środku. Wprosili się na kolację, żeby ciebie zobaczyć.

– Wcale nie jego chcą zobaczyć. – Nicola zerknęła szelmowsko na Theę. – Wszyscy są ciekawi panny, która sprawiła, że mój brat wreszcie się zakochał.

Cormac spiorunował ją wzrokiem. Nicola rzuciła coś na temat przypalonej kolacji i oddaliła się pospiesznie. Robert Jamieson

zapytał, czy Thea miała udaną podróż. Przytaknęła. Weszli do środka. Syn zainteresował się sprawami gospodarskimi.

Kuchnia była przestronnym, zacisznym i przytulnym pomieszczeniem. Szara posadzka osiadła miejscami po latach udeptywania. Nisko sklepiony sufit podpierały solidne czarne belki, a głębokie parapety świadczyły o tym, że ściany były szerokie na blisko pół metra. Z haków podwieszonych u sufitu zwieszały się żeliwne czajniczki i patelnie. Honorowe miejsce zajmowało jednak wielkie palenisko ze staroświecką kuchnią, na której Nicola gotowała teraz kolację. Na olbrzymiej wiejskiej komodzie stały rzędy niebiesko-białej zastawy z Delftu, wysoki przeszklony kredens zawierał miedziane karafki i fajansowe dzbany. Na wielkim, okrągłym, czarnym stole ustawiono sześć pięknych zabytkowych pucharów w kolorze żurawinowym.

Wesoły gwar i szczęk naczyń w kuchni Jamiesonów prawie zagłuszał tykanie stojącego w rogu zegara. Kiedy już wszyscy zostali sobie przedstawieni, Nicola pochyliła się nad kuchenką, mieszając gulasz w garnku i wydając polecenia bratu, który nakrywał do stołu.

Wuj John, szczuplejszy od starszego brata, miał charakterystyczne dla Jamiesonów rysy twarzy, a także ciemny odcień skóry i kolor włosów. Jego żona, Cathy, była niską szczupłą kobietą o pomarszczonej jak przejrzałe jabłko skórze. Zarzucili Theę pytaniami. Skąd pochodzi jej rodzina? Jak jej się podoba Northumberland? Czy była już kiedyś na wsi? Gdzie stacjonuje? W którym regimencie służy, co to jest teodolit i jak długo uczyła się go obsługiwać?

– A nie mówiłam, że narzeczona Cormaca ma głowę na karku? – odezwała się Nicola, krojąc ziemniaka.

Kolejna porcja pytań dotyczyła Londynu, bombardowań i Rowan.

– Gdzie się poznaliście? – zapytała w pewnej chwili ciocia Cathy.

– We Francji – odparł Cormac. – W czterdziestym roku – dodał, rozkładając łyżki. – Nie wróciłbym do domu, gdyby nie Thea.

– Ach, nonsens. – Zarumieniła się. – Było dokładnie odwrotnie. Dawno bym się poddała bez ciebie.

– Nie masz racji. Gdyby nie ty, prawdopodobnie ocknąłbym się dopiero po kopniaku od jakiegoś niemieckiego żołnierza. Siedziałbym

teraz w obozie jenieckim.

Nicola, która liczyła talerze, powstrzymała kolejną lawinę pytań.

– Pokaż Thei jej pokój. Zaraz podam do stołu, a na pewno chciałaby się odświeżyć przed kolacją.

Cormac zabrał jej tobołek i poprowadził ją w głąb domu. Większość pokoi była przechodnia, nierozdzielona korytarzami. Sufity miały różną wysokość, podłogi też. Raz po raz schylał głowę, żeby nią nie uderzyć we framugę drzwi. Robił to tak płynnie, jakby już bez udziału świadomości.

– Szanowni przodkowie dodawali pokój czy dwa, kiedy tylko naszła ich ochota – powiedział. – Niektóre części domu mają kilkaset lat, a inne całkiem niewiele. W siedemnastym wieku, kiedy powstawał, zwierzęta hodowlane mieszkały na dole, w dzisiejszej kuchni.

Weszli wąskimi krętymi schodami na górę.

– Przepraszam za to przesłuchanie – rzucił z przepraszającym uśmiechem, wskazując jej jedną z sypialni.

– Masz ogromne szczęście pochodzić z normalnej rodziny.

Pocałowali się, powiodła opuszką kciuka po jego szyi, gładząc sprężynki włosów. Chciałaby zostać z nim na zawsze w tym zacisznym kąciku, bezpieczna w jego ramionach, ktoś jednak wołał go już z dołu.

– Muszę iść. – Skrzywił się. – Pewnego dnia, obiecuję ci to, kochanie, będziemy tylko we dwoje. – Pocałował ją jeszcze raz. – Kolacja będzie za jakieś dziesięć minut. Hałas wskaże ci drogę, jeśli zabłądzisz.

Thea myślała o Jamiesonach, wyjmując z torby sukienkę i wygładzając zagniecenia. Szalenie przypadli jej do gustu, szczególnie Nicola. Cała trema, która ją przygniatała przed pierwszym spotkaniem z rodziną Cormaca, zniknęła. Nie byli rodziną wylewną w kontaktach fizycznych, zauważyła. Obaj panowie Jamieson i ciotka Cathy przywitali ich uściskami dłoni. Nicola poklepała brata po ramieniu po kilku miesiącach rozłąki. Z ich żartów przebijały jednak czułość i ciepło.

Myła się i przebierała, rozglądając się po pokoju, niedużej przytulnej sypialni z widokiem na ogródek przed domem. Okno wyglądało, jakby zostało zaprojektowane po pijanemu – właściwie

całe pomieszczenie wraz z wyposażeniem zdawało się przechylać na jedną stronę. Kawałki drewna podpierały dwie nogi łóżka, prawdopodobnie po to, by użytkownik nie sturlał się na pochyłą podłogę, a z niej do dużej wnęki wyposażonej w komodę, obudowaną umywalkę, dzbanek z wodą, mydło i ręcznik. Ktoś – prawdopodobnie Nicola, jak zgadywała Thea – ustawił na umywalce i komodzie bukieciki kwiatów w słoikach po dżemie.

Cała tkanka tego domu była przesiąknięta historią, która przemawiała do Thei – poprzez pikowaną narzutę w wyblakłe roślinne wzory, postrzępiony chodnik, piękne przedmioty w kuchennych kredensach, noszące ślady używania przez wiele pokoleń.

Przebrawszy się i odświeżywszy, zeszła na dół, na kolację złożoną z jagnięcego gulaszu z ziemniakami i z szarlotki. Konwersacja przy stole zaczęła się od sytuacji w gospodarstwie. Robert Jamieson poczerwieniał, kiedy opowiadał Cormacowi o najnowszych zarządzeniach ministerstwa w sprawie zwiększenia upraw – chodziło o uzyskanie zasobów żywności gwarantujących państwu samowystarczalność w czasie wojny. Wybuchały kolejne sprzeczki. Wujek John podważał słuszność sposobu użytkowania pól przez brata. Nicola nie mogła się zgodzić z ciotką w kwestii prażenia jabłek do szarlotki.

– W każdym razie jest pyszna – wtrąciła Thea, ale nie była pewna, czy ktokolwiek ją usłyszał.

– Podobno stary Greville szykuje się na tamten świat – powiedział nagle Robert.

Cormac uniósł głowę, by na niego popatrzeć.

– Charles Greville jest chory?

– Zdaje się, że umierający. Lekarz bywa w Langhill codziennie.

Nicola puściła w obieg dzbanek ze słodkim sosem do ciasta.

– Marian Kerr mówi, że pani Greville posłała po Rufusa.

– Rufus jest w wojsku, prawda?

– Stacjonuje na Równinie Salisbury, tak jak ty, Cormacu. – Nicola odstawiła naczynie z resztą ciasta na blat i usiadła. – Pewnego dnia na siebie wpadniecie. – Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Rufus to syn Charlesa Greville'a – wyjaśnił Cormac, zwracając się bezpośrednio do Thei. – Starszy ode mnie o kilka lat. Pamiętasz Langhill, rezydencję Greville'ów? – mijaliśmy ją po drodze.

– Rufus ma teraz żonę – zakomunikowała ciotka Cathy. – Wziął sobie jakąś dziewczynę z Londynu. Kiedy był ślub, Johnie?

– Skąd miałbym wiedzieć? – odparł obojętnie John.

– Pięć albo sześć miesięcy temu – powiedziała Nicola. – Ona ma na imię Madeline. Ma żółte włosy, wielkie niebieskie oczy i wygląda, jakby mógł ją porwać silniejszy podmuch wiatru.

– Nie widać jeszcze, żeby była w ciąży – stwierdziła ciotka Cathy.

– Daj im szansę – mruknął wuj, na co jego żona zacisnęła usta.

– Ledwie raczyła na mnie spojrzeć, kiedy ją spotkałam w miasteczku.

– Może nie wiedziała, kim jesteś.

– Wszyscy wiedzą, kim jestem. Po prostu zadziera nosa. – Cathy poczęstowała się sosem. – Wieść gminna niesie, że Greville'owie zostali prawie bez grosza i dlatego właśnie Rufus poślubił tę pannę. Wniosła do rodziny pokaźny majątek.

– Charles Greville nigdy nie potrafił odmówić sobie zakładu w wyścigach konnych – przyznał John.

– Doprowadzili ten dom do ruiny.

– Droga też jest w kiepskim stanie – dodał Cormac.

– Pisałem w tej sprawie do starego Greville'a, ale nie raczył odpowiedzieć. – Na twarzy Roberta pojawił się grymas niezadowolenia.

– Tato, skoro jest chory…

– Wypadałoby, żeby choć ona odpisała, prawda?

Cormac ewidentnie próbował zmienić temat – zapytał o kuzynów, bliźniaków Francisa i Jacka, którzy byli synami Johna i Cathy. Rozmowa potoczyła się dalej. Na łupkowej podłodze połyskiwały kwadraty słonecznego światła przefiltrowanego przez szyby.

Thea zgłosiła się na ochotnika do pomocy przy zmywaniu po kolacji. Cormac i Cathy też zaproponowali pomoc, ale Nicola powiedziała, że woli Theę.

– Ciotka Cathy zawsze mnie poucza – wyjaśniła, kiedy zostały w kuchni same. – A Cormac musi pilnować wuja i ojca, żeby nie

skakali sobie zanadto do gardeł.

Podczas gdy Thea była zajęta zmywaniem naczyń, Nicola zaparzyła duży dzban herbaty i zaniosła do przytulnego saloniku, gdzie odpoczywała reszta rodziny. Po powrocie zamknęła za sobą drzwi.

– Papieroska?

– Nie, dziękuję.

– Czyli herbata. – Nicola ponownie napełniła czajnik i postawiła na płycie kuchni. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się z ulgą, wsparta plecami o drzwi.

– Brawo – rzekła. – Przetrwałaś. Nie zwracaj na mnie uwagi. Tata mówi, że ilekroć otworzę buzię, wylatuje z niej potok nonsensownych słów.

– Prowadzenie domu i gospodarstwa wygląda na bardzo ciężką pracę.

– Tak, praca nigdy się nie kończy. Tata nie może już robić w obejściu i na polu tyle co dawniej i jest niepocieszony z tego powodu. W samym domu nigdy nie było z niego pożytku. Przed wojną pomagała mi dziewczyna, z którą chodziłam do szkoły, ale zatrudniła się w fabryce na południu kraju. Zarabia tam dwa razy więcej, niż mogłaby dostać od nas. – Nicola oparła papieros o popielniczkę i zaczęła sprawnie polerować szklanki. – Najtrudniej jest zimą, kiedy śnieg odcina nas od reszty świata. Mimo wszystko nie mogłabym mieszkać w żadnym innym miejscu na świecie. – Odstawiła szklanki do kredensu, po czym dodała cicho: – Dziękuję ci, że pomogłaś Cormacowi we Francji.

– Naprawdę niewiele zrobiłam.

– On nie ma skłonności do przesady. Jeżeli mówi, że go uratowałaś, to tak było. Zabiłabym ojca, gdyby mój brat wylądował przez niego na wiele lat w obozie jenieckim. – Nicola porządkowała szufladę ze sztućcami. – Jesteś zadowolona z pokoju?

– Bardzo – zapewniła z uśmiechem Thea. – To istny raj w porównaniu z wojskowym barakiem. Ty postawiłaś kwiaty?

– Tak.

– Są śliczne. Dziękuję. Dobrze was wszystkich nareszcie poznać. Cormac dużo mi opowiadał.

– Jest w tobie zakochany do szaleństwa, Theo.

– Ja też bardzo go kocham.

– To dobrze – stwierdziła groźnie Nicola. – Zabiłabym cię, gdybym zauważyła, że nim pogrywasz. Zawsze mogłam na niego liczyć w ważnych sprawach. Daj sobie spokój z tym garnkiem, Theo. Zostaw do namoczenia. Wypijmy herbatę w ogrodzie, chyba że jest dla ciebie za chłodno. Nie dam rady wysiedzieć z tymi starymi pierdzielami. Niech ciotka dla odmiany pomęczy trochę Cormaca.

Nałożyły płaszcze, zabrały kubki z gorącą herbatą i wyszły na najwyższy poziom ogrodu. Nicola usiadła z westchnieniem na kamiennej ławeczce.

– Jak to miło porozmawiać z inną kobietą – powiedziała. – W tej rodzinie jest stanowczo zbyt dużo facetów. Tata przez większość czasu traktuje mnie jak jednego z nich.

– Masz jakieś koleżanki w sąsiedztwie?

– Jedną czy dwie. – Nicola popatrzyła w dół piętrowego ogrodu. – Niewiele ich zostało. Większość wstąpiła do służb pomocniczych albo wyjechała do pracy w fabrykach. Poza tym nie mam zbyt wiele czasu na pielęgnowanie przyjaźni. Tyle jest roboty z tatą i w gospodarstwie.

– Masz chłopaka?

Prychnęła.

– Spójrz na mnie. – Machnęła ręką na beżowe bryczesy i starą koszulę w kratę. – Ledwo przypominam dziewczynę. Kto by mnie chciał? – Uśmiechnęła się krzywo. – Ostatnio widziałam Madeline Greville w Lawton, ubraną w białą koronkową suknię i różowy kapelusik. Białe koronki! Już sobie wyobrażam siebie w białych koronkach podczas karmienia świń i sprzątania stajni. – Po czym dodała, zapalając kolejnego papierosa: – Parę lat temu był tu taki jeden głuptas, Lennie, który ciągle zapraszał mnie do kina.

– Poszłaś?

– Raz czy dwa razy. Jego rodzina mieszka w dolinie. To miły chłopak. Ale wyjechał za granicę, do Włoch. Zapomni o mnie wśród tylu pięknych Włoszek.

Po chwili dołączył do nich Cormac. Nicola przypomniała sobie, że ma coś do zrobienia w domu, zgarnęła puste kubki po herbacie i oddaliła się prędko ogrodową ścieżką.

Cormac zarzucił Thei ramię na szyję.

– Jak tam?

– Dobrze. – Pocałowała go.

– Przejdziemy się kawałek. Chciałbym z tobą o czymś pomówić.

– O czym?

– Za chwilę.

Furtka w kamiennym murze na górnym tarasie wychodziła na łąki. Cormac zwracał uwagę na elementy krajobrazu: pola, wzgórza, potoki i doliny. W jednej z dolin był położony dom Johna i Cathy, Bane Rigg. Las ciągnący się po zboczu wzgórza nosił nazwę Low Chase. Wybrali ścieżkę wśród drzew, która zaprowadziła ich w przepiękne miejsce, gdzie plamy światła tańczyły między białymi pniami brzóz, a powietrze miało rześki i gryzący zapach grzybów, martwych liści i wilgotnej ziemi. Chociaż ta część regionu Northumberland była generalnie słabo zalesiona, to Low Chase rósł tu od setek lat. Wiosną skarpy i polany zakwitały dzikim czosnkiem i zawilcami. Ludzie mawiali, że gdzieś pośród drzew można jeszcze trafić na pozostałości pradawnej osady.

– Z epoki kamienia albo żelaza – opowiadał Cormac. – Nie pamiętam dokładnie. To coś z twojej dziedziny, Theo. Przychodzę tu, żeby pomyśleć. Jako dzieciak znałem każde drzewo w Low Chase. Las należy do Greville'ów, ale korzystamy z tej ścieżki od zawsze, kiedy idziemy do domu wuja i ciotki.

Wyszli z cienia drzew. Cormac wskazał na leżący w dole Langhill House.

– I jak ci się podoba Crawburn? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Do szaleństwa.

– Mogłabyś tu zamieszkać? – Nagła zmiana tonu, niepewność w spojrzeniu. Sięgnął po coś do kieszeni. – Wyjdź za mnie, Theo – powiedział. – Wyjdziesz za mnie?

Otworzył małe pudełeczko. W środku był pierścionek z małym szmaragdem otoczonym diamencikami.

– Tak – odparła bez wahania. – Tak, wyjdę za ciebie. – Pocałowali się. Serce Thei wezbrało szczęściem tak bardzo, że omal nie pękło.

Sześć tygodni później wzięli skromny ślub w urzędzie stanu cywilnego. Thea wystąpiła w sukience z kremowego jedwabiu i w różowym aksamitnym żakiecie Rowan, który siostra dla niej przerobiła. Ojciec Cormaca i Nicola przyjechali z Northumberland, Rowan, ku wielkiej radości Thei, dostała wolne w szpitalu, Helen też udało się wziąć udział w ceremonii. Poza tym zaprosili Sophie, Stuarta i Ruby. Po wyjściu z gmachu urzędu Thea rzuciła bukiet jarzębiny, który zgrabnie przechwyciła Rowan.

Starsza siostra użyczyła im swojego mieszkania na dwudniowy miesiąc miodowy. Kiedy kochali się po raz pierwszy, pomimo lekkiego zdenerwowania Thea szybko rozluźniła się w delikatnych ramionach Cormaca. Drugi raz był jeszcze lepszy. A nawet nieprawdopodobnie rozkoszny. Trzeci i czwarty takoż.

Ostatniego poranka poszli razem na Victoria Station. Pożegnali się na peronie, Cormac pomógł jej wsiąść do wagonu. A później, pomimo że była teraz artylerzystką Theą Margaret Jamieson, życie powróciło mniej więcej na dawne tory. Każde spotkanie wymagało skomplikowanych przygotowań i wiele z nich nie wypalało w ostatniej chwili. Regulamin wojskowy zawierał punkt o wyznaczaniu parom małżeńskim przepustek w tym samym czasie, ale w praktyce nie zawsze się to udawało.

W okresie świątecznym dostali trzy dni, które spędzili w pensjonacie w Surrey niedaleko jednostki Thei, a następnie Cormac wrócił do swojego oddziału. Po Nowym Roku Thea zaczęła odczuwać pewne dolegliwości. Początkowo składała je na karb zatrucia pokarmowego. Wojskowe posiłki były obfite, lecz kiepsko przyrządzone i bez walorów smakowych. Składały się głównie z chleba, mielonki i rozgotowanej kapusty. Wspomniała o tym w liście do Rowan, która natychmiast odpisała: *Theo, czy Ty przypadkiem nie jesteś w ciąży?* Wróciła pamięcią do miesiąca miodowego, kiedy to opuszczali londyńskie mieszkanie tylko po to, żeby znaleźć coś do jedzenia, i zrobiło się jej głupio, że o tym nie pomyślała.

Będzie miała dziecko z Cormakiem. Uważała, że to wspaniale, ale zachwytowi i ekscytacji towarzyszyły wcale niebagatelne obawy. Nie mieli gdzie mieszkać. Nie mieli własnego domu. Thea zakładała, że kiedyś, kiedy wojna się skończy, znajdą dla siebie jakieś miejsce. Do tego czasu, myślała, ona znajdzie schronienie u Rowan.

Poza tym, chociaż lubiła dzieci, to niewiele miała z nimi do tej pory do czynienia. Nie należała do tych dziewczyn, które zaglądają innym do wózków i gaworzą z maluchami. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Grace Fainlight, kiedy ta zapytała ją o sytuację rodzinną – „Masz męża i dzieci?" – jak gdyby ich posiadanie stanowiło przeszkodę w karierze archeologa. Większość mężatek nie chodziła do pracy. Choć bardzo mocno pragnęła tego dziecka, dziecka Cormaca, to nigdy nie porzuciła marzeń o kontynuowaniu kariery naukowej. Niekiedy odnosiła wrażenie, że dawne ambicje zeszły na drugi plan, niemal jakby wcześniejsze doświadczenia zawodowe – współpraca z Fainlightami, udział w wykopaliskach na Barbury Hill – dotyczyły innej osoby. Thea zawsze podziwiała związek Grace i Monty'ego, ich wspólnotę dążeń i zainteresowań, wzajemne wsparcie. Grace miała rodzinę i pracę. Stanowiła żywy dowód na to, że można pogodzić te dwie rzeczy, pocieszała się młoda pani Jamieson.

Ciąża skutkowała wydaleniem ze służby pomocniczej. Została jeszcze przez parę tygodni, sprytnie, jak sądziła, maskując wszelkie objawy, po czym dowódczyni wzięła ją na bok i zapytała bez ogródek, czy jest w ciąży. Po dwóch dniach Thea, już w cywilnym stroju, zatrzymywała wojskową ciężarówkę, żeby zabrać się z powrotem do Londynu i do mieszkania Rowan.

Naloty na Londyn trwały przez całą wojnę, ale znacznie się nasiliły w zimnych miesiącach na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Rowan i Josh przenieśli się w lutym do domku jednej z jego przyjaciółek, Diany Clare, schowanego w lasach hrabstwa Hampshire, na grani niewielkiego wzgórza. Aby się do

niego dostać, trzeba było przejechać prawie pół kilometra błotnistym szlakiem odchodzącym od wiejskiej drogi.

– Rany boskie – mamrotał pod wąsem Josh, kiedy jego sportowe auto podskakiwało z niepokojącym klekotem na zamrożonych wybojach. – Moje opony.

Rowan otworzyła drzwi, podczas gdy on wyładowywał bagaże z samochodu. Nieduży parterowy budynek wzniesiono z różnych materiałów, tak jakby budowniczy użył wszystkiego, co mu wpadło pod rękę: cegieł i drewna, wapna, a nawet paru zamontowanych do ochrony przed wiatrem metalowych billboardów; jeden reklamował Bisto, drugi świece zapłonowe marki Champion. W środku znajdowały się cztery pomieszczenia i żadne z nich nie było łazienką. Na ścianie w kuchni wisiała metalowa balia do kąpieli, a dalsze poszukiwania zaowocowały odkryciem szopy za domem, w której mieściła się prymitywna latryna. Panował w niej przeraźliwy ziąb. W kąty pokoju gościnnego upchnięto dziecięce zabawki, w jednej z sypialni stały dwa łóżeczka i suszarka do ubrań z pościelą w malutkim rozmiarze. Pani Clare zostawiła na stole kartkę z istotnymi informacjami: *Wodę bierzemy ze studni w ogrodzie. Czasami zamarza, ale wtedy zwykle nalewam do niej trochę wrzątku, zwykle pomaga. Warto zawsze mieć kilka dodatkowych wiader na podorędziu, na wszelki wypadek. Drewno jest w komórce za domem. Byłabym wdzięczna, gdybyście uzupełnili zużyte zapasy, ponieważ pokoje muszą być zawsze ogrzane, kiedy są w nich dzieci.*

Josh nabrał wody ze studni, podczas gdy Rowan rozniecіła ogień w kominku w pokoju gościnnym i pod kuchnią. Kiedy przyniósł wiadro do kuchni, obierała właśnie ziemniaki nad zlewem.

– Pobrudzisz sobie ten piękny płaszcz – powiedział.

Miała na sobie kremowy kaszmir kupiony w Paryżu w lepszych czasach.

– Ale bez niego zamarznę na śmierć – stwierdziła. – Powinnam była zabrać pielęgniarską pelerynę. Jesteś głodny?

– Jak wilk – mruknął. – Pożarłbym coś. – Wsunął ręce pod kaszmirowy płaszcz i dotknął wargami jej ust, wzniecając w niej pożar pożądania. Kiedy jednak po wstawieniu ziemniaków poszła do pokoju gościnnego, zastała go śpiącego na sofie.

Zjawił się poprzedniego dnia w jej mieszkaniu bez zapowiedzi. Nigdy nie uprzedzał o swoim przyjeździe. Tym razem, niesamowitym zrządzeniem losu, oboje dostali tygodniowe przepustki w tym samym czasie. Usiadła obok śpiącego Josha. Lubiła na niego patrzeć, gdy spał, obserwować falującą klatkę piersiową i przelotne grymasy twarzy. Dotknęła palcami jego czoła, próbując wygładzić przecinające je bruzdy. Otworzył oczy.

– Dzień dobry, Josh.

– To ty – wymamrotał. – Tak się cieszę, że to ty. – Przyciągnął ją do siebie i zmierzwił jej włosy, po czym znów zapadł w sen.

Przespał większą część pierwszego dnia. Raz na jakiś czas budził się i przepraszał, że jest takim nudziarzem, proponował spacer, ale zanim Rowan zdążyła nałożyć płaszcz, znowu zasypiał. Nie przeszkadzało jej to. Wystarczyło, że był obok, bezpieczny. Przyrządzała posiłki, na które wstawał. Po jedzeniu zasypiał ponownie.

Ubrała się i wyszła na zewnątrz. Spacerowała po zagajniku, rozdeptując z chrzęstem martwe liście w białych skorupkach szronu i wdychając mroźne bezwietrzne powietrze. Zaorane pola otaczające dom były białe i zamarznięte. Mroczne serce zimy. Na ogół panowała cisza, raz tylko konwój wojskowych ciężarówek przeciął wąskie drogi Hampshire. Od czasu do czasu po niebie przelatywała formacja lotnicza zmierzająca, jak sądziła Rowan, w stronę kanału La Manche. Kiedy zmarzła, wróciła do domu, dorzuciła drewna do kominka i zaczęła czytać jeden z historycznych romansów z biblioteczki Diany Clare.

Nazajutrz Josh wstał już wyspany, ubrali się więc w płaszcze i kozaki i poszli wyżłobioną koleinami drogą w dół. Minęli długi podjazd dla powozów za szpalerem kasztanowców, prowadzący do parku i eleganckiego budynku w stylu palladiańskim, ogrodzonego drutem kolczastym. Zatrzymał ich żołnierz, ale spojrzawszy na legitymację Josha, zasalutował tylko i pozwolił im iść dalej.

– Było strasznie? – zapytała.

– Tak, tym razem było wyjątkowo strasznie – przytaknął Josh. Szurał nogami wśród liści i patrzył w ziemię. Chciała coś powiedzieć, ale jej przerwał: – Nie mówmy teraz o tym. Wolałbym, żebyś nie

wiedziała o pewnych rzeczach. Sam też chciałbym o nich zapomnieć. Ty należysz do innego świata i wolałbym, aby tak pozostało.

Nie pytała już więcej. Miał zapadnięte policzki, a jego niebieskie oczy w zimowym świetle nabrały odcienia szarości. Wsparła głowę na jego ramieniu.

Wrócili do chatki. Rowan przyrządzała kolację, podczas gdy Josh poszedł narąbać drewna na opał. Z podwórza dobiegał odgłos uderzeń siekiery, który brzmiał tak, jakby ktoś próbował się wyładować.

Po kolacji poszli do łóżka. Pomijając inne zalety, było to jedyne miejsce w domu, gdzie można się było ogrzać. Kochał się z nią bardzo delikatnie i czule, a potem leżeli obok siebie – błogo nasyceni. Musieli zasnąć prawie jednocześnie. Jej sen był głęboki i prawie pozbawiony marzeń sennych, jak kiedyś, przed wojną, zanim została pielęgniarką, ale Josh kręcił się i pokrzykiwał, a raz nawet zaszlochał. Gładziła wtedy jego twarz, całowała i szeptała kojące słowa, dopóki znów nie zasnął.

Rano pojechali do pobliskiej wioski. Rowan zastanawiała się, skąd wziął benzynę. A także gdzie zdobył kosz z jedzeniem i winem, który przywiózł ze sobą do domku w lesie. I w jakim koszmarnym miejscu spędził ostatnie trzy miesiące.

Kupili chleb i mleko, a potem kręcili się po antykwariacie, zaśmiewając ze swoich znalezisk. Josh nabył zestaw mosiężnych stojaków na drwa do kominka i starą skórzaną walizkę z zerwanym uchwytem, który zamierzał naprawić, a dla niej korale ze sztucznych pereł. Założyła je na szyję i podziwiała swoje odbicie w upstrzonym przez muchy lustrze.

W wiejskim kościele znaleźli grobowiec z podobiznami lorda i damy z czasów elżbietańskich. Obok nich, niczym miniaturowe wersje rodziców, spoczywało w rzędzie siedmioro dzieci.

– Jak ziarnka grochu – powiedziała Rowan.

– My też będziemy mieć siedmioro dzieci? – zapytał Josh.

– Wolałabym parzystą liczbę. Może ośmioro. A kiedy umrzemy, zafundujemy sobie jeden z tych luksusowych grobowców. – Po czym dodała: – Nigdy nie zaszłam w ciążę z Patrickiem. Nasze pożycie nie

było zbyt intensywne, ale pomyślałam, że być może jestem bezpłodna.

– Wszystko mi jedno – oświadczył – czy będziemy mieć ośmioro dzieci, czy żadnego. To ciebie kocham, Rowan.

Wyszli na zewnątrz, trzymając się za ręce. Zjedli obiad w miejscowym barze. W samochodzie, zanim uruchomił silnik, powiedział:

– Rowan, moja praca… – Zmarszczył czoło. – Ona wszystko wstrzymuje. Chciałbym ci wyznać tyle rzeczy, o tyle zapytać, a nie mogę, dopóki jestem w takiej sytuacji. To byłoby nieuczciwe wobec ciebie. Jednocześnie martwię się, że tak też nie jest uczciwie.

Ścisnęła go za rękę.

– Kochany, rozumiem doskonale. Nie martw się o mnie. Dbaj o własne bezpieczeństwo, tylko na tym mi zależy.

Po kolacji usiedli z książkami przy kominku. Czuła się doskonale zsynchronizowana z tym mężczyzną, kiedy siedziała w wygodnej ciszy zakłócanej wyłącznie skwierczeniem ognia. Ta odmiana była dla niej zachwycająca. Znała swoje wady, wewnętrzne rozedrganie, potrzebę zagadywania ciszy i nieustannego szukania zajęć, ale przy Joshu nic z tego nie miało znaczenia. Lubiła na niego patrzeć, często spoglądał na nią z uśmiechem, kiedy czuł na sobie jej wzrok.

Kolejny dzień był o kilka stopni cieplejszy. Mróz już nie szczypał w twarz. Rano znów poszli na spacer wśród drzew, rozmawiali o swoich bliskich i o miejscach, które odwiedzili. Nie wspominali o przyszłości.

Wrócili do chatki. Po obiedzie Josh poszedł narąbać więcej drewna. Rowan zmywała naczynia, gdy usłyszała warkot silnika. Podeszła na skraj zagajnika i popatrzyła w dół zbocza. Pod górę wjeżdżał wielki czarny samochód. Poczuła szarpnięcie rozpaczy. Może wcale nie o to chodzi, pocieszała się. Może to właściciel domku jedzie po czynsz albo dostawca z jakimś zamówieniem. Za domem słychać było zapamiętałe uderzenia siekiery.

Samochód zatrzymał się na końcu szlaku, wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden w mundurze wojskowym, drugi ubrany po cywilnemu, w szary płaszcz i kapelusz z szerokim rondem.

Szary Płaszcz otarł czoło chustką.

– Przeklęty klekot – powiedział z gniewnym grymasem. – Przeklęta wiocha. – A potem, gdy podeszła do nich Rowan: – Pani Scott? Przyjechaliśmy po kapitana Makepeace'a. – Tupnął ze zniecierpliwieniem i wyjął papierośnicę.

Jeszcze za wcześnie, nie możecie go zabrać, jest zbyt zmęczony, nie widzicie tego?

Mundurowy uśmiechnął się przepraszająco.

– Przykro mi, pani Scott. Moje nazwisko major Drummond. Niestety mamy pilną sprawę, inaczej byśmy nie przeszkadzali.

Poprosiła, aby zaczekali przy samochodzie. Skrzyżowała ramiona na piersi, kiedy okrążała dom. Nie zawołała Josha od razu, obserwowała go przez chwilę, ukryta wśród drzew. Układał drewka na stosie. Tak dobrze znała tę wysoką zgrabną sylwetkę, włosy w kolorze jesiennych liści i postawę, na pozór zrelaksowaną, ale zawsze naładowaną energią. Chciało jej się krzyczeć.

– Josh? – powiedziała cicho.

Odwrócił się i ją zobaczył.

– Co się stało?

– Jacyś ludzie… – zaczęła. – Major Drummond i ktoś jeszcze… – Nie była w stanie dokończyć. Przygryzła dolną wargę i wbiła wzrok w ziemię.

Tulił ją, kiedy płakała. Po chwili zdołała zapanować nad szlochem. Otarł jej łzy opuszką palca, pocałowali się i pożegnali na osobności, zanim wyszli przed dom. Powitania i uściski dłoni; Josh wszedł do domu i po chwili, która wydała się Rowan sekundą, wyszedł spakowany.

– Charles odwiezie cię z powrotem do Londynu morganem, kochanie – powiedział, zanim wsiadł do czarnego samochodu.

– Potrzebuje pani godziny na przygotowanie się, pani Scott? – zapytał major Drummond.

– Nie, nie trzeba. Wystarczy dziesięć minut.

Patrzyła w ślad za samochodem znikającym w dole zbocza. Następnie wróciła do domu, żeby spakować swoje rzeczy.

Major Drummond zawiózł Rowan do Londynu. Nie miała żadnych wieści od Josha, ale też się ich nie spodziewała. Pracowała na oddziale kobiecym szpitala głównie w dzień, chociaż czasami, po wyjątkowo krwawych nalotach, zostawała na nocnych dyżurach.

W połowie marca kończyła właśnie pracę i gawędząc wesoło z Florence z pediatrii, razem przemierzały korytarze Świętej Anny. Florence, która miała wielki talent do parodiowania, przedrzeźniała napuszoną rejestratorkę. Za rogiem zobaczyły ową kobietę, z której się naśmiewały, co wprawiło je w jeszcze większą wesołość.

Nadal roześmiane wyszły na korytarz przychodni przyszpitalnej. Rowan rozpoznała Aleksa Moore'a, przyjaciela Josha. Szedł w ich kierunku.

Pomachała mu.

– Witaj, Aleksie! Chyba nie jesteś chory, co?

– Nie, wcale.

Już miała go przedstawić Florence, kiedy przyjrzała mu się uważniej. Uśmiech zamarł na jej twarzy, serce wykonało przedziwne salto, pozbawiając ją tchu.

– Rowan, czy możemy gdzieś pomówić na osobności?

Wiedziała. Zadrżała pod wpływem szoku. Nadeszła ta koszmarna chwila, której się panicznie bała, odkąd pokochała Josha. Moment nie do zniesienia i nie do przyjęcia.

– Chodzi o Josha, tak? Powiedz mi, Alex!

– Tak mi przykro, Rowan – powiedział łagodnie. – Zgłoszono jego zaginięcie.

Rozdział osiemnasty

Marzec–lipiec 1944

Sophie, Ruby i Viola robiły na drutach w salonie kwadratowe elementy patchworkowego kocyka.

– Potwornie się pokłóciłam z Dougiem ostatniego dnia przed końcem jego przepustki – opowiadała Viola. – Celowo posmarował sobie grzankę całym przydziałem masła. Tylko po to, żeby zrobić mi na złość.

– A jak się miewa Arnold? – zapytała Sophie. Dwa tygodnie temu zbombardowano dom w Bermondsey, gdzie mieszkał kochanek Violi. – Wciąż nocuje w warsztacie?

Przyjaciółka odgryzła końcówkę włóczki.

– Myje się w wiadrze i korzysta z ubikacji należącej do sklepu poniżej. Nie skarży się. Ja nie wyobrażam sobie mieszkania w takich warunkach. Już dawno zostawiłabym Douga, gdybym miała dokąd pójść.

– Zawsze przyjmę cię u siebie z otwartymi ramionami.

Rozmawiały już o tym wiele razy. Choć Viola narzekała na Douga, to – jak podejrzewała Sophie – czuła się w obowiązku wytrwać przy nim do końca wojny.

Ruby zaskowytała i upuściła robótkę.

– Muszę do ubikacji – rzuciła, nim wybiegła, na ile to było możliwe w jej stanie, z pokoju.

Viola popatrzyła na Sophie.

– Biedactwo, wygląda jak dojrzała torebka nasienna tuż przed pęknięciem.

– Lepiej sprawdzę, czy wszystko w porządku.

Sophie wyszła na korytarz i usiadła na najniższym schodku. Poczuła dotkliwe uderzenie gorąca, zdjęła więc kardigan i zatrzepotała bluzką. Nie było wątpliwości: przechodziła w kolejny etap życia. W tej chwili traktowała to jako jeszcze jeden punkt na niekończącej się liście niedogodności, na równi z kończącymi się zapasami mydła, pasty do zębów, podartymi pończochami i brakiem węgla do podgrzania wody.

Ruby długo nie wychodziła.

– Ruby, kochana, wszystko dobrze? – zawołała, stukając do drzwi toalety.

Dziewczyna wyszła z mokrą bielizną w rękach.

– Chyba odeszły mi wody.

Viola zadzwoniła po ambulans, podczas gdy Sophie pomagała synowej przebrać się w czyste ubrania. Następnie poszła po jej przygotowaną wcześniej torbę z rzeczami do szpitala. Pielęgniarki radziły Sophie jechać do domu, mówiły, że dziecko urodzi się najwcześniej za kilka godzin, a może nawet za parę dni, ale postanowiła czekać. W towarzystwie nieustępliwych uderzeń gorąca, znaku nieubłaganej menopauzy.

Cieszyła się, że nie posłuchała położnych, ponieważ Ruby urodziła synka o drugiej nad ranem, po sześciu godzinach od przyjazdu. Dzięki oślemu uporowi Sophie zyskała kilka chwil z nią i wnukiem poza godzinami odwiedzin.

Twarz młodej matki miała ten sam odcień, co poduszka, na której leżała. Maleńkie białe zawiniątko z noworodkiem spoczywało w łóżeczku obok.

– Ruby, jaki on śliczny. – Sophie poklepała synową po ręce. – Spisałaś się na medal. Jak się czujesz, kochanie?

– Jakby ktoś mi wyrwał wnętrzności – wychrypiała. – Ma na imię Kenneth. Odlotowy, co?

Rzeczywiście. Sophie delikatnie, opuszką palca, pogładziła meszek na małej główce. Kenneth wydymał maleńkie usteczka w poszukiwaniu mleka. Otworzył jedno oko, ciemne i oszołomione podróżą, którą właśnie rozpoczynał. A świat jakby stanął w miejscu, pozwalając zapomnieć o wojnie, stracie i zdradzie. Teraz liczyła się

tylko wyczerpana matka z nowo narodzonym dzieckiem w białej szpitalnej salce.

Sophie miała nowego lokatora. Nazywał się Ed Willoughby. Jego utykanie przybrało na sile, gdy podążał schodami za Sophie, która prowadziła go do wolnego pokoju. Słyszała za sobą nierównomierne dudnienie, kiedy szedł za nią korytarzem.

Ed był wysokim misiowatym mężczyzną około pięćdziesiątki. Miał życzliwie spoglądające brązowe oczy, rozczochrane kasztanowe włosy siwiejące na skroniach i łagodny uśmiech. Trudno go było nazwać klasycznie przystojnym, a jednak miał w twarzy coś ujmującego. Zawsze sprawiał wrażenie, jakby był lekko zaniedbany. Nosił ubrania dobrej jakości, ale już nienowe – inna rzecz, że w tych czasach wszyscy donaszali stare rzeczy. Jakkolwiek spokojny, nie był ani nieśmiały, ani zamknięty w sobie. Uprzedziła go, że w domu jest niemowlę, które często budzi się w nocy, ale on zapewnił, że uwielbia niemowlęta i ma twardy sen. Większość czasu i tak spędzał poza domem, pracując dla rządowej agencji informacyjnej. Pewnego razu spędzał wieczór w domu, kiedy Kenneth bardzo płakał z powodu kolki; chodził z nim wtedy po salonie, kołysząc go uspokajająco w ramionach. Chyba nawiązali nić porozumienia, gdyż chłopczyk zasnął posłusznie, co było do niego niepodobne.

Trzymiesięczny Kenneth był dużym, wiecznie głodnym małym człowiekiem. Szybko przybierał na wadze, podczas gdy Ruby chudła. Pulchny niebieskooki blondynek bez wątpienia grał pierwsze skrzypce w domu przy Gilbert Street. Wszyscy go uwielbiali i zachwycali się każdym jego nowym kamieniem milowym. Kiedy był marudny, podawali go sobie z rąk do rąk, uspokajając na zmiany.

Popołudniami, przy ładnej pogodzie, Sophie układała malca na kocyku pod gruszą, podczas gdy Ruby odpoczywała w domu. Zabierała ze sobą warzywa do obrania na kolację albo pisała listy, siedząc obok chłopczyka, który z uporem próbował się przeturlać, w czym przeszkadzała mu tusza. Nie poddawał się jednak i gaworzył, zerkając na babcię z wielkim zadowoleniem. Sophie przyglądała mu

się z zachwytem i zapominała o nieoskrobanych marchewkach i nienapisanych listach.

Zabierała go też na spacery w dużym granatowym głębokim wózku, który wcześniej należał do Duncana i Stuarta. Lubił obserwować, jak promienie słoneczne przebijają się przez powiewające poły moskitiery. Tej wiosny w Londynie panowała przedziwna atmosfera. Powrót wzmożonych ataków z powietrza wprawił ludzi w nerwowy nastrój, przypomniał o strasznym początkowym okresie wojny. Kobiety z dziećmi i starcy, tak samo jak wtedy, ustawiali się późnymi popołudniami w kolejkach do podziemnych stacji metra, gdzie szukali schronienia przed nocą. Miasto huczało od plotek, że druga fala jest nieunikniona; że na południu kraju formują się niezliczone szeregi wojska gotowe podjąć na nowo walkę we Francji; że ogromne połacie południowej i wschodniej Anglii zostały odgrodzone na wyłączne potrzeby armii. W kafejkach i parkach roiło się od zagranicznych żołnierzy, głównie amerykańskich. Wąskimi uliczkami i alejkami przeciskały się wojskowe ciężarówki, a na polach trwały nieustanne manewry ćwiczebne.

Wszystko to nadawało wzruszający ton pięknej wiosennej pogodzie. Kwiaty w ogrodach Kensington wydawały się w tym roku jeszcze bardziej kolorowe, niebo miało głębszy, bardziej połyskliwy odcień błękitu. Zanosiło się na coś niebywałego i nieważne, jak bardzo usiłowała odwrócić myśli od niepewnej przyszłości, nie była w stanie tego zrobić. Sophie, która straciła brata w pierwszej wojnie, zachowywała swoje obawy dla siebie. Co będzie, jeżeli się nie uda? Jeśli siły aliantów poniosą klęskę u wybrzeży Francji? Jak zniosą stratę tylu ludzi i świadomość, że wojna będzie trwać i trwać, i trwać?

Podczas wielkiej wojny, kiedy pracowała jako sanitariuszka w szpitalu, zabierała rekonwalescentów do ogrodów Kensington. Prowadziła ich tymi alejkami w wózkach inwalidzkich albo podtrzymywała, gdy uczyli się chodzić o kulach. Pomagała usiąść na ławce, kiedy opadali z sił. Młodzi mężczyźni, którym odebrano przyszłość. Pomyślała o Duncanie i Stuarcie. Przebiegł ją dreszcz grozy, przyspieszyła kroku.

Powinnam zająć się szydełkowaniem, pomyślała Thea. Potrzebowała jednakże zajęcia nieco bardziej angażującego umysł, dlatego tego wyjątkowo pięknego maja czterdziestego czwartego roku, kiedy była już w zaawansowanej ciąży, często przesiadywała w parku w towarzystwie swoich starych książek o archeologii.

Zadumała się. Myślała o Rowan, która nie dowiedziała się niczego więcej o losie Josha. Thea robiła zakupy spożywcze, gotowała, cerowała pończochy siostry, dbała o względny porządek w mieszkaniu, kiedy nocowali w nim przyjaciele, i codziennie słuchała wspomnień o Joshu. Robiła wszystko, co mogła, żeby pomóc. Obawiała się jednak, że naprawdę nie może nic zrobić. „Nie mam zamiaru się rozsypać", zakomunikowała Rowan, drżąc na całym ciele pod wpływem szoku tamtego wieczoru, kiedy dowiedziała się od Aleksa Moore'a o zaginięciu kapitana. „Muszę być silna, będzie mnie potrzebował po powrocie do domu". Nie traciła bowiem nadziei, że jej ukochany ukrywa się gdzieś we Francji. Była to żarliwa, desperacka nadzieja. Z rodzaju tych, myślała Thea, kiedy człowiek wyobraża sobie, że jeśli zapragnie czegoś wystarczająco mocno, wówczas rzeczywistość się dostosuje. Po wyzwoleniu Francji Josh odnajdzie się zdrów i cały, a potem znów będą żyli razem, długo i szczęśliwie. Rowan nie wyrażała tego wszystkiego wprost, ale nie musiała. Thea była pewna, że właśnie o to modli się jej siostra.

Sama martwiła się o Cormaca. Zaczynało się bajecznie ciepłe lato, nad Londynem zawisł miękki koc upałów, gdy pod koniec maja zadzwonił do niej z wiadomością, że ma kilka godzin przepustki. Wyszła po niego na stację Waterloo; z wagonów wysiadały setki innych żołnierzy. To pożegnalna przepustka, oznajmił, kiedy opuszczali dworzec. Pomimo upału zrobiło jej się zimno ze strachu.

Restauracje i bary pękały w szwach od żołnierzy żegnających się z żonami i narzeczonymi. Usiedli w małym zakurzonym parku, jedynym ustronnym miejscu, jakie zdołali znaleźć. Thea ujęła rękę męża i położyła na swoim brzuchu.

– Czujesz? – Początkowo ruchy dziecka wydawały się jej nieznaczne, jak machanie ogona małej rybki, ale z upływem

kolejnych tygodni były coraz mocniejsze.

Uśmiechnął się, po czym powiedział:

– Theo, proszę cię, pojedź przed porodem do Crawburn. Będziecie tam oboje bezpieczni.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Muszę zostać przy Rowan.

Zamknął jej dłonie w swoich.

– Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Może mnie nie być kilka miesięcy albo rok. Czułbym się lepiej, wiedząc, że jesteś w Crawburn. Tata i Nicola serdecznie zapraszają.

Pocałowała go.

– Nie mogę zostawić Rowan. Nie teraz, nie po tym, co się stało z Joshem. Rozumiesz, prawda?

Po raz pierwszy się ze sobą nie zgadzali, Thea nienawidziła tego uczucia. Wkrótce musieli się pożegnać. Cormac wychylił się przez okno przedziału, żeby do niej pomachać. Ona odprowadzała wzrokiem odjeżdżający pociąg. Została na peronie jeszcze długo po tym, jak inne kobiety, będące w podobnej sytuacji, odeszły.

Napisał jeszcze jeden list, a później – cisza. Żołnierze byli odcięci od swoich żon i rodzin, odizolowani w warunkach polowych. Pociągi przestały kursować; londyńskie dworce, jeszcze kilka dni temu tętniące życiem, opustoszały. Piątego czerwca nadeszła wiadomość: alianci zdobyli Rzym. Następnego dnia ukazał się poranny biuletyn z informacją, że spadochroniarze wylądowali we Francji. W sklepach i kawiarniach przez cały dzień grały radia. Dokądkolwiek się poszło, rozbrzmiewał serwis informacyjny BBC. Spikerzy w radiu donosili o lądowaniu tysięcy aliantów u wybrzeży Francji, pomiędzy Hawrem a Cherbourgiem.

Wszyscy odczuwali ulgę, że wreszcie się zaczęło, połączoną z obawą, co z tego wyniknie. Thea myślała o Cormacu, który płynął statkiem przez wody kanału, by wkrótce wyjść z setkami żołnierzy na francuski brzeg. W radiu ogłoszono, że krewni otrzymają kartki pocztowe od tych, którzy przybyli do Francji w dzień rozpoczęcia operacji Overlord. Thea czekała. Nie mogła się już skupić na teoriach archeologicznych i gubiła oczka, próbując dziergać na drutach.

Tamtego zimnego, pochmurnego, fatalnego czerwca miasto znajdowało się pod ostrzałem nowej broni – pocisków rakietowych V1. Londyńczycy byli kłębkiem nerwów z powodu codziennych doniesień z pól bitewnych Europy kontynentalnej i Rosji oraz zatrważającego furkotu rakiet spadających na stolicę dniem i nocą.

Pewnego razu po powrocie do domu Sophie zastała Willoughby'ego w kuchni, nad odwróconym krzesłem, które naprawiał.

– Przepraszam, że tak bez pytania – powiedział. – Znalazłem trochę narzędzi w schowku pod schodami.

– Rozlatuje się od trzech lat, więc bynajmniej się nie gniewam.

– Zrobione. – Postawił krzesło i nim poruszył. Było stabilne. Sophie podziękowała za naprawę. Ed zaproponował, że zajmie się także kredensem, który nigdy nie wrócił do siebie po przewróceniu przez Duncana i Stuarta w wieku, kiedy nie powinni byli się już przepychać.

– Byłabym zachwycona – ucieszyła się.

Opróżnili mebel z porcelanowych naczyń, po czym Ed wyniósł go na taras. Sophie zwróciła uwagę, z jaką łatwością podniósł wielki stary kredens, jakby ważył tyle, co nic. Rozpakowała zakupy, zrobiła mu herbatę i kanapki.

– Ojej – zawołała, zanosząc mu tacę. – Już nie jest przekrzywiony.

Odsunął się, by popatrzeć z dystansu na swoje dzieło.

– Tak chyba lepiej.

– Zajmuje się pan zawodowo naprawą mebli?

– Tak, to był mój zawód przed wojną. – Podziękował za herbatę. – Prowadziłem warsztat renowacji mebli. Robiłem też nowe na zamówienie. Mogę go jeszcze odmalować, jeżeli ma pani farbę.

– Tylko jakieś resztki na dnie puszek.

– Wystarczy, coś z tego wykombinuję.

– Nie chcę pana fatygować.

– To żadna fatyga, tylko przyjemność. – Powiódł ręką po drewnie kredensu.

Usiadła przy stoliku z kutego żelaza.

– Czym teraz się pan zajmuje?

– Kamuflażem – odparł. – Zmieniam różne rzeczy w inne rzeczy. To dość podobne do tego, co robiłem wcześniej. Nie chcieli mnie w wojsku przez… – Poklepał się po nodze.

– Co się stało?

– Postrzał. W tysiąc dziewięćset osiemnastym. – Uśmiechnął się cierpko. – W ostatnim tygodniu wojny. Było już prawie po wszystkim, ale zdążyłem jeszcze zarobić na odchodne dwie kulki w udo.

– Mój mąż, Hugh, został raniony w ramię podczas bitwy pod Picardy.

– Jak przebiegła rekonwalescencja?

– Ręka powróciła do jakiej takiej sprawności. – Zamyśliła się. – Jeżeli o to pan pytał. Zawsze się zastanawiałam, czy coś się w nim po tym wszystkim nie zmieniło na zawsze. Czy przed wojną nie był innym człowiekiem.

– Och – odpowiedział łagodnie. – Myślę, że wszyscy byliśmy przed wojną innymi ludźmi.

Dokonał prawdziwych cudów za pomocą nędznych resztek farby. Brunatny i poplamiony wcześniej kredens stał się błękitno-kremowy, przyozdobiony girlandami róż i wiciokrzewu. Sophie nie mogła się nadziwić, że duże dłonie Eda mogą wyczarować coś tak delikatnego i subtelnego.

– Och, Ed – westchnęła, kiedy odstawił mebel na jego poprzednie miejsce.

– Strasznie ładne – rzekła z podziwem Ruby, licząc sztućce z Kennethem na ręku.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił i opuścił kuchnię.

Ruby uniosła brwi, zerkając znacząco na teściową.

– Podobasz mu się – szepnęła.

– Absurd – zawstydziła się Sophie. – Po prostu chciał pomóc.

Synowa wydobyła z szuflady łyżki.

– Podobasz mu się.

Parę dni później Ed zaprosił Sophie na drinka.

W pierwszym odruchu miała zamiar grzecznie odmówić.

– Jednego – nalegał. – Wyszlibyśmy tylko na pół godziny. Wiem, że jest pani bardzo zajęta.

Pomyślała o naprawionym krześle, odnowionym kredensie i o tym, jak dawno nigdzie nie wychodziła.

Przebrała się w wyjściową sukienkę i wyszczotkowała włosy. Nie miała już szminki, ale użyła resztek pudru do zmatowienia twarzy. Wycisnęła z flakonika kilka ostatnich kropel Je Reviens i popatrzyła w lustro. Miała nieumyte włosy i piegi na nosie. Trudno.

Poszli do pobliskiego baru. Ed znalazł wolny stolik i przyniósł piwo. Rozmawiali o swoich rodzinach. Sophie opowiedziała mu o Stuarcie i Duncanie, a także o Sally i Rosalind, które mieszkały w Lincolnshire. Ed pokazał jej fotografię uśmiechniętej kobiety z kręconymi włosami i dwóch małych chłopców. Jego córka Bridget i wnuki, bliźniaki Max i Lewis, przebywali w Lancashire. Żona Eda miała na imię Jenny i umarła na raka przed ośmioma laty.

– Było ciężko – mówił. – Czas niby leczy rany, człowiek bywa jeszcze potem szczęśliwy, ale coś takiego jakby przerywa życie na pół.

Zapytał, jak zmarł Hugh. Na zapalenie płuc, odparła. I zanim się obejrzała, opowiedziała mu o wszystkim: o drugiej rodzinie Hugh, jego córce Rowan, która pracuje jako pielęgniarka, i Thei, która wyszła za mąż i spodziewa się dziecka. A nawet o Sigrid i jej kochanku, nieznanym ojcu Thei. Słuchał bardzo uważnie, niczego nie musiała powtarzać po raz drugi, co doceniała. Nie zamierzała go wprowadzać w całą tę skomplikowaną historię rodzinną, ale z jakiegoś powodu jednak to uczyniła. Być może dlatego, że Ed był doskonałym słuchaczem, a może po prostu nabrała już dystansu do pewnych spraw. Tyle się wydarzyło od śmierci Hugh – lokatorzy, wolontariat, Kaz i, rzecz jasna, synowe i wnuki – że jego zdrada została zepchnięta na dalszy plan.

– Stuart sądzi, że Hugh cierpiał na nerwicę frontową – powiedziała.

– Może mieć rację. Wszyscy w pewnym stopniu na nią cierpieliśmy.

– Jego zdaniem to niemożliwe, żeby jego ojciec trzeźwo myślał, kiedy się ze mną żenił.

Ed zmarszczył brwi.

– Sophie, nikt z nas nie wrócił z frontu z wiarą w te same rzeczy, w które wierzył przed wojną. Wielu przestało wierzyć w cokolwiek. Każdy radził sobie z tym na swój sposób. Znałem takich, co to

próbowali chadzać na skróty, kłamali i kradli. Nie cofali się przed niczym, byle przetrwać. Czuli się oszukani i walczyli o swoje.

Kiedy wracali do domu, zapytał, co zamierza robić po wojnie.

– Prawdopodobnie to samo, co teraz. Rodzina, lokatorzy. A ty?

– Ponownie otworzę warsztat.

– Renowacji mebli?

– Rozszerzę działalność o usługi remontowe. Nie powinno brakować zleceń. Nie sądzisz, że to ma znaczenie, na jaki kolor pomalujesz pokój i jakie meble do niego wstawisz?

Przyzwyczaiła się do obecności Eda w domu, który nieco już podupadł po pięciu latach wojny. Naprawił luźną listwę przypodłogową i wpadł na pomysł, co zrobić, aby schron przestał wypełniać się wodą podczas deszczu. Kiedy burza przygniotła do ziemi pędy fasoli, przytrzymywał je, a ona przywiązywała do stelażu. Ilekroć udało mu się wrócić z pracy dostatecznie wcześnie i nie miała nic do roboty przy Kennecie ani przy lokatorach, wychodzili razem na spacer, a czasem na drinka. Zmęczenie było dla wszystkich stanem permanentnym. Czasami bywali bardziej zmęczeni niż zwykle, ale wypoczęci – nigdy. Serwisy informacyjne, które powodowały okropną huśtawkę od nadziei do rozpaczy, kiedy donosiły o aliantach torujących sobie drogę przez Normandię, były wystarczająco męczące. A poza tym piętrzyły się inne problemy.

Ed powiedział Sophie o przeniesieniu z Londynu do Southampton. Sprzątali po kolacji. Vera zmywała naczynia, Sophie je wycierała. Z salonu dobiegał głos Ruby pocieszającej płaczącego Kennetha.

– Och, Ed – zmartwiła się Sophie.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała Vera.

– Niebawem.

Sophie wstawiła talerz do kredensu Eda – od dawna myślała o nim jako o kredensie Eda.

– Będziemy tęsknić – zapewniła.

– Ja za wami też. Bardzo.

– Czy wiesz, na jak długo?

Potrząsnął przecząco głową.

– Może kilka tygodni, może miesięcy, nie wiem. Powinnaś wynająć mój pokój.

Wyglądał, jakby chciał coś dodać, ale przeszkodziło mu wejście Ruby.

– Chyba ma gorączkę – powiedziała. – Nie wydaje ci się ciepły, Sophie? Spójrz na jego biedną buzię, cała czerwona.

Zadzwonił telefon.

– Odbiorę, dobrze? – zaproponował Ed.

Tymczasem Ruby i Sophie wzięły małego na górę, żeby spróbować go ochłodzić w kąpieli. Kiedy Sophie zeszła na dół, Eda już nie było.

*

Parę dni później, gdy Vera wyszła na próbę chóru, a Ruby uspokajała Kennetha, który, jak się okazało, miał zapalenie ucha, Ed pomagał Sophie w kuchni.

– Jesteś nieoceniony – powiedziała, myjąc talerz pod kranem.

– Cieszę się, że mogę pomóc – odparł. Odkładał formy do pieczenia na najwyższą półkę kredensu. Dosięgał do niej bez problemu, Sophie zaś musiałaby wejść na taboret. – Straciłem rachubę, w ilu domach mieszkałem przez kilka ostatnich lat. Niektóre były całkiem w porządku, inne dość okropne. Ale nigdzie nie było mi tak dobrze jak u ciebie.

– Bardzo miło mi to słyszeć. Mam świadomość, jak strasznie moi lokatorzy tęsknią za bliskimi, dlatego staram się, jak mogę, dać im namiastkę domowego ciepła.

– To dzięki tobie – oznajmił, zamykając drzwi kredensu. – Jestem tu szczęśliwy, bo ty tu jesteś.

Ktoś zadzwonił do drzwi, Sophie poszła otworzyć. Jedna z koleżanek z Ochotniczej Służby Kobiet przyprowadziła matkę z dwojgiem dzieci w wieku szkolnym. Dziś po południu pani Wright straciła swój dom, na który spadła bomba. Czy Sophie użyczyłaby im dachu nad głową na tę noc? Od czasu do czasu pomagała ludziom w ten sposób. Rozłożyła prowizoryczne posłania w saloniku lokatorów, przyrządziła kolację dla Wrightów i dała im trochę rzeczy

z przygotowanej na takie okazje torby z używanymi ubraniami. Zanim się ze wszystkim uporała, minęła dziewiąta. Zrobiła sobie herbatę i opadła na fotel we własnej bawialni. Ocknęła się w ciemnościach, przy odsłoniętych oknach i nietkniętej herbacie. Siedziała przez chwilę po ciemku, popijając zimny napój, po czym zaciągnęła rolety i poszła na górę, do swojej sypialni. Zegar na korytarzu pokazywał kilka minut po jedenastej. Wpatrywała się w drzwi pokoju Eda, myśląc o niedokończonej rozmowie. Uznała jednak, że jest już za późno, żeby do niego zapukać. Mógł spać.

Nazajutrz wszedł do kuchni, kiedy przyrządzała śniadanie, ubrany w garnitur i krawat. Elegancki ubiór nie przeszkadzał mu wyglądać niedbale, zauważyła z czułością.

– Chciałbym ci podziękować, że tak o mnie dbałaś – powiedział.

– Ed, to ty się nami opiekowałeś.

Pożegnali się i wyszedł. Sophie poczuła okropną pustkę. Po chwili usłyszała odgłos otwieranych drzwi i uniosła głowę.

Stał w progu.

– Nie mogę tego zrobić – zakomunikował. – Nie potrafię tak po prostu od ciebie odejść, Sophie. Chciałbym się jeszcze z tobą spotkać. Co ty na to?

– Nie wiem – odpowiedziała owładnięta nagłą paniką.

– Oczywiście. Rozumiem – rzekł ze zmienioną bólem twarzą.

Próbowała mu wytłumaczyć.

– To nie tak, że nic do ciebie nie czuję… – mówiła chaotycznie, urywanymi zdaniami. – Naprawdę bardzo dużo dla mnie znaczysz, ale nie jestem pewna… Nie wiem, czy mogłabym znowu…

Ed sięgnął do kieszeni po długopis i zapisał coś na skrawku papieru.

– Mój adres – wyjaśnił. – Sprawiłabyś mi wielką radość, gdybyś zechciała do mnie napisać. Ale nie czuj się w żaden sposób zobowiązana. Zaakceptuję każdą twoją decyzję i nie będę się narzucać.

Pożałowała swojego zachowania natychmiast, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. Dlaczego, na litość boską, nie powiedziała po prostu: tak, nie traćmy kontaktu, bo bardzo mi na tobie zależy, dom bez ciebie nie będzie taki sam i chciałabym, żebyś tu został na zawsze?

Złożyła kartkę z adresem Eda i schowała do najwyższej szuflady komody w swojej sypialni. Następnie, włożywszy szal i kapelusz, opuściła dom w towarzystwie Ruby, Kennetha i rodziny Wrightów. Sophie odprowadziła panią Wright i jej dzieci do urzędu miasta, podczas gdy Ruby zabrała Kennetha do przychodni. Zostawiła panią Wright podczas wypełniania formularzy, a sama udała się na zakupy. U rzeźnika usłyszała świst pierwszego tego dnia pocisku rakietowego, po którym zawyła demonicznie syrena alarmowa. Porzuciła swoje miejsce w kolejce i pobiegła ze wszystkimi do najbliższej stacji metra. Siedziała w kurzu i ciemnościach, odtwarzając w myślach rozmowę z Edem. Stała jak kołek, prawie bez słowa. Pomimo rozczarowania własnym zachowaniem czuła również pewną nadzieję. Postanowiła napisać do niego jeszcze dziś po południu. Spróbować wyjaśnić powody swego wahania i opowiedzieć o strachu, który odebrał jej głos, strachu przed miłością.

Wreszcie rozległ się sygnał odwołania alarmu powietrznego. Właśnie rozważała powrót do kolejki u rzeźnika, kiedy ktoś powiedział, że pocisk uderzył w południową część dzielnicy Kensington. Pobiegła do domu owładnięta trwogą. Powinna była wysłać Ruby z Kennethem na wieś, myślała. Nie byli bezpieczni w Londynie. Zachowała się egoistycznie, zatrzymując ich przy sobie.

Za rogiem, za którym zaczynała się Gilbert Street, wznosiła się chmura dymu. Sophie usłyszała pokrzykiwania strażaków i rzuciła się do biegu. Boże, nie pozwól, żeby byli w domu. Boże, Boże, błagam.

Skręciła w swoją uliczkę. W miejscu, gdzie był jej dom, zionęła teraz dziura. Zakryła usta dłonią. Nie była już nawet w stanie się modlić. Runęła do przodu, ale została zatrzymana przez kogoś z pomocniczej straży pożarnej.

– Mój wnuk… Synowa… – Łzy spływały ciurkiem po jej policzkach.

– To chyba oni, prawda?

Uniosła głowę i zobaczyła Ruby z wózkiem po drugiej stronie ulicy. Nogi się pod nią ugięły, fala gorąca przeszła od stóp do głów. Oparła się o najbliższą ścianę i zamknęła oczy.

Lej na drodze znaczył miejsce bezpośredniego uderzenia w dom sąsiadów. Jej własny nie miał dachu i znacznej części piętra. Wyglądał, jakby ktoś wziął ogromny nóż i ściął górną część

z sypialniami i łazienką. Wokół leżały spopielałe dymiące sterty cegieł, drewnianych drzazg i kafli, wszystko zmoczone wodą ze strażackich węży.

Pocieszała się myślą, że Ruby i Kenneth są bezpieczni, tym i życzliwością przyjaciół, którzy słali telegramy i telefonowali. Sąsiedzi zorganizowali pieluszki i ubranka dla Kennetha. Vera Cornish towarzyszyła jej w smutnych wędrówkach z domu przejściowego do urzędu miasta i banku i czekała z nią w kolejkach, kiedy wypełniała formularze na zastępcze karty żywnościowe, dokumenty tożsamości, książeczki czekowe i dotacje rządowe. Viola kupiła bilety kolejowe dla Ruby i Kennetha, którzy zostali oddelegowani do Lincolnshire. Będą bezpieczni w domu Duncana i Sally, gdzie w dwóch sypialniach musiało się teraz pomieścić troje dorosłych i dwoje małych dzieci. Sophie pozostała w Londynie. Zatrzymała się u Violi. Wydobyto z gruzów i oddano jej fragmenty minionego życia: mokrą i brudną encyklopedię z posklejanymi kartami, kasetkę z przyborami do pisania, a także naszyjnik od Kaza. Opłukała go z sadzy pod kranem w kuchni Violi. Zapięcie trochę się odkształciło, ale poza tym przetrwał katastrofę w dość dobrym stanie.

Wróciła na Gilbert Street po paru dniach. Jedna z sąsiadek poczęstowała ją herbatą i przekazała kolejną torbę z rzeczami, które udało się odzyskać ze zrujnowanych pokoi na piętrze. Później Sophie przeszła na drugą stronę ulicy, żeby popatrzeć na to, co zostało z domu, w którym założyła rodzinę i wychowała dzieci. Zniszczony budynek odgradzała od drogi blokada. Parter wyglądał na prawie nietknięty, z piętra natomiast pozostał tylko gruz.

Omiotła wzrokiem scenę katastrofy. Była tam noga od toaletki, pęknięta na pół ceramiczna umywalka. Odłamki kolorowych słoików z łazienki pokrywały gruz niczym zakurzone klejnoty. Sophie poczuła zimny dreszcz na widok zagłówka łóżeczka Kennetha z namalowanym króliczkiem. Jakieś strzępy materiału mogły być niegdyś ubraniami lub zasłonami, ale były zbyt mokre i brudne, aby to stwierdzić; okrywały brunatnoróżowymi fałdami stertę śmieci, która została ze znacznej części domu. Kartka z adresem Eda przepadła na zawsze. „Zaakceptuję każdą twoją decyzję i nie będę

się więcej narzucał, jeżeli nie napiszesz”, powiedział. A więc to koniec, pomyślała Sophie.

Po powrocie do domu przyjaciółki usiadła razem z nią przy stole i zaczęły rozpakowywać torbę przekazaną przez sąsiadkę. Sophie wyjęła pustą puderniczkę. Szlafrok żółty od pyłu. Jakieś książki i drewnianą podstawę lampy.

Na samym dole było coś jeszcze. Jęknęła z rozpaczą. To było jak kropla przepełniająca czarę goryczy.

– Co to jest? – zapytała Viola.

– Album ze zdjęciami – odparła, wyjmując go z torby. – Och, Vi – powiedziała, ocierając łzę. – Że też ze wszystkich rzeczy musieli ocalić właśnie to!

*

Rowan wspominała jedną ze swoich pierwszych rozmów z Joshem, podczas której zgodzili się oboje, że cokolwiek robią, powinni to robić jak najlepiej. Starała się dobrze wykonywać swoją pracę, dbać o Theę, która była w siódmym miesiącu ciąży, i utrzymywać stały kontakt z londyńskimi przyjaciółmi. „Nie trzeba się poddawać”, mówił. Żyła więc dalej mimo ogromnej pustki w sercu.

„Coś poszło nie tak podczas lądowania”, powiedział Alex tamtego wieczoru w szpitalu. „Nie powinienem wyjawiać takich rzeczy, ale Josh brał udział w akcji desantowej we Francji. Nasi ludzie mieli go odebrać ze strefy zrzutu, ale do niej nie dotarł. Pilot powiedział, że pogorszyły się warunki pogodowe i wiatr mógł go zdmuchnąć z kursu”.

Josh mógł wpaść do jakiejś rzeki lub jeziora. Mógł odnieść obrażenia podczas nieudanego lądowania. Gdyby został schwytany, groziło mu rozstrzelanie. Rowan nie chciała nawet o tym myśleć. I czasami, gdy miała dobry dzień, jakoś jej się to udawało. Najtrudniejsze były wieczory i noce, wtedy wyobrażała sobie spadochron opadający jak nasionko dmuchawca na tle granatowego nieba, miotany porywistym wiatrem, zaplątany w gałęzie drzewa.

Nie miała przeczucia, że on nie żyje. Zaginął zaledwie cztery dni po ich rozstaniu w leśnym domku. Wróciła już wtedy do pracy, a jednak

nic nie poczuła. W owe dobre dni miała niezachwiane niczym przekonanie, że jakoś wiedziałaby, gdyby Joshowi przydarzyło się coś bardzo złego. Nie mówiła o tym nikomu – ani Aleksowi, ani Artemis, ani nawet Thei – z obawy przed ujrzeniem w ich oczach litości. Jedyną osobą, z którą podzieliła się swym przekonaniem, była matka Josha. Ona czuła to samo.

Julia Makepeace napisała do niej list. *Dostałam Pani adres od Josha, zanim wyjechał. Chciałabym się z Panią zobaczyć, Pani Scott.*

Umówiły się na herbatę przy okazji jednego z pobytów Julii w mieście. Pani Makepeace była osobą wzbudzającą szacunek – piękną, czarującą, kulturalną i elegancką, w jasnej wełnianej spódnicy i beżowym kardiganie z kaszmiru, ale przede wszystkim onieśmielającą. Napełniła filiżanki herbatą i podała jedną Rowan.

– Josh jest inteligentny, rozsądny i zaradny – oświadczyła. – Poczeka w ukryciu, aż zrobi się bezpiecznie. – Mówiła z pewną surowością i groźnym błyskiem w brązowych jak u syna oczach. Sprawiała wrażenie, jakby rzucała Rowan wyzwanie.

– Widzi w ciemnościach jak kot – przyznała dziewczyna, wzbudzając wesołość rozmówczyni.

– To prawda – zachichotała Julia. – Od dziecka, łobuz jeden. Poczęstujesz się? – Podsunęła Rowan talerz z ciastkami.

– Nie. Dziękuję.

– Nie masz apetytu? Ja też nie. Zapakuję ci je na wynos, dla koleżanek. Podobno pielęgniarki są wiecznie głodne.

Rowan śledziła na mapie drogę aliantów przez Francję. Julia ma rację, myślała, Josh jest inteligentny i rozsądny. Nikt nie miałby większych szans na przeżycie skoku ze spadochronem na terytorium wroga niż on.

Mimo wszystko nocami dręczyła ją świadomość, że ludzka zaradność na nic się zdaje w starciu z losem.

Miała swoje zwyczaje i przesądy. Jeżeli nie będzie wyglądała go za każdym razem po wyjściu ze szpitala… Jeżeli nie będzie czekała na list lub telefon… Jeśli nie będzie na nic liczyć… Josh wróci. Josh miał własne sposoby zaklinania rzeczywistości. „Chciałbym ci powiedzieć

o tylu rzeczach, ale to nie byłoby uczciwe”. On także starał się nie liczyć na zbyt wiele.

Alex powrócił już do Anglii i leczył rany odniesione w Normandii. Rowan odwiedzała go w szpitalu, siadywała przy jego łóżku. Szrapnel rozszarpał jego sympatyczną twarz. Po wyjściu zaglądał do jej mieszkania regularnie, parę razy w tygodniu. Często rozmawiali o Joshu.

Rowan starała się nie rozmyślać zbyt wiele o życiu, które nie było im dane. Próbowała nie myśleć o domu, którego nie wybudowali, i o latach, których nie spędzą razem. A także o tym, że nie urodzi jego dziecka. Ale czasami, leżąc sama w okrutnej ciemności, nie mogła się powstrzymać. Gdyby chociaż była w ciąży, jak Thea, coś by jej po nim zostało. Przytuliłaby dziecko do serca i jakoś przetrwała te czarne miesiące i lata, które się przed nią rozciągały.

Sophie nie wiedziała, co ze sobą począć. Powiedzieć, że była niespokojna, to nic nie powiedzieć. Nie chciała przeszkadzać Dougowi, który przyjechał do domu na przepustkę, wychodziła więc w ciągu dnia.

Niekiedy odwiedzała przyjaciół, ale najczęściej wędrowała bez celu po mieście. „Co będziesz robić po wojnie?”, zapytał Ed. „Pewnie to samo, co teraz”, odparła. „Lokatorzy, dom, rodzina…” Możesz o tym zapomnieć, pomyślała teraz ponuro. Dom nie nadawał się do zamieszkania, lokatorzy znaleźli inne stancje, Ruby i Kenneth wyjechali do Lincolnshire. Cały pokryty sadzą dobytek odzyskany z pomieszczeń na parterze trafił do szop i garaży pomocnych sąsiadów. Sophie została z tym, co miała na sobie, jakimiś rzeczami od Violi, pękniętą puderniczką, diamentowo-granatową kolią, zepsutą lampą, nieczytelną encyklopedią i albumem fotograficznym, do którego nie zaglądała od lat i wiele razy była bliska spalenia go w kominku. Ale jak można wrzucić do pieca zdjęcia własnych dzieci z czasów niemowlęctwa?

Czekało ją budowanie życia od nowa, a czuła się wypalona. Pozbawiona własnego miejsca. W czasie wojny często używano tego

zwrotu – w odniesieniu do uchodźców i ludzi, którzy tracili domy. Kaz również tego doświadczył, ale Sophie dopiero teraz zrozumiała w pełni, co to znaczy. Czuła, że nigdzie nie pasuje. Wiecznie szukała schronienia i nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Czasami męczyły ją dziwne zawroty głowy. Żadnego domu do sprzątania, pieluszek do zmiany, ogrodu do pielenia. Od sześciu i pół roku pracowała w pocie czoła, najpierw walcząc o byt po śmierci Hugh, a później z powodu wojny. I nagle – pustka. Rozpaczy i zagubieniu towarzyszyła jednak przelotna ulga.

Album nie dawał jej spokoju. Był jak niedokończona sprawa, pozostałość po minionym życiu. Drwił z niej ze swojego miejsca w dawnym pokoju Toma, syna Violi, pełnego modeli samochodów, szkolnych pamiątek i sportowych akcesoriów. Po śmierci Hugh usiłowała wyciąć twarz męża z jednego ze zdjęć. Roztrzęsiona ze złości przypadkowo przecięła podobiznę małego Stuarta i poczuła się strasznie.

Podczas kolejnej wędrówki trafiła w okolice szpitala Świętej Anny. Kupiła pocztówkę w pobliskim kiosku, napisała wiadomość i zostawiła szatniarzowi z prośbą o przekazanie Rowan Scott. Nazajutrz dostała list z zaproszeniem do jej mieszkania.

Drzwi otworzyła jej starsza z sióstr. Młodsza, w bardzo już zaawansowanej ciąży, uniosła się z krzesła, by pocałować gościa w policzek. Sophie zapytała, jak się czuje, po czym rozmawiały przez chwilę o mężu Thei, który przebywał ze swoim dywizjonem gdzieś w walczącej Francji. Gdy Rowan przyrządzała w kuchni herbatę, Thea wyjaśniła szeptem, że narzeczony siostry zaginął, a ona nie chce o tym rozmawiać. Wobec tego, gdy gospodyni powróciła z poczęstunkiem, Sophie szybko zmieniła temat i opowiedziała im o domu przy Gilbert Street.

– Och, twój piękny dom – zawołała ze współczuciem Thea, wysłuchawszy jej do końca. – Tak mi przykro, Sophie. To musi być straszne.

– Gdybyś nie miała co ze sobą zrobić, koniecznie przyjdź do mnie – powiedziała Rowan. – Zawsze znajdę miejsce dla dodatkowej osoby.

Wielu ludzi okazało jej serce, ale tym razem, kiedy córka Hugh zaproponowała dach nad głową kochance ojca, jakby to była

najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, poczuła się dosłownie obezwładniona i bliska płaczu. Podziękowała zduszonym głosem, po czym wyjęła z torebki i położyła na stole album fotograficzny.

– Uratował się z pożaru – powiedziała. – Jedyna rzecz, której nie byłoby mi szkoda, gdyby poszła z dymem. Nie wiedziałam, co z tym zrobić, więc leżało.

Thea otworzyła album i uśmiechnęła się.

– Och, Sophie! To tata, prawda?

Patrzyła na zdjęcie Hugh Craxtona w wojskowym mundurze. Stojąca obok Sophie miała na sobie białą sukienkę z koronkowym kołnierzykiem.

– Byłam taka młoda – powiedziała. – Ledwie skończyłam dwadzieścia jeden lat. Hugh chciał zabrać ze sobą do Francji jakieś moje zdjęcie. Pomagałam w szpitalu jako sanitariuszka Czerwonego Krzyża. Byłam na samym dole w hierarchii.

– Baseny i bandaże. – Rowan postawiła przed nią filiżankę ze spodkiem.

– I polerowanie – dodała Sophie, sięgając po herbatę. – Wiecznie coś polerowałyśmy. Nie bardzo pamiętam po co. Nie dopuszczano nas do bardziej odpowiedzialnych zajęć. Dziewczyny, które zostały wysłane do Francji, oczywiście robiły wszystko, ale ja pracowałam w prywatnym domu opieki. Byłyśmy honorowymi salowymi, na usługach sióstr oddziałowych. Jedna z nich regularnie doprowadzała mnie do płaczu. Dorośli mężczyźni, pacjenci i odwiedzający truchleli przy niej ze strachu.

– Tata też? – zapytała z zaciekawieniem Thea.

Sophie potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, nie Hugh. On nie lękał się nikogo i niczego. Zawsze robił dokładnie to, co chciał. – Westchnęła. – Odłożyłam kilka zdjęć dla Stuarta. Duncanowi nic nawet nie wspominam. Z góry wiem, że nie będzie zainteresowany. Pomyślałam jednak, że może wy zechcecie zerknąć. Nie wiem sama, co z tym zrobić. Ciąży mi jak kamień, ale wyrzucić szkoda.

– Wezmę na przechowanie, jeśli chcesz – zaproponowała Thea.

– Mogłabyś?

– Tak. W pewnym sensie to także nasza przeszłość – stwierdziła dziewczyna, przewracając kartki.

Sophie zerkała na migawki z życia Hugh: w tweedowym stroju spacerowym, trzymający małego Duncana, stojący na plaży obok zamku z piasku.

– Zastanawiam się, czy tak naprawdę kochał kogokolwiek z nas – odezwała się Rowan.

– Kochał, Rowan – odparła z przekonaniem Thea. – Kochał nas wszystkich. Pomyśl, ile wysiłku wkładał w utrzymanie dwóch rodzin w tajemnicy jedna przed drugą. Po co miałby się tak męczyć, gdyby mu na nas nie zależało? Nie wierzę, że motywował go wyłącznie strach przed zdemaskowaniem. Tak jak powiedziała Sophie, tata nie bał się nikogo i niczego.

– Hm – mruknęła Rowan. – Może i tak.

Thea przewróciła kolejną stronicę. Sophie poczuła swoistą ulgę, pozbywszy się niewygodnej pamiątki. Czy wierzyła, tak jak Thea, w to, że Hugh kochał ich wszystkich? Trudno powiedzieć.

*

Josh codziennie zaprzątał myśli Rowan: śledziła doniesienia o postępach wojsk alianckich w Normandii, wodziła palcem po mapie Francji. Starała się trzymać swoje nadzieje na wodzy, gdy alianci osiągali coraz większe sukcesy w Europie, ale nie bardzo potrafiła. Na pewno już wkrótce się odnajdzie. Codziennie wychodziła ze szpitala podenerwowana. Mimowolnie wypatrywała Aleksa wśród tłumu wypełniającego poczekalnię. Obiecał natychmiast ją powiadomić, gdyby dostał jakiekolwiek wieści. Wyczyta z jego twarzy, czy przynosi wyrok, czy obietnicę szczęścia.

Do szpitala trafiali pacjenci ranieni pociskami rakietowymi. Ponadto panowała epidemia odry. Rowan pracowała na oddziale zakaźnym, oddalonym od głównego budynku. Z pomocą praktykantki sprawowała wyłączną opiekę nad trzydziestoma dwoma pokrytymi wysypką, kichającymi, kaszlącymi, zasmarkanymi, wysoce zakaźnymi dziećmi, niemowlętami w namiotach tlenowych i parowych, a także pięcio- i sześciolatkami z bronchitem, zapaleniem płuc

i owrzodzeniem rogówek. Podczas nocnych ataków z powietrza trzeba je było wszystkie przenosić do piwnicznego schronu. Budzić i opatulać kocami starsze, znosić najmłodsze i najbardziej chore.

Któregoś dnia, kiedy dopiero co skończyły układać małych pacjentów z powrotem do łóżek po odwołaniu alarmu, ponownie zawyła syrena. Podwładna Rowan, szczupła dziewczyna w okularach o nazwisku Trevelyan, córka pastora z Kornwalii, uniosła brwi.

– Co za parszywa noc – powiedziała.

Jeszcze raz opatuliły dzieci i zabrały je do piwnicy. Rowan wróciła na oddział po bardzo chore niemowlę, od trzech dni podłączone do tlenu z powodu trudności z oddychaniem. Wokół rozbrzmiewała ta sama kakofonia dźwięków co zwykle – głośny łoskot wybuchających bomb. Parszywa noc, w istocie, pomyślała. Nie czuła się najlepiej. Bolała ją głowa i bała się, że nadciąga atak migreny. W szpitalu brakowało personelu pomocniczego, który gromadnie wyjeżdżał do Francji, by pielęgnować rannych żołnierzy. Nie miała czasu na chorowanie.

W chwili, gdy wyjmowała dziecko z namiotu tlenowego, budynek gwałtownie zadrżał w posadach od pobliskiego wybuchu. Upadła, osłaniając niemowlę. Podniosła się po chwili, cała roztrzęsiona, i zbiegła do piwnicy. Przez cały czas, kiedy siedziała w pomieszczeniu bez okien z dzieckiem w ramionach, bolała ją głowa i szczypało gardło. W nagłym zaćmieniu duszy nabrała pewności, że czas porzucić wszelką nadzieję. Gdyby Josh zdołał się gdzieś ukryć, już dawno dałby znak życia. Region Francji, w którym wylądował, został wyzwolony. Pielęgnowanie iluzji jest swoistą torturą, już lepiej pogodzić się z jego śmiercią, myślała. Po wielu miesiącach podtrzymywania w sobie nadziei opadła z sił. Bolało ją serce i piekły załzawione oczy.

Po dwóch godzinach odwołano alarm. Po raz kolejny pielęgniarki zaniosły dzieci na górę. Rozwożono kolację, ale nie była w stanie niczego przełknąć. Ostatnia godzina dyżuru dłużyła się niemiłosiernie. Marzyła tylko o tym, by wesprzeć głowę na biurku i zasnąć. Kiedy wreszcie mogła wyjść do domu, narzuciła pelerynę, wsiadła do pociągu na najbliższej stacji metra i opadła na siedzenie. Powinna się rozchmurzyć przed spotkaniem z Theą, a jednak tego

dnia było to wyjątkowo trudne. Wysiadła przy Covent Garden, spocona, ze świerzbiącą skórą, i ruszyła ku Macklin Street. Zdjęła pelerynę, która zbyt mocno grzała.

Thea wyszła jej na spotkanie, najwyraźniej usłyszawszy, że otwiera drzwi.

– Rowan. – Powiodła ją za rękę do salonu, gdzie czekał Alex Moore. – Posłuchaj – powiedziała, ściskając delikatnie dłoń starszej siostry.

Rowan słyszała pulsowanie krwi w uszach.

– On żyje – oznajmił Alex. – Znaleźli Josha. Żyje i nic mu nie będzie.

Pokój nabrał mglistego odcienia ciemnej zieleni; zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Alex jej w porę nie przytrzymał.

Kiedy otworzyła oczy, leżała już na swoim łóżku. Był przy niej Alex.

– Thea poszła zrobić herbatę – wyjaśnił.

– Mów! – wyszeptała. Łzy spływały jej ciurkiem po policzkach.

– Nic mu nie będzie – powtórzył z uśmiechem Alex. – Złamał nogę podczas lądowania i trochę się nacierpiał, ale wróci do domu. – I dodał przepraszająco: – Przestraszyłem cię śmiertelnie. Bardzo przepraszam.

Czuła się strasznie, a jednocześnie była pijana ze szczęścia. Poprawiła poduszki, rozpięła mankiet i obejrzała swoje przedramię.

– To nie twoja wina, Aleksie – zapewniła. – Zawdzięczam ci najwspanialszą wiadomość na świecie. – Popatrzyła na wchodzącą do pokoju siostrę. – Thea, czy my przechodziłyśmy w dzieciństwie odrę? Nie, nie podchodź, kochana. To okropnie zaraźliwe. Nie pamiętasz, czy kiedykolwiek byłyśmy chore na odrę?

Żołnierz, który siedział w przedziale naprzeciwko Thei, pomógł jej zdjąć walizkę i przytrzymał drzwi. Podziękowała mu. Wyszła na peron, wdychając słodkie, ciepłe powietrze angielskiej wsi.

Stanęła na przystanku autobusowym. Pasma chmur przemykające po krystalicznie błękitnym niebie rysowały cienie na jasnozielonych wzgórzach. Rowan leżała w szpitalnej izolatce z powodu odry,

a ponieważ nie mogły sobie przypomnieć, czy Thea przechodziła ją w dzieciństwie, natychmiast została odesłana do Northumberland, do rodziny Cormaca.

Wspięła się po schodach do autobusu i zapłaciła za bilet. Usiadła, przytrzymując brzuch. Wyczuwała ruchy dziecka, które miało przyjść na świat w Crawburn. Ich syn lub córka będzie dorastać w tym samym miejscu, co tata. Ta świadomość napawała Theę optymizmem. Cieszyła się, że mogą dać dziecku prawdziwe korzenie i przynależność do dużej, kochającej rodziny. Koniec tajemnic, postanowiła.

CZĘŚĆ TRZECIA

POŻEGNANIE Z WYSPĄ
1945–1946

Rozdział dziewiętnasty

Październik 1945–styczeń 1946

Piętro i dach domu przy Gilbert Street zostały odbudowane. Sophie, Stuart, Ruby i Kenneth wprowadzili się przed dwoma tygodniami. Stuart był tego popołudnia w pracy, Ruby zabrała syna do przyjaciół, Sophie mierzyła okna pod zasłony. Na górze nadal unosił się zapach mokrego betonu przywodzący na myśl wilgotną sierść psa. Farby i tapety stanowiły towar deficytowy, dlatego wiele ścian pozostało w stanie surowym.

Mimo że wojna dobiegła końca, żywność wciąż była reglamentowana. Brakowało wszystkiego. Zdawała sobie sprawę, jak wielkie mają szczęście, że odzyskali dach nad głową, podczas gdy wokół tyle było bezdomnych rodzin i ludzi zmuszonych mieszkać kątem u krewnych. Nie dzieliła się z nikim rozczarowaniem, że dom nie jest już tym samym domem co kiedyś. Coś przepadło bezpowrotnie, myślała. Tylko pokoje na parterze wciąż przechowywały te same wspomnienia. Obeszła pomieszczenia z miarką, długopisem i notesem. Tutaj, na tym korytarzu, poznała Ruby, którą od razu pokochała. A tam, w gabinecie Hugh, zamienionym w salon dla lokatorów, zaczęła odkrywać ogrom jego zdrady. Tu, w bawialni, biedny Kaz gładził ją po włosach. „Masz takie piękne włosy, Zosiu. Jak jedwab”.

Sophie przeszła do kuchni, wspięła się na szafkę i przyklękła na ociekaczu, żeby zmierzyć okno na podwórze. Ogród też pamiętał lepsze czasy. Po starej gruszy, która padła ofiarą letniej burzy, pozostała już tylko blizna w ziemi i drewno, które Stuart porąbał na opał. W zeszłym tygodniu on i Duncan rozebrali stary schron,

schowali arkusze pofalowanej blachy w szopie, poza zasięgiem Kennetha. Sophie zgrabiła jesienne liście, a młodszy syn przekopał grządki. Zasiali zimowe warzywa z nasion, które dostali od przyjaciół i sąsiadów. Kiedy ostatnio Sophie robiła coś w ogrodzie, często natrafiała szpadlem na cegły i odłamki kafli. Pod ścianą leżała już cała ich sterta. Stuart miał zamiar je wykorzystać do zbudowania piaskownicy dla Kennetha i jego młodszego brata lub siostry, za sześć miesięcy miało bowiem przyjść na świat kolejne dziecko.

Kuchnia, pełna światła i wspomnień, zawsze była sercem domu. To właśnie tu powiedziała Violi, co zrobił Hugh, a Viola przyprawiła ją o wstrząs wyznaniem o kochanku. Tutaj po zakończeniu wojny przyjaciółka obwieściła, że zostawia Douga dla Arnolda. A nie dalej jak wczoraj odgarnęła za ucho pasmo siwiejących brązowych włosów i poskarżyła się:

– Ostatnie miesiące były udręką, Sophie, istną udręką. Nie spodziewałam się aż tak gwałtownej reakcji chłopców. Musiałam jednak odejść od Douga i nie żałuję tej decyzji.

Druga córeczka Duncana i Sally, Isobel, miała już sześć miesięcy. Duncan opuścił szeregi Royal Air Force i zatrudnił się na lotnisku w Croydon. Zamieszkał z Sally i dziećmi u jej rodziców w Richmond do czasu znalezienia własnego domu. Stuart podjął tymczasowo pracę w hotelu, ale od września zaczynał studia na kierunku inżynierskim.

Sophie zeszła na podłogę. Zostało jej do zmierzenia jeszcze jedno małe okno w spiżarni. Musnęła pieszczotliwie kredens Eda, gdy go mijała. Jakimś cudem przetrwał eksplozję. Wspominała postawnego mężczyznę stojącego na progu kuchni tamtego dnia, kiedy opuścił Gilbert Street, tego samego dnia, kiedy pocisk rakietowy zmiótł z powierzchni ziemi sąsiedni budynek. Zatraciła się we wspomnieniach, równie pięknych, jak bolesnych. „Nie mogę tak po prostu od ciebie odejść, Sophie. Chciałbym cię jeszcze spotkać”. Wchodziła do każdego napotkanego antykwariatu w nadziei, że go tam zastanie, polerującego drewno albo malującego niebiańskie girlandy kwiatów. Tak się jednak nie stało. Może wyjechał do Lancashire, by być bliżej córki i wnuków. Może poznał inną kobietę, ożenił się, zapomniał o Sophie.

Rowan powróciła do mieszkania, gdzie zrzuciwszy z siebie pielęgniarski strój, włożyła tweedową spódnicę i popielatą bluzkę. Narzuciła płaszcz, obwiązała szyję szalikiem, po czym popędziła do baru na Strandzie na spotkanie z Joshem.

Lokal był wyłożony ciemną boazerią, niektóre żłobione szyby miały sklejone taśmą pęknięcia. W kominku nie płonął ogień. Drzwi otwierały się raz po raz, ludzie wciąż wchodzili i wychodzili. Szukała wzrokiem Josha, z mimowolną obawą, za którą nienawidziła samej siebie. Chociaż za każdym razem miała nadzieję, że tego dnia będzie inaczej, że zjawi się w dobrym nastroju, jak dawny Josh, to ostatnio było coraz trudniej być dobrej myśli. Minął już rok, odkąd powrócił z Francji. Przez ten czas nauczyła się rozpoznawać, w jakim jest humorze, po jego spojrzeniu. Jeżeli miał jeden ze swoich najgorszych dni, mógł nie przyjść wcale.

Zobaczyła go; siedział przy małym okrągłym stoliku. Był blady i wyglądał na zmęczonego, kreślił wzory wykałaczką w rozlanym piwie. Przywołała uśmiech na twarz i ruszyła w jego stronę.

– Cześć, kochanie. – Pocałowała go w policzek i usiadła.

Jego uśmiech przypominał tik nerwowy.

– Jak ci minął dzień? – zapytał.

– Nie najgorzej. Miałam dużo pracy. Nie mogłam się doczekać końca dyżuru.

– Dżin z tonikiem?

– Poproszę.

Podszedł do kontuaru. Czasami potrafiła go wyciągnąć z czarnej studni, w którą się zapadał. Próbowała na niego nie patrzeć, gdy stał w kolejce, aby nie pochwycił jej zmartwionego spojrzenia. Nienawidził, kiedy się o niego martwiła. Wstydził się wtedy i czuł się bezużyteczny. Mimo wszystko nie potrafiła opanować zdenerwowania, wiedząc, jak bardzo źle znosi tłok. Mogła wybrać spokojniejsze miejsce na spotkanie.

Powrócił do stolika i postawił przed nią szklankę. Zauważyła, że nie drżą mu ręce. To dobry znak.

Usiadł.

– Rzuciłem tę robotę – oznajmił.

Serce w niej zamarło. Josh od dwóch miesięcy pracował u przyjaciela w City.

– Nie szkodzi – odparła wesoło. – Znajdziesz inną.

– Oczywiście, że szkodzi – żachnął się. – Czuję się tak cholernie bezużyteczny.

Przed wojną pracował w winiarni, co jednak wiązało się z częstymi podróżami na kontynent. Po powrocie do Anglii podjął kilka prac biurowych. W żadnej nie zagrzał miejsca zbyt długo.

– Przepraszam – powiedział ciszej, biorąc ją za rękę. – Sam jestem sobie winien. Ale nie mogłem już tam wytrzymać.

– Widocznie nie było to miejsce dla ciebie, kochanie. Znajdziesz coś lepszego.

– Przyprawiało mnie o ból głowy. – Postukał palcem w skroń. – O tu.

– W dalszym ciągu miewasz te bóle?

– Od czasu do czasu – odpowiedział, po czym dodał niespokojnie: – Tylko nie każ mi wracać do doktora Claytona. On uważa, że wymyślam. To widać.

– W zasadzie miałam zamiar powiedzieć coś banalnego o piciu wody i zażywaniu świeżego powietrza.

Tym razem uśmiech dosięgnął jego oczu.

– Postanowiłeś już coś w związku ze ślubem Aleksa? – zapytała. Alex żenił się pod koniec listopada z pielęgniarką, którą poznał za granicą w czasie wojny.

– Powinienem. Wiele mu zawdzięczam.

– Ja bym bardzo chętnie pojechała. Przyjemnie byłoby spędzić weekend na wsi, prawda? Poproszę o wolne w szpitalu.

Przysadzisty mężczyzna, lawirujący między stolikami z dwoma kuflami piwa, potrącił Rowan i ją ochlapał.

Josh poderwał się z miejsca.

– Uważaj, gamoniu!

– Kogo nazywasz gamoniem? – obruszył się tamten, spoglądając groźnie. Josh zacisnął pięści.

– Nic się nie stało – powiedziała uspokajająco Rowan, zwracając się do nieznajomego, a później do Josha: – W porządku, Josh.

– Uważaj na to, co mówisz, człowieku – burknął mężczyzna z piwem, zanim się oddalił.

– Za dużo ludzi – mruknął Josh. – Możemy wyjść?

Wstała, strzepując ze spódnicy krople piwa. Krótka chwila normalności została brutalnie przerwana. Josh będzie długo dochodził do równowagi po tym epizodzie. Miała ogromną ochotę wbić obcas w stopę mężczyzny, przechodząc obok niego, ale zdołała się powstrzymać.

Poszli w stronę bulwaru. Najlepiej im się rozmawiało właśnie podczas spacerów. Nasuwało jej się przygnębiające przypuszczenie, że to dlatego, że na siebie wtedy nie patrzyli. Odezwała się optymistycznym tonem, którego często używała, kiedy byli razem.

– Jak dobrze pooddychać świeżym powietrzem. Cały dzień siedziałam w zamknięciu. Jedna z koleżanek zachorowała i musiałam pracować podczas przerwy.

Josh nie odpowiedział. Rowan spróbowała go zagadnąć raz jeszcze i ponownie nie doczekała się żadnej reakcji. Dalej szli już w milczeniu. Nad Tamizą świeciła niepełna tarcza księżyca, odbijając się w oleistej wodzie, oświetlając statki i barki węglowe zacumowane w pobliżu zrujnowanych magazynów.

– Czy teraz też boli cię głowa? – spytała.

– Nie, teraz nie. – Spiorunował ją wzrokiem. – Przestań mnie niańczyć, Rowan. Nie znoszę tego.

Była zmęczona i zniecierpliwiona.

– Wolałbyś, abym w ogóle się nie odzywała? – rzuciła ostro, nim zdążyła się powstrzymać.

Wzruszył ramionami.

– Nie miałbym nic przeciwko temu.

– Telefonowałeś do pana Hennessy’ego?

– Czy telefonowałem do pana Hennessy’ego… Rany boskie, znowu zaczynasz, Rowan?

– A więc nie?

– Nie. – Odwrócił się do niej. – Po co miałbym iść do jeszcze jednego niedouczonego doktora od głowy, skoro dwaj poprzedni okazali się gorzej niż bezużyteczni?

– Może ten będzie inny i zdoła ci pomóc. Proszę cię, Josh, nie skreślaj go z góry. – A ponieważ nie odpowiedział, dodała: – Cieszy się bardzo dobrą opinią. Pracował z takimi ludźmi jak… – Zreflektowała się i szybko się poprawiła: – Ma doświadczenie w pracy z żołnierzami.

Josh jednakże nie stracił nic ze swej bystrości.

– Z takimi ludźmi jak ja – powiedział cierpko. – Czyli wariatami. To miałaś na myśli, co, Rowan? – W kącikach jego ust zaigrał uśmiech, jak gdyby czerpał satysfakcję z tego, że ją przyłapał.

– Przestań. – Zamknęła oczy. – Chciałam powiedzieć zupełnie co innego. – Nagle opadła z sił. – Posłuchaj, powinnam już iść. Nie działamy dziś na siebie zbyt dobrze. Zatelefonuję do ciebie jutro.

Pocałowała go w policzek i zostawiła samego. Obejrzała się jeszcze za siebie ze łzami w oczach. Stał w tym samym miejscu, oparty o mur. Przyszła jej do głowy przygnębiająca myśl, że Josh może zrobić dziś coś głupiego: rzucić się w brązowe odmęty albo wszcząć bijatykę.

W lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, w samym środku zaciekłej bitwy o Normandię, wojska alianckie dotarły do Josha schowanego w małym podziemnym pomieszczeniu pod stodołą. Ukrywał się tam przez dwa miesiące, żywiąc się tym, co mu dostarczał odważny gospodarz. Wychodził wyłącznie nocami, kiedy wszyscy czekali, aż siły aliantów wyzwolą tę część Normandii.

Pięć miesięcy wcześniej, w lutym, znalazła go pewna Francuzka. Leżał półprzytomny w rowie ze skomplikowanym złamaniem nogi po nieudanym lądowaniu i majaczył. Kobieta przewiozła go pod osłoną nocy do swojego domu w pobliskiej wsi wozem zaprzężonym w konia. Miejscowy lekarz zajął się złamaniem najlepiej, jak umiał, po czym nawiązał kontakt z ruchem oporu. Przez kolejne dwa i pół miesiąca Josh przemieszczał się z jednej kryjówki do następnej; zanim trafił do ziemianki pod stodołą, mieszkał w różnych budynkach gospodarczych, piwnicach i na strychach.

Rowan dowiedziała się o tym wszystkim od Aleksa Moore’a. Josh nigdy z nią nie rozmawiał o swoich przeżyciach. Kiedy Alex wspomniał o ziemiance, ścierpła jej skóra. Przecież on nienawidził zamkniętych przestrzeni.

Zobaczyła przed sobą mężczyznę wychodzącego z Middle Temple Lane.

– Patrick, Patrick! To ty, prawda? – zawołała, rozpoznając znajomą sylwetkę.

Odwrócił się.

– Dalibóg! Rowan!

– Witaj, Patricku. – Pocałowali się na powitanie.

– Jak zwykle pięknie wyglądasz.

– Hm. Bardzo mi pochlebiasz. Czuję się okropnie zmęczona i zaniedbana. Ty za to wyglądasz doskonale. – W świetle ulicznej latarni włosy Patricka wyglądały na posiwiałe i przerzedzone, wokół oczu rysowała się siateczka zmarszczek.

– Dokąd idziesz? – zapytała.

– Na stację Waterloo. Mieszkam teraz w Guildford, z tatą. Odprowadzisz mnie kawałek? Tak dobrze cię widzieć, Rowan.

– Guildford! Ależ co z Elaine? – Do tej pory to siostra Patricka zajmowała się ich chorym ojcem.

– Wyszła za mąż – odpowiedział ku zaskoczeniu Rowan, która uważała Elaine za zdeklarowaną starą pannę. – Ma dwuletniego synka.

– Jest szczęśliwa?

– Bardzo.

Zawrócili w kierunku bulwarów, ku mostowi Waterloo.

– Cieszę się. A wasz ojciec? Jak on się czuje?

– Jest już bardzo słaby, ale nie podupada na duchu. A co u ciebie? Wciąż pracujesz w szpitalu?

– Mam już takie kwalifikacje, że mogę dyrygować młodszymi.

– Na pewno jesteś bardzo dobrą pielęgniarką.

– Tak myślisz? – Popatrzyła na niego przenikliwie. – Ciekawe, czemu nie umiałam być dobrą żoną.

– Chyba żadne z nas nie sprawdziło się w małżeństwie.

– To prawda.

– Zrobiłaś drugie podejście?

– Nie. – Zawahała się. – Mam kogoś, kogo bardzo kocham, ale jest ciężko. A ty?

Zaprzeczył.

– Nie mam nikogo. Colin… Pamiętasz Colina?

– Twojego przyjaciela ze szkolnej ławy? Colina Slatera? Tak.

– Nie żyje. Zginął w japońskim obozie jenieckim. Piszę monografię na jego temat, o jego życiu. Był kimś wyjątkowym i nie chcę dopuścić, aby o nim zapomniano. Jeżeli nie znajdę wydawcy, sam pokryję koszty publikacji. Przynajmniej dla rodziny i szkoły.

Dotknęła jego mankietu.

– Tak strasznie mi przykro, Patricku. To takie smutne. Masz rację: był wyjątkowym człowiekiem – dodała.

– Dziękuję. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, prawda?

Czyżby? – zastanowiła się. Była wściekła z powodu tego, co spotkało Josha. Dziś wieczorem nie zdołała zapanować nad furią. Cała ta nadzieja i tęsknota, gdy zaginął… A na koniec coś takiego, ta wegetacja, ten wrak człowieka, którego kochała. Nachodziły ją niekiedy obawy, że on już nigdy nie wydobrzeje. To był właśnie jeden z takich dni.

Popatrzyła na Patricka.

– Kiedyś uważałeś swojego tatę za człowieka o trudnym charakterze – zagadnęła.

– Może złagodniałem. Albo lepiej go teraz rozumiem. Dobrze się dogadujemy. Mam w Guildford mnóstwo pracy i uwielbiam być wujkiem.

Rozstając się na moście Waterloo, obiecali sobie, że pozostaną w kontakcie, choć oboje wiedzieli, że są to puste obietnice. Zawróciła i poszła wzdłuż rzeki.

Josh został zwolniony ze służby wojskowej z powodów zdrowotnych na początku tego roku, w styczniu czterdziestego piątego. Fizycznie mniej więcej doszedł do siebie. Znów był wysportowany i aktywny, mimo że prawa noga pozostała nieco krótsza od lewej. Pod względem psychicznym natomiast było z nim bardzo źle. Jakkolwiek nazwać to, co go dręczyło – nerwicą frontową, napięciem alarmowym czy zaburzeniem lękowym – przysparzało mu ogromnego cierpienia. Rowan leczyła wystarczająco dużo ofiar wojny, aby rozpoznać symptomy. Josh nienawidził dużych skupisk ludzkich. Szybko się męczył, cierpiał na bóle głowy, miał niespokojny sen. Doskwierały mu problemy z koncentracją

i zachowywał nieustanną czujność. Nieprzewidziane wydarzenia w rodzaju dzisiejszego incydentu w barze – czyjś gwałtowny ruch, głośniejszy dźwięk bądź lekkomyślność obcych – wprawiały go w stan nerwowego pobudzenia. Zrywał się wówczas z miejsca, gotów walczyć o życie.

Od początku wiedziała, że musi dać mu czas. Delikatnie motywowała go do powrotu do pracy, chociaż w głębi duszy wiedziała, że nie jest jeszcze gotowy. Przekonywała go do wizyty u psychiatry, z miernym skutkiem. Prawdopodobnie bał się ewentualnych prób skonfrontowania ze wspomnieniami, ponieważ nie umiałby stawić im czoła. Próbował odciąć się od przeszłości, odsunąć od siebie trudne uczucia, które jednak uparcie pokonywały jego mechanizmy obronne. Usiłował sam radzić sobie ze swoimi problemami, to się jednak nie mogło udać, był zbyt chory. Pochodził z typowej, sztywnej angielskiej klasy średniej, ze środowiska, gdzie proszenie o pomoc uznawano za przejaw egoizmu, a przyznanie do słabości za powód do wstydu. Makepeace'owie radzą sobie ze wszystkim sami. Kłopot polegał na tym, że Josh sobie nie radził.

Nacisnęła dzwonek w budynku, w którym mieszkał. Pani Lyons wpuściła ją do środka. Weszła na górę i zapukała do drzwi jego mieszkania.

Otworzył. Westchnął na jej widok i ją przytulił. Długo tak stali, wtuleni jedno w drugie.

Weszli do mieszkania, które niewiele się zmieniło od czasu, gdy była tu po raz pierwszy, po ich spotkaniu zapoznawczym w klubie Signorelli. W dalszym ciągu skąpo umeblowane i schludne, ale pełne usterek, których nikt nie naprawiał. Pomyślała, że zatrzymało się w czasie, podobnie jak Josh.

– Wybacz mi, kochany – powiedziała. – Miałam paskudny dzień i nastrój.

– Nie, to była moja wina. Jak zwykle. – Pogładził ją po włosach.

– Zrobisz mi kawę?

Postawił przed Rowan filiżankę i usiadł obok na sofie. Przycisnął palce do skroni.

– Czasem czuję się jak tuż przed wybuchem – powiedział. – Jakbym miał w głowie granat bez zawleczki. Sam ból nie jest tak

dokuczliwy jak oczekiwanie na nieuchronną katastrofę.

Pierwszy raz tak się przed nią otworzył. Poczuła nieśmiały cień nadziei.

– To jest choroba, Josh. Będzie lepiej, naprawdę. Wiem, że to brzmi jak banał, w który trudno uwierzyć, ale tutaj tylko czas pomoże. – Sama nie była pewna tego, co mówiła, bo przecież szpitale dla nerwowo chorych wciąż miały pacjentów z poprzedniej wojny. Stłumiła dreszcz.

– Nie mogę iść do kolejnego medyka – stwierdził. – Możesz to uznać za irracjonalne, ale po prostu nie mogę. Nie będę tracić czasu, bo wiem, że i tak się zatnę.

Splotła swoje palce z jego palcami.

– W porządku. To nie jest irracjonalne. Rozumiem, naprawdę rozumiem, kochany. Sama byłam gotowa rozmawiać o matce dopiero po dziesięciu latach, więc jeszcze dużo ci brakuje do pobicia mojego rekordu. – Przerwała. – Czy rozważasz powrót do Suffolk i zamieszkanie z rodzicami na jakiś czas? Wiem, że Julia i Bill byliby zachwyceni.

– Brzmi jak szantaż, żebym się wziął w garść – powiedział z goryczą.

Rowan wzdrygnęła się wewnętrznie, ale zdołała zachować spokój.

– Mylisz się, Josh – odparła. – Po prostu widzę, że nie jesteś gotowy, żeby wrócić do pracy, i naprawdę uważam, że na wsi byłoby ci lepiej. Tylko kilka miesięcy, dopóki nie wyjdziesz na prostą.

– Co miałbym tam robić? Bez ciebie?

– Mogę poszukać czegoś w pobliżu. Na pewno znalazłabym pracę w miejscowym szpitalu albo domu opieki.

Wyglądał na wycieńczonego, skóra wokół jego oczu przypominała szary pergamin.

– Nie mogę tego od ciebie wymagać. – Zamilkł na dłuższy czas, po czym dodał: – Chciałbym cię poprosić, żebyś za mnie wyszła, Rowan, ale jak – skoro nie potrafię na siebie zarobić?

Nawet nie próbowała mu tłumaczyć, że z przyjemnością utrzyma ich oboje. Mężczyźni z rodu Makepeace'ów byli głównymi żywicielami rodziny. Nigdy by się nie zgodził na taki układ i ona o tym wiedziała.

– Nie ma pośpiechu – rzekła więc zamiast tego.

– Jestem pieprzonym wrakiem. Boję się, że zostanę taki już na zawsze.

– Nie. – Przytuliła twarz do jego torsu. Ona także była przybita i miała łzy w oczach. Wymamrotała coś o mleku do kawy, by uciec do kuchni.

Poszedł za nią.

– Kocham cię – powiedział. – Tak bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też.

Po chwili zatoczyli się do sypialni, zapominając o kawie. Zdzierali z siebie ubrania ponaglani intensywnym pożądaniem i nieodpartą tęsknotą. Później zasnął z głową na jej piersi. Tak komunikowali się najlepiej, w milczącym złączeniu ciał i dusz, przekazując sobie miłość poprzez dotyk i pieszczotę. Czasami myślała, że już tylko tyle pozostało z ich związku.

Thea wrzucała listy do skrzynki w Lawton, kiedy dostrzegła Madeline Greville po drugiej stronie ulicy. Ta wysoka, delikatnie zbudowana kobieta o prostych platynowych włosach była niemal tak blada jak jej futrzana czapka z białego lisa. Ludzie we wsi plotkowali, że spodziewa się dziecka. Pod fałdami kraciastego płaszcza spowijającego jej smukłą postać trudno było cokolwiek zauważyć. Osobiście Thea uważała spór Jamiesonów z najbliższymi sąsiadami za męczący i bezproduktywny, zachowywała jednak tę opinię dla siebie, zwłaszcza teraz, w obliczu nowych animozji. Powiedziała głośno dzień dobry, na co pani Greville zareagowała spłoszonym spojrzeniem i niepewną odpowiedzią.

Wracała do domu przez Langhill Road, popychając przed sobą dziecięcy wózek. Piętnastomiesięczna Polly, która niedawno zaczęła chodzić, marudziła i próbowała się wydostać. Thea dała córeczce klucze do zabawy. Wylądowały w kałuży. Pokazała wronę, owce i zaganiającego je psa rasy collie, wydawała przy tym odpowiednie odgłosy.

– Tatuś niedługo wraca do domu, Polly – powiedziała. Dziewczynka wyciągnęła rączkę po klucze, po czym wzięła do buzi metalowy

breloczek. Niebieska wełniana czapeczka zsuwała jej się z główki, odsłaniając burzę ciemnych loków. Thea była zachwycona, że ich córka odziedziczyła sprężynki po tacie zamiast jej prostych włosów. Z dnia na dzień nastąpiło załamanie pogody, trawa na zboczu była szara od szronu, powietrze gryzące i mroźne. Chętnie poprawiłaby małej czapeczkę, ale wówczas Polly, przypomniawszy sobie o znienawidzonym nakryciu głowy, zerwałaby je całkowicie. – Tatuś wraca – powtórzyła. – Już za kilka dni. – Uśmiechnęła się do córeczki, która odpowiedziała jej takim samym uśmiechem. Rozłąka z Cormakiem, która trwała już półtora roku, bolała nieustannie. Ten ból schodził niekiedy na drugi plan, lecz nigdy nie znikał. Przepchnęła wielki stary wózek nad wyboistą częścią drogi.

Minęła rezydencję Greville'ów, Langhill House. Purpurowa smuga na bramie z kutego żelaza przypominała krew, była niczym symboliczne wyzwanie, obelga. Thea przygryzła wargę i poszła dalej. Jamiesonowie uznawali Madeline Greville za zarozumiałą, lecz ona sama podejrzewała, że sąsiadka może być po prostu nieśmiała. Charles Greville, teść Madeline, umarł w czasie wojny. Po wygaśnięciu walk w Europie wdowa po nim wyprowadziła się z Langhill na południe, aby być bliżej córki. W domu zamieszkał dziedzic majątku, Rufus, z żoną. Thea wiedziała to wszystko od ciotki Cathy, najlepiej poinformowanej osoby w okolicy. Od niej też usłyszała, że Madeline pochodzi z Londynu, a jej ojciec jest właścicielem jakiegoś banku. Jeżeli młoda pani Greville była prawdziwą dziewczyną z miasta, która uwielbiała chadzać do sklepów, restauracji i teatrów, mogła się czuć nieco osamotniona w Langhill. Thea, mimo że dorastała w dużym mieście, zawsze czuła się na wsi jak ryba w wodzie i dla niej przeprowadzka do odludnego regionu Northumberland nie była zbyt wielkim wyrzeczeniem. Oczywiście tęskniła za niektórymi aspektami życia w mieście: brakowało jej muzeów, bibliotek, przyjaciół i oczywiście Rowan. A także pracy.

Dzielenie domu z dużą, swarliwą rodziną to jednak co innego, potrzebowała więcej czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Gospodarstwo Jamiesonów było głośne, tętniące życiem i pełne ludzi próbujących sobą dyrygować. Szkoła z internatem i wojsko

przyzwyczaiły ją do mieszkania z dużą liczbą osób, ale nie do długich sprzeczek, jakie praktykowano w tej rodzinie, i nie do nieustannego hałasu. Pytania i komentarze na temat biegłości w pieczeniu ciasta lub zmieniania pieluch sprawiały jej przykrość. Ciekawość Jamiesonów, okraszona nieproszonymi radami, w których się specjalizowali, była w gruncie rzeczy nieszkodliwa, Thea zdawała sobie z tego sprawę, ale nawet Nicola, najszczęśliwsza za kierownicą traktora albo przy snopowiązałce, uznała na początku za stosowne skomentować kilka razy metody wychowawcze szwagierki. Tylko świadomość, że siostra Cormaca uwielbia Polly, że skoczyłaby za dziewczynką w ogień i jest dla niej niczym druga matka, pomagała puszczać jej uwagi mimo uszu. Nicola z przyjemnością zajmowała się bratanicą, ilekroć Thea potrzebowała kilku chwil dla siebie albo drzemki po nieprzespanej nocy. Teraz sama była już mężatką – wyszła za Lenniego, który wrócił do domu w czterdziestym czwartym z powodu ran odniesionych na włoskim froncie. Oni także doczekali się dziecka. Janet miała dopiero sześć tygodni.

W Crawburn mieszkali więc teraz, oprócz Roberta Jamiesona, Nicola, Lennie, Janet oraz Thea i Polly. Robert odstąpił córce i jej rodzinie największą sypialnię, którą niegdyś dzielił z matką Cormaca. Thea i Polly sypiały w pokoju ze spadzistą podłogą i widokiem na ogród.

Thea kochała swoje dziecko z głęboką, niesłabnącą żarliwością. Od chwili, kiedy Polly przyszła na świat w sypialni w Crawburn wrześniowego dnia czterdziestego czwartego roku, wiedziała, że zrobiłaby dla niej wszystko. Oddałaby życie za swoją córeczkę bez chwili wahania. Mogła godzinami patrzeć, jak mała śpi, obserwować z zachwytem rumiane policzki i cień długich rzęs na jedwabistej skórze. Ten rodzaj miłości wzbogacał, lecz także sprawiał ból. Nie była przygotowana na mnóstwo niedogodności związanych z ciążą, porodem i macierzyństwem. Mimo że przed przyjściem córki na świat skrupulatnie zapoznawała się z literaturą na temat porodu i opieki nad noworodkiem, szybko odkryła ogrom swojej niewiedzy. Książki pomijały tyle faktów, że graniczyło to wręcz z nieuczciwością. Na przykład bóle porodowe opisywano w nich słowem „dyskomfort”. Nie wspominały o cierpieniu wywoływanym przez płacz dziecka,

zwielokrotnionym, gdy nie udawało się dociec jego przyczyny. Zbywały kilkoma zdaniami potworne wyczerpanie po nocnych karmieniach. Cztery tygodnie po porodzie, kiedy wreszcie poczuła się na siłach, by pójść do Lawton, oddała wszystkie książki do antykwariatu.

Nawet nie podejrzewała, z czym się wiąże macierzyństwo. I rozpaczliwie tęskniła za Cormakiem. Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze do zniesienia, myślała, gdyby dzieliła z nim swoje szczęście i zmęczenie; gdyby mógł zdjąć z niej choć część obowiązków i zmartwień.

Nie zdawała sobie dotąd sprawy, ile czasu może pochłaniać taki maleńki człowiek. Karmiła, przewijała i usypiała Polly, potem sprzątała bałagan, jaki wokół niej powstawał, a kiedy kończyła, córka domagała się kolejnego karmienia. Dziewczynka budziła się w nocy do piątego miesiąca życia, przez pierwsze pół roku nie udało im się wypracować żadnej rutyny ani nawet namiastki regularności. W tym czasie Thea cały czas chodziła nieprzytomna ze zmęczenia. Wkładała skarpetki nie do pary, piła łyk herbaty, odstawiała kubek i nie mogła go już potem odszukać. Jeżeli jakimś cudem znajdowała dziesięć minut na zajrzenie do książki, czytała po kilka razy to samo zdanie, a i tak nie rozumiała jego sensu. Wszystkie prace, które wykonywała do tej pory – jako sekretarka, kelnerka, archeolożka, a nawet żołnierka – mimo że w swoim czasie wydawały się trudne, były niczym w porównaniu z opieką nad noworodkiem.

Pierwsze spokojne zaśnięcie Polly przy piersi i pierwszy przelotny uśmiech to były punkty zwrotne. Thea pomyślała wtedy, że nie wszystko robi źle. Córka wodziła za mamą zachwyconym wzrokiem. Była śliczną i bystrą dziewczynką, co wydawało się wyjątkowym łutem szczęścia. Geny szalonych Jamiesonów i niespokojnej Sigrid mogły stworzyć zgoła inną mieszankę. Oczywiście w drzewie genealogicznym brakowało ważnych informacji, Polly mogła przecież odziedziczyć pogodne usposobienie, czarne włosy i niebieskie oczy po dziadku.

Piętnastomiesięczna Polly nie znała jeszcze swojego taty. Cormac wraz z innymi żołnierzami alianckich sił zbrojnych przedostał się z wybrzeży Normandii do Berlina, gdzie pozostał po zakończeniu

wojny w maju czterdziestego piątego roku i pomagał utrzymać kruchy pokój w zrujnowanym, głodującym mieście. Przegapił pierwszy uśmiech córki, jej pierwszy krok i pierwsze słowo. Dwa dni temu przyszła w końcu wiadomość o zwolnieniu ze służby. Nareszcie wracał do domu.

Thea wprowadziła wózek na podwórze. Nicola wyszła im naprzeciw i wzięła Polly na ręce.

– Cześć, skarbie – zaszczebiotała. – Jak się miewa nasza ślicznotka?

Weszły do domu. Janet, córeczka Nicoli, spała. Thea zajęła się krojeniem warzyw na kolację, podczas gdy Nicola zabrała Polly na górę, na popołudniową drzemkę. Z saloniku dochodziły podniesione głosy.

– Zasnęła błyskawicznie – powiedziała szwagierka, powróciwszy do kuchni.

– Dziękuję ci. – Thea skinęła brodą w kierunku dużego pokoju. – Co się tam dzieje?

– Wujek John nas odwiedził.

– A Jack i Francis? – Czarnowłosi, niebieskoocy bliźniacy, synowie wuja Johna i ciotki Cathy, byli dwudziestoparoletnimi narwańcami i łobuzami. Uwielbiali płatać rozmaite figle i nie stronili od alkoholu. Thea bardzo lubiła tych urodzonych awanturników, tyle że ich towarzystwo było dla niej ostatnimi czasy zbyt męczące.

– Nie ma ich, dzięki Bogu – odparła Nicola.

– Ugotować zupę?

– Nie trzeba, ja to zrobię. Powinnaś zdjąć płaszcz. Jest za gorąco, żeby w nim siedzieć.

– Wyszłabym na spacer, gdybyś zechciała przypilnować Polly.

– Oczywiście. Wiesz, że zawsze chętnie z nią zostaję. – Nicola zerknęła na bratową. Zmarszczki na jej czole się wygładziły i jakby nieco złagodniała. – Dobrze się czujesz?

– Tak – zapewniła, zakładając buty. – Po prostu nie mogę usiedzieć w miejscu.

Szwagierka wrzuciła do rondla kawałek masła.

– Ja też czekam na niego z motylami w brzuchu – powiedziała, kiedy Thea podchodziła do drzwi.

Pięła się pod górę od strony ogrodu. Potrzebowała porządnego spaceru wśród drzew i łąk zamiast mozolnego pchania wózka. Musiała zapanować nad napięciem, które w niej wzbierało. Buzowało z podekscytowania, odkąd przeczytała ostatni list od Cormaca. Radości towarzyszył jednak pewien niepokój. Doświadczenia, jakie miał za sobą, zmieniają ludzi. Ona sama też się zmieniła. Oboje byli innymi osobami niż tych dwoje, którzy żegnali się na peronie półtora roku temu. Gdyby podliczyć cały czas, jaki spędzili razem, byłoby tego może cztery, pięć tygodni.

Wszyscy znali historie związków, które rozpadały się po wojnie. Wystarczyło popatrzeć na Rowan i Josha, żeby zdać sobie sprawę z ryzyka. Josh wrócił do kraju na początku roku, a w dalszym ciągu nie byli nawet zaręczeni i mieszkali oddzielnie. Kochali się, ale czy ich miłość pokona rozziew, który stworzyła między nimi wojna?

Thea pisała do męża codziennie. Zdołała nagryzmolić kilka linijek nawet w dniu narodzin Polly. Czasami mijał tydzień lub dwa bez żadnej wiadomości od Cormaca, dni upływały wtedy w napięciu, a później dostawała cały plik. Miała dwa pudełka listów od niego, w których dzielił się z nią nadziejami i obawami. Pisał, że kolega, który mieszka w okolicy i którego Thea poznała przelotnie przed ponad pięcioma laty w St Malo, Phil Coleman, zaproponował mu pracę w swoim warsztacie na obrzeżach Hexham. Phil zajmował się naprawą motocykli i produkcją części zamiennych. Cormac jeszcze nie wyjawił ojcu swoich planów na przyszłość, po powrocie do domu.

Ona tymczasem starała się z całych sił być przydatna w Crawburn. Skrupulatnie studiowała książki o prowadzeniu gospodarstwa domowego i była znacznie lepszą kucharką niż przed ślubem. Podejrzewała jednak, że nigdy nie osiągnie mistrzostwa w tej dziedzinie. Kiedy Nicola miotała się wściekle po kuchni, efektem były cudownie lekkie biszkopty i mięciutki pyszny chleb. Ciasta Thei przeważnie miały zakalce, szeroko komentowane przez ciotkę Cathy. Nie czerpała żadnej przyjemności z powtarzalnych obowiązków domowych, które uważała za łamiące duszę. To była konieczna praca, ważna praca, a jednak nie umiała znaleźć w niej żadnej satysfakcji ani zmusić się do większego zaangażowania.

Poszła ścieżką prowadzącą przez oszronioną łąkę w stronę lasu. Kochała dziką przyrodę otaczającą Crawburn, a najbardziej Low Chase. Chłodny mrok przywodził na myśl las w Normandii, który przemierzyła w czterdziestym roku, uciekając z Francji. Znalazła pozostałości starożytnej osady wspomnianej przez Cormaca tamtego dnia, kiedy się oświadczył. Olbrzymie omszałe głazy na małej polanie w samym sercu lasu tworzyły coś w rodzaju okręgu. Chętnie przeprowadziłaby badania archeologiczne dla potwierdzenia swojej teorii, że konstrukcja pochodzi z epoki żelaza, ale ziemia nie należała do Jamiesonów. Właścicielem Low Chase był Rufus Greville. Poprzestała zatem na sporządzeniu szkiców zabytkowego obiektu i wkrótce miała dość dokładny plan. Czasami zabierała ze sobą swój rydel i odgarniała fragmenty ziemi niewidoczne ze ścieżki. Dokończywszy dzieła, zamierzała przesłać opis znaleziska Grace.

Przysiadła na jednym z głazów porośniętych mchem. Grace i Monty wrócili do Londynu niedługo po zakończeniu wojny. Helen i Max oraz ich trzyletni synek Rafe mieszkali z nimi w domu w Bloomsbury. Z powodu olbrzymich zniszczeń wojennych brakowało miejsc nadających się do zamieszkania, szczególnie w miastach.

Ponadto nikt nie miał pieniędzy. Grace napisała do Thei, że próbuje zebrać fundusze na letnie prace badawcze w okolicy Wiltshire. W związku z ograniczeniami finansowymi byłoby to skromne przedsięwzięcie, nieduże stanowisko archeologiczne, na którym pracowała z Montym już wcześniej. Jeszcze nie proponowała jej wzięcia udziału w ekspedycji, ale Thea przeczuwała, że ta propozycja w końcu padnie. A wtedy będzie zmuszona ją odrzucić. Nie mogłaby zostawić Polly i wyjechać tak daleko. Wykluczone. Nie powiedziała więc o tym nikomu – ani Nicoli, ani Cormacowi – i starała się zapomnieć.

Ostatnimi czasy często ogarniała ją panika, gdy zerkała na kamienną głowicę siekiery z Corran, którą wciąż przechowywała jak największy skarb, i myślała o pracy archeologa. Nigdy nie poruszała z Jamiesonami tematu swojej kariery. Byli dla niej tacy życzliwi. Wstydziła się, że tak bardzo tęskni za archeologią. Miała przecież męża, którego kochała z całych sił, piękną zdrową córeczkę, wygodny dom w przepięknej okolicy. Wojna się skończyła. Powinna

być szczęśliwa. Tymczasem dawne życie wymknęło jej się z rąk z zatrważającą łatwością i bała się, że przepadło na zawsze. Czy po sześciu latach przerwy mogła jeszcze uważać się za archeolożkę?

Wyszła z lasu na otwartą przestrzeń. Przystanęła, żeby popatrzeć na Langhill House. Rufus Greville wprowadził pewne zmiany po śmierci ojca. Przystąpił do działania z godną podziwu energią. Dom strząsał szarą, brudną skorupę, którą obrósł za czasów Charlesa Greville'a, i odzyskiwał dawny splendor. Uprzątnięto podjazd i taras, skoszono trawę, posadzono kwiaty i przystrzyżono żywopłoty. Ktoś najwyraźniej zdobył puszkę farby, bo okiennice i framugi drzwi tarasowych lśniły świeżą bielą. Pewnego dnia pod koniec lata, gdy Thea przechodziła obok bramy Langhill, zobaczyła sąsiada własnoręcznie ścierającego warstwę rdzy z kutego żelaza.

Dwa miesiące temu Rufus poinformował wujka Johna, że jego umowa dzierżawy Bane Rigg nie zostanie przedłużona po wygaśnięciu. Wiadomość spadła na Jamiesonów niczym zapalona zapałka na wysuszone drewno. John poprosił Rufusa o ponowne przemyślenie decyzji, lecz ten był nieugięty, skutkiem czego w zeszłym tygodniu wuj i ciotka Cormaca stracili ziemię, którą uprawiali przez dziesiątki lat. Znudzeni po niedawnym wyjściu z wojska i szukający zaczepki bliźniacy odpowiedzieli wylaniem purpurowej farby na świeżo odmalowane lśniące wrota Langhill House. Miało to miejsce dwa dni temu. Thea była niepocieszona, że kuzyni męża zrobili coś takiego tuż przed zapowiedzianym powrotem Cormaca. Nie chciała, żeby radość z jego powrotu została przyćmiona kłótniami i zgryzotą.

Przeniosła spojrzenie na drogę za domem. Ktoś nadchodził. Obserwowała oddaloną postać znikającą co chwila za pagórkami na krętym szlaku. Powinnam wracać do domu, myślała, zbliża się pora kolacji i Polly wkrótce się obudzi. Nie mogła jednakże oderwać wzroku od mężczyzny idącego Langhill Road.

Przeszył ją dreszcz. Zacisnęła dłonie w pięści, oddech jej się urywał. Zbiegła w dół zbocza i wzdłuż ścieżki po drugiej stronie Langhill, roztrącając kępy trawy.

Dopadła drogi zdyszana, z szybko bijącym sercem.

– Cormac! Cormac! – zawołała uszczęśliwiona.

Na jej widok on także rzucił się do biegu. Porwał ją w ramiona i zasypał pocałunkami. Thea poczuła, że wszystko będzie dobrze; jakby jakiś od dawna brakujący element, którego nieobecność przestała prawie zauważać, powrócił na właściwe miejsce.

Polly obudziła się z popołudniowej drzemki i Thea zniosła ją na dół, do kącika rekreacyjnego. Wciąż zaspana, siedziała na maminych kolanach z kciukiem w buzi, zerkając z ukosa na nieznajomego, który był jej ojcem. Na komodzie, poza zasięgiem dziewczynki, stał serwis do herbaty; Nicola rozdawała filiżanki, Janet gaworzyła w koszyku obok sofy. Thea, podobnie jak córka, wciąż szukała wzrokiem Cormaca. Był taki znajomy, a jednocześnie inny, zmieniony trudnymi doświadczeniami i ciężarem odpowiedzialności. Udało mu się zabrać wcześniejszym transportem, wyjaśnił. Przebrnął przez całą biurokrację niezbędną do uzyskania oficjalnego zwolnienia z wojska najszybciej, jak to możliwe, i już wczoraj dotarł do Yorku. „Nie mogłem się doczekać", powiedział. „Musiałem cię zobaczyć. Minęło tyle czasu".

Robert, John i Nicola mieli swoje sprawy do omówienia z Cormakiem.

– Bane Rigg jest niczym bez ziemi – stwierdził John Jamieson, nerwowo mieszając herbatę. – Nie mówię, że pochwalam zachowanie chłopców…

– Co za głupole – wtrąciła Nicola.

– Skąd wiadomo, że to oni?

– Nie pokazali się w domu od tamtej pory.

– Przeczekują burzę.

– Czy Rufus Greville jakoś zareagował?

– Jeszcze nie.

– Cholerni idioci.

Polly skończyła swoją butelkę mleka, które lubiła pić po drzemce, i powoli się rozchmurzała. Zsunęła się z kolan Thei i podreptała do pudła z zabawkami. Chodziła od niedawna i jeszcze dość niepewnie. Cormac wziął Theę za rękę.

– Zmieścicie się jeszcze przez jakiś czas w starej sypialni, prawda, Cormacu? – zapytała Nicola.

– Damy sobie radę. – Obserwował Polly zajętą wyciąganiem szmacianej lalki z kufra.

– Będzie wam trochę ciasno we trójkę. Moglibyście się przenieść do zielonego pokoju, gdyby nie przeciekający dach.

– To tylko na jakiś czas. Poszukamy własnego domu.

– Nie musicie – zaprotestował Robert. – Jest mnóstwo miejsca.

– Wiem, tato. Dziękuję ci. Doceniam to, ale Thea i ja potrzebujemy czegoś swojego. Stanowczo zbyt długo mieszkałem w namiotach i barakach, sypiałem w rowach albo w szczerym polu. – Rozmawiając z ojcem, jednocześnie gładził kciukiem wnętrze dłoni żony, przyprawiając ją o dreszcze tęsknoty.

– Potrzebujemy cię w gospodarstwie, synu – powiedział Robert.

– Nie będę pracował w gospodarstwie.

– Głupstwa pleciesz.

– Crawburn powinna dostać Nicola. To ona najwięcej tu robiła przez całą wojnę.

– Lennie też coraz lepiej sobie radzi – dodała siostra.

– Oczywiście będę pomagał w razie potrzeby.

– Cóż za wspaniałomyślność – warknął Robert.

– Mam pracę, tato. W Hexham. Kolega zatrudnił mnie do pomocy w swoim warsztacie motoryzacyjnym.

– Co ty tam chcesz, do diabła, robić? – zapytał podniesionym głosem ojciec.

Janet zaczęła płakać.

– Tato! – ofuknęła go Nicola, poruszając koszykiem.

Robert wymamrotał przeprosiny. Cormac tymczasem ścisnął Theę mocno za rękę i zmienił temat.

– Zrobiłem coś dla Polly.

Wyjął z plecaka drewnianą kaczkę na sznurku pomalowaną na jaskrawe kolory. Kiwała się śmiesznie ciągnięta za sznurek. Polly obserwowała, jak Cormac prowadzi zabawkę w tę i z powrotem po dywanie. Po chwili podał koniec sznurka córce. Nastąpiła długa chwila zastanowienia, po której Polly przedreptała przez pokój, przyjęła prezent i uśmiechnęła się do taty.

Rowan spędzała wieczór u koleżanki. Siedziała na sofie i przeglądała poradnik dla ciężarnych. Koleżanką tą była Caroline Jenkins, rumiana wesoła dziewczyna, z którą pracowała w szpitalu polowym w Kencie w czterdziestym roku, kiedy obie zaczynały. Nadal utrzymywały ze sobą kontakt. Caroline przyjęła po mężu nazwisko Ross. Wyszła za jednego z chirurgów ze Świętej Anny, miała trzyletniego synka i spodziewała się kolejnego dziecka. Pozostała tak samo rumiana i wesoła jak zawsze.

– Przerażająca kupa bzdur – skomentowała Caroline, odnosząc się do książeczki o macierzyństwie. – Nie mam pojęcia, czemu rozdają to coś kobietom rodzącym po raz kolejny.

Rowan czytała właśnie fragment o objawach ciąży.

Zmęczenie, nudności, ból piersi, brak krwawienia miesięcznego lub skąpe krwawienie. Przeczytała ponownie. I trzeci raz.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Caroline coś do niej mówi. Podniosła głowę.

– Dobrze się czujesz, Rowan?

– Tak. W porządku. Przepraszam, trudny dzień.

– Nie wiem, jak ty wciąż wytrzymujesz w tym szpitalu. Miałam go serdecznie dość. Nie mogłam się doczekać, żeby stamtąd uciec.

Rowan spróbowała się uśmiechnąć.

– Na pewno bardzo się cieszysz z drugiego dziecka. Cóż za wspaniała wiadomość dla ciebie i Alana.

Te słowa zapoczątkowały rozmowę o dzieciach, podczas której Rowan czuła się bardzo niepewnie, po czym gospodyni zaproponowała jej kolejną kawę.

– Nie, dziękuję. Powinnam się zbierać.

Na górze zapłakał synek Caroline. Młoda matka uniosła brwi.

– Och Boże, biedaczek jest przeziębiony. Obawiam się, że czeka nas ciężka noc.

Rowan wyszła odprowadzona do drzwi przez koleżankę. Czekając na autobus, miała mętlik w głowie. Jeszcze raz przebiegła w myślach listę objawów ciąży przeczytaną w broszurce Caroline. Od kilku tygodni odczuwała wszystkie naraz i była przerażona. A zarazem

ekstatycznie szczęśliwa. Nie może powiedzieć Joshowi. Musi powiedzieć Joshowi. To niemożliwe, żeby była w ciąży. Na pewno jest w ciąży.

Nadjechał autobus. Wysiadła w pobliżu Strandu. Nie było sensu odkładać tej rozmowy; lepiej mieć ją już za sobą, skoro i tak jest nieunikniona. Uświadomiła sobie, że nie potrafi przewidzieć reakcji Josha. Miała obawy, że poczuje się przyciśnięty do muru.

Wślizgnęła się na klatkę schodową, korzystając z okazji, że ktoś wychodził. Weszła na górę i zapukała do jego mieszkania.

Pocałował ją na przywitanie.

– Nie spodziewałem się twojej wizyty. Myślałem, że jesteś u Caroline.

– Posiedziałam u niej tylko chwilę. Nie przeszkadzam?

– Skądże, kochanie. Wspaniale cię widzieć. Drinka?

– Nie, dziękuję. Może kawę. Albo nie. – Poczuła mdłości na myśl o kawie. – Podaj mi tylko szklankę wody, dobrze, Josh?

– Cieszę się, że przyszłaś – powiedział, odkręcając kran. – Zastanawiam się… – Napełnił szklankę. – Może masz rację. Może powinienem pojechać na jakiś czas do rodziców.

– To może pomóc. – Wiedziała, jak trudna musiała być dla niego ta decyzja.

– Wiem, że nie mogę tego ciągnąć. Muszę coś zrobić, cokolwiek. Zawiodłem cię.

– Wcale nie, Josh. – Pomasowała go po ramieniu.

– Będę za tobą przeraźliwie tęsknił.

– Może powinnam pojechać z tobą.

– Rowan, przerabialiśmy to już.

– Chyba jestem w ciąży.

Wpatrywał się w nią oszołomiony.

– W ciąży…

– Tak podejrzewam. Cholera, jestem pewna. Od tygodni czuję się dziwnie.

Milczał.

– Głupio mi, że nie zorientowałam się wcześniej – powiedziała szybko, rozczarowana brakiem jego reakcji. – W końcu jestem pielęgniarką! Nie przypuszczałam jednak, że mogę mieć dzieci.

– Kochanie, jestem szczęśliwy. – Popatrzyła na niego i wiedziała, że mówi prawdę. – Cóż za cudowna wiadomość.

– Prawda? – powiedziała z drżeniem i łzami w oczach.

– Usiądź. Na pewno niczego nie potrzebujesz?

– Na pewno. Przestań mnie niańczyć, Josh.

Rzucił jej rozbawione, wymowne spojrzenie, jak dawny on. Odpowiedziała krzywym uśmiechem.

– Tak, wiem. Przyganiał kocioł garnkowi. Najwyżej będziemy się niańczyć nawzajem, przynajmniej do urodzenia dziecka. Później skupimy się na nim.

– Na nim?

– Mężczyźni z rodziny Makepeace'ów najczęściej płodzą synów. – Obaj starsi bracia Josha mieli synów: Ronald trzech, Peter dwóch.

– Nie będzie ci szkoda odchodzić ze szpitala?

Westchnęła.

– Szczerze mówiąc, mam dość pracy w szpitalu. Ciekawa rzecz, że w czasie wojny przynosiła mi więcej satysfakcji. Nie chcę, broń Boże, powiedzieć, że tęsknię za tym koszmarem, ale ostatnio czuję się pozbawiona motywacji.

– Nic nie mówiłaś.

– Myślałam, że to przejściowe. Straciłam dawny entuzjazm. Wszystko wygląda inaczej. Mówię ci, nowicjuszki na moim oddziale są takie młode. I w przeważającej większości głupiutkie. Patrzą na mnie jak na jakiś relikt przeszłości.

Niekiedy dopadały ją obawy, że stażystki uważają ją za starą ciotkę skupioną na przeszłości. Znalezienie się na miejscu wyśmiewanych przed laty własnych przełożonych było przygnębiającym doświadczeniem. Kilka dni temu, kiedy objaśniała paru nowym pielęgniarkom, jak postępowano w szpitalu podczas wojny, jedna z nich z trudem stłumiła ziewnięcie.

– Ludzie chcą zapomnieć – powiedział Josh. – Młodzież nie ma ochoty nawet myśleć o wojnie.

– Wiem. – W pewnym sensie było to zrozumiałe, gdy człowiek stawiał się na ich miejscu.

– Czuję się chyba podobnie jak ty – stwierdził. – Te wszystkie umiejętności, które zdobyłem – komu one teraz potrzebne? Znam

ludzi, którzy wyjeżdżają na drugi koniec świata, żeby uczestniczyć w cudzych konfliktach zbrojnych. Nie mają poczucia, że żyją, kiedy nic się nie dzieje. Ja mam na to zbyt zszargane nerwy, ale nie mogę powiedzieć, żebym ich nie rozumiał. – Wziął ją za rękę. – Chcesz tego dziecka, prawda, Rowan?

– Tak, bardzo.

Wciąż nie mieściło jej się to w głowie. Nie wydawało się prawdziwe. Dawno pogodziła się z myślą, że nigdy nie zostanie matką.

– Jestem już za stara na macierzyństwo, Josh – oświadczyła. – Mam trzydzieści dwa lata i trochę się martwię, czy podołam.

– Będziesz wspaniałą matką.

Doprawdy? Można mieć jak najlepsze chęci, a mimo to zawieść na całej linii. Sigrid najprawdopodobniej też chciała jak najlepiej.

Josh pocałował Rowan w czubek głowy.

– Słuchaj, najpierw pojedziemy do Suffolk, a tam postanowimy, co dalej. O nic się nie martw. Ale czy nie uważasz, że powinniśmy się pobrać?

– Tak, chyba powinniśmy. – Znów była na granicy płaczu. – Tak, bardzo proszę, Josh.

Objął ją i jeszcze raz pocałował.

Pierwszy dom na liście sprzedał się, zanim jeszcze zdążyli go obejrzeć – sprzątnęła go im sprzed nosa sześcioosobowa rodzina. Thea i Cormac poświęcili kolejne tygodnie na odwiedzenie w pobliżu Hexham każdej nieruchomości na sprzedaż lub wynajem, która nie przekraczała ich możliwości finansowych. Oglądali pokoje nad smażalnią, które pachniały wołowym tłuszczem, i wiejski domek z tak niskim sklepieniem, że Cormac nie mógł się w nim wyprostować. Był też lodowaty bungalow o ścianach pokrytych czarną pleśnią. I mieszkanie, w którym wyraźnie słyszeli każde słowo kłótni sąsiadów. A także nieduży budynek z kamienia usytuowany w dolinie nad potokiem, bez łazienki, bieżącej wody i elektryczności.

Oraz cały szereg innych przygnębiających propozycji nie do przyjęcia.

Obejrzeli szeregówkę we wsi położonej dziesięć kilometrów od Hexham. W ogrodzie piętrzyły się sterty śmieci – rozdarty mokry materac, wybebeszony fotel, kartony przesiąknięte wodą, puszki i butelki. Widok jak po wybuchu bomby, pomyślała Thea. Nic jednak nie wskazywało na to, by okolica ucierpiała kiedykolwiek z powodu nalotów z powietrza. Oprowadzał ich mężczyzna w poplamionych sztruksowych spodniach z papierosem zwieszonym z kącika ust. Jakiś nastolatek spał na kanapie w salonie, przykryty wytartym kocem. Kiedy ojciec odsłonił zasłony, młodzian naciągnął pled na głowę. Wszystkie pomieszczenia cuchnęły skwaśniałym mlekiem i kotami.

Po wyjściu bez słowa wsiedli na motocykl i opuścili wieś. Cormac zjechał na pobocze wąskiej krętej drogi. Thea zeszła z siodełka.

– Siedem lat służby – powiedział gorzko. – Dobry Boże, więc taki mamy wybór: między ruderą a mieszkaniem z moją rodziną, podczas gdy ludzie pokroju Greville'ów rozdają karty? – Odwrócił się do Thei, która zobaczyła gniew w jego oczach. – Nie tego dla nas chciałem. Nie tego chcę dla naszej córki.

Rowan nie mogła wziąć ślubu z Joshem w kościele z powodu wcześniejszego rozwodu z Patrickiem. Wyczuwała cichy wyrzut ze strony Makepeace'ów; ceremonia w urzędzie stanu cywilnego nie spełniała rodzinnych standardów. Ona sama natomiast była dość zadowolona z takiego rozwiązania; krótka skromna uroczystość będzie łatwiejsza do przebrnięcia dla Josha, a ona uniknie trudnych skojarzeń ze ślubem numer jeden. Ponadto zawarcie małżeństwa w Londynie, zamiast w zacofanym Suffolk, nie powinno się spotkać ze zbyt wielkimi oporami Makepeace'ów, a przyjaciele młodej pary nie będą musieli fatygować się daleko. Zresztą, dumała Rowan, przywołując wspomnienie o ojcu, całe to zamieszanie z liczbą małżeństw ma zgoła inny wymiar dla Craxtonów.

– Josh będzie się strasznie męczyć – powiedziała Rowan.

– Nie każdy lubi takie uroczystości – przyznała Thea, która była świadkiem na ślubie siostry. – Ja umęczyłam się na swojej.

Panna młoda zerknęła na ich odbicie w lustrze toaletki. Upięła włosy i wplotła w nie kobaltową wstążkę, współgrającą kolorystycznie z rypsową jedwabną sukienką i płaszczem. Thea obcięła na krótko ciemne włosy, które okalały teraz twarz postrzępionymi kosmykami pod małym kapeluszem z beżowej satyny – do kompletu z sukienką o długich rękawach, wybraną dla niej przez siostrę w butiku Edwiny.

Rowan wstała i odwróciła się bokiem do lustra. Ciąża nie była jeszcze bardzo widoczna. Julia Makepeace skomponowała ślubny bukiet z jarzębiny, który zamaskuje niewielkie zgrubienie w talii.

Bill Makepeace miał przyszłą synową wprowadzić do sali w urzędzie. Thea poszła po bukiet, Rowan zaś rozmyślała o ojcu. O tym, że przed wojną zakochał się w pięknej Szwedce poznanej w Paryżu, a dziewięć lat później zapłonął uczuciem po raz kolejny, w londyńskim sanatorium. Mieli ze sobą coś wspólnego, ona i jej ojciec, łatwo się zakochiwali. Tym razem czuła jednak – była pewna – że miłość do Josha jest tą ostatnią i na zawsze.

Siostry wsiadły do taksówki, która powiozła je ulicami Londynu. W poczekalni Thea pomogła Rowan wygładzić suknię. Panna młoda wzięła głęboki wdech. Thea ścisnęła ją za rękę.

– Wyglądasz pięknie, moja droga – powiedział Bill Makepeace. – Josh będzie bardzo dumny.

Rowan wzięła go pod ramię i razem weszli do sali, w której czekali już zgromadzeni goście. Serce zabiło jej szybciej na widok Josha stojącego na wprost w towarzystwie swojego świadka, Aleksa. Kiedy się odwrócił, poczuła obezwładniającą czułość. Nie miała wątpliwości, że ich małżeństwo przetrwa wszelkie próby.

Rozdział dwudziesty

Luty–maj 1946

Thea wracała z Lawton, popychając przed sobą wózek. Oprócz Polly miała pod opieką małą Janet, ponieważ Nicola była zajęta od świtu do nocy przy jagniących się owcach. Córeczka Nicoli zasnęła, zanim dotarły do Crawburn, Thea wysadziła więc Polly z siodełka przy wózku, zaciągnęła moskitierę gondoli i ustawiła ją w cieniu pod zadaszeniem, niedaleko kuchennych drzwi, gdzie drobna mżawka nadawała połysk kamiennej ścieżce. Zaniosła Polly na górę i ułożyła w łóżeczku na drzemkę, następnie wniosła do domu i rozpakowała zakupy. Pokroiła warzywa na gulasz, ubiła jajka z masłem i mąką na biszkoptowy deser, po czym wstawiła do upieczenia. John, Jack i Francis pomagali Nicoli przy owcach, trzeba zatem było przygotować większą ilość jedzenia. Obrała ziemniaki i sprzątnęła kuchnię, zanim wyszła sprawdzić, co u Janet. Po powrocie zrobiła sobie herbatę i zabrała kubek do kącika rekreacyjnego. Otworzyła książkę zamówioną w bibliotece w Hexham o badaniach archeologicznych Mortimera Wheelera na zamku Maiden w Dorset.

Kiedy kończyła czytać pierwszą stronę, usłyszała płacz dziecka. Odłożyła lekturę i poszła po Janet. Płacz dobiegający z góry przerwał jej podgrzewanie mleka. Nakarmiła niemowlę w sypialni, siedząc na łóżku i czytając Polly książeczkę. Gdzieś pomiędzy tymi czynnościami rozmyślała o przyjaciołach. Rano dostała list od Peggy: koleżanka pisała, że Ralph i Nancy Wadhamowie, młode małżeństwo, które poznały, dzieląc pokój w Bloomsbury, mają już troje dzieci. Nancy spędza więcej czasu u swojej matki w Walii niż z Ralphem w Londynie, donosiła Peggy. Sama Peggy nadal mieszkała

w Kornwalii, w miejscowości o nazwie St Ives. Byli z Geraldem w separacji. Thea z przyjemnością by ją odwiedziła, żeby sprawdzić, jak sobie radzi, ale było to niemożliwe z powodu dzielących je ośmiuset kilometrów. Claudia Daniels, z którą wstąpiła do Wojsk Obrony Terytorialnej, mieszkała teraz w Yorku, całkiem niedaleko. Mogłaby się do niej wybrać pociągiem, lecz po chwili odrzuciła ten pomysł. Myśl o wsiadaniu do pociągu i przesiadaniu się z małym dzieckiem, wózkiem, wszystkimi niezbędnymi akcesoriami – jedzeniem, piciem, pieluchami, ubraniami na zmianę – żeby odwiedzić koleżankę, która dzieliła z kimś nieduży pokój, całkowicie ją przerosła. Claudia pracowała w bibliotece. Thea poczuła ukłucie zazdrości na myśl o przyjaciółce układającej i stemplującej książki.

Nakarmiwszy Janet, przewinęła obie dziewczynki. Zostały jej tylko trzy pieluchy; powinna była wcześniej pomyśleć o praniu. Namoczyła brudne rzeczy w zlewie. Posadziła Janet w jej małym foteliku, a Polly przy stole z kredkami i kartkami, żeby zająć się kolacją. Polly była w kiepskim humorze – jak zwykle późnym popołudniem – i popłakała się z powodu złamanej kredki świecowej. Thea posadziła ją obok ociekacza do naczyń i przystąpiła do płukania pieluch. Nakrywała do stołu z córką na biodrze, kiedy Janet zaczęła płakać. Ziemniaki kipiały, pieluchy wymagały szybkiego rozwieszenia przy piecu, żeby nie zabrakło czystych, włożyła więc Polly do kojca, poprawiła garnek i szybko wypłukała kawałki tetry. Dzieci zawodziły wniebogłosy.

Nicola weszła w chwili, gdy Thea pocieszała Janet.

– Daj, nakarmię ją – powiedziała. Usiadła na krześle, rozpięła bluzkę i wzięła dziecko. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Jak było?

– Straciliśmy parę owiec. Próbowaliśmy oboje z tatą, ale nie udało nam się ich uratować. – Janet przestała płakać i przyssała się do piersi. – Widziałaś się z tatą?

– Jeszcze nie.

– Więc jeszcze nie wiesz?

– O czym?

– Rufus ogrodził las.

Thea przerwała rozwieszanie pieluch i się odwróciła. Popatrzyła na Nicolę z niedowierzaniem.

– Low Chase?

– Tak. Jacyś ludzie przez cały dzień stawiali ogrodzenie między naszą łąką a drzewami.

– Nie może tego zrobić.

– Oczywiście, że może, Theo. To jego grunty. Może nam zabronić wstępu, kiedy tylko zechce. Mści się za wybryk Jacka i Francisa. Rufus Greville nie odpuszcza takich rzeczy. Nie lubi wychodzić na głupca. Tę czerwoną plamę widzieli wszyscy, którzy przechodzili obok jego bramy. Podobno ktoś się z niego podśmiewał za plecami w Lawton. Musiał być wściekły.

Drzwi się otworzyły i do kuchni weszli Robert, Lennie, John i Cathy.

– Podpalę to cholerstwo – odgrażał się Robert.

– Tato! – syknęła Nicola. – Dzieci.

– Przepraszam, córeczko. Ale tak właśnie uczynię. Podłożę ogień pod ten płot.

– I co to zmieni?

– Co mi pozostaje według ciebie? – huknął senior. – Mam powiedzieć: Tak, panie Greville. Proszę się nie krępować, panie Greville. Chętnie nadłożymy te półtora kilometra?

– A to głupi gnojek – skomentował Francis Jamieson. Bliźniacy zdejmowali mokre ubłocone płaszcze i buty w przedpokoju. – Za kogo on się uważa? Korzystamy z tej ścieżki od zawsze.

Janet zaczęła płakać.

– No już, skarbie – mówiła pieszczotliwie Nicola, podsuwając jej pierś.

– Przejdź sobie do zacisza – zaproponowała ciocia Cathy, mając na myśli salon. – Nakarm ją w spokoju. Pomogę Thei z kolacją.

Rodzina zgromadziła się przy stole. Thea i Cathy podały wszystkim posiłek. Thea zaniosła talerz Nicoli do pokoju, a ta uniosła znacząco brwi.

– On to zrobi – mruknęła. – Wcale się nie zdziwię, jeśli ojciec puści ten płot z dymem. Szkoda, że nie widziałaś, jaki był wcześniej wściekły.

Cormac wrócił z pracy, kiedy jedli deser. Thea trzymała na kolanach Polly, wyjął więc swoją porcję gulaszu z piekarnika i przecisnął się koło stołu, żeby usiąść obok nich.

– Dam ci zapałki, jeśli chcesz, wujku Robercie – mówił Jack.

– Trzymać mi się z daleka od tego ogrodzenia, zrozumiano? – huknął surowo Cormac, zagłuszając ogólny rozgardiasz. Wodził lodowatym spojrzeniem od jednego bliźniaka do drugiego. – Jeden i drugi. Macie je zostawić w spokoju, czy to jasne?

Francis Jamieson był wyraźnie wściekły.

– Nie rozumiem, czemu mielibyśmy podkulić ogon – zaprotestował Jack.

– Pójdę porozmawiać z Rufusem Greville'em. Tato, wujku, zostawcie na razie tę sprawę, dobrze?

Wybuchły kolejne protesty. Thea była zmęczona kłótniami. W obawie przed bólem głowy, który zapowiadał się od rana pulsowaniem w skroniach, skorzystała z wymówki, że musi wykąpać Polly, by uciec na górę. Napełniła wannę, rozebrała córeczkę i zdjęła jej pieluchę.

Cormac wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Czy tak było przez cały dzień?

– Nie wiem. Zajmowałam się dziećmi.

– Pozwól, że ja to zrobię. Wyglądasz, jakbyś miała dość. – Wziął na ręce wierzgającą Polly i posadził ostrożnie w kąpieli.

Thea wzruszyła ramionami i odgarnęła z oczu niesforną grzywkę.

– Nie znoszę tych ciągłych kłótni.

– Wiem. Przepraszam – powiedział, namydlając dziecko, i podniósł wzrok na Theę. – Niedługo znajdziemy coś swojego. Obiecuję ci, kochanie.

– Przecież to nie twoja wina.

Zeszła na dół po pieluszki. Składała je w pomywalni, kiedy nagle zobaczyła siebie jakby z boku, siedzącą bez słowa przy stole, pośród rozwrzeszczanych Jamiesonów. Nie poznawała kobiety, w jaką się zmieniła. Zasypiała po przeczytaniu jednej stronicy w książce albo rozkojarzona odkładała lekturę, by spełnić czyjeś żądanie. Jej myśli zajmowały nie archeologiczne odkrycia, lecz pieluchy i przepisy kulinarne. Prowadziła dyskusje o odstawianiu od piersi i wysypkach na dziecięcych pośladkach, zamiast omawiać zagadnienia związane ze skomplikowanym procesem określania wieku zabytków. Była

wiecznie zmęczona i niepewna swoich kompetencji na bodaj każdym polu.

Wyjrzała przez okno pomywalni. Nadal padał deszcz. Pomyślała o mokrych kamieniach na tarasie i wąskiej ścieżce wydeptanej w ciemnozielonej trawie pośrodku łąki. O parkanie oddzielającym teren Crawburn od gruntów Rufusa Greville'a, a ją od omszałych kamieni i znalezionej w lesie osady z epoki żelaza. Szkice i badania archeologiczne, które rozpoczęła – praca dodająca sensu jej obecnemu życiu tutaj – wydawały się teraz jałową stratą czasu.

Wpadła Sally z dziewczynkami. Kuzynki bawiły się w salonie z Kennethem pod okiem Ruby, podczas gdy Sophie wysłuchiwała męczących pretensji pana Nuttalla, który nie był zadowolony z wyżywienia.

– Wydawało mi się, że jasno przedstawiłem swoje oczekiwania, kiedy wynajmowałem pokój, pani Craxton. Mam niezwykle delikatny żołądek. Trochę pieczonej ryby czy nawet jajko na miękko to chyba nie są jakieś wygórowane żądania.

Sophie nie miała ani ryby, ani jajek, lecz obiecała, że postara się zdobyć odpowiednie produkty na dzisiejszą kolację.

– Byłbym wielce zobowiązany, pani Craxton – odparł pan Nuttall, który zajmował się handlem obwoźnym, po czym popatrzył krytycznie w kierunku salonu: – Olaboga, a cóż to za hałas!

Powstrzymawszy się od zwrócenia lokatorowi uwagi, że trudno wymagać ciszy od małych dzieci, Sophie przygotowała torbę na zakupy, bloczek kartek żywnościowych i portmonetkę, po czym zapięła płaszcz, naciągnęła na głowę kapelusz i wyszła z domu. Mieli za sobą wyjątkowo srogą zimę, a wiosna nadchodziła powoli i niekonsekwentnie. Nad miastem unosiła się gęsta mgła. Sophie poprawiła puste butelki po mleku i przetarła mosiężną klamkę rękawem płaszcza, następnie zamknęła za sobą bramę.

Kiedy ruszyła przed siebie chodnikiem, spostrzegła wyłaniającą się z mgły męską sylwetkę. Wysoką i barczystą, w ciemnym płaszczu

i niebieskim szaliku. Zastygła na chodniku, kiedy niewyraźne kontury przybrały postać Eda Willoughby'ego.

– Ed! – zawołała. – O mój Boże, Ed. – Patrzyła na niego osłupiała, na wpół oczekując, że rozpłynie się we mgle.

Uśmiechał się szeroko.

– Przychodzę nie w porę?

– Skądże znowu. – Uniosła torbę na zakupy. – Muszę tylko wyjść do sklepu po rybę na kolację dla lokatora.

– Mogę ci towarzyszyć?

– Będę zachwycona.

Poszli razem do sklepu. Przyglądała mu się, kiedy stali w kolejce. Przybyło mu srebrnych pasemek we włosach i zmarszczek wokół piwnych oczu, ale uśmiech pozostał taki sam: łagodny i życzliwy.

Udało jej się kupić czarniaka i parę wędzonych śledzi. Ed przejął od niej zakupy, nalegając, że zaniesie je do domu.

– Niedaleko jest herbaciarnia. Gdybyś miała trochę czasu… – zaproponował.

Weszli do herbaciarni, a on złożył zamówienie.

– Jak się masz, Sophie?

– Bardzo dobrze. A ty?

– W porządku, dziękuję. Rodzina zdrowa?

– Urodziła mi się kolejna wnuczka, córeczka Duncana i Sally. Ma na imię Isobel i jest cudowna. A Ruby spodziewa się drugiego dziecka za trzy miesiące.

Ed wyraził zachwyt i złożył gratulacje, następnie zapytał o lokatorów.

– Vera Cornish wyprowadziła się w sierpniu ubiegłego roku. Zamieszkała u siostry w Birmingham. Uczy w szkole dla dziewcząt. Regularnie ze sobą korespondujemy. W związku z jej odejściem musiałam przyjąć nowych lokatorów. – Wolałaby wprawdzie oddać czwartą sypialnię Stuartowi i Ruby na pokój dla dzieci, ale było to niemożliwe z powodów finansowych. Stuart nalegał, żeby dokładać się do czynszu, przyjmowała więc od niego niewielką kwotę, nie zarabiał jednak zbyt dobrze, pracując w hotelu, ponadto musiał oszczędzać pieniądze na zakup czegoś własnego. W dodatku Ruby

tyle robiła w domu, była tak nieocenioną pomocą, że właściwie powinna dostawać wynagrodzenie od Sophie.

Kelnerka przyniosła dzbanek kawy.

– Nowi lokatorzy nie dorastają do pięt tobie i Verze – stwierdziła Sophie, nalewając kawy. – Pan Nuttall na wszystko narzeka i jest okropnie zarozumiały. Panna Kerridge podaje się za baletnicę, wraca do domu po nocach i strasznie bałagani.

Pokój panny Kerridge, który Sophie musiała codziennie sprzątać, wyglądał jak pobojowisko pełne fikuśnej jedwabnej bielizny, brudnych pończoch i rozsypanego pudru.

Odstawiła swoją filiżankę.

– Nie potrafię ich polubić, Ed – poskarżyła się z westchnieniem. – W czasie wojny wszyscy lokatorzy byli mi bliscy. Ty, Vera, John i inni zostaliście moimi przyjaciółmi. Pan Nuttall twierdzi, że uniknął służby wojskowej z powodu słabego zdrowia. Wydaje się pozbawiony kręgosłupa moralnego. Zastanawia mnie też, skąd panna Kerridge bierze te swoje kosmetyki i pończochy. Ojej. – Skrzywiła się przepraszająco. – Nie powinnam ich obmawiać za plecami.

Poczęstował ją papierosem, którego przyjęła.

– Szukałem cię zaraz po wojnie. Wahałem się z powodu tego, co uzgodniliśmy. Nie byłem pewien, czy powinienem cię nachodzić, ale ostatecznie postanowiłem to zrobić. Chciałem przynajmniej wiedzieć, czy wszystko u ciebie w porządku. Kiedy zobaczyłem dom w gruzach, byłem przerażony, że spotkało was coś strasznego, na szczęście sąsiedzi wyprowadzili mnie z błędu. Nie byli jednak w stanie podać mi waszego nowego adresu.

– Trochę się tułaliśmy – wyjaśniła. – Nie było nam łatwo w tamtym czasie, ale doprawdy mogło być znacznie gorzej. Mieliśmy dużo szczęścia, Ed.

– Wracałem co jakiś czas. Nie bywam w Londynie zbyt często, ale zawsze zaglądałem na Gilbert Street. – Przerwał, jakby szukając właściwych słów. – To pewnie byłaby moja ostatnia wizyta, gdybym cię dziś nie zastał. Czekałem na list od ciebie, Sophie. Minęło dużo czasu, zanim się pogodziłem z twoim milczeniem. Pielęgnowanie nieuzasadnionej nadziei sprawia ból.

– To się stało tego dnia, kiedy wyjechałeś – rzuciła pospiesznie, nagle przestraszona, że nie zdąży mu wszystkiego wyjaśnić. – Miałam zamiar napisać do ciebie po południu.

Zmarszczył czoło.

– W ten sam dzień?

– Tak. Napisałeś swój adres na kartce. Schowałam ją do szuflady komody w sypialni na górze i wyszłam. Po powrocie zastałam pół domu w gruzach. Wszystkie rzeczy, które były na piętrze, albo spłonęły, albo zostały zalane podczas gaszenia.

Pomasował opuszkami palców dwie głębokie bruzdy między oczami, jak gdyby próbował je wygładzić.

– Co chciałaś napisać?

– Że żałuję swojego wahania. I bardzo mi na tobie zależy. Bardzo.

Popatrzył w bok. Wyglądał, jakby zabrakło mu powietrza. Sophie pomyślała, że jest już na wszystko za późno.

– Może poznałeś kogoś innego? – spytała ostrożnie.

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie, Sophie. Ja też żałuję. Mogłem przecież napisać do ciebie. Mogłem wcześniej spróbować cię odnaleźć. Odrzucenie boli i uderza w poczucie godności, prawda? Pewnie dlatego tak bardzo zależało mi na tym, żeby zobaczyć się z tobą osobiście. Myślałem, że wtedy wyczytam z twojej twarzy, na czym stoję. Gdybym zauważył u ciebie choćby cień zniecierpliwienia moim widokiem, ograniczyłbym się do chwili uprzejmej rozmowy i szybko się pożegnał.

– Jak to człowiek potrafi sam siebie torturować – powiedziała łagodnie.

– O tak.

Oboje uczynili ten sam gest w tej samej chwili i zetknęli się dłońmi. Dotyk był wymowniejszy od słów. Pomagał wymazać nieporozumienia. Gdy Ed zamknął jej rękę w swojej dużej dłoni, Sophie dostrzegła szansę na szczęście.

– Było mi ciężko zaufać komuś po tym, co zrobił Hugh. Potrzebowałam dużo czasu.

– Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak on. Ja jestem inny.

– Wiem. Jednak po śmierci Hugh musiałam się nauczyć samodzielności. Nie było łatwo, ale dałam sobie radę. Poznałam tylu

wspaniałych, życzliwych, dobrych ludzi.

– Jak myślisz – dlaczego on to zrobił?

Sophie pomyślała o przystojnym, czarującym, zaburzonym Hugh.

– Bo mógł – stwierdziła. Miała dużo czasu, żeby się nad tym dobrze zastanowić. – Bo trafiła się okazja. Kobiety do niego lgnęły.

Kelnerka sprzątała stoliki, ryba pana Nuttalla czekała na przyrządzenie, a kolacja była już spóźniona. Ed uregulował rachunek i opuścili kawiarenkę. Sophie wzięła go pod rękę i zapytała o jego żonę. O Jenny, która umarła prawie dziesięć lat temu. Bardzo ją kochał, powiedział. Poznali się w kościele, kiedy oboje mieli po osiemnaście lat. Opisał pogodną, energiczną dziewczynę, która lubiła tańczyć i grać w tenisa.

– Często chadzaliśmy razem na tańce – opowiadał. – Nigdy nie byłem wybitnym tancerzem, ale ona miała prawdziwy talent i wytrwale mnie uczyła. Nie tańczyłem, odkąd umarła. I myślałem, że już nigdy nikogo tak nie pokocham, że już nie potrafię. Nie ty jedna musiałaś budować życie od nowa, Sophie. Mnie też zajęło to dużo czasu.

Atmosfera w Crawburn zgęstniała. Rozmowa Cormaca z Rufusem Greville'em niewiele pomogła. Parkan oddzielający ziemię Jamiesonów od gruntów należących do Greville'ów pozostał na swoim miejscu. Kilka dni wcześniej Robert Jamieson odwiedził brata w Bane Rigg i wypił z nim parę szklaneczek czegoś mocniejszego. Jako że pogoda była tego wieczoru paskudna, postanowił wrócić do Crawburn ścieżką przez las. Próbując pokonać ogrodzenie, poślizgnął się i naderwał mięsień w nodze. Powoli kuśtykał do domu w ulewnym deszczu; zanim dotarł, był przemoczony do suchej nitki, co spowodowało nawrót bronchitu. Stan zdrowia Roberta stopniowo się pogarszał. Rano musiał pojechać do miejscowego szpitala.

Nicola przekazała tę wiadomość Cormacowi, kiedy wrócił wieczorem z pracy.

– Pojadę do niego – powiedział, narzucając na siebie z powrotem mokry płaszcz.

– Pozwól mnie – poprosiła.

– Nie, zostań w domu. – Cormac pocałował Theę i Polly, po czym ponownie opuścił dom.

Thea położyła Polly spać i sprzątała w kuchni z Nicolą, podczas gdy Lennie rozpalał ogień w kominkach. Krople ulewnego deszczu bębniły o szyby. Wiejski szpital wpuszczał odwiedzających między siódmą a ósmą wieczorem. Minęła dziewiąta, a Cormac nie wracał. Thea, Nicola i Lennie siedzieli przy kominku w ciszy. Wieczór w domu Jamiesonów mijał spokojniej niż zazwyczaj. Podejmowane co jakiś czas rozmowy szybko wygasały. Wszyscy martwili się o Roberta i choć nie mówili tego głośno, to bali się, że Cormac został przy ojcu z powodu pogorszenia się jego stanu.

Thea poszła na górę o wpół do dziesiątej. Drzemała i budziła się co jakiś czas, z każdym głośniejszym porywem wiatru czy uderzeniem ulewy. Zapadała w głębszy sen, kiedy usłyszała, jak drzwi się otwierają. Cormac wszedł do pokoju.

– Jak tata? – szepnęła.

– Lekarz mówi, że jego stan jest stabilny. – Zdejmował ubranie. – Chociaż widać po nim osłabienie. Ledwie siedział na łóżku. Serce się kraje. – Wytarł włosy ręcznikiem.

– Przemokłeś.

– Na zewnątrz leje jak z cebra.

– Długo cię nie było.

– Miałem coś do zrobienia.

Zajrzał do Polly, która zamruczała przez sen. Później wszedł do łóżka i przytulił się do Thei. Wzdrygnęła się od zimnego dotyku jego ramion, po czym zapadła w sen.

Następnego dnia rano zabrał Polly na dół, żeby Thea mogła dłużej pospać. Wyszedł do pracy, zanim zeszła. Nicola powiedziała, że telefonowała do szpitala – Robert miał spokojną noc – po czym wyruszyła do wsi z Janet w wózku.

Thea piekła placek z powidłami śliwkowymi z zeszłego lata. Córka siedziała przy niej w swoim wysokim krześle i bawiła się skrawkami surowego ciasta. Listonosz przyniósł pocztę, a w niej list od Grace. Po przeczytaniu wiadomości wsunęła kopertę za lustro toaletki w swojej sypialni.

Usłyszała pukanie do drzwi. Zeszła na dół, żeby otworzyć. Na ganku stał policjant.

– Pani Jamieson? – zapytał.

Po wyjściu funkcjonariusza wstawiła placek do piekarnika, pozbierała z podłogi ochłapy ciasta, umyła Polly, nakarmiła ją potrawką z mielonego mięsa i tłuczonych ziemniaków, po czym położyła na popołudniową drzemkę. Opowiedziała o wizycie policjanta Nicoli, która właśnie wróciła z Lawton. Rufus Greville zgłosił zdewastowanie ogrodzenia. Ktoś porąbał je siekierą.

– Bliźniaki – zawyrokowała ze złością Nicola. – Będą z tego cholerne nieprzyjemności. Co za idioci.

Thea nie odpowiedziała. Policjant pytał, czy domyśla się, kto mógł dokonać zniszczeń. Nie, nie miała pojęcia, zapewniła go, poniekąd zgodnie z prawdą. Nicola ma rację, myślała, podejrzewając, że stoją za tym Jack i Francis. Porąbanie płotu siekierą to wyczyn jak najbardziej w ich stylu. A jednak nie umiała przestać myśleć o Cormacu, który wrócił do domu spóźniony i przemoczony do suchej nitki. Jego ubrania wciąż były wilgotne, kiedy wkładała je rano do prania.

Cormac ma więcej rozumu, mówiła sobie. Ostatnio oddalili się od siebie, dodawała w myślach. Przeszył ją chłód, gdy uzmysłowiła sobie, że nie pamięta, kiedy przeprowadzili ze sobą ostatnią rozmowę z prawdziwego zdarzenia. A przecież wcześniej potrafili rozprawiać godzinami na każdy temat.

Nie zrobiłby tego. Nie byłby takim głupcem.

Po południu Nicola pojechała odwiedzić ojca. Thea zajęła się dziećmi i przyrządzaniem kolacji. Rozmyślała o liście od Grace i o Cormacu wycierającym ręcznikiem mokre czarne loki. „Długo cię nie było…”. „Miałem coś do zrobienia”. Lęk gniótł ją w trzewiach jak zimny kamień.

Nicola wróciła ze szpitala z wiadomością, że Robert czuje się lepiej. Zaczął siadać i jest w stanie prowadzić rozmowę. Nie powiedziała mu o ogrodzeniu, bez wątpienia dowie się tego niebawem, tak czy

inaczej, prawdopodobnie od Johna lub Cathy, ale na razie lepiej niech się nie denerwuje, rozumowała. Według jednej z pielęgniarek ojciec dobrze reaguje na leczenie, dodała.

Cormac poinformował ich rano, przed wyjściem do pracy, że zostanie w Hexham do wieczora, żeby odwiedzić tatę. Po kolacji Thea położyła Polly spać. Klęczała przy łóżku, śpiewając kołysanki, jak co wieczór: *Golden Slumbers* i *Twinkle, Twinkle Little Star*, powtarzane raz po raz, coraz ciszej, aż do zaśnięcia córki. Żałowała, że nie pamięta szwedzkiej kołysanki, którą śpiewała jej mama. Zastanawiała się, czy Sigrid kiedykolwiek klęczała przed łóżeczkiem którejś ze swoich córek sparaliżowana strachem. Myśląc o tym, do czego był zdolny jej mąż, dręczona podejrzeniami, że wyszła za człowieka, którego nie znała wystarczająco dobrze.

Polly zamknęła oczy, Thea wstała, nie przerywając nucenia, wróciła do listu z propozycją pracy na lato. Grace Fainlight miała zamiar w miarę możliwości odtworzyć dawny zespół. Zapraszała wszystkich do wzięcia udziału w ekspedycji badawczej na terenie hrabstwa Wiltshire. Thea próbowała zdusić dotkliwą tęsknotę. Powinna podrzeć list, zapomnieć tym, jaka była dawniej.

Nie czuła się na siłach, by zejść na dół. Usiadła na łóżku z książką. W pewnej chwili z dołu dobiegł głos Cormaca, który wkrótce wszedł do sypialni.

– Śpi? – szepnął.

– Właśnie zasnęła. Jak tata?

– Dzięki Bogu powoli dochodzi do siebie. – Zarzucił marynarkę na oparcie krzesła.

Czekała na rozwinięcie, ale nic więcej nie dodał. Dziwne, że nie wspomina o ogrodzeniu, pomyślała. Nicola i Lennie musieli mu przecież powiedzieć. Thea obserwowała męża, jak zdjął krawat, zwinął i odłożył na komodę. Nawet na nią nie spojrzał, odkąd wszedł do pokoju. Jakbyśmy nie znali się zbyt dobrze, skonstatowała w myślach.

– Zrobiłeś to? – zapytała nagle.

Dłoń rozpinająca koszulę zamarła w pół gestu.

– Nie miał prawa odgradzać lasu – odpowiedział cicho Cormac.

Przyłożyła do twarzy zaciśnięte pięści. Teraz na nią popatrzył.

– Ten skrawek papieru, zwany aktem własności, niewiele znaczy. Oboje wiemy, że takie stare pomniki przyrody są dobrem nas wszystkich. Rufus Greville jest kustoszem Low Chase i nikim więcej.

Odgarnęła grzywkę z twarzy. Potrzebowała wizyty u fryzjera. Muszę coś zrobić ze sobą i swoim życiem, pomyślała.

– Nie powiedziałeś mi. Zrobiłeś to bez mojej wiedzy.

– Nie chciałem cię martwić.

– Bzdura. Nie ufasz mi.

– Nieprawda. Rufus Greville przesadził. Kiedy zobaczyłem tatę w szpitalu w takim stanie…

– To nie ma nic do rzeczy. – Jej głos zabrzmiał cicho i stanowczo. – Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic. Mieliśmy się wszystkim dzielić. Jak mogłeś zaryzykować wszystko, na co pracowaliśmy, wszystko, co mamy, naszą przyszłość?!

– Naszą przyszłość? – Niebieskie oczy Cormaca przypominały sople lodu. – Jaką przyszłość? Co my niby takiego mamy, ty i ja? Co zyskaliśmy przez te wszystkie lata rozłąki? Nic! Nie mamy nawet własnego domu!

– Mamy siebie. Mamy Polly. To bardzo dużo. – Była na siebie wściekła z powodu nadciągającego ataku płaczu. Zacisnęła z całych sił powieki, nie pozwalając popłynąć łzom.

Cormac podszedł do okna, stanął plecami do żony i odchylił zasłonę.

– Nie takiego powrotu się spodziewałem. Zawiodłem cię.

Wpatrywała się w niego.

– Nie, nie zawiodłeś.

– Miałem zapewnić nam wygodne życie, a zobacz, gdzie jesteśmy. Po uszy w konfliktach, które nawet nie są nasze. – Odwrócił się gwałtownie w jej kierunku. – Nie jesteś szczęśliwa, prawda?

Oczywiście, że jestem, chciała go zapewnić, ale nie mogła. Słowa utknęły jej w gardle, spojrzenie uciekło gdzieś w bok. Musimy być ze sobą szczerzy, mówiła jeszcze przed chwilą.

– Kocham cię. I kocham Polly.

– Wiem o tym. Ale nie jesteś szczęśliwa.

– Powinnam być – odpowiedziała niepewnie, po długim namyśle. – Mam Polly. Mam ciebie. Mam dach nad głową.

– Prowadzenie domu śmiertelnie cię nudzi, przecież widzę.

Zmięła brzeg patchworkowej kołdry rękami zaciśniętymi w pięści.

– Nie świadczy to o mnie najlepiej, prawda? Że nudzi mnie bycie matką? – Poczuła wstyd. Moja matka wsadziła nas na żaglówkę i zabrała w środek sztormu, pomyślała. Byłabym utonęła, gdyby nie Rowan. Być może Sigrid też nie wystarczało bycie matką. I do czego to doprowadziło?

Cormac usiadł na brzegu łóżka.

– Theo, kochasz ją, a to najważniejsze – zapewnił łagodnie. – Cała reszta… Nie masz obowiązku lubić całej reszty.

– Mnóstwo kobiet znajduje w tym jednak spełnienie.

– Co nie znaczy, że ty musisz. Gdybym chciał się ożenić z kimś, komu wystarcza do szczęścia gotowanie i sprzątanie, tak właśnie bym zrobił.

Oboje przez jakiś czas milczeli. Thea myślała o kopercie ukrytej za lustrem toaletki. „Mieliśmy się wszystkim dzielić".

– Dostałam list od Grace – wyznała.

– O czym pisze?

– Zaproponowała mi letni wyjazd do Wiltshire i pracę przy wykopaliskach.

– W takim razie musisz się zgodzić.

– Nie mogę.

– Znajdziemy jakiś sposób. Nicola pomoże przy Polly, przecież wiesz. I ciocia Cathy. A ja wezmę trochę wolnego z pracy.

– Nie oczekuję tego od ciebie.

– Dlaczego nie? To także moje dziecko. – Dotknął jej dłoni. Pierwszy kontakt fizyczny, jaki nawiązali, odkąd wszedł do pokoju. – Praca u Phila nie jest zła na tę chwilę, ale nie widzę się w niej na stałe. Doszedłem do wniosku, że to jednak nie dla mnie. Męczy mnie spędzanie całego dnia w czterech ścianach.

– Nic nie mówiłeś.

– Nie.

– Jesteśmy beznadziejni.

– Ja tak nie myślę. – Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. – Wydaje mi się, że po prostu poszukujemy właściwej drogi dla każdego z nas z osobna, którą moglibyśmy jednak pójść razem.

Przytaknęła. Ścisnął ją za rękę.

– Theo, nie chcę cię w żaden sposób ograniczać. Nie chcę, żebyś przeze mnie próbowała być kimś innym, niż jesteś. Już od dawna się zbieram, żeby z tobą porozmawiać o przeprowadzce.

– Chcesz się wyprowadzić z Crawburn?

– Tak.

– Nie mogłabym cię o to prosić. Wiem, jak bardzo kochasz ten dom.

– Pokocham inny.

Rozważała jego propozycję.

– Dokąd się przeniesiemy?

– W jakieś miejsce, gdzie zaczniemy od nowa. Tutaj jesteśmy uwiązani, a to męczy. Można kochać rodzinny dom, a jednocześnie pragnąć się z niego wydostać. Coś mi tu nie pozwala pójść do przodu. Pokocham każdy dom, w którym będziemy razem. Bo dla mnie liczy się tylko to, żebyśmy byli ze sobą. – Powiódł wzrokiem po pokoju i zatrzymał spojrzenie na żonie. – Wczoraj wieczorem straciłem panowanie nad sobą. Nie powiedziałem ci, co zaszło tamtego dnia, kiedy poszedłem porozmawiać z Rufusem Greville'em o płocie. Poczułem się jak ostatni idiota, że w ogóle traciłem czas na to, by go przekonać. Potraktował mnie jak sługę. Kazał mi czekać pół godziny, a kiedy łaskawie udzielił mi audiencji, stałem przed jego biurkiem z czapką w rękach. Nawet nie zaproponował, żebym usiadł.

– Och, Cormacu.

Leżąc na łóżku obok męża, rozmyślała o tym, jak bardzo poczuł się upokorzony i samotny. Nie umiał poszukać u niej wsparcia. Żałowała, że przestali ze sobą rozmawiać. Rufus Greville rozważał wniesienie oskarżenia, mówił policjant. Nie wyobrażała sobie Cormaca przed sądem. Czuła przyspieszone bicie serca i zimną obręcz strachu. Cormac powiódł dłonią po jej klatce piersiowej w kierunku biodra, pieszczotliwie i uspokajająco. Thea wsłuchała się w ciche, kojące odgłosy domu – oddech Polly, skrzypienie podłóg i bębnienie deszczu o szyby – i znalazła dostęp do nowych pokładów sił. Uzmysłowiła sobie, że dopóki są razem, naprawdę razem, niestraszne jej żadne przeciwności losu. Przywarła do Cormaca i zaczęła rozpinać mu koszulę. Kochali się w ciszy przesyconej namiętnością.

Przez cały kolejny dzień wyczekiwała pukania do drzwi. Każdy ruch na podwórzu czy odgłos kroków na kamiennej ścieżce powodował, że biegła do okna z sercem w gardle. Policja nie wróciła. Wieczorem przyszli John i Cathy, którzy wcześniej odwiedzili Roberta w szpitalu. Madeline Greville urodziła dziewczynkę, przyniosła im nowinę ciotka. Poród był skomplikowany i obie, matka i córka, zostały pilnie przewiezione do szpitala. Dziecko miało jakiś problem ze zdrowiem. Cormac zamilkł, usłyszawszy złe wieści.

– Byłem taki głupi – powiedział później, kiedy został z Theą sam na sam i wziął ją w ramiona. – Niech Bóg mi wybaczy, że kiedykolwiek zazdrościłem Rufusowi Greville'owi. Nieszczęsny skurczybyk. Ja mam piękną zdrową córeczkę i ciebie. Naprawdę mam za co być wdzięczny opatrzności.

Niedzielny obiad w domu Makepeace'ów. Freddie, dwuletni bratanek Josha o niespożytej energii, bębnił łyżką o metalowy podłokietnik dziecięcego fotelika.

– Przestań, skarbie – poprosiła Mary, jego matka.

Malec dalej robił swoje.

– Widzisz, w co się wpakowałeś, Josh – powiedział przeciągle Ronald, ojciec chłopca i starszy brat Josha. – Oszaleć można z tymi dziećmi.

Josh wstał od stołu.

– Idę na spacer – oznajmił, chwytając marynarkę z oparcia krzesła, po czym wyszedł.

Rowan podniosła się, żeby pójść za nim, ale Julia Makepeace przytrzymała ją za ramię.

– Mary, Ronald, może byście zabrali chłopców na górę, żeby się pobawili kolejką? – zarządziła.

Oboje posłusznie zaprowadzili trzech synów na strych, gdzie Bill Makepeace przechowywał modele pociągów.

– Ronald zawsze był najmniej taktowny z moich dzieci – stwierdziła Julia, uprzątając ze stołu.

– Lepiej pójdę za Joshem – rzekła Rowan. – Upewnię się, czy wszystko w porządku.

– Zostaw go w spokoju. Potrzebuje kilku chwil, żeby ochłonąć. Zawsze taki był – niby dusza towarzystwa, ale co jakiś czas wymykał się w poszukiwaniu samotności. – Dziecięce krzesełko i stół były wysmarowane deserem. Julia zeskrobywała galaretkę łyżką. – Człowiek wspomina z rozrzewnieniem dawne czasy, kiedy dzieci siedziały w osobnym pokoju.

Rowan mieszkała z Joshem u jego rodziców od trzech miesięcy. Dom rodziny Makepeace, Sandlings, był solidnym budynkiem z czerwonej cegły położonym na półtoraakrowej działce w niedużej miejscowości o nazwie Wintlesham. Za padokiem, w którym Julia trzymała swojego konia i kucyka dla wnuków, rozciągał się piaszczysty teren porośnięty brzozami i janowcem z labiryntem krętych ścieżek prowadzących nad morze. Josh przemierzał je codziennie, odkąd się tu wprowadzili. Za każdym razem wybierał inną trasę, ponieważ pomimo licznych blizn, które zawdzięczał żyłce poszukiwacza przygód, pozostał urodzonym odkrywcą. Rowan wyobrażała go sobie idącego teraz z pochyloną głową w ulewnym deszczu. Nigdy nie zauważał złej pogody.

Zazwyczaj towarzyszyła mężowi w jego wędrówkach. Czasem rozmawiali, a kiedy indziej ograniczali się do komentowania tego, co widzieli. Te spacery stanowiły już część rutyny życia w Sandlings. Makepeace'owie funkcjonowali regularnie jak w zegarku, pod dyktando Julii. Rowan zauważyła, że ta swoista dyscyplina służy Joshowi. Nie siedział bezczynnie, a zarazem nikt nie wymagał od niego wykonywania zadań ponad siły. Posiłki podawano o wyznaczonych porach, a czas pomiędzy nimi wypełniały praca w ogrodzie, doglądanie koni, świń i kurczaków, zebrania Julii w Instytucie Kobiet i golfowe hobby Billa. Bill lubił rozegrać partyjkę golfa z Joshem parę razy w tygodniu. W niedzielę cała rodzina szła do urokliwego wiejskiego kościółka i na sherry z sąsiadami. Obiad był o pierwszej. Często w gronie powiększonym o braci Josha wraz z rodzinami. Taki rytm życia stanowił pewien szok dla organizmu po wielkomiejskim pędzie i pracy w szpitalu. Rowan miała wrażenie, że

długo biegła bez tchu i nagle gwałtownie stanęła w miejscu. Właściwie powinna być znudzona, ale nie była. Jeszcze nie.

– Od dawna nie wyszedł z domu tak praktycznie bez słowa – powiedziała niepewnie, bliska rozpaczy.

– Nic mu nie będzie. – Julia poklepała synową po ramieniu. – Chłopaki Ronalda potrafią każdego zmęczyć. To moje ukochane wnuki, a i tak automatycznie sięgam po butelkę dżinu, kiedy przychodzą. – Wyniosła naczynia. Rowan podążyła za nią do kuchni. – Z nim jest coraz lepiej, Rowan – dodała. – Chyba też to widzisz?

– Czasami wydaje mi się, że zdrowieje. Ale potem jest nawrót.

– Taki chyba jest schemat wychodzenia z każdej choroby, prawda?

– Tak, raczej tak.

– Bóle głowy ustały po tygodniu od waszego przyjazdu. Wspominałaś, że spokojniej sypia.

– Teraz to ja częściej się budzę w nocy. Maluch jest ruchliwy. – Rowan dotknęła zaokrąglonego brzucha. Była w szóstym miesiącu ciąży.

– Polepsza mu się – powtórzyła stanowczo Julia. – Powiedział mi, że bardzo czeka na to dziecko. Josh będzie świetnym ojcem, zawsze tak uważałam. Usiądź sobie w pokoju dziennym, moja droga. Zaniosę ci herbatę. Lekarz zalecił ci więcej odpoczynku.

– Chciałabym pomóc w sprzątaniu.

– Daj spokój, na placówce dyplomatycznej w Ooty sama obsługiwałam przyjęcia na trzydzieści osób. Uporam się z tym w trzy sekundy. Uciekaj.

Rowan posłusznie przeszła do pokoju dziennego usytuowanego w głębi domu, było to podupadłe pomieszczenie z drewna i szkła, gdzie zawsze panował ziąb, ale za to nie brakowało słońca ani przestrzeni. Bill i Josh kolejno próbowali załatać dziury w dachu, który jednak w dalszym ciągu przeciekał.

Ściany Sandlings były pełne portretów wybitnych członków rodziny. Makepeace'owie walczyli na wojnach kolonialnych, zdobywali wysokie urzędy polityczne, byli podróżnikami i renegatami. Niektórzy z przodków Josha zostali uwiecznieni w osiemnastowiecznych mundurach lub frakach, część – być może ta mniej dystyngowana – miała na sobie tradycyjne stroje arabskie i afrykańskie. Rowan była

absolutnie pewna, że każda z tych osób z łatwością przyrządziłaby własnoręcznie posiłek dla trzydziestu osób w Ooty czy gdziekolwiek indziej. Historia tej rodziny budziła szacunek. Być może też, myślała Rowan, stanowiła pewne dodatkowe obciążenie dla Josha.

Niemniej przyznawała rację Julii: Josh czuł się znacznie lepiej. Poprawa postępowała stopniowo, dlatego łatwo ją było przegapić. Przestał reagować na wszystko nerwowo i nie męczył się już tak szybko jak dawniej. Rowan widziała jak na dłoni, że aktywność na świeżym powietrzu ma na niego dobroczynny wpływ. Długie spacery po wrzosowiskach i kamienistych brzegach Suffolk pomagały mu rozchodzić złe emocje.

Wypiła przyniesioną przez Julię herbatę i najwyraźniej zasnęła. Usiadła, dopiero gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi.

Kurtka i włosy Josha były ciemne od deszczu.

– Witaj, kochanie – powiedział. – Chcesz się przejść?

– Teraz?

– Tak. Znalazłem wspaniałe miejsce, które chciałbym ci pokazać.

Rowan włożyła sztormiak, kalosze i wyszła z mężem. Przejaśniało się, pomiędzy kolejnymi natarciami deszczu przeświecało blade wiosenne słońce. Mokra trawa i zszarzałe gałązki bukszpanów połyskiwały w jego promieniach. Przeszli przez ogród na tyłach domu, minęli padok i ruszyli ku wrzosowiskom pomiędzy kwiatami janowca i szpalerami brzóz stojących w rzędach jak wartownicy. Sama mogłaby się łatwo zgubić w tej dziczy, ale Josh miał nieomylne wyczucie kierunku.

Zwolnił, żeby mogła za nim nadążyć. Trzymał ją za rękę i ostrzegał przed przeszkodami, jak odsłonięte korzenie czy królicze nory. Rowan odkryła, że jakkolwiek z radością wyczekuje narodzin upragnionego dziecka, to nie należy do kobiet, które chwalą sobie okres ciąży. Ograniczenia nakładane przez fizjologię mocno dawały jej się we znaki. Zalecenia medyka, żeby więcej odpoczywała, irytowały, a jeszcze bardziej fakt, że miał rację. Bardzo szybko się męczyła.

Ścieżka wiodła wśród żółtozielonych bukszpanów. Za nimi rozciągało się wrzosowisko. Kilkaset metrów dalej krajobraz znów się zmienił. Brzozy i janowce ustąpiły miejsca drzewom liściastym. Wiatr ustał, deszcz nieco zelżał. Krople spadały miękko na ściółkę.

– Spójrz – powiedział.

Cegły połyskiwały drobinkami krzemienia, w oddali mieniły się okiennice; w tym miejscu, gdzie ziemia łączyła się z wodą, cały budynek zdawał się lśnić.

– Och, Josh. – Patrzyła na zjawisko z uśmiechem. – Wygląda magicznie.

– Prawda?

Zeszli po zboczu ku otaczającemu dom murowi z cegły i krzemienia. Josh rozerwał pędy winorośli zarastające bramę.

– Josh, nie powinniśmy! – zaprotestowała konspiracyjnym szeptem. – Ktoś może przyjść.

– Nikogo tu nie ma. – Otworzył furtkę. – Rozejrzałem się wcześniej.

Ciekawość kazała jej pójść za nim i tak znalazła się w ogrodzie za murem. Zapewne wypielęgnowany niegdyś trawnik zamienił się w dziką łąkę z wysoką trawą i żonkilami. Ze starych klombów zwieszały się półkoliście poplątane pnącza i chwasty. Dom wyglądał na zbudowany na planie przypominającym literę L, krótsze skrzydło przylegało do zbocza ze schodkami i łączyło się z dwupiętrowym głównym budynkiem. Przestrzeń pomiędzy dwoma skrzydłami gmachu zajmował taras.

Ruszyli ścieżką z omszałych kamieni. Prostokątne oczko wodne było pełne mokrych liści, a po ścianie z tyłu domu pięła się aż po dach ogromna dzika róża. Drzwi balkonowe prowadziły do pokoju połączonego z tarasem. Josh nacisnął klamkę, nie zważając na protesty Rowan. Zamknięte. Zajrzała przez okno do środka.

Przeszli na drugą stronę budynku. Ogród za kuchnią, szklarnia z potłuczonymi szybami na dachu, przez który wpadał deszcz. Szopa, obok przepełniona deszczówką beczka i ceglana konstrukcja z metalowymi klatkami.

– Psiarnia – stwierdził Josh. – Dla psów obronnych. Dom pewnie został przejęty w czasie wojny. W tym regionie – domyślam się, że przez RAF.

Z boku były drzwi z odpadającą płatami zieloną farbą. Josh znowu nacisnął na klamkę. Następnie wyjął z kieszeni scyzoryk.

Syknęła na niego, ale on podważył zamek ostrzem i drzwi stanęły otworem.

– Nie możemy!

Rzucił jej uśmiech przez ramię.

– Chodź, rozejrzymy się tylko.

Weszli do wąskiej sieni. Rudobrunatne strzępki suchych liści zatańczyły nad czarno-białymi kaflami podłogi. Na wieszaku pozostawiono zielony wojskowy bukłak, na szafce leżała smycz zwinięta jak wąż.

Sień otwierała się na korytarz prowadzący do pustych pokoi. Na oknach wisiały podarte czarne rolety i wyblakłe grube zasłony. Rowan wyobraziła sobie te przestronne – choć nie na tyle wielkie, by onieśmielały – pokoje wypełnione srebrzystym nadmorskim światłem w ładny dzień.

Josh przesunął palcem po zakurzonej obudowie kominka.

– Długo stoi pusty.

– Ciekawe, co tu było przed wojną. Może czyjeś gospodarstwo. Och, chodź. Zobacz. – Stała na progu pokoju, do którego zaglądała wcześniej przez drzwi tarasowe. Wzór na tapecie w kolorze wypłowiałej zieleni pasował do ciemnozielonych pędów róży wokół okien.

– Wyobraź sobie – usiąść tutaj w letni dzień! Wyobraź sobie dwie mięciutkie sofy – żółtą i zieloną, tak, urządziłabym to pomieszczenie na żółto i zielono. Dwie sofy, jakieś fotele…

– Komplet wypoczynkowy to zdecydowanie twoja działka – stwierdził, spacerując wokół pomieszczenia. – Ja mógłbym się podjąć zorganizowania dżinu z tonikiem.

Zwiedzili cały parter. Zablokowane drzwi nosiły ślady wojskowych butów w miejscach, gdzie zostały wyważone przez żołnierzy RAF-u. Nad listwą lamperii w korytarzu wyryto jakieś nazwiska i daty. Stare drewniane podłogi pokrywała gruba warstwa brudu i kurzu; dziury po pinezkach tworzyły okrąg na jednej ze ścian, pokazując miejsce po tarczy do gry w strzałki. Pozostało kilka elementów umeblowania. Niewygodne metalowe krzesła, zapewne własność wojskowa, domyśliła się Rowan. Poza tym tylko to, co było przytwierdzone lub wbudowane w ściany. Pomalowana na kobaltowo szafa wnękowa

w kuchni, gdzie odkryła rząd małych szufladek zawierających różne drobiazgi: agrafki, końcówkę ołówka, puste pudełko po zapałkach, kłębek waty.

I guziki. Wyjęła garść. Były zrobione z kryształów i kolorowego szkła, połyskiwały na dłoni niczym klejnoty.

– Josh, popatrz – zawołała. – Niektóre wyglądają na zabytkowe!

Obejrzała się za siebie, nie doczekawszy się odpowiedzi. Nie było go w kuchni.

– Josh? – powtórzyła, po czym poszła go szukać, odłożywszy guziki na miejsce.

Znalazła go na korytarzu za drzwiami. Stał nad otwartą klapą w podłodze i oddychał ciężko, zapatrzony w schodki znikające w piwnicznych czeluściach. Podniósł na nią niewidzący wzrok, gdy ponownie wypowiedziała jego imię. Wiedziała, że myślami jest z powrotem we Francji, w dziurze pod podłogą stodoły, w której się ukrywał.

– Josh?

– Zawaliłem sprawę.

– Josh, już dobrze. Jestem przy tobie.

– Mówię o lądowaniu, Rowan. Schrzaniłem je. – Wpatrywał się w nią dzikim wzrokiem.

Nigdy wcześniej nie rozmawiali o tej ostatniej, katastrofalnej misji w okupowanej Francji. Ilekroć próbowała podjąć ten wątek, reagował złością. Wzięła go za rękę i odciągnęła od piwnicy. Wrócili do kuchni. Wypłukała blaszany kubek, który stał na kredensie, napełniła wodą i mu podała.

Wpatrywał się w krople deszczu spływające po szybach.

– Padało – zaczął. – Mocniej niż teraz.

– We Francji.

– Tak. Gdy wyruszaliśmy z Anglii, był ładny bezwietrzny wieczór. Prognozy nie budziły niepokoju. Tymczasem gdy lecieliśmy nad kanałem, pogoda gwałtownie się zmieniła.

– To musiała być trudna sytuacja.

– Tak. – Spuścił głowę. – Wszystko poszło źle, Rowan. – Zacisnął powieki.

– Napij się wody, Josh.

Wypił kilka łyków i zaczął oddychać trochę bardziej regularnie. Otarł usta wierzchem dłoni.

– Zwiało mnie na bok. – Podjął tak cicho, że musiała mocno wytężać słuch. – Nic nie widziałem w tym cholernym deszczu. Nie zareagowałem z odpowiednią szybkością. Uderzyłem o róg budynku. Jakiejś przeklętej rudery pośrodku niczego. Powinienem był zauważyć przeszkodę. Gdybym się w porę zorientował, może byłbym w stanie lekko zmienić kurs. Wystarczyłoby parę metrów.

– To nie była twoja wina.

Utkwił w niej spojrzenie szeroko otwartych oczu.

– Właśnie że moja. Spojrzałem do góry, na przeklęty spadochron. Coś z nim nie tak, pomyślałem. I wtedy rąbnąłem w tę ścianę. – Podniósł ręce do twarzy. – Każdy błąd naraża na niebezpieczeństwo kilkanaście innych osób. Nie zliczę wszystkich, którzy ryzykowali życie, żeby mnie ratować, bo nie uważałem i popełniłem idiotyczny błąd. Była taka dziewczyna, jeszcze dziecko, nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat, nosiła okulary i warkocze. Przynosiła mi jedzenie. Pewnego dnia nie przyszła. Nie musiałem pytać, co się stało.

Wzięła go za rękę. Mięśnie pod skórą wibrowały jak zbyt mocno naciągnięta struna.

– Posłuchaj mnie – rzekła łagodnie. – Było ciemno i mokro, a ty martwiłeś się o spadochron. Każdy mógłby się martwić na twoim miejscu.

– Możliwe, ale to byłem ja.

– Nie wiesz na pewno, czy spadochron faktycznie nie był uszkodzony. Poza tym sam wspominałeś o błędnych prognozach. Do tego samolot mógł zboczyć z kursu. Nie ty jeden popełniłeś błąd tej nocy.

Wzruszył bezradnie ramionami.

– Ale cała odpowiedzialność i tak spada na mnie jako na wykonawcę akcji.

– Rozumiem, Josh, ale wyobraź sobie, że to się przydarzyło komu innemu. Na przykład Aleksowi. Co byś mu powiedział?

Zmarszczył czoło.

– W jakim sensie?

– Czy potępiłbyś Aleksa za popełnienie drobnego błędu w tę burzliwą noc?

Popatrzył na swoje dłonie.

– Nie wiem – mruknął.

– Myślę, że jednak wiesz. Prawdopodobnie powiedziałbyś mu: Każdy popełnia błędy, nie obwiniaj się. Wybaczyłbyś mu, Josh. Może sobie też powinieneś wybaczyć?

Milczał przez parę chwil, a następnie pokręcił głową, jak gdyby się z czegoś otrząsał.

– Spanikowałem, Rowan. Zawsze potrafiłem bezbłędnie określać kierunki. Wiedziałem, że jestem poważnie ranny. Noga była kompletnie bezużyteczna. Musiałem się pozbyć spadochronu, ale każdy ruch sprawiał mi ból grożący utratą przytomności. Wydawało mi się, że minęło wiele godzin, zanim wreszcie udało mi się rozciąć uprząż i się uwolnić. Wepchnąłem spadochron pod ścianę przeklętej rudery. Powinienem był go zakopać, ale nie miałem siły. Musiałem uciekać, lecz nie wiedziałem w którą stronę. Czołgałem się po ziemi. Znałem plan strefy zrzutu, zwiało mnie jednak z kursu, więc nie mogłem… – Zwilżył językiem spierzchnięte wargi. – Nie potrafiłem określić swojego położenia. Byłem pewien, że tam umrę, samotnie, w błocie, w zapomnianym przez Boga zakątku ziemi.

– Mój ty biedaku.

Przesunął paznokciem wzdłuż wyżłobienia w suszarce do naczyń.

– Przez cały czas pobytu we Francji nie byłem pewien, gdzie właściwie jestem. Przerzucali mnie z miejsca na miejsce – mówił cicho. – Mogłem wychodzić tylko w nocy. Nie wiem, czy to przez brak dostępu do światła słonecznego, ale nie umiałem określić swojego położenia. Próbowałem się zorientować po gwiazdach, czułem się jednak całkiem zagubiony. Do tej pory nie mogę się odnaleźć – dokończył po długiej pauzie.

– Kochany, razem damy sobie z tym radę. – Objęła go i położyła mu głowę na ramieniu.

Minęło parę minut.

– Nie miałbym do ciebie pretensji, gdybyś mnie zostawiła – powiedział.

Pogładziła go po twarzy.

– Kocham cię. Kocham cię całego.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę taki jak dawniej.

– Nie musisz, Josh.

– Praca w Londynie mnie przerasta.

– Nie szkodzi, możemy zostać tutaj.

– Ale muszę sobie jednak znaleźć coś do roboty. Nie mogę siedzieć bezczynnie w nieskończoność.

– Nie będziesz. Znam cię. Znajdziesz coś w swoim czasie. Nie martwmy się na zapas. Chodź, obejrzymy piętro.

– Ty i moi rodzice… – powiedział, kiedy wspinali się po schodach. – Nie wiem, co bym zrobił bez was. Jestem takim szczęściarzem.

Szczęściarzem, powtórzyła w myślach. Chciało jej się krzyczeć z wściekłości na myśl o tym, co przeszedł, o psychicznych i fizycznych męczarniach. Przytuliła tylko głowę do jego ramienia i odpowiedziała:

– Ja też cię kocham.

– Boję się, że za bardzo się dla mnie poświęcasz. Naprawdę chcesz mieszkać na zapadłej wsi w Suffolk?

Słońce nareszcie zdołało się przebić przez chmury, jego promienie zatańczyły na dębowej podłodze podestu.

– Może i ja jestem gotowa na zmiany.

– Myślisz, że mogłabyś się tu odnaleźć?

– Na stałe? – Zamyśliła się. – Czemu nie?

– Jesteś dziewczyną z miasta. I byłabyś daleko od Thei. Od przyjaciół.

– Odwiedzaliby nas przecież, gdybyśmy znaleźli coś swojego. I twoi przyjaciele oczywiście także, Josh.

– Jest parę osób, które chciałbym zaprosić, gdybyśmy mieli własny dom. To mężczyźni, którzy sobie nie radzą z życiem, tak jak ja.

– Bardzo dobry pomysł.

– Moglibyśmy zrobić dobry użytek z naszego domu.

– Widywaliśmy takich ludzi w szpitalu – zaczęła powoli. – Byłych żołnierzy, którzy lądowali na pogotowiu. Z odmrożeniami, bo upili się i zasnęli na chodniku. Albo pobitych podczas burdy, którą sami wszczęli. Próbowałam z nimi rozmawiać, zorientować się, czy mogę jakoś pomóc, ale niewiele dawało się zrobić.

W głowie Rowan kiełkował pewien pomysł, którego jeszcze nie potrafiła sprecyzować. Wyjrzała przez okno największej sypialni na morze połyskujące w odległości pół kilometra.

– Popatrz na ten widok, Josh. Zobacz tylko.

– Wiem, można się w nim zakochać. – Utkwił wzrok w linii horyzontu. – Ciekawe, czy ten dom jest na sprzedaż?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Warto zapytać. Ale czy byłoby nas na niego stać?

– Mam trochę pieniędzy odziedziczonych po dziadku. To dobre miejsce do wychowywania dzieci, nie sądzisz?

Tak, bardzo dobre, pomyślała. Czy mogłaby być tu szczęśliwa, tak daleko od wszystkiego, do czego przywykła? Powiedziała, że potrzebuje zmiany. Ale czy podoła zmianie tak fundamentalnej?

– Piękny duży ogród i plaża tak blisko…

– No właśnie.

– Dom wymaga gruntownego remontu – zauważyła.

– Mógłbym się go podjąć. Chciałbym.

Złapała ulotną myśl, która nie dawała jej spokoju, pochwyciła ją niczym drobinkę kurzu dryfującą w słonecznym świetle.

– Moglibyśmy tu założyć coś w rodzaju sanatorium dla weteranów wojennych – zaproponowała. – Byłych żołnierzy, którzy nie radzą sobie z problemami. Moglibyśmy zacząć od twoich kolegów. Zaproponowalibyśmy im pobyt w spokojnym pięknym miejscu, gdzie powoli odzyskiwaliby równowagę. Ty zająłbyś się prowadzeniem całości, a ja organizacją opieki pielęgniarskiej. W razie potrzeby zatrudnilibyśmy dodatkowe osoby do pomocy. Nie ty jeden potrzebujesz jakiegoś zajęcia. Niedługo urodzi się dziecko, wiem. Ale coś chcę robić oprócz sprawowania nad nim opieki, coś angażującego umysł. Szkoda mi zmarnować tyle lat doświadczenia w zawodzie.

– Sanatorium… – Zmarszczył czoło.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że to genialny pomysł – oświadczył, przyciągając ją do siebie.

Rowan rozejrzała się po pokoju. Widziała go w szarościach, błękitach i złocie – kolorach komponujących się z otaczającym

krajobrazem. Wyobraźnia podsuwała jej kolejne obrazy: wazony z bukietami ostróżek w dużym salonie, tupot dziecięcych nóżek na schodach, otwierające się drzwi tarasowe, przez które wpada zapach róż.

– Moglibyśmy tu zamieszkać? – zapytał. – Czy to szalony pomysł?

Sophie odwiedziła Eda niedaleko Lewes w hrabstwie Sussex. Dzikie róże i wiciokrzewy oplatały żywopłoty. Szyld nad stodołą informował: *E. Willoughby, Restauracja mebli i usługi stolarskie*. Białe deski budynku miały czarne plamy; z boku mieściły się podwójne wrota, którymi ongiś prawdopodobnie wjeżdżały wozy i maszyny rolnicze.

Część mieszkalna zajmowana przez Eda składała się z kuchni wyposażonej w szafki z odzyskanego drewna, salonu i dwóch sypialni usytuowanych na tyłach budynku. Ed zaparzył kawę w dzbanku. Przeszli do warsztatu, przestronnej hali pachnącej żywicą i drzewnym pyłem. Sophie podziwiała ostatnie zlecenia przyjaciela: bujany fotel z rzeźbionym oparciem i owalny jasny drewniany stół.

Przyszedł klient w sprawie zamówienia, pozwoliła więc Edowi pracować, sama zaś usiadła na ławce z boku domu, otoczonej trawą. Było to jedno z jej ulubionych miejsc. Błyszczące zielone korony wiązów filtrowały roztańczone promienie słoneczne, drobne kwiatki trybuli leśnej przypominały rozlaną kremową piankę. W ciepłym powietrzu unosił się ostry zapach pokrzyw.

Długa ława w pracowni Eda była zastawiona farbami, pędzlami w słoikach po dżemie i założona papierem ściernym. Tutaj wykonywał dekoracyjną część swojej pracy, wyjaśnił. Sophie przypomniała sobie, jak bardzo lubiła szkolne zajęcia plastyczne. Miała do nich dryg. Zanim wybuchła pierwsza wojna, chciała nawet kontynuować naukę w college'u artystycznym, ale później zginął biedny Harold, a ona została sanitariuszką. W dalszych latach, kiedy chłopcy byli mali, kolorowała z nimi i rysowała. Od tamtego czasu malowała już tylko ściany i framugi okien. Ed namawiał ją, żeby to zmieniła.

Przed sześcioma tygodniami przyszła na świat Leah, drugie dziecko Ruby i Stuarta, i Sophie postanowiła przekazać dom na Gilbert Street młodym rodzicom. Pan Nuttall i panna Kerridge zostali poinformowani, że pensjonat kończy działalność. Ruby miała zamiar otworzyć go znowu, kiedy dzieci trochę podrosną.

Po wielomiesięcznych poszukiwaniach Duncan i Sally znaleźli dom w pobliżu miejsca jego pracy, lotniska w Croydon. Była to ładna willa z wykuszowymi oknami od frontu, trochę zaniedbana, jak wszystko w ostatnich czasach. Sophie powiedziała starszemu synowi o swoich planach przekazania Stuartowi rodzinnego gniazda. Oczywiście zgodził się, tylko co z tobą, mamo? Zaczęła mu więc opowiadać o Edzie. O tym, jakim jest cudownym człowiekiem, solidnym, wspierającym i uczciwym. O tym, że bardzo się kochają. Duncan, który właśnie montował szafki w salonie swojego nowego domu, przerwał jej.

– Wiem wszystko od Stu – powiedział. – To świetnie, mamo. Najważniejsze, żebyś była szczęśliwa. Zamierzacie się pobrać?

Poczuła się nieco zbita z tropu faktem, że ta rozmowa, którą wyobrażała sobie jako trudną, przebiegła tak gładko. Tak, odpowiedziała, prawdopodobnie na jesieni. Zamierzała zamieszkać z Edem wcześniej, co oznaczało, że przez jakiś czas będą żyli w grzechu, ale nie uznała za stosowne się nad tym rozwodzić w rozmowie z synem. Sam wyciągnie wnioski, uznała.

Tymczasem klient opuścił warsztat, załatwiwszy swoją sprawę. Sophie i Ed zjedli obiad na świeżym powietrzu, po czym poszli na spacer. Popatrzyli ze wzgórza na oddalone o parę kilometrów Lewes. Warsztat mieścił się na obrzeżach South Downs. Sophie wyobraziła sobie, jak idzie do Lewes na zakupy w piękny letni dzień. Ich dwoje mieszkających razem w słonecznym przestronnym budynku dawnej stodoły.

Ed pocałował ją pośród dzikich róż i wiciokrzewów. Uderzenie gorąca nadeszło w nieodpowiednim momencie, zmuszając ją do rozpięcia bluzki i powachlowania się jej połami.

– Starzeję się – rzekła przepraszająco.

Niepotrzebnie. On wiedział, był do tego przyzwyczajony. Przyniósł jej z kuchni szklankę wody. Napiła się, gorąco ustąpiło i powrócili do

całowania. Następnie Ed wywiesił na drzwiach tabliczkę z napisem *Zamknięte*. Weszli do środka i poszli do łóżka.

*

Thea popychała spacerówkę w górę Langhill Road. Polly dała się przekupić ciastkiem i siedziała w wózku. Wolała chodzić, lecz wtedy spacer zajmował znacznie więcej czasu. Dziewczynka oglądała ze wszystkich stron każdy kamień czy źdźbło trawy i potrafiła godzinami podziwiać owce. Dziś Thea spieszyła się do Crawburn. Czekało ją pakowanie.

Zobaczyła przed sobą kobietę z głębokim wózkiem. Rozpoznała Madeline Greville po jasnych włosach. Policja nie nachodziła więcej Jamiesonów, Rufus Greville nie wniósł oskarżenia. Płot pozostał dziurawy. Thea domyślała się, że cała sprawa została zapomniana w kwietniu, przed sześcioma tygodniami, kiedy to w dramatycznych okolicznościach przyszła na świat córeczka Rufusa.

– Dzień dobry! – zawołała.

Madeline Greville się odwróciła.

– Dzień dobry, pani Jamieson.

– Mogę ją zobaczyć?

– Tak… tak, oczywiście.

– Jest śliczna – oświadczyła Thea, podziwiając niemowlę. – Naprawdę śliczna dziewczynka.

– Dziękuję.

– Mam nadzieję, że już jest zdrowa?

– Lekarz stwierdził szmery w sercu. Nie uważa ich za powód do niepokoju, ale Venetia nie oddychała przez chwilę zaraz po urodzeniu i… – Madeline nie dokończyła. Dotknęła buzi dziecka, jakby sprawdzała, czy jest ciepła.

– Cóż za straszne przeżycie – rzekła ze współczuciem Thea.

– Cały czas się o nią martwię. – Słowa zabrzmiały jak zalęknione westchnienie.

– Tak, człowiek nie może nic na to poradzić, kiedy ma dziecko. A pani jak się czuje?

– Dobrze, dziękuję. – Pod błękitnymi oczami Madeline rysowały się fioletowe cienie. – Choć jestem bardzo zmęczona. Ważyła tylko dwa i pół kilograma, więc ma sporo do nadrobienia.

– Nocne karmienia są wycieńczające, prawda?

– O tak. W jakim wieku jest pani córeczka, pani Jamieson?

– We wrześniu skończy dwa lata.

– Ma śliczne loczki – pochwaliła z uśmiechem Madeline.

– Wiem. Szczęściara. Pójdziemy dalej razem?

Ruszyły pod górę, ramię w ramię. Polly beczała, ilekroć mijały stado owiec.

– Nie pochodzi pani stąd, prawda? – zapytała nagle Madeline Greville.

– Nie, urodziłam się w Glasgow.

– Przywykła pani do nowych warunków? Niewiele się tu dzieje.

– Właściwie niedługo wyjeżdżamy. Znaleźliśmy z Cormakiem domek do wynajęcia w Wiltshire.

– Mam nadzieję… – Madeline urwała i zaczerwieniła się. – Mam nadzieję, że będziecie tam oboje szczęśliwi – powiedziała zamiast tego, co zamierzała początkowo. – Chciałabym wrócić do Londynu, ale Rufus jeszcze nie podjął decyzji. Venetia miałaby lepszą opiekę w stolicy. Oczywiście zatrzymalibyśmy Langhill House. Spędzalibyśmy tu letnie miesiące.

– Piękne miejsce.

– Tak.

– Miło pomyśleć, że nasze córki być może będą się tu kiedyś razem bawić, na polach i w lasach. Że być może zostaną przyjaciółkami – powiedziała Thea, kiedy dotarły do Langhill House.

– Też mam taką nadzieję – odparła Madeline.

Pożegnały się. Thea poszła dalej, w stronę Crawburn. Jutro pojedzie z Cormakiem i Polly pociągiem na południe Anglii. Zatrzymają się na noc w londyńskim mieszkaniu Rowan, a następnego dnia wyruszą do Wiltshire. Wprowadzą się do wynajętego domu. Cormac zajmie się Polly, kiedy Thea będzie pochłonięta pracą u Grace. Obiecał też, że nauczy ją prowadzić motocykl, by mogła dotrzeć do oddalonego o kilka kilometrów stanowiska archeologicznego. W przyszłości być może odkupią dom

od obecnych właścicieli, już o tym rozmawiali. Cormac miał w związku z nim mnóstwo planów, jeżeli wszystko pójdzie po ich myśli, więc Thea trzymała kciuki.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wrzesień–październik 1946

Wyprawili wesele w stodole. Sophie i Ed uzgodnili wcześniej, że zaproszą tylko najbliższych, ale kiedy policzyli rodzinę oraz przyjaciół obojga, uzbierało się osiemdziesiąt osób. Po ceremonii w urzędzie stanu cywilnego w Lewes goście pojechali grupkami, różnymi środkami transportu, do stodoły. Ci, którym nie przeszkadzał deszcz, poszli pieszo przez pola. Ed otworzył wierzeje i to w nich Sophie witała gości. Wszyscy, których kochała, zebrali się w jednym miejscu: Bridget, córka Eda, z rodziną; Duncan i Stuart z żonami i dziećmi; przyjaciele Eda i jej przyjaciele: Viola z Arnoldem, koleżanki z wolontariatu i sanitariuszki, no i, rzecz jasna, lokatorzy. Vera przyjechała z Birmingham ze swoją koleżanką Mavis. John Reynolds przybył z Manchesteru.

Były też Rowan i Thea ze swoimi rodzinami. Sophie zamarła na sekundę, kiedy Rowan przedstawiała się Duncanowi, ale ten uśmiechnął się tylko, podając jej rękę przed urzędem. Teraz zaś stali po tej samej stronie zgromadzenia, każde z dzieckiem na rękach. Rowan trzymała Jamiego, Duncan Isobel i rozmawiali najswobodniej w świecie, jakby się znali od wielu lat. W pewnym sensie tak właśnie było.

Konwersacja początkowo trochę kulała, ale tylko do momentu, kiedy Rowan wspomniała o domu i związanych z nim planach. Duncan, tak deprymująco podobny do jej ojca, natychmiast się rozluźnił i wykazał zainteresowanie.

– To dobry pomysł – powiedział.

– Mam nadzieję, że stworzę dla nich przestrzeń do zaczerpnięcia oddechu. Jakże często gnamy przed siebie na oślep, nie dając sobie czasu do namysłu, prawda, syneczku – zwróciła się do Jamiego, który właśnie dostał czkawki. Miał osiem tygodni i był najpiękniejszym chłopcem na świecie, o ciemnych niebieskich oczach i płomiennorudej czuprynie. Oparła go sobie na ramieniu.

– Gdzie to jest?

– Na wybrzeżu w Suffolk, około sześciu kilometrów od Dunwich. Mamy kłopot z wymyśleniem nazwy. Miejscowi znają dom jako farmę White'ów, co nie brzmi zbyt ekscytująco. Josh zasugerował Dom Ostatniej Szansy, ale to z kolei wcale nie kojarzy się optymistycznie. Ja wymyśliłam Dom pod Jemiołą; mamy takie drzewo na podwórzu… – Odruchowo rozejrzała się za Joshem. Stał na drugim końcu pomieszczenia, gawędząc z Cormakiem. – Przywitaliśmy już pierwszego gościa. To jeden z kolegów Josha. Niezwykle sympatyczny.

– Mam takiego kolegę, z którym służyłem w jednym szwadronie – rzekł Duncan. – Smutny przypadek. Odwiedzam go od czasu do czasu.

Jamie zaczął się wiercić i marudzić z głodu, Rowan przeprosiła więc i poszła porozmawiać z Sophie, która wskazała jej zaciszną sypialnię z wygodnym fotelem, gdzie mogła nakarmić synka. Jakimś cudem, biorąc pod uwagę, jakich miał rodziców, myślała Rowan, Jamie okazał się niewymagającym dzieckiem. Zasadniczo tylko jadł i spał.

Usiedli do weselnego śniadania wokół stołów na kozłach, które Ed rozstawił w warsztacie. Sophie i Ruby przygotowały poczęstunek. Ruby przyjechała dwa dni wcześniej, razem ze Stuartem i dziećmi, żeby pomóc. Rowan i Josh podarowali nowożeńcom wspaniały prezent w postaci paru skrzynek wina wydobytych z piwnicy Makepeace'ów. Wazoniki z jesiennymi liśćmi i jarzębinami służyły za dekoracje stołów przykrytych prostymi białymi obrusami.

Wokół toczyły się ożywione rozmowy.

– Dobrze się bawisz? – zapytał Ed, ujmując żonę za rękę.

– Wspaniale – odpowiedziała. – A ty?

– Wyśmienicie. Aczkolwiek muszę przyznać, że nie mogę się doczekać, aż wszyscy sobie pójdą i zostaniemy sami.

Westchnęła cicho.

– O tak. Rozumiem cię doskonale. Jest cudownie, ale czuję dokładnie to samo, co ty.

Thea odnalazła Rowan w rogu warsztatu. Przyglądała się krzesłom.

– Pomyślałam, że moglibyśmy zamówić u Eda krzesła do jadalni. W domu mamy tylko te pozostawione przez wojsko. Julia grozi, że podaruje nam jakieś wyścielane szkaradzieństwa z Sandlings.

– Gdzie jest Jamie?

– Zasnął w wózeczku. Josh go pilnuje.

– Masz szczęście, że tak dobrze sypia.

– Wiem – odpowiedziała zarozumiale Rowan.

– Jak się czuje Josh?

– Bardzo dobrze. Zaskakująco wręcz dobrze. Praca przy remoncie domu wyraźnie mu służy. Powiedziałam mu, żeby rozważył karierę hydraulika albo elektryka. – Popatrzyła na Theę. – Co się stało, kochanie?

– Znalazłam coś.

– Podczas swoich wykopalisk?

Prace archeologiczne miały być o tej porze zakończone, ale w przedostatni dzień sierpnia natrafili na pozostałości drewnianego okręgu po jednej stronie neolitycznego grobowca *long barrow*. Grace zdobyła pozwolenie na dalsze badania. Thea pomagała w żmudnym procesie odgarniania kolejnych warstw ziemi i katalogowała znaleziska: zniszczony ząb, fragmenty kości, kamienne narzędzie. Pracowała z Grace trzy dni w tygodniu przez całe lato. W tym czasie Cormac zajmował się Polly. Obojgu im odpowiadał ten niecodzienny podział obowiązków. Przymierzali się właśnie do kupna domu, który do tej pory wynajmowali: niewielkiej wolno stojącej willi z czerwonej

cegły, wybudowanej w latach trzydziestych na dużej działce nieopodal strumienia.

– Nie, nie podczas wykopalisk. – Thea powiodła wzrokiem po gwarnej sali. – Musimy porozmawiać, ale nie tutaj.

Deszcz przestał padać, porywisty wiatr wciąż jednak szarpał gałęzie wiązów. Kilka par tańczyło przy muzyce z gramofonu. Thea i Rowan oddaliły się alejką od budynku, zostawiając za sobą coraz delikatniejsze dźwięki melodii.

Thea włożyła dziś ten sam zestaw, w którym wystąpiła na ślubie siostry. Stąpała ostrożnie, żeby nie zabrudzić satynowych czółenek.

– Pamiętasz, że kiedy opróżniałaś mieszkanie przed sprzedażą, znalazłaś mój stary plecak?

Rowan zmarszczyła brwi.

– Był na dnie szafy.

– Nie używałam go od lat. Jeden z pasków przetarł się na ramieniu, więc kupiłam nowy za pierwsze wynagrodzenie, które dostałam od Grace. Pewnie myślałam, że stary jest pusty, kiedy go odkładałam. A później zaczęłam wyjeżdżać z Grace i całkiem o nim zapomniałam. W każdym razie sprawdziłam kieszenie dopiero po tym, jak mi go przysłałaś, i znalazłam to. – Wyjęła z torebki książkę.

– *Pożegnanie z wyspą* – przeczytała Rowan.

– To tomik wierszy podarowany mi przed laty przez pewnego człowieka z Corran. Nigdy jednak do niego nie zajrzałam. Wrzuciłam do plecaka i zapomniałam, że go mam.

Thea zachowała we wspomnieniach pobielany parterowy dom z ogrodem i mężczyznę, którego zapytała o drogę do Portmore. Zapamiętała także kamiennego ptaka i rybę wyrzeźbioną w pniu drzewa. Lorcan Richardson przedstawił się jako poeta i ogrodnik. Czy był kimś więcej?

– Ten człowiek, Lorcan – mówiła Thea, wskazując nazwisko autora – dał mi swoje wiersze i kamienną siekierkę.

– Bardzo miło – stwierdziła radośnie Rowan, chcąc sprawić przyjemność siostrze.

– Tematem przewodnim zbioru jest Corran.

Rowan po raz pierwszy popatrzyła uważniej na książkę.

– Przeczytałaś?

– Tak. Jeden z wierszy nosi tytuł *Szarzy Tancerze*. To taka neolityczna budowla na wyspie. Odwiedziłam ją podczas swojej wyprawy.

Ciekawa, co też Lorcan Richardson napisał o kamiennym kręgu, przewróciła stronice w poszukiwaniu wiersza. Nagle przeszył ją zimny dreszcz, lodowate palce przesunęły się po jej kręgosłupie i przywołały skinieniem do przeszłości.

Odnalazła teraz właściwą stronę i pokazała Rowan.

– Och – westchnęła cicho starsza siostra.

Wiersz o Szarych Tancerzach był opatrzony dedykacją: *Dla Sigrid*.

– Och, Theo.

– To wiersz o utraconej miłości.

Rowan przeczytała pobieżnie, po czym podniosła wzrok na Theę.

– I myślisz…

– Tak. Wiek się zgadza. I miał proste czarne włosy. Jak moje.

– Jeżeli miał romans z naszą mamą…

– To może być moim ojcem.

Oparły się o pięciopoziomową barierkę i popatrzyły na pole. Przestrzeń wokół nich była pełna pytań wirujących jak spadające liście, obie jednak milczały. Wiersz Lorcana Richardsona opisywał moment zamiany tancerzy z Corran w kamienie. Ciężkość kończyn, niemoc ręki przecinającej powietrze. Skóra nabierająca granitowego połysku i stopy przytwierdzone do podłoża. Stopniowe spowolnienie rytmu serca, aż do całkowitego zaniku. Ruch, który przechodził w bezwład.

W następnym miesiącu wybrali się we troje na wyspę Corran. Przenocowali w pensjonacie w Portmore, a rano ruszyli pod górę wąskimi uliczkami za przystanią. Niebawem zostawili miasteczko za sobą. Pierzaste chmury zawieszone nad fioletowopopielatymi łagodnymi wzgórzami odbijały się w zamarzniętym stawie w otoczce szuwarów. Cormac posadził sobie Polly na ramionach i stawiał duże kroki nad kępami trawy.

Thea zobaczyła dom na tle zielonego klifu i szafirowego morza. W ogrodzie pracował jakiś mężczyzna. Demontował stare podpórki do fasoli i obrywał z nich czarne zasuszone pędy. Odwrócił się i zobaczył ją, gdy podeszła bliżej.

Zatrzymała się przed furtką. Lorcan Richardson ruszył w jej stronę jedną z wąskich krętych ścieżek. Popatrzył przeciągle.

– Thea?

– Napisałem ten wiersz dawno temu. Pięć lat po śmierci twojej matki. Podarowanie ci egzemplarza *Pożegnania z wyspą* było niczym wysłanie listu w butelce.

– Długo do mnie płynął – zauważyła.

– Tak. Ale cieszę się, że go w końcu dostałaś.

Rozmawiali w salonie domu Lorcana. Długi szeroki parapet zajmowały kawałki drewna wyrzuconego przez morze, kamyki z dziurkami, kryształy i ptasia czaszka o kościach cienkich jak pergamin. Ściany pokoju były białe, tak samo jak zewnętrzne. Słońce padało przez szyby na wypłowiałe dywaniki w morskim kolorze i na biurko zarzucone papierami.

Lorcan usiadł po drugiej stronie niskiego stołu. Jego siostra, Eilidh, przyniosła tacę z kawą, której żadne z nich nie tknęło. Cormac zabrał Polly na plażę z jaskinią i nurkującymi ptakami.

– Chcesz wiedzieć, co się stało? – zapytał.

Przytaknęła.

– Tak, proszę mi opowiedzieć.

– Poznałem twoją matkę w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Zobaczyłem ją po raz pierwszy, kiedy wyciągała na piasek swoją żaglówkę. Była silna, wysoka, piękna, o włosach koloru surowego jedwabiu, które powiewały na wietrze jak flaga. Chyba już wtedy się w niej zakochałem. O tym także napisałem wiersz, o Sigrid i „Idunie" na brzegu morza, ale nie opublikowałem go i nigdy tego nie zrobię. Podszedłem, żeby jej pomóc, i nawiązaliśmy rozmowę. Tak to się zaczęło. – Wyjrzał przez okno. – Odwiedzałem ją wieczorami, kiedy twoja siostra już spała. Można nas za to potępić. Cóż mogę

powiedzieć na nasze usprawiedliwienie – kiedy byliśmy razem, nie czuliśmy, że robimy coś złego. – Uśmiechnął się przelotnie. – Niektórzy szydzą z miłości od pierwszego wejrzenia. Mówią, że to wymysł sentymentalnych poetów, takich jak ja. Ona jednak istnieje i wcale nie przychodzi łagodnie, lecz jest twarda i bezlitosna, niczym uderzenie siekierą.

Thea pomyślała o żołnierzu, który spadł z motocykla w przydrożnym kurzu na francuskim odludziu. Klęcząc obok niego, patrzyła jak oczarowana, hipnotyzowała ją linia jego szczęki i powiek.

– Tak, masz rację – przyznała.

– Ach, więc ty także? – Tym razem jego uśmiech skierowany był do niej. Poczuła więź z tym człowiekiem, przeczucie, że odnalezienie go pomoże jej lepiej zrozumieć samą siebie.

– Większość ludzi uznałaby nasze postępowanie za niemoralne – ciągnął. – Sigrid miała męża i dziecko. Kupiła dom na wyspie i żaglówkę za pieniądze ze spadku po dziadkach. Potrzebowała czegoś własnego, jak mi powiedziała. Uwielbiała żeglować, pływać, wędrować. Mówiła, że lubi świeże powietrze. Na świeżym powietrzu czuła, że żyje. Glasgow ją przytłaczało, dusiła się tam. – Zamilkł i odwrócił wzrok ku oknu. – Nie była szczęśliwa, Theo. Jej małżeństwo nie było zbyt udane.

– Mój ojciec ją zdradzał. Poznał kogoś w tysiąc dziewięćset osiemnastym.

Lorcan przeniósł spojrzenie z powrotem na Theę.

– Ach, Sigrid nigdy nie była tego całkiem pewna. Zastanawiam się, czy byłoby jej łatwiej, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby miała tę pewność. – Sposępniał. – To nie był wyłącznie egoizm z mojej strony, samolubna przyjemność obcowania z kobietą taką jak ona. Widziałem, co z nią robi to małżeństwo. Jak ją ogranicza i więzi. Ciężko się coś takiego ogląda, Theo. Przypuszczałem, że mógłbym jej zapewnić życie, które lepiej by do niej pasowało. Tak wówczas myślałem – dość zarozumiale, przyznaję – że zdołałbym ją uszczęśliwić. Chciałem, żeby zamieszkała ze mną. Tu, na Corran.

– Kochała tę wyspę, prawda?

– Tak. Bardzo. – Lorcan popatrzył Thei w oczy. – Jednak najbardziej na świecie kochała swoje córki, ciebie i Rowan. Nigdy nie zapominaj, że byłyście dla niej najważniejsze.

Thea spuściła oczy na splecione dłonie i mocno zacisnęła usta. Lorcan dał jej chwilę na dojście do siebie, zanim znów przemówił.

– Wiedziałem, że jesteś moją córką, gdy tylko na ciebie spojrzałem. To było po prostu widać. I Sigrid też wiedziała. Próbowałem ją przekonać, żeby odeszła od Hugh. Odmówiła. Była rozdarta. Pokłóciliśmy się tego dnia, kiedy zginęła. Błagałem ją i prosiłem, żeby go zostawiła, ale na próżno. Rowan nas podsłuchała. Boże drogi, nigdy sobie tego nie wybaczę. – Nalał kawy i podał filiżankę gościowi. – Tamtego ranka złość wzięła górę. Zostawiłem ją i wróciłem do domu. Mieszkałem wtedy sam, Eilidh wprowadziła się później. A potem dowiedziałem się, co się stało. Jeden z rybaków widział wypadek z brzegu. Żaglówka uderzyła o skałę, Sigrid wypadła za burtę i uderzyła głową o kamienie. Nie miała żadnych szans.

– Biedna mama – powiedziała cicho Thea.

– Tak. Nie cierpiała – dodał po dłuższym milczeniu. – Mówią, że utonięcie to łagodna śmierć, ale wtedy wydawała się taka okrutna. Sigrid zawsze była pełna życia i nie mogłem pojąć, że spotkał ją taki koniec. – Westchnął. – Wiele lat winiłem siebie za wszystko. Sigrid wielokrotnie chciała zakończyć nasz romans, ale zawsze w końcu wracała. Powinienem był znaleźć w sobie siłę, żeby odejść, opuścić wyspę, zamiast zmuszać ją do niemożliwych wyborów, mówiłem sobie.

Thea po raz kolejny miała łzy w oczach.

– Tobie też nie było łatwo – próbowała go pocieszyć. – Kochałeś ją.

– Tak. Bardzo.

– Dlaczego mnie nie szukałeś po śmierci mamy?

Powoli pokręcił głową.

– Chciałem to zrobić. Jeszcze jak. Ale wiele przemawiało za tym, że to jednak zły pomysł. Mogłaś mieć do mnie żal. Znienawidzić mnie. A już z pewnością twoja siostra.

– Początkowo tak – przyznała Thea. – Teraz już nie. Zrozumiałaby.

Rowan, tak samo jak ona, odebrała od życia kilka lekcji na temat miłości. Obie teraz już wiedziały, jak potrafi zaskoczyć, dokuczyć, zdradzić. A także zmienić tego, kto przy niej wytrwa.

– Poza tym nie chciałem tego robić Hugh. Stracił żonę, a ja miałem mu jeszcze powiedzieć, że jedno z dzieci nie jest jego? Nie, to zbyt okrutne. Nigdy jednak nie porzuciłem nadziei. Czekałem na ciebie, czułem, że pewnego dnia powrócisz.

– Wiedziałeś, kim jestem, kiedy spotkaliśmy się poprzednim razem?

– Nie. – Przechylił głowę i uśmiechnął się do niej. Miał ładny uśmiech. Dziwne wrażenie – widzieć własne rysy w twarzy kogoś innego, pomyślała. Czy coś ją do niego przyciągało? Łączyły ich więzy krwi. Był jej częścią. – Chociaż być może nabrałem pewnych podejrzeń. Jak już wspomniałem, żyłem nadzieją na nasze spotkanie pewnego dnia. Ostatecznie nie oddaję zabytkowych siekierek byle komu. – Poczęstował ją ciastkiem. – Cieszę się, że mogłem cię zobaczyć, Theo, taką szczęśliwą i piękną jak twoja matka. Sigrid była żywiołowym, wspaniałym człowiekiem. Nigdy nikogo tak nie kochałem. Opłakuję ją już tyle lat. Jest tu ze mną; zostałem na Corran z jej powodu. Widzę ją spacerującą po wzgórzach. Widzę ją na plaży, śmiejącą się do fal.

Wypili kawę, porozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym poszli w stronę klifu, na spotkanie z Cormakiem i Polly. Po drodze ucięli sobie pogawędkę o jego pracy, jej badaniach archeologicznych, domu w Wiltshire i szkółce leśnej, którą zamierzał otworzyć Cormac. Wiatr smagał ich po twarzach i tworzył białe czapy na grzbietach fal. Szła ramię w ramię z człowiekiem, który był jej ojcem. Pomyślała, że poznawanie go sprawi jej przyjemność. Historia rozpoczęta dawno temu została podjęta na nowo i, jak przeczuwała Thea, miała się spleść z jej przyszłością.

Popatrzyła ze ścieżki na szczycie klifu na piaszczystą plażę, gdzie Cormac bawił się z Polly. Sigrid mogłaby tak stać w lodowatej wodzie, przebiegając wzrokiem po kamieniach. Mogłaby uczyć córki nazw kwiatów tańczących na wietrze, ptaków przysiadających na skałach, a potem zrywających się do lotu. To wszystko, czego zdążyła nauczyć Theę, zostało z nią na zawsze, i teraz ona przekazuje to swojej córce. Sigrid próbowała opuścić Corran,

a w efekcie została tu na zawsze. Nawet jeśli człowiek zdoła opuścić tę wyspę, myślała Thea, schodząc ścieżką na brzeg, zabierze ją ze sobą. To miejsce pozostanie w nim i będzie uparcie wzywać do powrotu.

Podziękowania

Serdeczne podziękowania należą się:

redaktor Clare Foss z wydawnictwa Headline za wrażliwość i inspirację;

Maggie Hanbury z Hanbury Agency za wiele lat oddanego wsparcia i dodawania mi odwagi;

niemieckiemu wydawnictwu Piper Verlag, które od dwudziestu lat publikuje moje książki na tamtejszym rynku; przez cały ten czas jestem pod redakcyjną opieką Bettiny Feldweg – dziękuję, że we mnie wierzysz;

Ianowi, z miłością i wdzięcznością za wszystkie magiczne wyprawy na wyspy Szkocji; z radością czekam na kolejne.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA
- Rozdział pierwszy
- Rozdział drugi
- Rozdział trzeci
- Rozdział czwarty
- Rozdział piąty
- Rozdział szósty
- Rozdział siódmy
- Rozdział ósmy
- Rozdział dziewiąty
- Rozdział dziesiąty

CZĘŚĆ DRUGA
- Rozdział jedenasty
- Rozdział dwunasty
- Rozdział trzynasty
- Rozdział czternasty
- Rozdział piętnasty
- Rozdział szesnasty
- Rozdział siedemnasty
- Rozdział osiemnasty

CZĘŚĆ TRZECIA
- Rozdział dziewiętnasty
- Rozdział dwudziesty
- Rozdział dwudziesty pierwszy

Podziękowania